

DWÓR I CHATA

WANDA GROCHOWSKA

DWÓR I CHATA

POWIEŚĆ

TOM I i II.

WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA — 1931

NAKŁADEM DOMU PRASY KATOLICKIEJ



89461

K-232/78 1958/2

ROZDZIAŁ I.

Dziwne spotkanie.

Pogodna, cicha jesień chłodnym wiatru podmuchem obejmowała opustoszałe pola i łąki, odzierając je z resztek kwiatów i zieleni. Słońce choć jasno świeciło i z góry złote rzucało promienie, słabo już przecie dogrzewało. Lekkie, białe mgły przejrzystym welonem otulały wszystko dokoła; w powietrzu snuły się nitki pajęczyny, osiadając na suchych bąkach, na wyblakłych, niedowiedniętych kwiatkach. Świergot wróbli i wron krakanie przerywały poważną ciszę wiejską.

Na gładkiej, w ramy zielonych lasów ujętej równinie rozłożyła się malowniczo dość duża wioska, wieńcem gęstych wierzb i topoli otoczona, a ogródkami pełnymi gruszy i jabłoni przybrana. Długi szereg domów świecił zdala białymi kominami i ciągnął się koło olszynki hen! aż do gościńca, co biegł przez ciemne pola i zielone pastwiska, niby jasno-żółta wstęga i gdzieś aż za lasem ginał, a do kościółka parafialnego i do miasteczka prowadził. O parę staj poza drogą, drobny strumień toczył swe wody, w olszynie było kilka sadzawek, a tuż na małym wzgórku obracał się wiatrak ku wy-

godzie całej okolicy. Oto było wszystko, co otaczało tę spokojną, skromną wioseczkę, słusznie bardzo Zaciszem przezwaną, w której też cicho i jednostajnie płynęły mieszkańcom dnie i lata, rzadko kiedyś czemś ważniejszym urozmaicone.

W chwili, kiedy się nasze opowiadanie zaczyna, jasne blaski dnia obudziły tam gwar zwykły i pracę. Jedni ciągnęli w pole z pługiem albo z wozem i bronami, drudzy młócili w stodole, lub koło innej krzatali się roboty. Kobiety len tarły, więc klekot miedlic echem się odbijał, a na drodze ukazało się grono wiejskich dziewcząt z sporemi w rękę koszyczkami. Wszystkie hoże i rumiane, silne jak młode sarny, biegły śpiesznie po piaszczystej drodze, żartując i prześcigając się wzajemnie. Wszystkie bose, w krótkich spódniczkach, w chusteczkach kolorowych na głowie, w koralach czerwonych na szyi, piękny stanowiły obrazek. Ludzie orką przy drodze zajęci na dźwięk ich powitania: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“ odchylali się od pracy i prostując członki, spoglądali życzliwie, a odpowiedziawszy: „Na wieki wieków. Amen“ ten i ów uśmiechając się pytał:

— A gdzie to Bóg prowadzi? A gdzie tak śpieszno?

— Na borówki do lasu, — odpowiadały każdemu i biegły dalej.

Przy drodze dwaj chodzący za pługiem gospodarze zatrzymali się, przystanęli, dając wołom wytchnienie i wzrokiem za uchodzącymi dziewczętami pogonili.

— Cóż sąsiedzie, zuchy nasze dziewczęta, nieprawdaż? aż miło popatrzeć. Niech tam sobie co chcą mówią o piękności miejskich panien, jabym ich tam nie oddał za nasze Kasie i Józefki!

— Ba! co to dziwnego, **przecie** tam jest i wasza

jedynaczka, którą się możecie pocenić, kumie Wojciechu.

Ten, do którego słowa te były zwrócone, uśmiechnął się z pod wasa, snąc kontent z pochwały i odezwał się po krótkiej chwili:

— Bogu dziękować, wyrosła piękna a dobra i pociecha patrzeć na nią, ale cóż, kiedy coś mi w sercu powiada, że się nią niedługo radować będziemy.

— Rzecz to zwyczajna, mój sąsiedzie, dziewczynie całe życie trudno przy ojcach siedzieć, wyfrunie to z wioski niedługo, ale czegoż martwić się znowu? Toć w waszej będzie woli dać ją zamaż daleko czy blisko, przy niej osiąść, czy wziąć zięcia do domu. Jak zechcecie, tak uczynicie.

— Oj, nie zawsze tak się stanie, jak my chcemy, ale jak los się zdarzy, a najbardziej jak Pan Bóg rozporządzi! Ot! smutno mi nieraz — i tyła. Chowało się to, lat wiele, a kto wie czy dla siebie, czy dla ludzi...

Westchnął ciężko i wołki pogonił.

Rzeczywiście córka Wojciecha Kostrzewy tak urodziła, jak i całym zachowaniem przeszła we wsi wszystkie dziewczęta i dziwnie się między nimi wyróżniała. Szczupła, wysmukła blondynka, miała w sobie coś takiego, że wszystkie oczy na się zwracała. Bosa i opalona, jak inne, — i jak inne w prostą odzież ubrana, robiła jednak wrażenie delikatniejszej, jakby nie wiejskiej dziewczyny, choć w niskiej chatce, na kartoflach i kapuście wychowana. Kiedy i teraz szła pomiędzy dziewczętami w czarnym gorseku, w koralach na szyi, z chusteczką białą, jakby od niechcenia na bujne warokcze zarzuconą, to mogłyby jej piękności największe panie w pieszczotach wychowane pozazdrościć.

Wiejskie jednak rówieśnice nie zazdrościły Stefce urody, owszem kochały ją za jej dobre serce, a jej wyż-

szość duchową i przymioty umysłu oceniając, szanowały szczerze. Jedna tylko pomiędzy niemi Kasia soltyśówna czuła do niej zawsze jakąś niechęć, jakby urazę, która wrosła w dwójnasób odkąd młodzieź wiejska Stefce przed nią pierwszeństwo dawać zaczęła. Kasia już od lat kilku wyglądała męża napróżno jakoś, choć była we wsi najbogatszą. Stefka przeciwnie opędzić się zalotnikom nie mogła. Jakżeż się tamta na nią gniewać nie miała?

I teraz idąc opodał, nienawistnem na nią okiem patrzyła, szukając sposobu poniżenia jej w oczach sąsiadów. Stefka dziś znowu dziwnie się czuła wesołą i zadowoloną, sama nawet nie wiedziała, co ją tak usposobiło. Lękała się nawet tego, bo nieraz podobne uczucie wesela poprzedzało jakąś większą troskę lub zmartwienie, więc i teraz, choć zda się nic jej nie groziło, zapytywała siebie, czy ją aby nie spotka co złego.

Dziewczęta ochoczo dopadły lasu i jak wiewiórki rozbiegły się wesoło pomiędzy krzakami, szukając jagód i grzybów. Stefka wnet zaśpiewała:

Dana, moja dana, dana,
Jagódeczko, pójdź do dzbana.

A śmiejąc się, resztę z własnej głowy dołożyła:

Nie do dzbana, lecz koszyka
Boróweczka niech umyka.

I tak śpiewała dalej, a echo dźwięk jej piosnek roznosiło daleko po lesie. Bo i jakże się nie weselić, dzień taki pogodny, słońce jasne, las wonny, wrzasy kwieciste, a wszędzie takie mnóstwo borówek, że tylko się schylić, a już garść pełna, tylko pilności dołożyć, a niedługo cały koszyk się zbierze. Zrywała je więc skrętnie, spiesząc, by jej drugie nie wyprzedziły i wprawdzie

napełniły koszyków. W mieście dobrze płacą za jagody, tam je więc jutro zanieś, bo ma sobie kupić parę drobiazgów do stroju, wszakże po niedzieli wesele we wsi. Oj, wesele, nowa, długo oczekiwana uciecha, na tem weselu Franka za družbę mieć będzie. Już to przecie powiedział, że jej tylko sprzyja jedynie i chce żeby jego żoną została. Nie całkiem ona temu wierzy, więc jeszcze do nikogo nie wspomina, nawet do matki rodzonej, bo Franek znany bałamut, potrafi dziewczętom głowy zawracać, a o ożenku ani myśli. Przytem taki chłopak przystojny i bogaty, może się z najposażniejszą dziewczuchą ożenić, a nie z nią, córką kilkomorgowego gospodarza, co ledwie od niedawna własnej się chaty dorobił. Ale on znowu powiada, że mu się żadna tak, jak ona nie podobała, więc musi postawić na swoim i choćby mu rodzice nie wiem jak przeszkadzali, on ją mieć będzie stanowczo i jako żonę w dom własny wprowadzi. Stefka gdy o tem myśli, rumieni się i uśmiecha radośnie, tak jej w sercu jakoś błogo, a świat dokoła wydaje się taki piękny, taki uroczy, że się nim nacieszyć nie może.

Zajęta zbieraniem borówek, a bardziej jeszcze myślami własnymi, ani spostrzegła, że słońce wysoko się podniosło i że do domu czasby już było powracać. Koszyk miała napełniony, należało tylko złączyć się z towarzyszkami, tych jednak ani słychać, bo gdzieś dalej odeszły. Zaczęła wołać i szukać po lesie, ale echo jej tylko odpowiadało i pusto było dokoła. Stała zafrasowana. Nie obawiała się zbłąkania, bo las знаła doskonale, przykro jej się tylko zrobiło, że ją dziewczęta porzuciły. Domyślała się, że to Kasia podmówić je do tego musiała, rada jej dokuczyć na każdym kroku.

Nagle do uszu jej doleciał jakiś szelest i w tejże chwili z poza krzaków wybiegł duży pies myśliwski

i skoczył do niej z głośnem szczekaniem. Zaleknione dziewczę chwyciło gałąź, aby się bronić, gdy wtem jakiś głos męski psa energicznie odwołał. Obejrzała się poza siebie. Na polankę wyszło dwóch mężczyzn w myśliwskim ubiorze, z strzelbami przez ramię. Dziewczyna szybko zwróciła się w stronę przeciwną i, o ile ciężar napelnionego koszyka pozwalał, śpiesznie uciekać poczęła. Ale i młodzi paniczki przyśpieszyli kroku, a do uszu jej doleciały słowa, które półgłosem do siebie wypowiedzieli.

— Poczekaj, zabawimy się trochę, trzeba dziewczynie strachu narobić, — mówił jeden.

— Przy tej sposobności zairzimy jej w oczy, bo jakaś zgrabna dziewczyna. I te wiejskie gaski bywają czasem ubierzydkie, szkoda tylko, że głupie i ograniczone okropnie.

Stefce krew do głowy uderzyła. Skądże są oni, że się śmia tak wyrażać o wiejskich dziewczętach. Wszak nie tylko ona, którą nauczycielka ze dworu tyle różnych rzeczy nauczyła, rozbudzając jej umysł i serce do życia i czynu jasno i szlachetnie pojętego, ale i inne jej rówieśnice garna się przecie do nauki, do oświaty pocciwiej, co ich dusze wyrывa z odrętwienia, wzmacnia i urabia. Czyż je można nazwać głupiem? Czemuż one są gorsze od wystrojonych lalek miejskich, czy tem, że ciężiej od nich pracują? Chyba nie tem, boć przecie to właśnie zaletę ich stanowi, a w ludziach rozumnych budzi poszanowanie. O! ona również nie może mieć pochlebnego pojęcia o ludziach, co się tak pogardliwie wyrażają. Rzuciła też w ich stronę gniewne spojrzenie i przyśpieszyła kroku. Nieznajomi podążali za nią i wnet tuż za sobą głos jednego z nich słyszała.

— A kto to ci, dziewczynko, pozwolił zbierać jago-

dy w pańskim leście? Pokaż bilet, albo postaw koszyk natychmiast, bo inaczej chustkę ci i korale zabierzemy.

— Nie ujdiesz nam teraz, więc próżna twa ucieczka, — mówił drugi, śmiejąc się złośliwie.

Stefka знаła dobrze gajowego, a jagód zbierać tu nie broniono, więc śmiało podniosła głowę i nie zatrzymując się wcale, odpowiedziała tylko:

— Jagody do panów należą, więc ich nie oddam.

— Ho! ho! jaka harda; my ci je sami odbierzemy, kiedy ich nie chcesz oddać z własnej woli — albo nam się musisz okupić.

Dziewczyna, widząc, że się znajduje w niebezpiecznem położeniu, zrozumiała, że nic jej innego nie pozostaje, jak uciekać. Chciała już kosz zbyt ciężki, by z nim zbiec zdołała, na pastwę napastnikom pozostać, gdy z za drzewa niespodzianie wysunęła się stara kobieta, okryta płachtą, z kijem w jednej, a kobiałką grzybów w drugiej ręce. Stefka odetchnęła, bo poznała w niej matkę gajowego, która choć zwykle brzydota swą i jakimś dziwnem zachowaniem zabobonny strach w niej budziła, teraz wielce się stała pożądana, w tak krytycznej przybywając chwili.

Stara popatrzyła na strzelców gniewnie i grożąc kijem, zawołała z oburzeniem:

— A cóż to, panowie, przybyliście do cudzego lasu i jeszcze rozbijacie? Nie wstydźcie wam napastować uczciwe dziewczęta?... I to kogo jeszcze, kogo, ale ciebie, gołąbko ośmielili się zaczepiać i straszyć.

— A cóż to ona jaka księżniczka, czy co? odezwać się do niej nie wolno? — odburknął jeden z paniczów zły, że mu baba w drogę weszła.

— Księżniczka, nie księżniczka, ale ją uszanujcie, bo kto wie co tam w księdze stoi napisane. Może się jej jeszcze kiedy nisko ukłonić wypadnie takim, jak pa-

nowie gryziopiórkom, co to skoro na wieś przyjechali, to już myślą, że im wolno nosa zadzierać.

Młodzieńcy spojrzeli po sobie z gniewem, ale i ze zdziwieniem, skąd stara mogła wiedzieć o ich zajęciu i położeniu. Posunęli się tedy do niej z groźnemi minami, ale ona roześmiała się tylko szyderczo i kiwając głową powiedziała:

— Ho! ho! starej Błażejowej nikt w pole nie wyprowadzi, wie ona nawet jak trawa rośnie i... dziwneby nieraz rzeczy powiedzieć mogła, gdyby jej wolno było.

— Kiedy umiesz tak dużo, po powróż nam, cyganko, — odezwał się jeden z mężczyzn.

— I mybyśmy radzi usłyszeć co nas czeka — dodał drugi.

— Cyganką nie jestem i wróżyć nie będę, ale co mówię to nie na wiatr. Widziałam już różne rzeczy i może jeszcze niejedno zobaczę. Ty, dziewczeczko, idź w swoją drogę, a kiedyś, gdy los się twój odmieni, nie zapomnij o starej Błażejowej.

Dziewczyna popatrzyła na nią ze zdumieniem.

Stara dziwnie jakoś wyglądała. Chuda, czarna, z błyszczącymi oczyma, rzeczywiście podobną było do cyganki. A patrzyła na Stefkę tak jakoś dziwnie, tak przeszywająco i jakby z żalem czy smutkiem, że tę strach niewymowny opanował. Zadrżała przed nią, jak przed jakąś wróżką z bajki i podażyła w swą stronę, ledwie zdolawszy słów kilka na pożegnanie wypowiedzieć.

Mężczyźni niemniej tą sceną zdziwieni, stali na miejscu jak wryci, a gdy im Stefka znikła z oczu, poczęli się o nią ciekawie dopytywać. Stara kobieta roześmiała się tylko z wyrazem kociej przebiegłości.

— A cóż, dziewczyna jak i inne córka gospodarza z Zacisza.

— A cóż znaczyły wasze tajemnicze słowa co do jej przyszłości? Powiedzcie, my was za to wynagrodzimy.

Znowu się zaśmiała złośliwie.

— Jacyżście, panowie, niedomyślni, toć taką ładną dziewczuchnę los dobry łatwo spotkać może. Nietylko w bajce dzieją się niezwykle historie, ale i na świecie także. Może jeszcze kiedy wspomniecie, że stara Błażejowa wróżyć potrafi.

Jeszcze raz się roześmiała, a takim popatrzyła wzrokiem, że byli pewni, że co innego ma na myśli. Ale nim zdążyli na nowo zapytać, już im się skryła za drzewami. Strzelcy chmurni i dziwnie z tego spotkania niezadowoleni, posępnie mając miny, zawrócili w swoją stronę.

ROZDZIAŁ II.

W Zaciszu.

Rzeżka i ochocza, choć porządnie zmęczona, wbiegła Stefka na swoje podwórko i na swoją chatę popatrzyła. Chatka to była niska, maleńka, omszała słomą pokryta, mieściła w sobie jedną izbę z alkierzem, sień tylko i komorę. Dziewczyna jednak była bardzo do niej przywiązana, a że dbała o utrzymanie w niej porządku, ładnie więc i schludnie tu było. Białe ściany, małe, ale czyste okienka, doniczkami geranii, mirtu i innego ziela zastawione, grządki kwiatów pod oknami, podwórko umiecione i piaskiem wysypane, miłe na każdym sprawiały wrażenie.

Stefka rozejrzawszy się dokoła i nie widząc nikogo, postawiła koszyk na ławie pod ścianą, roześmiała się do

płonących pod oknem astrów i georginij, do stada kur i kaczek, plądrujących po podwórku — i poszła szukać matki. Znalazła ją w ogródku za chatą, wyrwijącą poschle badyle szablaku, gęsto strakami pokryte.

— A jesteście, matusiu, przecież was dojrzała w tej gęstwinie, a chałupa zamknięta, dostać się do izby nie mogę. Dajcie mi klucz, wstawię do sieni kosz z jagodami, by mi się kury do niego nie dostały i przyjdę wam do pomocy.

— Niechże tam! dokończę po obiedzie — odpowiedziała Wojciechowa, — kiedyś wróciła, to pójdziemy obie do chałupy, bo i ojciec przyjść zaraz powinien.

I rzuciwszy robotę, poszła ku domowi. Odsunęła drewnianą we drzwiach zapórę, posypała kurom i kaczkom trochę rozgniecionych, gotowanych kartofli i zaczęła się krzątać koło komina.

Stefka tymczasem wyrwany groch w grubą płachtę zebrawszy, wzięła na plecy i zaniósła pod stodołę, by go tam na żerdziach pod dachem rozłożyć. Załatwiwszy się z tem, wybiegła na drogę zagumienną spojrzeć, czy ojciec nie wraca. Trafiła w samą porę, bo już był niedaleko. Szedł zwolna za plugiem, jakiś zamyślony i z głową pochyloną. Szedł bosy, w lichej sukmanie, z biczem w rękę i zdawał się bardzo zmęczonym. Dziewczynnie żał się go zrobiło, westchnęła smutnie.

— Ach, kiedyż dla niego przyjdzie pora odpoczynku? — pomyślała — i czy przyjdzie kiedy? Lata w ciężkiej pracy przeżyte już go do ziemi pochyliły, włosy pobielały, ręce drżeć zaczynają, a tu niema nikogo, coby go wyręczył; niema syna, coby za niego powiódł plug na pole, albo z kosą stanął na smugu. Ciężkie życie biedaka, co całe utrzymanie ciągnąc z roli, zmuszony jest ją do końca swoich dni obrabiać. A co będzie, gdy siły ustaną? Ach, on mnie ma jedną, jedną

tylko na świecie, ale cóż ja mogę na to poradzić? Matkę wyręczę we wszelkiej robocie, nie dam się męczyć, ale ojciec?... tego kto wyręczy?

— Franek chce się ze mną żenić — myślała dalej, byłabym z nim szczęśliwa, ale cóż, on potrzebuje gospodyni do domu, bo matkę ma starą, a ja jak moich rodziców zostawię? Czyżby nie należało wyjść zamaż tak, aby zięć przyszedł do domu i zajął się gospodarką? Pracowalibyśmy oboje, a rodzice spokojnieby przy nas wieku dożywiali...

I idąc za popędem pocziwego serca i szczerzej dziecięcej miłości, zastanawiać się zaczęła nad ich i swoją przyszłością, gotowa nawet poświęcić w ofierze swe uczucia i marzenia dziewczęce dla spełnienia obowiązków dobrej córki.

Wojciech tymczasem nadszedł z krowami i zdala już dostrzegł stojącą koło stodoły dziewczynę. Popatrzył na nią z czułością, ale i ze smutkiem zarazem i ciche westchnienie z piersi się jego wydobyło. Snać i on rozmyślał o ciężkiej swej doli, skoro to dziewczę, jedyną życia pociechę, ludziom oddać będzie zmuszony. Nie dała mu się długo zastanawiać, bo wnet jak strzała doń przypadła i czarną spracowaną dłoń jego do ust swych koralowych podniosła, pytając z czułością:

— Bardzoście się zmęczyli, tatusiu?

— Ha, trochę się zmordowałem... co to dziwnego, człek coraz starszy, to mu i praca przyciężka, ale trudno, ręk opuszczać nie można, bo cóżbyśmy jedli? A tak zasieje się żytko i pszenicy trochę — no i głód nam nie dokuczy z łaski Boga.

— Czemu ja wam, tatusiu, w niczem pomóc nie mogę, — westchnęła Stefka.

— Jak matce pomożesz, to i dosyć na ciebie,

dziewczyno. Dosyć ty jeszcze, dosyć się w życiu napracujesz.

Tak rozmawiając przez otwartą stodołę weszli na podwórze. Stefka pomogła zdjąć iarżma z pocziwych krówek, co nietylko darzyły ich mlekiem, ale jeszcze pole obrabiały; włożywszy im zielonego potrawu we żłoby, zamknęła na odpoczynek w oborze. Teraz wszyscy mogli wytchnąć i wreszcie o posiłku pomyśleć, bo już dawno było po południu. Stefka wyniosła przed sień duży stół, przy nim trzy mniejsze stołeczki postawiła, na dużą miskę nalala barszczu, na drugą kartofli słoniną okraszonych modlitwę, zabrali się do jedzenia.

Dziewczę opowiadać zaczęło dzisiejsze swoje w lesie przygody, czego starzy słuchali ciekawie. Kiedy doszła do spotkania z Błażejową i słowa jej powtórzyła. Wojciech drgnął i popatrzył na nią z dziwnym niepokojem w oczach.

— Co to być może — zapytał żony, gdy Stefka oddaliła się, aby jeszcze kartofli przyłożyć. Jak uważasz, matko, czyby nie należało zobaczyć się z tą kobietą i dowiedzieć, do czego to ona mówę swą kierowała? Coś w tem musi być z pewnością.

— Głupstwo, daj pokój, po co się próżno kłopotać... Tak tylko mówiła, aby owych paniczów zaciekawić, — tłumaczyła Wojciechowa, odwodząc męża od powziętego zamiaru, jak gdyby sama obawiała się dowiedzieć czegoś niepomysłnego.

— Niechże i tak będzie, — zdecydował po krótkim namyśle, — ale ja od niejakiego czasu mam jakieś dziwne smutne przeczucia. Tak mi się widzi, że my niedługo się nią cieszyć będziemy.

— Co też mówisz! a tożbyśmy tej straty nigdy nie przeżyli, o! nigdy. Ach! nie, to być nie może, Pan Bóg zmiłuje się nad nami i nie osieroci nas na stare lata.

Dalszą rozmowę przerwało przyjście Stefki, która nie spostrzegając smutnego zamyślenia rodziców, poczęła żartować wesoło, wreszcie poprosiła, aby jej pozwolono zanieść jagody do dworu.

— A będziesz mogła je sprzedać? — pytała Wojciechowa.

— O! tak, matusiu, bo w drodze mijały mię panienki i wołały z bryczki, aby im koniecznie przynieść te borówki.

— A czyżby nie lepiej zanieść je do miasta? Za utargowane pieniądze mogłabyś zaraz kupić coś sobie, wtrącił Wojciech. Pragnął zrobić jej przyjemność, pozwalając otrzymane ze sprzedaży pieniądze obrócić na własny wydatek.

— Ej, nie będę kupować, nic mi nie potrzeba. Oddam wam wszystko, przyda się na sól i kaszę. Tylko się nie kłopotcie, tatulu, dodała, widząc smutek na jego twarzy.

— A wesele za tydzień?

— Alboż mi czego brakuje? Mam wszystko z waszej łaski... chybaby nowej wstążki do koralu... ale i tak się obejdzie.

— Złote serce! chyba drugiej takiej dziewczyny niema na świecie — szepnął do siebie Wojciech — i łza zakręciła mu się w oku. Wstał, nic już nie mówiąc i odszedł do swojej roboty.

Słońce już ostatnimi blaskami zachodu złociło drzew wierzchołki, kiedy Stefka, uśmiechnięta radośnie, wracała ze dworu. Oboje starzy krzatali się koło wieczornego obrządku, na kominie suty palił się ogień. Krówki tylko czekały na wywołanie. Wbiegła szybko



do alkierza rzucić odświętne szaty, w które się do dworu ustroiła i nie tracąc czasu na opowiadanie, pobiegła do krów ze skopkiem. Dopiero ukończywszy zwykłe roboty, gdy się już wszyscy w izbie zebrali, wyjęła z za gorsetu węzelek, w czystą szmatkę zawiązany, a odwinąwszy go powoli, położyła na stole trzy nowiutkie, białe złotówki.

— Oto mój dzisiejszy zarobek, — rzekła z dumą, a jutro mi państwo znowu kosz borówek przynieść kazali.

— Ale to jeszcze nie koniec, — mówiła dalej — ot, jaki piękny dostałam od panny Heleny podarek.

Wyjęła z węzełka długą, jedwabną wstążkę koloru niebieskiego. Rozwinęła ją i podniosła w górę, by lepiej pokazać delikatne zwoje tej ślicznej dziewczęcej ozdoby. Przy migotliwym świetle ogniska mienił się w ciemną, to jaśniejszą barwę jedwab, przepyszenie błękit nieba przypominający. Dziewczyna z zachwytem jej się przypatrywała, przykładając wstążkę do piersi, do włosów, przeglądając się w małym lusterku, które jej niegdyś ojciec kupił na jarmarku.

— Jaka śliczna! jaka śliczna! nieprawdaż? — wołała z ożywieniem. Niczego już więcej nie potrzebuję na wesele, — weźcie sobie pieniądze, tatusiu.

Wojciechowie z przyjemnością przyglądali się jej rozradowaniu i jej szczęściem byli szczęśliwi. Ale bo też piękna była w tej chwili, jak obrazek, z tym rumieńcem na twarzy, z iskrami zapału w oczach, z wesołym na ustach uśmiechem. Tak mało pragnień miało to ubogie, prostacze dziecko wioski, tak jej mało do szczęścia było potrzeba, że kawałek barwnej wstążki w zachwyty ją wprowadzał.

Stary ojciec już bez skrupułu zgarnął pieniądze do

woreczka, a matka swej jedynaczce napatrzeć się nie mogła.

W chwilę potem wygaś ogień na kominie i wszyscy do snu się ułożyli. Tylko w alkierzyku przy oknie kłęczała jeszcze Stefka i wpatrzona w niebios błękitne sklepienie, złotymi usypane gwiazdkami, dziękowała Bogu za ten dzień szczęśliwy — i o wstążce niebieskiej marzyła.

ROZDZIAŁ III.

W Kalinowej Woli.

Z drugiej strony lasu, o kilka wiorst od Zacisza, na wzniosłym wzgórzu ponad rzeką, wznosił się okazały dwór szlachecki. Z pomiędzy drzew obszernego ogrodu świeciły zdaleka piękne białe ściany, jakby królujące nad okolicą. Cienista lipowa aleja prowadziła od gościńca aż do bramy wjazdowej, poza którą widniał rozległy dziedziniec, na środku przyozdobiony kępą kwiatnych krzewów. Ganek na słupach oparty, cały winem obrośnięty i wazonami zamorskich roślin obstawiony, prowadził do wnętrza wygodnie i dostatnio urządzonego domu.

We dworze tym mieszkał dziedzic tej wioski, od mnóstwa kraków kaliny Kalinową Wolą nazwanej. Był to zamożny szlachcic p. Edward Saliński, od lat paru w te strony przybyły, a znany w okolicy z przymiotów serca i rozumu. Mieszkał tu z córką jedynaczką i daleką swą kuzynką, owdowiałą i bezdzietną panią Krystyną Milecką, która panience wcześniej utraconą matkę zastępowała.

Tego dnia, w którym wiejskie dziewczę z Zacisza

biegało po lesie za borówkami, panienka z Kalinowej Woli zatapiała się w czytaniu jakiejś francuskiej książki, siedząc w swym pokoiku. A śliczny to był pokoik — milutki, różowy, tak ręką kochającą starannie przyozdobiony, żeby nęcił do siebie i sprawiał jak najwięcej przyjemności. Było tu zacisznie, jasno, wesoło, na stolikach pachniały bukiety, przez otwarte okna płynęło świeże powietrze, na komodzie stał talerz śliwek i orzechów, z ogrodu świergot wróble dolatywał. Przez przejrzyste firanki promienie słońca wkradły się do pokoiku, oświeciły złotym blaskiem krucze, w bogatych warkoczach na ziemię spływające włosy panienki, uwydatniając świeżość jej pięknej twarzyczki, oraz jasnej różowej sukienki, w którą była przybrana.

Ona jednak na nic nie zwracała uwagi, zatopiona w czytaniu, zdawała się nie odczuwać piękności dnia tego, owszem wcale ją to widzieć nie cieszyło. Bo gdy wreszcie odłożyła książkę na bok, podniosła ręce w górę i splótłszy je na głowie, szepnęła do siebie zniechęcona.

— Ach, jakie to nudne życie na wsi! Niema się czem zająć doprawdy, a do wieczora tak jeszcze daleko!

Zamyśliła się, westchnęła, ociężale podniosła z kanapki i zaczęła się przechadzać po pokoju.

— Ciekawam, czy też mieć będę suknię obiecaną — myślała znowu, — droga, bo droga, ale za to ładna być powinna. Ojciec się znowu będzie gniewał i wymawiał, że dużo wydaję, ale udobruchać się musi. Przecież ja tu nie mam żadnej przyjemności, niechże więc choć tem się pocieszę, że na wieczorze u sędziny będę najstrojniejszą z panien. Ojciec powiada, że na mnie pracuje, ha! przecież to jego obowiązek i — jego pościecha, toć mnie jedną ma na świecie.

Stała przed oknem i spojrzała na dziedziniec

Cicho tam było i pusto, tylko stado indyków przechadzało się poważnie po trawie, tylko Bryś stary wygrzewał się na słońcu, a poza krzakami zwolna, jakby ukradkiem, przesuwała się przygarbiona postać kobieca. Panienka spojrzała uważniej... poruszyła się niecierpliwie i szybko odeszła od okna.

— Ach, jaka to straszna kobieta ta Błażejowa, szepnęła do siebie, jak ja jej się czegoś dziwnie obawiam!

Przesunęła ręką po czole i uśmiechnęła się pogardliwie.

— Byłażbym zabobonna? O! nie! nie!... ale ta baba doprawdy wygląda na czarownicę — i chce chyba za taką uchodzić, bo nieraz dziwne jest jej postępowanie. Och! nie lubię jej, okropnie nie lubię, choć ciocia dla niej, jako dla dawnej sługi, jest taka życzliwa.

I jakby chcąc uciec od przykrego zjawiska, tylnymi drzwiami wyszła do ogrodu.

— A... przecie się pokazałaś, Jadwiniu, już byłam o ciebie niespokojna. Dzień taki piękny, ciepły, słoneczny, a ty ani wyrzysz z pokoju.

Słowa te wymówiła poważnie, ciemno ubrana pani, siedząca z robotą na niskiej ławeczce, nieopodal domu stojącej. Była to ciotka Krystyna, opiekunka Jadwigi, osoba zacna, powszechnie szanowana i niezmiernie przywiązana do swej wychowanki, którą nawet psuła zbytnią pieśczęcią i pobłażliwością. I teraz patrzyła na nią z wyrazem serdecznej miłości, której Jadwiga, zdaje się, zupełnie nie odczuwała.

— Cóżś robiła cały ranek, żeś do nas nie przyszła? — pytała dalej, na pierwsze słowa nie otrzymawszy odpowiedzi.

— Czytałam, ciociu, bardzo zajmującą książkę, jedną z tych od pana Alfreda.

Staruszka westchnęła z cicha.

— Ech, co ci przyjdzie z ciągłego czytania... ot, lepiej siadź przy mnie i pomóż mi cokolwiek w robocie. Tyle mam jeszcze serwet do znaczenia, a tu inne, niemniej pilne, czekają mnie sprawy. Tak tu rozkosznie pośród tych kwiatów, we dwie pójdzie nam prędko robota.

— Och! nie mogę, ciotuniu, nie mogę. Tak mi się nie chce, tak się czuję znużoną i wyczerpaną; doprawdy, żeby się choć nie rozchorować na dobre.

Pani Krystyna spojrzała na mówiącą z niepokojem, ale na jej świeżej, różowej twarzyczce nie znać było żadnego śladu choroby. Odezwała się jednak dobroliwie:

— Może ci się zdaje, dziecino, przejdź się trochę po ogrodzie, to cię orzeźwi, za dużo siedzisz widocznie.

Jadwiga ostatnią propozycję jak najchętniej przyjęła i uśmiechem podziękowawszy opiekunce, że ją uwalnia od roboty, poszła ścieżką w głąb ogrodu prowadzącą. Ciotka patrzyła za nią długo, uważnie i jakaś chmura smutku zasepiła wyniosłe jej czoło.

— Mój Boże, westchnęła, — co też z niej na pensji zrobiono, jaka w niej dziwna zaszła odmiana! Ani wesołości, ani chęci do niczego: nie wie co ma z czasem zrobić i zamiast brać się do jakiejś pracy, ślęczy nad książkami, a myśli tylko o próżności i zabawach. Czy też to będzie miał z niej ojciec pociechę na stare lata?

Ale wnet jakby sumienie wyrzucało jej sąd zbyt surowy, dodała uspokajająco:

— Może to rzeczywiście zmęczenie po mozolnej nauce tak się odbija; jak wypocznie, wróci do równowagi. Ach, jeśli ona będzie o tyle dobrą i pracowitą, o ile jest piękną i rozumną, jakaż nam z niej radość i chluba być może!

W istocie Jadwiga dobre miała serce, a w poczytych zasadach przez ząną ciotkę wychowana, najpiękniejsze rokowała nadzieje. Ale w ostatnim roku jej pobytu na pensji jakiś nowy prąd powiał, jakieś dziwne zaczęto wygłaszać teorie i inaczej się zapatrywać na życie, oraz zadanie człowiecze na ziemi, nic więc dziwnego, że i w usposobieniu Jadwigi zaszła wielka zmiana. Poczęła lekceważyć to, co dawniej szanowała i kochała, zaczęła się zaniedbywać w modlitwie i w pracy, a gonić jedynie za zaspokojeniem wszelkich coraz to nowych, coraz to większych kaprysów i wymagań. Widziała to ciotka i wielce nad tem bolała, ale miłością zaślepiona, tłumaczyła ją przed ojcem i sobą, nie przestając dogadzać we wszystkim, aby ją tylko ucieszyć i rozweselić.

Ojciec, choć kochał córkę niezmiernie, gniewał się jednak na różne jej wybryki, wygórowane żądania, zbyteczne i możność przechodzące wydatki na stroje i drobiazgi. W końcu jednak również ulegał i również sobie tłumaczył, że to przejdzie z latami, że się odmieni, że odpocząwszy po długiej nauce, zabierze się do jakiejś pożytecznej pracy i w tej pracy znajdzie lekarstwo na wiele dotychczasowych błędów. Tymczasem zabiegał i pracował, aby majątek dla swej jedynaczki pomnożyć. Odprawił rządę a sam, pomimo poważnego wieku i dość okazałej tuszy, nieraz od rana do wieczora uganiał się na koniu po polach i łąkach, robót gospodarskich pilnując. Ciotka również odprawiła klucznicę, chcąc własną pracą zastąpić zwiększone domowe wydatki.

Tak upływały dni i tygodnie, ale Jadwiga zamiast czuć się szczęśliwą przy boku osób kochających i jej całkowicie oddanych, mając wszystko, o czym zamarzyła i we wszystko opływając, nie czuła się jednak zadowoloną. Uważała się jak ten ptak w klatce, któremu

więcej swobody potrzeba i snuła coraz nowe na przyszłość projekty, a tymczasem bez obowiązku, bez pracy nudziła się okropnie i kto wie — jakby to było dalej, gdyby nagle, a nadzwyczajna w życiu jej odmiana nie wstrząsnęła całą jej istotą i nie nadała innego kierunku wszystkim jej myślom i pragnieniom.

Pani Krystyna ściagała jeszcze wzrokiem kryjącą się poza drzewami postać Jadwigi, gdy w progu ukazała się służąca.

— Czy masz do mnie interes, Zuziu? — zagadnęła pani Milecka.

— Tak, proszę pani. Tekla czuje się coraz gorzej, powiada, że jej godziny są policzone. Przed chwilą odwiedziła ją stara Błażejowa, i odchodząc potwierdziła te obawy. Tekla prosi bardzo, aby pani przyszła do niej jak najprędzej.

— Dobrze, dobrze, idę natychmiast, odrzekła pani Krystyna, szybko powstając. Porzuciła robotę na ławkę i podażyła na wezwanie.

Tekla była to dawna, bardzo przywiązana służąca Salińskich. Przed laty młodo owdowiawszy i straciwszy jedyne przy piersi będące dziecko, zgodziła się za mamkę do małej Jadwini, którą matka zaraz po jej urodzeniu odumarała. Odtąd pozostała we dworze, po odkarmieniu panienki jako jej piastunka, następnie jako pokojowa. Przez cały czas swego pobytu, dawała ustawiczne dowody wierności i wielkiego przywiązania do całej rodziny państwa, szczególnie zaś pannę Jadwigę, jako swą wychowankę, najczulszą darzyła miłością. W czasie choroby nie odstępowała jej ani na chwilę, czuwała przy łóżku we dnie i w nocy, gotowa na każde skinienie. Najdziwaczniejszym zachciankom panienki najchętniej dogadzała, jej uśmiech lub grzeczne słówko za najmilszą uważając nagrodę.

Zasługi dawnej piastunki państwo odpłacali szczerą życzliwością, dbali o jej wygodę i życie spokojne, a teraz, gdy ciężka choroba na łożu ją powaliła, dokładali jak największych starań, aby ją ratować. Wszelkie jednak zabiegi lekarzy okazały się daremnymi, ostatnia chwila szybko się zbliżała. Rano już, gdy ją pani Krystyna odwiedziła, spostrzegła ze smutkiem, że bardzo jest zmieniona. Teraz Błażejowa, niegdyś żona ogrodnika z tegoż dworu, od lat dawnych wielką Tekli przyjaciółką, przybywszy do niej, zastała ją bardzo chorą i jakby dogorywającą, a przytem niespokojną i zrozpaczoną. Zamknęła się z nią tedy w pokoiku i długo rozmawiały sam na sam, jakby jakąś wspólną miały tajemnicę. Po jej wyjściu Tekla, ogromnie wruszona i zapłakana, prosiła, aby do niej panią sprowadzono. Zuzia więc pośpieszyła coprędzej wypełnić polecenie.

Tymczasem pan Saliński powróciwszy z pola, zdziwił się bardzo, że nikogo w domu nie zastaje. Przez puste pokoje przeszedłszy, dopiero w ogrodzie spotkał Jadwigę.

— Gdzieżeście się wszystkie porozchodziły? w domu pustka, ni ciotki, ni obiadu... Moje dziecko, zajmij się tem, żeby mi dano co do zjedzenia, bo śpieszę na łąki.

Jadwiga zadzwoniła na służącą.

— Gdzie jest pani? — spytali oboje razem, gdy ta we drzwiach się ukazała.

— Jest u Tekli, przyjść nie może — brzmiała odpowiedź.

— A cóż tam się stało? czy jej się pogorszyło? — zapytał pan Saliński z niepokojem.

— Podobno jest bardzo źle, godziny jej życia są policzone, — odrzekła służąca.

— Trzeba natychmiast posłać po doktora, mówił zwracając się do córki, szkoda kobiety, dziś takich sług nie wiele.

— Ach! to prawda — westchnęła panna Jadwiga — ona była nie tylko sługą, ale i przyjaciółką... Ale jakże będzie z obiadem?

— Każ podawać, moje dziecko, bo ja nie mam czasu, a znasz ciotkę, że jak się chorą zajęła, to nie prędko ją zobaczymy.

Podano tedy obiad, do którego zasiedli we dwoje, milczący, w smutnem zamyśleniu pogrążeni.

Po obiedzie, gdy ojciec, pocałowawszy córkę w czoło, udał się do swoich zajęć, Jadwiga pobiegła do pokoiku Tekli. Zastała drzwi zamknięte, na pukanie nikt jej nie opowiedział, z wewnątrz tylko do uszu jej doleciał stłumiony płacz i łkanie.

— Ach! jak to musi być okropnie umierać!... — westchnęła i — podrażniona uciekła z pode drzwi i nie przystanęła, aż w głębi ogrodu pod rozłożystą jabłonią, gdzie najczęściej z książką siadywała.

Rzuciła się na darniową ławeczkę, głowę o pień drzewa oparła i smutnie rozmyślać poczęła. Serce jej biło tak gwałtownie jakąś niewytłumaczoną trwogą i niepokojem, że gdy pierwsze przeminęło wrażenie, sama się sobie dziwić poczęła... Jakto! ona zawsze chłodna i rozważna, miałaby się przejmować tak niezmiernie chorobą biednej sługi! A gdyby umarła nawet, to i cóż tak ważnego?

Starła się opanować wzruszenie i inny bieg nadać swym myślom, nie łatwo to jej jednak przychodziło. Tymczasem słońce zwolna zapadało poza stare lipy i topole, chłód wieczorny począł ją przejmować, wstała więc, kierując się ku domowi. Przeszła przez jeden i drugi pokój, a nie zastawszy nikogo, zaniepokojona po-

biegła do mieszkania chorej. Dostała się teraz z łatwością, bo drzwi były uchylone i tylko co wyszła z nich kucharka z pustą szklanką w rękę. Jadwiga zbliżyła się do łóżka. Błada niezmiernie i wymizerowana leżała Tekla na białej pościeli, ręce miała złożone na piersiach, oczy przymknięte, usta w pół otwarte, zdawała się okropnie wyczerpaną. Poduszka mokra świadczyła o łzach wylanych, a łzy te musiały być gorzkie, bo wyraz cierpienia i niepokoju malował się na twarzy. Jadwiga uczuła się wruszoną.

— Czy bardzo cierpisz, Teklo? — spytała ze współczuciem.

Na dźwięk jej głosu chora drgnęła, otworzyła oczy i z dziwnym jakimś wyrazem utkwiała je w postaci panny, chwyciła jej rękę i gwałtownie do piersi przycisnęła.

O! przyszedł do mnie, ty moja jedyna, przeczułaś, że ja chcę się rozmówić z tobą... a mnie tego bronia... nie dają się z tobą zobaczyć... nie dają odkryć ci tajemnicy... a ja muszę, muszę koniecznie, bo inaczej nie umrę spokojnie.

Mówiła to szybko, gorączkowo, głosem urywanym, nie zważając na smutny, błagalny wzrok pani Krystyny, którym ta ją powstrzymać usiłowała. Gdy to nie pomagało, zbliżyła się szybko i odsuwając Jadwigę od łóżka, rzekła do chorej:

— Teraz nie możesz nic mówić, Teklo, jesteś za bardzo wzruszona. Uspokój się, odpocznij, Jadzia później przyjdzie do ciebie. Zuzia ci, zaraz przyniesie herbatę i czuwać będzie nieodstępnie.

Chora z boleścią opadła na poduszki, nie śmiała się jednak sprzeciwiać, a obie pannie opuściły pokój pośpiesznie.

ROZDZIAŁ IV.

Tajemnica.

Z pochyloną głową, smutna i podrażniona wychodziła Jadwiga z pokoju chorej; paliła ją ciekawość, co ta miała jej do powiedzenia? Tyle lat żyły pod jednym dachem i ciągle z sobą przebywały, a jednak teraz wspomina o jakiejś tajemnicy i chce jej coś powiedzieć... co by to być mogło? Chciała o to zapytać ciotki, ale gdy na nią spojrzała, zalekła się strasznego wyrazu przygnębienia i smutku, jaki się malował na jej dziwnie pobladłej i znękanej twarzy.

— Co tobie, ciociu? czyś chora? Tak okropnie jesteś zmieniona! — zawołała, prowadząc ją do kanapki.

— Pani Krystyna usiadła i jakby pod jakim brzemieniem ciężkiem się uginając, głowę o poręcz oparła.

— Ciociu! — powtórzyła Jadwiga — co tobie? może ci przynieść wody? może rosół? tyś nic nie jadła...

— Dziękuję ci, moja droga, nic mi nie trzeba to chwilowe zmęczenie, to przejdzie, muszę tylko odpocząć, zostaw mię samą — odpowiedziała pani Milecka, przesuwając ręką po czole, jakby ciężkie myśli odpędzić usiłowała.

— Nie, ciociu, to nie zmęczenie, ty cierpisz, tyś się czegoś złego dowiedziała, ach! przypuść mię do tajemnicy — błagała Jadwiga.

— Bądź spokojną, moje dziecię, zaufaj starszym. że wiedzą lepiej, co czynić wypada. Nie napieraj się wiadomości, która ci szczęścia nie przyniesie.

— Nie mogę być spokojną, gdy widzę twe cierpienie, ciociu, wiem, że zaiść musiało coś ważnego, bo choro Tekli przecież cię tak bardzo nie obchodzi.

— I owszem, obchodzi mię więcej, aniżeli sędzisz

ale w obecnej chwili nie uważam tego za nieszczęście dla nas...

— A więc nie próżne są moje domysły, że coś zaszło innego, tylko mi ciocia nie chce powiedzieć, za dziecko mnie uważa — mówiła z goryczą Jadwiga.

— Stokroć lepiej bywa nieraz, gdy o czymś nie wiemy — odpowiedziała p. Milecka, a potem dodała: Idź do swego pokoju, moje dziecko, i połóż się, już pora na spoczynek. Nie lękaj się niczego... my cię tak kochamy, nie żądamy też wiadomości, bo możeby ci tego kiedyś gorzko pożałować przyszło.

Przyciągnęła ją do siebie, ucałowała, mówiąc „dobranoc“, nakreśliła jak zwykle krzyżyk na jej czole i rozstając się, jeszcze prosiła:

— Nie zaprzataj sobie głowy niepotrzebnymi myślami i do Tekli nie chodź dzisiaj, proszę cię na wszystko.

Ale wyraz „tajemnica“ ma zawsze w sobie urok pociągający. owoc zakazany zawsze najbardziej smakuje; to też i Jadwiga, opuszczając pokój ciotki, nie myślała wcale rozstać się z chęcią usłyszenia tego, co przed nią ukryć chciano. Wiedziała, że tylko od Tekli może się dowiedzieć, postanowiła też, wbrew życzeniu ciotki, pójść do niej i żądać wyjaśnienia. Czekwała tylko, aż się w domu uciszy zupełnie, co rychło nastąpiło, bo ojciec wyjechał był do sąsiada za jakimś interesem i dopiero na-
zajutrz miał powrócić.

Skoro więc w pokoju p. Mileckiej światło zgasło, pośpieszyła zaspokoić palącą ją ciekawość, nie nawykła do odmowy, bo zawsze spełniano śpiesznie wszelkie jej żądania, a nawet kaprysy, nie myślała też o tem, że przestępuje zakaz, że się sprzeciwia woli tej, co ją jak najczulsza matka kocha i dobra jej pragnie jedynie. Serce biło jej silnie, gdy ujęła za kłamkę, zawahała się, ale przemogła — i weszła do pokoiku. Cisza tu panowała,

a lampka nocna zaledwie rozpraszała ciemności. W kącie na tapczanie spała Zuzia twardym snem zmęczenia i młodości, Tekla odwrócona do ściany, również spała. Jadwiga pochyliła się nad łóżkiem i popatrzyła na żółtką, zmizerowaną twarz dawnej piastunki. Dziwnie jej się brzydka wydała, dziwnie przykre sprawiła na niej wrażenie. Strach ją jakiś bezwiedny, jakiś wstręt opanował, chciała się cofnąć — nie mogła, coś ją zatrzymywało; powoli wzbudziły się w jej sercu żal i współczucie. Toż ta kobieta dogorywająca była zawsze dla niej tak dobra, uległa, tak serdecznie przywiązana, służyła jej od dzieciństwa, a służyła tak wierne, z taką czcią i uwielbieniem, że się wszyscy temu dziwili. Zapragnęła teraz okazać jej swą życzliwość, pocieszyć i usłużyć, by choć tem długie lata jej zasług wynagrodzić.

Usiadła przy łóżku na niskiem krzeselku, wyglądając rychło się obudzi. Nie długo czekała; Tekla otworzyła oczy, a zobaczywszy cień na ścianie, szybko odwróciła głowę.

Cichy okrzyk wydobył się z jej piersi. Uniosła się na łóżku i jakby nagłym promieniem słońca oświecona, twarz jej rozjaśniła się radością i dumą, w oczach ogień jakiś zamigotał — wyciągnęła do Jadwigi obie ręce i zaczęła mówić gorączkowo:

— Przyszłaś więc do mnie, ptaszyno moja najmilsza, mój skarbie, moja pociecho — spełniłaś moje pragnienie, choć pani do tego dopuścić nie chciała.

— Miałas mi coś do powiedzenia? — przerwała jej Jadwiga, lękając się przeciągania rozmowy.

— O! tak, mam ci coś do powiedzenia, coś bardzo ważnego, co jak kamień ciążyło mi na sercu już długie lata.

— Czemuś mi tego wcześniej nie wyjawiała?

— Nie mogłam... lękałam się, by ci nie zaszkodzić, teraz dasz sobie radę, bo oni cię bardzo kochają.

— Nic nie rozumiem, Teklo, co ja mogę mieć wspólnego z twoją tajemnicą?

— Ty! ach! właśnie ty, Jadwigo, — o ciebie tu chodzi.

Poraz pierwszy, odkąd dorosła, nazwała ją po imieniu, a mówiła tak dziwnie, że Jadwigę zdumienie ogarnęło, a zarazem przestraszył i niepokój.

— Mów już, mów, niech się dowiem wszystkiego — nagliła.

Ale chora nie śpieszyła z wyznaniem, natomiast ujawniła jej ręce jakby w obawie, żeby nie uciekła; prosić poczęła:

— O! powiedz mi, powiedz, że mię kochasz, a umrę spokojnie.

— Teklo, czy możesz wątpić o tem? byłaś zawsze moją kochaną piastunką, najlepszą z naszych sług, możesz więc być pewną mojego przywiązania.

Patrzyła na nią łagodnie, pewna, że ją zadowoli, ale chora poruszyła się gwałtownie i z gorzkim śmiechem zawołała:

— Ha! tyś mnie nawykła kochać, jak sługę, jak swą poddaną, bo też nią byłam przez całe życie. Służyłam ci, jak pies wierny i niczego za to nie żądałam. Ale nadeszła godzina porachunku — chcę innej od ciebie miłości, chcę, żebyś mnie wspominała, jak powinnaś, nie jako sługę, ale jako — matkę swoją!

Jadwiga zerwała się przerażona; sądząc, że Tekla bredzi w gorączce, chciała obudzić Zuzię, ale rąk z uścisku wydobyć nie mogła.

— Co ty mówisz, Teklo? tyś nieprzytomna? puść mnie! — mówiła nawpół z płaczem.

Ale chora silniej jeszcze ścisnęła jej rękę.

— Przytomną jestem i wiem, co mówię — ty jesteś moją córką, musiałam ci o tem powiedzieć. Urodziłaś się uboga, prostaczką, mnie zawdzięczasz dzisiaj swój rozum i majątek. A ja chcę za to, żebyś mię matką nazwała, żebyś mi, jak matce, oczy do trumny zamknęła.

— To nieprawda! — krzyknęła Jadwiga — ja temu nigdy nie uwierzę.

— Nie wierzysz, boś panią być nawykła, ale wiedz, że nie z panów pochodzisz, jesteś córką prostego robotnika i biednej praczki, a ja cię panią uczyniłam.

W głosie jej brzmiała taka siła, taka pewność siebie, taka burza uczuć najsprzeczniejszych, że Jadwiga, drżąc, jak listek, zaczęła pojmować, iż to chyba prawda być musi, a jeśli tak, ach! jakże straszna to prawda! W oczach jej pociemniało, myśli mieszać się poczęły, zabrawszy jednak wszystkie siły, próbowała jeszcze zaprzeczyć, ale na to Tekla zaprzysięgła na zbawienie swej duszy, że prawdę mówi, i korzystając z milczenia Jadwigi, historię jej swego postępu opowiedziała.

— Przybyłaś na świat we dwa tygodnie po śmierci twego ojca. Znajdowałam się wówczas w położeniu bardzo ciężkiem, bez żadnych środków do życia, bo ostatni grosz z domu wyciągnęła choroba i pogrzeb męża. Miałas zaledwie dziesięć dni, kiedy zaczęto szukać po okolicy mamki do tutejszego dworu. Tam także przybyła córka, a młoda małżonka p. Salińskiego zasłabła bardzo ciężko. Zmuszona nędzą, przyjęłam to miejsce i zgodziłam się ciebie oddać do kobiety na wieś na wychowanie. Dobrze mi tam było, miałam wszelkie wygody, ale strasznie za swym dzieckiem tęskniłam. Ni dnia, ni nocy nie miałam spokoju, a dziecko pańskie znienawidziłam dlatego, że przez nie ja się z tobą rozstać musiałam. Z zazdrością patrzyłam, że ono opływa we wszystko; ma przed sobą szczęście i dostatek, a ty

na obcej zostajesz opiece, chowasz się do pracy i biedy. Dlaczegoż nie miałyby być inaczej? dlaczego choć jedno pańskie dziecko nie miałyby zakosztować chłopskiej doli? a ty, piękniejsza od tego wychuchanego paniątka, nie mogłaśbyś wyrosnąć na panią?

Jednego wieczoru karbowy przyniósł małą książeczkę, od jakiegoś podróżnego otrzymaną, i począł z niej czytać, jak to niesprawiedliwie się dzieje, że jedni na świecie są szczęśliwi i bogaci, a drudzy pogardzeni i biedni, że czas temu koniec położyć, bo dobra wszelkie wspólne być powinny... Dużo tam jeszcze różnych było rzeczy w tej książce, a wszystko mi się bardzo podobało, bo i ja tak samo myślałam! To mi dodało odwagi do śmiałego kroku, do zamiany, która się jaknajpomyślniej powiodła!

Po dwóch tygodniach pani umarła, pan popadł w straszną rozpacz i mało życia nie postradał, w domu całym okropne powstało zamieszanie — mogłam więc z łatwością dokonać swego zamiaru. Przy pomocy ogrodniczki, z którą zawsze żyłyśmy w przyjaźni, zamieniłam dziecko: tamto oddałam, a ciebie w mięciuchne ubrawszy koszulki, do wygodnej kołyski położyłam. Oj! wtedy cieszyłam się dopiero i używałam dostatku, i niczy mi już nie brakowało do szczęścia, gdyby nie wyrzuty sumienia. Ach! to sumienie nie dawało mi spokoju, choć przecie tamtej dziewczynce krzywdy nie zrobiłam.

— Ach! jakaż to straszna zbrodnia! — jęknęła boleśnie Jadwiga. — I nikt się nie poznał na tej zamianie?

Cicho wymówiła ostatnie słowa, chora je jednak usłyszała i uśmiechnęła się smutnie.

— Dziś dopiero zaczęłam pojmować, że nie powinna być tak czynić, ale wówczas zdawało mi się, że dokonałam wielkiego dzieła.. Wmówiłam w siebie, że



to nic złego, że każda na mojem miejscu tak samo postąpiłaby, skoro zdarzała się sposobność, gdyż nikt się dzieckiem, prócz mnie, nie opiekował. Wszyscy byli zajęci chorą panią, a troska o dziecko na tem się kończyła, że codziennie proszono mnie, abym o dziecku pamiętała. Oj! pamiętałam ci ja dobrze, czuwałam we dnie i w nocy, ale... nie było to już pańskie dziecko. Nikt tego nie poznał, bo i któż miał poznać? Pan ledwie parę razy widział swą córeczkę, a nazbyt był swą boleścią zajęty, aby na nią zwracać pilniejszą uwagę; pani już nie żyła, pani Milecka dopiero w kilka tygodni przyjechała, służba była od dziecka zdaleka — wszystko zatem dobrze poszło. Ogrodniczka Błażejowa, by mnie od kłopotu uwolnić, dziecko pańskie pocziwym ludziom podrzuciła, a oni ją za córkę przyjęli i dobrze pono wychowali...

Jadwiga porwała się z miejsca.

— Więc tamta żyje? Tamta, prawdziwa córka dziedzica, której się tu miejsce należy!... O, ja nieszczęśliwa!...

— Uspokój się, czyś zmysły straciła! Ty tu będziesz panią po dawnemu, boś ty rozumna, piękna, wypieszczona, a tamta prosta wieśniaczka; ciebie tu pokochali, a jej nie znają zupełnie...

— Ale ona ma prawo do wszystkiego. O! czemuż nie umarłam pierwej, nim się takiej hańby i niedoli doczekałam!

— Niewdzięcznico! i ty śmiesz to mówić? Ja dla ciebie zaprzedałam swą wolność, swoje życie, swoje sumienie; znosiłam wszelkie przykrości i upokorzenia, byleby mnie od ciebie nie oddalono; wyrzekłam się własnej pociechy, byleś ty miała szczęście i majątek. Nie raz dziwna trwoga i niepokój szarpały mi piersi — i to znosiłam ~~jedną~~ dla ciebie, bo ty byłaś moim skarbem

i moją radością. A teraz, gdy doczekałam chwili, że mogę ci odsłonić całą prawdę, ty mi jeszcze czynisz wyrzuty! Lepiejżeby ci było, gdybyś się marnowała na świecie w pracy ciężkiej i niedostatku?

— Jakbym nawykła do tego, byłabym stokroć szczęśliwsza, niż teraz, kiedy mi wszystko i wszystkich stracić przyjdzie. Ach! jaką ty nam okropną krzywdę wyrządziłaś!

Zakryła twarz rękami, w niemej boleści nie mogąc nawet łzy uronić. Głucha rozpacz opanowała biedne jej serce, co naraz wszystko straciło na ziemi. Ach! ona nie ma już ojca, nie ma rodzinnego domu... nic nie ma, a z matką, o której się dowiaduje, taka straszna przepaść ją dzieli! Tekla również w nadziejach swych zawiedziona, ukryła twarz w dłonie i gwałtownym łkaniem wybuchnęła.

— Na całe życie — mówiła wśród płaczu — wyrzekłam się swych praw do ciebie, wyrzekłam słodkiego imienia matki; w ostatniej jednak chwili zapragnęłam, byś się dowiedziała, czem byłam dla ciebie prawdziwie, zapragnęłam, abyś mię matką nazwała i okazała mi wdzięczność dobrej córki — dlatego wyjawiałam ci tajemnicę...

— I zburzyłaś nią szczęście całego mego życia — przerwała Jadwiga. — Ach! ja cię tylko nienawidzieć mogę, bo odtąd za twą winę pokutować jestem zmuszona...

Jej natura szlachetna i prawa wzdygała się na taką niegodziwość, gniew i pogarda dla tej kobiety miały biednem jej sercem, ale prędko się upamiętała. Objęła myślą i odczuła cały ogrom miłości tej nieszczęśliwej matki i zrozumiała, że jej zły postępek wypłynął nie tyle z przewrotności, co z zaślepienia, ze złych poduszczeń, z książki niegodziwej, z pragnienia złe pojętego

szczęścia dla swego dziecka. Była ona więc nie tylko winna, ale i nieszczęśliwą zarazem, była przytem jej matka, więc nie ma prawa jej potępiać, owszem nad nią ulitować się powinna.

Zebrawszy wszystkie siły, podniosła się z krzesła i kładąc rękę na ramieniu Tekli, rzekła głosem poważnym, uroczystym:

— Matko! niech ci Bóg przebaczy.

Ale wzruszenie nadmierne wyczerpało jej siły, zachwiała się i padła bez przytomności na ziemię. Łoskot upadku i krzyk Tekli zbudziły śpiącą Zuzię, porwała się, a widząc panienkę zemdloną, skoczyła po kucharke. Przy jej pomocy przeniosła Jadwigę do sypialnego pokoju, gdzie ją ledwie zdołano przywrócić do życia. Obudzona pani Milecka, dowiedziawszy się, co zaszło, zalała rękę z rozpaczą, zrozumiała bowiem, że Jadwiga wie już o wszystkim, że daremnie starała się ją od tego powstrzymać, a upór Tekli co do wyjawienia jej prawdy, przełamać i skłonić ją do milczenia. Inaczej się stało; teraz i ojciec z kolei dowiedzieć się musi, a jaki to straszny cios dla niego! Żeby choć można jego rzeczywistą córkę odnaleźć, powetowanoby jej uczynioną krzywdę, i obie jak dwie siostry, dalejby żyć mogły. Ale czy ją znajdują? i gdzie? o tem tylko stara Błażejowa powiedzieć coś może.

Temi myślami zajęta pani Krystyna spędziła noc przy łóżku Jadwigi, która w silnej gorączce zrywała się i majaczyła. Skoro świt posłano po doktora do Jadwigi, a po księdza do Tekli, która po doznaniem wzruszeniu i wysiłku zasłabła mocniej jeszcze.

Nazajutrz, z nastaniem wieczornego zmroku zaczęły żałobne dzwony z stojącego opodal kościołka, obwieszczając zgon biednej Tekli, która już córki u łóża swego więcej nie zobaczyła, gdyż ta leżała w swym po-

koju, ciężką złożona chorobą. Skruszona i żałująca za swe winy grzesznica, schodziła z tego świata z nadzieją uzyskania miłosierdzia Bożego, na mocy otrzymanego na ziemi przebaczenia. Dopiero w ostatniej chwili poznała, jak wielkiej dopuściła się krzywdy przez chciwość cudzego szczęścia i majątku, z którego jej dziecko może teraz nawet korzystać nie będzie mogło. Nagłe zaśłabnięcie Jadwigi wielką też jej przyniosło żalność i zgryzotę, którą zniosła z poddaniem się woli Bożej, przyjmując jako karę za swe winy.

Trzeciego dnia na pogrzeb Tekli zebrała się licznie służba dworska i okoliczni wieśniacy. Pochowano ją z wielkiem nabożeństwem, bo państwo nie żalowali kosztu, choć sami tylko chwilowo mogli być obecni przy obrzędzie pogrzebowym, gdyż nie odstępowali od łóżka chorej Jadwigi. Po pogrzebie wyprawiono zwykłą stypę we dworze, na której nie żalowano jada, ni napoju. Ucztowali tam długo za spokój duszy nieboszczki, podając sobie z cicha wiadomość o dziwnem zaiściu z panienką, która z niewiadomej przyczyny przy łóżku Tekli zemdlawszy, rozchorowała się śmiertelnie i straszego państwu narobiła zmartwienia. Czyniono stąd różne przypuszczenia, nikt jednak na ślad prawdy natrafić nie zdołał.

ROZDZIAŁ V.

Wesele.

Gdy w Kalinowej Woli smutnie dni przy łożu chorej upływały i z tego powodu w całym dworze panował smutek i zamieszanie — w Zaciszu nadszedł zdawna wyglądany dzień wesela we wsi. Odświętnie i jakoś uro-

czyście było tam już od wczesnego ranka; podwórza umiecione i piaskiem wysypane, drzwi uchylone wszędzie, jakby gości oczekiwały, w oknach pełno kwiatów, a na płotach dzieci, ciekawie czegoś wyglądające. W polu dziś pusto, każdy krząta się przy domu jedynie, nawet pastuszkowie, zmuszeni przebywać na pastwisku, daleko trzód nie odganiałi, aby wioski z oczu nie utracić. I nie dziw, wesele wszystkich nęci i zajmuje, a tu jeszcze wesele u zamożnego gospodarza, co znany jest w okolicy ze szczodrej gościnności, co sam się zabawić i drugich rozweselić potrafi. Od dwóch tygodni o niczem we wsi nie mówiono, tylko o tem weselu, a dziś już od rana wszyscy pomocy i poczesani starannie, przybrawszy się w lepsze odzienie, wyglądają, rychło kapela zagra im na „dzień dobry“ i wesele we wsi ogłosi.

Już słońce znacznie podniosło się w górę, gdy siedząca na płocie dziatwa radosną wrzawą znać dała, że kapela swój obchód rozpoczyna. Rzeczywiście zadzwieczyły i rozeszły się daleko echa wesołej przygrywki. Zwiastującej początek wesela. Trzej muzykanci, jeden ze skrzypkami, drugi z klarnetem, a trzeci z bębenkiem, szli zwolna przez wieś, zatrzymując się przy każdym podwórku, przed każdym domem, przygrywając tak chucnie i ochocz, że młodym aż nogi skakały. Prawie z każdego domu wychodził gospodarz lub gospodyni, zapraszając muzykantów na skromny poczęstunek. oni jednak wszystkim odmawiali, tłumacząc się, że nim wieś obejdą, to i tak zejdzie dość czasu, a tu trzeba panie młodej zagrać przy „wianeczku“. Szli tedy dalej i dalej, aż stanęli przed chatą Wojciecha. Tu zwykle bywało czysto i schludnie, ale dziś wyjątkowo chata była przystrojona i wyświeżona. To też niewiadomo, czy otwarte okienka, pełne kwitnących doniczek, czy wyglądająca z poza nich uśmiechnięta twarzyczka Stefci

znęciła muzykantów, dość, że ozwał się jeden do drugiego:

— Już nogi bołą, tyleśmy się nachodzili, chodźta, odpocznimy tu trochę.

Weszli do niskiej izdebki, mile przez gospodarza powitani. Wypili po szklance piwa, chlebem i serem zakąsili, na podziękowanie jakąś szaloną zagrali poleczkę i, pokłoniwszy się rodzicom i dziewczynie, odeszli, wyrażając nadzieję, że się wkrótce na weselu zobaczą. A główny ygrajek, Antoni Kopera, chłopak niebiedny, a zuch, jakich mało, z sąsiedniej wioski przybyły, ciągle ukradkiem na Stefkę spoglądał, a tak bacznie, jakby się w obraz jaki wpatrywał.

— Ot, to mi dziewczyna, jak róża, jak krew z mlekiem — odezwał się do towarzyszy, gdy wyszli za wrota. — Pokazywali mi ją zdaleka, jakem tylko z wojska powrócił, ale wtedy nie zmiarkowałem dobrze jej urody. Dziś to już wiem, że drugiej takiej trudno znaleźć.

— Żeń się, bratku, kiedy ci się podobała — żartował jeden z towarzyszy. — Stary Wojciech pewnie nie byłby od tego.

— A kto go wie — dorzucił trzeci — on tak patrzy na nią, że mu się może organisty, albo pisarza za zięcia zechce.

— Oho, ona nie dla pisarza, ani dla żadnego panka, nie damy jej ze wsi i basta.

Nie dla organisty i nie dla pisarza.

Jest nasza dziewczucha, oj! dana!

Córka gospodarza, toć dla gospodarza.

Nie puścim jej z wioski dla pana.

Zaśpiewał Antek, pobrząkując na skrzypcach.

Tak rozmawiając weszli na podwórze domu, gdzie

się wesele odprawiało, a za nimi pojedynczo i gromadkami starzy i młodzi z różnych stron ściągać się poczęli.

A do chaty Wojciechów, zaraz po wyjściu muzykantów, wpadł młody chłopak wysmukły, jak topola, rzeźki i rumiany, z miną pełną fantazji i z iskrami zapału w ciemnych oczach.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł wchodząc i grzecznie pokłonił się Wojciechom.

— Na wieki wieków — odpowiedzieli oboje starzy, bo Stefka schroniła się do alkierza.

— A to co? jeszcze nie na weselu? — zagadnął Kostrzewa i mile spojrzał na chłopaka, bo to był Franek Janiuk, najporządniejszy i najbogatszy we wsi kawaler, który od dzieciństwa Stefkę braterskim uczuciem przyjaźni obdarzał, a teraz gdy podrosła jeszcze większe okazywał jej względy, na co ona również nie była obojętną.

To też na zapytanie, rozśmiał się wesoło Franek i rozglądając się ze zdziwieniem po izbie, że Stefki w niej nie było, odpowiedział:

— Na mnie jeszcze dojść czasu, niech tam się inni gromadzą. Ale gdzież jest wasza córka, gospodarzu? miałem do niej prośbę i interes.

— Znajdzie się i dziewczyna, mówcie czego od niej chcecie?

— Przychodzę po obietnicę, że będzie moją druchną na weselu, że na moim wozie do kościoła pojedzie, a w tańcu przed innymi da mi pierwszeństwo. Ja jej za to przyniosłem podarek...

Wyjął starannie w chustkę owinięte pudełko blaszane, otworzywszy je, ukazał patrzącym dwa sznury pięknych, dużych, jak borówki, koralu. Na ten widok okrzyk zachwytu wybiegł z piersi Wojciechowej, ki-

wając głową, popatrzyła na koralu, potem pełne dumy i radości spojrzenie z mężem zamieniwszy, córkę przyzywać poczęła z alkierza:

— Chodźże, Stefcu, co żywo, patrz. jaki to kosztowny podarek przynosi ci pan Franciszek.

— Frankiem mnie nazywajcie, matko, przerwał jej chłopak, do nóg się kłaniając, bo ja waszym synem być pragnę. Waszą córkę szczerze miłuję i z nią się żenić zamyślam, przeto mi jej nie brońcie.

— Bronić ci jej nie myślimy — odpowiedział ojciec — bo lepszego chłopca niema w okolicy, ale nasza córka dla was uboga, przeto i rodzice twoi nie zgodzą się na to małżeństwo i ludzie dziwić się będą, że się tak biednie żenicie.

— Ech! co mnie tam ludzie obchodzą, niech mówią co chcą, a rodzice nie będą mi się sprzeciwiać, przeto możecie pozwolić, aby się Stefcia ze mną na weselu zabawiła, bo nas ludzie nie obchodzą. Niechże teraz przyjmie podarek i ustroi się na wesele; każdy z tego pozna, że moi rodzice są jej radzi, kiedy te koralu oddać jej pozwolili...

— Niech ci Bóg za dobre serce błogosławi — odpowiedziała Wojciechowa i znowu na córkę wołać poczęła.

Wysłała tedy Stefka z alkierza, zarumieniony się po uszy, jak róża, albo kalina, i miłym słowem Franka powitała, a on jej złożył w ręce przyniesiony podarek. Oczy jej radością zajaśniały na widok koralu, nie wypadało jej jednak przyjmować odrazu. Wzbraniała się też i wymawiała, w końcu dopiero uległa prośbom młodzieńca i przyjąwszy koralu, zaraz je zawiesiła na swej szyi, tak delikatnej i białej, że się od śnieżnej batystowej koszuli nie różniła,

— Dziękuję ci, Franku, — powiedziała wesoło, zwracając ku niemu piękne swe oczy.

Uśmiechnął się, z zadowoleniem na nią spoglądając i rzekł serdecznie:

— Noś je zawsze i nie zdejmuj z szyi, Stefuś moja, niech ci te korale szczęście przyniosą.

Pożegnał wszystkich i wyszedł przeprowadzony wzrokiem dziewczyny, której naraz smutno się jakoś i ciężko na sercu zrobiło, jakby przecucie czegoś złego, jakby ją lęk jakiś opanował. Odrzuciła prędko smutne myśli, bo czas się było wybierać na wesele, w duszy jej jednak dziwna tęsknota i dziwny żal jakiś pozostał. Jakby to miał być ostatni dzień jej szczęścia, szczęścia cichego w domu rodziców, pod promieniami, budzącego się w sercu, czystego, a wielkiego uczucia do tego chłopaka.

W wesele było co się zowie — huczne, gwarne i su-te; zjazd liczny gości, zabawa ochocza, przyjęcie smaczne i obfite, a gościnność szczerą. Gdy Wojciechowie z córką przybyli, już na podwórzu pełno było bryczek i koni, sień i izba zatłoczona kompletnie, ruch i ożywienie w każdym zakątku. Wzdłuż ścian długie stoły zastawione były talerzami z mięsiwem, masłem i serem, obok stosów nakrajanego chleba i placka. Na głównym miejscu za stołem siedzieli państwo młodzi, dalej po obu stronach najpoważniejsi z gości, a kto się nie pomieścił, stać musiał razem z młodzieżą, środek izby zajmująca. Wojciechowie widząc, że przyszli trochę zapóźno, bo już się obrzęd błogosławieństwa nowożeńców rozpoczynał, już jeden ze swatów prawił zwykłą w takich razach orację, nazwaną „oddawaniem wianka“, a młodzież tłoczyła się do starszej druchny po weselne, mirtiem ozdobione, kokardki, — nie cisnęły się do wnętrza, ale pod-

szedłszy do otwartego okna, przyglądali się z boku biesiadnikom, witając tych, co bliżej siedzieli.

Franek odrazu dostrzegł Stefkę i mało mu serce do niej nie wyskoczyło, ale trudno, z ciżby wydostać się nie było podobna. Należało tymczasem cisnąć się wraz z innymi do Kasi softysówny, która, jako starsza druchna, przypinała kokardy, spoglądając przytem z miną triumfującą na inne dziewczęta, które, jak sądziła, musiały jej zazdrościć tego zaszczytu. Myliła się jednak w przypuszczeniu, gdyż szczęścia do młodzieży i wogóle do przyjaźni ludzkiej żadna z rówieśnic jej nie zazdrościła, bo nie miała czego zazdrościć. Nie lubiono Kasi powszechnie, była bowiem zawzięta, mściwa, skora do gniewu i obmowy; wzrok jej ponury, a uśmiech złośliwy każdego odstręczały. To też rodzice od paru lat daremnie do niej swatów czekali. Teraz, przez sąsiadów zjednawszy sobie krewnych panny młodej postarali się, że ją na druchnę starszą zaproszono. Rachowali, że przy tej okazji Kasia ładniej się pokaże i prędzej na siebie zwróci uwagę.

Nie długo jednak trwał jej triumf i pierwszeństwo przed innymi, bo zaledwie ruszono do wyjścia, każdy młodzieniec znalazł się przy swej wybranej druchnie, a Kasi pozostał z urzędu družba już poważniejszy, i co gorsza, stracony dla przyszłości, bo za tydzień miał własne obchodzić wesele. Z gniewem więc i zawiścią spojrzała na Stefkę, otoczoną gromem młodzieży, uśmiechniętą i piękniejszą, niż zwykle. Szczęście jakieś ciche promieniało w jej oczach, dodając uroku całej postaci; ożywiona, wesoła, trzepotała się, jak ptaszek, z dziwnym jakimś wdziękiem i powagą. Nie dziw więc, że oczy całej młodzieży były na nią zwrócone, każdy starał się jej swą życzliwość okazać, chociaż ona mało na te grzeczności zwracała uwagi, cała zajęta

myśla o Franku, który jako jej družba wybrany, zaraz się przy niej znalazł i na krok jej nie odstępował. Otulił chustką jej ramiona i do swego wózka prowadził, gdzie ją w gronie paru innych dziewcząt umieściwszy, wesoło popędzał konika, prześcigając inne wozy, dopóki wypadłszy hałaśliwie na gościniec, nie wyciągnięto się długim sznurem, jadąc w porządku wśród wesołyci śpiewów i gęstych tumanów kurzawy.

A kiedy po powrocie od ślubu przyjmowano państwa młodych w progu chaty z chlebem i solą, Franek stojąc przy Stefce, szepnął jej cicho:

— Patrz, Stefuś moja, tak nas niedługo starzy rodzice spotykać będą...

Rumieńcem i uśmiechem odpowiedziała na to dziewczyna, bo też i czasu na rozmowę nie było, gdyż wszyscy do izby wchodzić poczęli. Jednak te krótkie słowa usłyszała Kasia i serce zabiło w niej oburzeniem i bólem wobec utraty ostatniej nadziei, jaką się jeszcze co do małżeństwa z Frankiem ludziła, rachując na znaczny swój posag. Wrokiem nietajonej zawiści obrzuciła ich oboje i wtedy dopiero spostrzegła na szyi córki Wojciechowej piękne, bogate korale, dobrze w całej wiosce znane. Była to rodzinna spuścizna z matki na córkę przechodząca, a że Franek siostr nie miał, jego żonie przypadły z kolei te pamiątkowe korale. Był to więc podarek, wyraźnie świadczący, że rodzina nie jest przeciwna wyborowi i że Stefka za narzeczoną Franka śmiało uważać się może!

O! co wówczas się działo w duszy dziewczyny, która już oddawna niechęć i zawiść do pięknej Kostrzewianki okazywała! Zazdrość straszna poczęła ją nurtować, a brzydkie to uczucie ma to do siebie, że raz do serca wpuszczone, wzrasta w niem nieustannie i zdołne jest nieraz ludzi nawet do zbrodni doprowadzić

Chmura czarnych myśli twarz jej zasępiała, ponury błysk gniewu palił się w ciemnych oczach, nic też dziwnego, że brzydszą się jeszcze wydawała, a przy jaśniejącej pogodą i weselem wewnętrznym Stefce była jakby noc czarna wobec dnia białego.

— Kasiu! co tobie? — pytała Bronka jedna z jej przyjaciółek, odciągawszy ją cokolwiek na stronę. — Czegoś ty taka smutna? czy cię jaka przykrość spotkała?

— O! tak! — odpowiedziała Kasia łzy połykając, smutno mi dzisiaj, ale nie pora o tem mówić.

— Ja wiem — szepnęła Bronka — Stach Bujala nie odstępował od Marynki Ignacówny, prawda, że ci to dokuczyło?

— O! nie! chyba oczu nie masz, jeśliś dotąd nie spostrzegła, że Kostrzewianka wszystkim nam dziś zabawę psuje. Na nią tylko patrzy, jej nadskakują, o! spójrz, jak śmieje się w tańcu.

— A niech tańczy i śmieje się, co nam to szkodzi — tłumaczyła Bronka, nie znająca jadu zazdrości. — Dopiero zabawa się rozpoczęła, wszystkie się jeszcze utanczymy.

Jakby na stwierdzenie tych słów, w tejże chwili poproszono ją do tańca, a Kasia sama pozostała.

— Zemścić się! muszę się zemścić — myślała zaciskając pięści.

Przypomnieli sobie o niej, wnet i ona znalazła się w tanecznym kole, ale to nie rozchmurzyło jej czoła. Godzina za godziną wesoło upływały, wreszcie i Antoni Kopera, znalazłszy godnego zastępcę w muzyce wziął się po ciężkiej pracy do rozweselenia. Zaczął hulać i przytupywać, biorąc z kolei jedną po drugiej dziewczynę. Tańczyła z nim już Kasia jako starsza druchna, tańczyła Marysia, Zośka i Bronka, tylko do Stefki do-

stać się nie mógł, tak była otoczona. Wreszcie szczęśliwą upatrzawszy chwilę, stanął z nią na środku izby. Wtedy dumnie głowę w tył odrzucił, powiodł po zebranych wesołym spojrzeniem, a że miał zdolność do układania piosenek, ujmując się pod bok jedną ręką, zaśpiewał:

*Pozazdroścież że mi wszyscy,
Bo mam dziewczę, gdyby róża.
Na bok z drogi dalsi, bliscy.
Gdy mi w piersi szumi burza.
Gdy z dziewczyną idę w tan —
Grajcież skrzypki, jam dziś pan!*

Wesoło przykłaśnięto tak zręcznej piosence, a chłopak zachęcony uznaniem, obieglszy parę razy dokoła ze swą tanecznicą, znowu stanął przed muzyką i zaśpiewał z animuszem:

*Hej! dziewczyno piękna, młoda,
Spojrzyjże mi choć raz w oczy,
Bo me serce, niby woda,
Ledwie do cię nie wyskoczy.*

Stefka oblała się rumieńcem, bo wszyscy na nią patrzyli, powstał gwar wesoły. Napróżno jednak usiłowała wymknąć rękę z jego dłoni, nie puścił jej i tańcząc dalej, tak znowu śpiewał:

*Oj! nie ujdiesz mi, dziewczeczko,
Oj! nie ujdiesz, przepióreczko,
Pocoś mi na drodze stała.
Będziesz teraz tańcowała,
Ja cię proszę o to ładnie,
Kto mi wzbroni — niech przepadnie.*

— Brawo! brawo! kawalerze! zuch z waszeci, tylko nie morduj zanadto dziewczyny — ozwał się głos jakiś od proga.

Obejrzeli się wszyscy i ruch się zrobił między zebranymi. To dziedzic z Zacisza przybył z córkami i kuzynem na wesele, dotrzymując obietnicy, danej przy zaproszeniu. Dobry ten pan powszechnie był kochany, życzliwym się też okazywał sąsiadom przy każdej sposobności i rad z nimi obcował. Proszony na wesele, przybyć nie omieszkał, czym serdecznie wszystkich ucieszył. Stał on już chwilę w progu niepostrzeżony i przyglądał się malowniczej scenie. Wszyscy z nim przybyli poszli za przykładem, pozwolono więc tancerzowi dokończyć zwrotki, która Frankowi zaczynała być nie do gustu.

— Jakaż to ładna dziewczyna, wuju, — szepnął pan Wacław, kuzyn dziedzica.

— To prawdziwa dzika róża, pełna dziwnego powabu — dodał, ścigając oczyma kryjącą się między dziewczętami zapłonioną ze wstydu Stefkę.

— A cóż myślisz, kuzynku, i na wsi ładne bywają dziewczęta — odpowiedziała mu jedna z panienek, bo ojciec witał się już z gospodarzami.

— Masz słuszność — powtórzyła druga — jest to dzika róża, nieświadoma swej urody, pełna prostoty dziecinnej, ale z tem wszystkiem, nieraz powiadamy, że mogłaby być ozdobą pańskich salonów.

— No chyba, odpowiednio wychowana, bo przecież obok wdzięku, potrzebne są kobiecie zalety serca i rozumu — odrzekł młodzieniec.

— Nie brakuje jej i tego, nie jest już tak surowa, jak ci się zdaje, kuzynku. Pracowałyśmy nad nią przeszłej zimy nie bez pożytku, a jej chęć do nauki, cieka-

wość i chciwość, z jaką chwyta każdą wiadomość, każde objaśnienie, sprawiały nam prawdziwą przyjemność. Przekonywa nas to, że wiejskie dziewczęta godne są tego, by się nimi więcej zajmować, by je uczyć i usposabiać do spełnienia czekających je obowiązków. Ich stanowisko w rodzinie jest bardzo ważne, ich też wpływ może dać błogosławione owoce. Jak będziemy mieli dobre, rozumne kobiety, to i lud nasz stanie się z pewnością lepszy i rozumniejszy...

— Ho! ho! z jakim to zapałem wypowiedziałe — żartował pan Waław, nie chcąc się wdawać w poważną dysputę.

— Czyż nie mam racji?

— Najzupełniejszą — to tylko nadmienić wypada, że nie wszystkie dziewczęta będą tak zdolne i chętne jak ta, o której tyle naraz pochwał usłyszałem.

— Jest to szczególne zjawisko, niemniej jednak i inne zasługują na to, by się nimi więcej zajmować, i dla kobiet wykształconych, a mieszkających na wsi, niema wdzięczniejszego pola do pracy, jak uczyć wiejskie dziewczęta tego wszystkiego, co w ich położeniu najbardziej przydać się może.

Nie było czasu na dalszą rozmowę, bo gospodarz poprosił gości do drugiej stancji, gdzie było swobodniej nieco, i tam usadził ich przy zastawionym suto stole. Pan Waław jednak zajęty był wyłącznie myślą o pięknej wieśniaczce, i nie dziw — miał na weselu spełnić ważne polecenie: przy pomocy starej Błażejowej poznać pomiędzy wiejskimi dziewczętami ukrytą córkę pana Salińskiego, przyjrzeć się jej i donieść o wszystkim pani Mileckiej. Był on synem serdecznej jej przyjaciółki, był szczerze do niej przywiązany, wybrała go też bez wahania na to tajne poselstwo.

powierzając mu tajemnicę z zastrzeżeniem, by jeszcze o tem nikomu nie powiadał. Chciała tylko, aby się przekonał, jak wygląda ta biedna dziecina, brutalną ręką na ciężkie życie skazana, jakie nosi nazwisko i kto się nią opiekuje. Zaraz bowiem po pogrzebie Tekli, wezwała do siebie Błażejową, a ta jej pod przysięgą zeznała, że wie gdzie się dziewczeczka znajduje i może ją każdej chwili pokazać. Umówiono się tedy, że ją pokaże Waławowi.

— Czy to czasem nie ona? musiała przecie coś po przodkach znacznych odziedziczyć? Może to właśnie jest owo nieszczęsne piskle, z rodzinnego gniazda wyrzucone? Gdyby tak było, nie zdziwiłbym się wcale, że tyle w niej się zalet spotyka, możnaby jeszcze Salińskiemu powinszować córki. Braki w wychowaniu łatwoby wypełnić można choć jako tako, bo to jeszcze takie młode, ma czas na wszystko. Może próżne są obawy pani Mileckiej, może ta córka odnaleziona wstydzi im i zmartwienia nie przyniesie...

Tak myśląc, dręczony ciekawością, wszędzie wyglądał starej ogrodniczki, ale napróżno; wyprosiwszy się więc z zastołu, wyszedł do tańczących. W izbie aż wrzało, tak się ochoczo bawili. Para za parą, jakby waż, końca nie mający, kręciło się koło tańczących, Migwały jaskrawe sukienki, białe i różowe fartuszki, bujały w wirze kolorowe wstążki, mieniły się kwiaty i wianki na głowach ochoczych druchen, co wesole i rozbawione, w tańcu nie ustawały. W tem malowniczym gronie łatwo odszukać można było piękną córkę Wojciecha, różniła się bowiem od innych wzrostem, urodą i całą postawą. Kibić kształtna, wysmukła, w błękitny gorset ujęta, twarz delikatna, lekkim ozdobiona rumieńcem. Bujne włosy białem jakimś kwiecieniem

przystrojone, na szyi piękne czerwone korale — wdzięczne z niej jakieś czyniły zjawisko. Pan Wacław przyglądał się jej z uwagą i przyjemnością i utwierdzał w swem przekonaniu:

— Niech przepadnę, jeśli to nie ona... nawet podobna do nieboszczki pani Salińskiej.

Postąpił parę kroków, usiłując dotrzeć do miejsca, gdzie stała, gdy ktoś lekko pociągnął go za rękaw. Spojrzał... stała za nim Błażejowa.

— Pokaż mi ją — szepnął, nachylając się starei do ucha.

— A ot, tamta, w niebieskim gorsecie, samby ją pan poznał, bo niema drugiej podobnej. Zwyczajnie pańskie dziecko, urodne to i okazałe, aż miło popatrzeć.

Wacław nie pytał więcej, stara też znikła mu zaraz w tłumie. Przyglądał się Stefce i odetchnął swobodniej:

— Niema się czego martwić, ciocia Milecka — myślał sobie — dziewczę ładne i młode, wszystko da się jeszcze odrobić, tylko co prędzej krzywdę wyrządzoną nagrodzić jej trzeba. Ale jak ona przyjmie tę zmianę losu? czy będzie szczęśliwa w nowem otoczeniu? czy nie pożałuje wiejskiej prostoty i swobody?

Zapragnął zbliżyć się do niej, by z nią porozmawiać, odezwał się też do stojących obok gospodarzy:

— No, panowie gospodarze, pozwólcie i mnie wybrać sobie druchnę, i potańczyć u was na weselu.

— O! prosimy, bardzo prosimy — odezwały się zewsząd głosy.

Ustapiono mu z drogi, a on wprost zwrócił się do Stefki, inne wokół stojące dziewczęta pomijając.

Stefka pokraśniała i zmieszana podała mu rękę w milczeniu. Muzyka grała dzielnego oberka, zaczęli

wlować zawzięcie i tem swobodniej, że nikt więcej do tańca się nie poruszył, wszyscy tylko z przyjemnością przypatrywali się pięknej parze. Wojciechowa rosła z radości, widząc, że ich córkę panicz z pośród innych wyróżnił. Wojciech, przeciwnie, spoglądał na tańczących z chmurą niezadowolenia i smutku na czole.

— Czegoś tak osowiał? — spytała, spostrzegłszy to żona. — Widzisz, jak naszej Stefce i z panem pięknie pasuje, jakby...

— Cicho! — z piorunującym wejrzeniem odrzekł półgłosem Wojciech — ażebyś mi się z niczem nie odzywała, bo i tak się czegoś dziwnie boję.

— Ot, głupiś, boi się i boi całe życie; kto ci ją teraz zabierze, kiedyś sam wychował? chyba Franek? — rozśmiała się wesoło, nie przeczuwając, że chwila roztania z wychowanką naprawdę już była bliską.

Tymczasem Wacław, upatrzawszy miejsce swobodnie pod ścianą, odszedł tam razem ze Stefką po skończonym tańcu i wciągnął ją w rozmowę, wypytyując o to i owo. A nie nudziło go widocznie jej towarzystwo, kiedy nie zwracał już uwagi ani na tańce, ani na obecnych, cały dziewczyną zajęty. Ona z początku trwożnie, a później coraz śmieiej odpowiadała na jego pytania, a odpowiadała tak trafnie i ładnie, że go w podziw nieraz wprowadziła. Postanowił też zrobić pierwszą próbę i zbadać, jakby się ona zapatrywała na tę zmianę losu, jaka ją czeka w istocie. Zapytał tedy niby od niechcenia:

— Widzę, dziewczeczko, że tu u was na wsi przyjemnie i wesoło, ale za to życie cięższe i praca mozoł-

na. Czy nigdy nie pomyślałaś o tem, że mogłoby ci być lepiej, gdybyś się w pięknym dworze wychowała?

— Nie znam życia we dworze, to i tak mi dobrze...

— A nie pragnęłabyś jakiej zmiany w twem życiu? naturalnie na lepsze.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem i jakby nie rozumiejąc dobrze pytanie, czekała dalszych objaśnień.

— Czybyś nie chciała zamienić swej doli na inną? ot tak z wiejskiej dziewczyny, stać się panną bogatą? co?

— Ej! nie, proszę pana. Mnie się zdaje, że każdemu najlepiej w tym stanie, w jakim się urodził. Ja też nie wdycham do tego, by panią zostać... bo i nie będę nią nigdy — dodała z uśmiechem.

— Ha! kto tam wie, co przyszłość pokaże? A gdyby tak się coś zmieniło — ot, na przykład przyszli wysłańcy z pięknego dworu i zaprosili cię, abyś tam zamieszkała, dali ci stroje i dostatki bez pracy i mozołu — to co?

— Eh! proszę pana, to tylko w bajkach tak się dzieje, przecie nieraz mi to panna Helena opowiadała. W życiu tego niema.

— A jakby się zdarzyło, to co?

— To jabym nie chciała, boby mi żal było tatu-sia, matusi i...

— I kogo jeszcze?

— I Franka — wyrwało się jej niechęć — i wszystkich we wsi — dodała, czując, że się niepotrzebnie wymówiła.

— Jak wyjdiesz zamaż, to i tak ich opuścisz.

— Eh! nie wyjdę daleko, ale w tej samej wsi.

— A skądże wiesz o tem?

— O! wiem, bo to już ułożone.

— Masz tobie! — pomyślał Wacław — dobrze, że się dowiedziałem, że to śpieszyć potrzeba, aby jej naprawdę zamaż nie wydano za wieśniaka.

Rozmawiał z nią jeszcze chwilę i wyniósł z tej rozmowy przekonanie, że dziewczyna kocha swój stan, wieśniaczy, swoją wioskę, nawet tę pracę ciężką w jakiej wzrastała, że kocha tych co ją wychowali i nie wie wcale, iż nie są jej rodzicami. Powziął dla niej szacunek, jaki zwykle budzi się w sercu na widok cnoty i uczuć szlachejnych, i myślał z pewną obawą, co zrobi z niej życie w nowych warunkach, czy ją zadowolili i uszczęśliwi, czy przeciwnie, nie stanie się dla niej pasmem cierpień i goryczy jakich tu nie znała?

A Stefka po jego odejściu zamyśliła się jakoś, brzmiały jej w uszach wyrzeczone przezeń słowa: „a gdyby tak się zmieniło? gdyby przyszli wysłańcy z pięknego dworu...” Wiedziała, że tak nie będzie, niemniej jednak słowa te dziwnie ją uderzały. Coraz to do nich wracała, a kiedy rano, po skończonej zabawie upadła zmęczona na łóżko w ubogim swym alkierzyku, śniły się jej piękne pokoje, bogate suknie, wesołe twarze jakichś dostojnych osób... i śniła o tem w marzeniu co wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, niedługo miało spotkać ją na jawie.

ROZDZIAŁ VI.

Nieszcześnie.

Dzień, w którym się odprawiało wesele, był ostatnim pogodnym dniem jesieni. Zaraz nazajutrz deszcz zaczął kropić, a dni następnych tak się niemiłosiernie rozpadał, że z domu wyjść trudno było. Drogi wszyst-

kie stały się błotniste i grzaskie, na łąkach stała woda, rzeczka poza wsią, choć niewielka, ale bystra, wezbrała aż po brzegi, a ludzie biadali, że jeszcze wazwyw i kapusty nie zdążyli z pola uprzątnąć. Po tygodniu dopiero wyjaśniło się cokolwiek i większe wszędzie zapanowało ożywienie.

Tego właśnie dnia jaśniejszego Kasia sołtysówna wracała z sąsiedniej wioski, dokąd ją za jakimś wysłano interesem. Brnęła bosemi nogami po mokrej trawie, a rozmyślała o szczęściu Stefki, która już po weselu potrójnie miała swaty, a w niedzielę przysłała ma być ogłoszona jej zapowiedź z Frankiem. Cierpiała bardzo nad tem wyniesieniem się córki jeźnego z biedniejszych gospodarzy, podczas gdy ona, co tak dużo o sobie rozumiała, nie ma szczęścia do niczego. Serce jej wezbrało brzydkim uczuciem zazdrości i niechęci, z coraz większą siłą budziło się w niem pragnienie zemsty. Szukała w myśli sposobu dokuczenia jej czemkolwiek — i znalazła go nadspodziewanie prędko. Oto właśnie w chwili, gdy przez łąkę przechodziła, wyszło z lasu jakieś bydlę zablakane i z głośnym rykiem szło ku rzece, co niedaleko toczyła z szumem swe spienione wody.

— To krowa Wojciecha odłączona od bydła, to wiano Stefki — szepnęła do siebie Kasia — powlecze się to daleko, jak to pod jesień jest u bydła w zwyczaju.

I chciała zawrócić krowę, gdy nagle myśl niegodziwa przysza jej do głowy.

— Zaprowadzę ją gdzie i ukryje; niech się Stefka pomartwi, niech za nią polata, boć ona zwykle zgania dobytek. Ja się dopiero z niej śmiać będę.

I złośliwa dziewczyna, rada ze swego pomysłu, ujawszy krowę za rogi, wprowadziła ją w gęste krza-

ki nadbrzeżne, małem wzgórzem od wioski zasłonięte — i tam ją tak uwikłała, że biedne stworzenie ani się ruszyć nie mogło. Poczem zadowolona z figla (jak sądziła, niewinnego), śpiesznie podażyła do domu.

Nad wieczorem, gdy było z pola wróciło, a krowa nie przysła, mocno się zafrasowali Wojciechowie. Ona po wsi szukać poczęła, on chciał iść w pole, ale Stefka oświadczyła, że go wyreczy i sama krowę wynajdzie. Narzuciwszy tylko chustkę na głowę, bosa, z prętem wierzbowym w rękę, pobiegła na łąki po swą ulubioną czarnuchę. Daremnie jednak obiegła łąki i pola dokoła wioski, daremnie pytała każdego po drodze i nadśluchiwała, czy gdzie ryku nie usłyszy — krowy nie było ani śladu.

Zmęczona, zmartwiona, widząc, że już zmrok zapada i straszno tak samej błąkać się w pustem polu, zawróciła ku wiosce, rzewnemi zalewając się łzami. Nagle od rzeki doleciał ją ryk żałosny, przystanęła więc i oddech w piersiach zatrzymując, nadśluchiwać zaczęła. Ryk się powtórzył raz i drugi. Nie było już wątpliwości, że to się jej krowa odzywa. Skoczyła pędem do rzeki, stanęła nad brzegiem, ale niczego się dopatrzeć nie mogła. Kierując się tedy w stronę, skąd ryk pochodził, doszła wreszcie do miejsca, gdzie krowa była uwięziona. Spostrzegłszy ją, krzyknęła z radości i wyciągnęła obie ręce. Dostać się tam jednak nie było łatwo, bo rzeka wartki swój nurt zataczała około owe go wzgórza, za którem stała krowa, i należało albo obejść wzgórze dokoła, albo przejść na drugą stronę po leżącej tu wąskiej wkladce. Nie namyślając się, wybrała to ostatnie, bo nie było czasu do stracenia.

Porzuciwszy chustkę, by jej nie ciążyła, weszła śmiało na kładkę, boć nie pierwszy raz szła tedy. Nie wiedziała tylko nieboga, że kładka była spróchniała

i nadłamana. Już ktoś we wsi zwracał uwagę na grożące stąd niebezpieczeństwo, mówiono o tem na gminnem zebraniu i miano inną położyć kładkę, ale że to w lecie woda była niewielka, a każdy robotą zajęty — zaniedbano tego uczynić. I biedne dziewczę miało teraz paść ofiarą tej lekkomyślności.

Ledwie krok postąpiła, gdy gibka kładka zachwiała się pod stopami. Chciała się cofnąć, ale w tejże chwili rozległ się trzask, deska pękła — i nieszczęśliwa nagle znalazła się w chłodnej, strasznej kąpieli, gdyż woda w tem miejscu była obecnie bardzo głęboka. Krzycząc i wzywając ratunku, całą siłą poczęła pracować aby dobić do brzegu, nie mogła jednak tego dokazać. Pływać nie umiała, dna nie podobna było dosięgnąć, a fale odrzucały ją coraz dalej. Nie tracąc jeszcze nadziei i wołając wciąż o ratunek, silnie robiła rękami, ale jej krzyki i usiłowania były daremne. Bijące u brzegu źródło okazało się od niej silniejsze, a głosu nikt nie dosłyszał w pustem, omglonem polu. Jeszcze chwila strasznej, rozpaczliwej walki, a siły opuszczać ją zaczęły, głos zamarł w piersiach, w oczach się ciemno zrobiło... Woda napływała jej do uszu, ścisnęła zewsząd chłodnem, lodowatym objęciem, a szum bystrych fal nucił jej hymn pogrzebowy. Czując, że nadchodzi ostatnia jej godzina, poleciła swą duszę miłosierdziu Bożemu, wezwała pomocy Matki Bożej — i, wyczerpana, bezsilna, opuściła ręce... Jeszcze chwilę mając przy sobie przed oczyma postacie drogich osób, a ból straszny ścisnął serce, ale wnet otoczyła ją ciemność grobu, straciła przytomność. Woda otuliła ją mokrym całunem, a złowroga fala poniosła daleko, daleko...

Tymczasem na polach mrok coraz większy osiadł, gęste chmury nadciągając poczęły i zwolna zapanowała czarna, ponura noc. Wojciechowie, widząc, że Stefka

nie wraca, pełni niepokoju wybiegli za stodoły, a potem i dalej w pole. Wołano, hukano, ale nikt się nie odezwał, tylko stada wron niemiłym odpowiedziały krakaniem, tylko puszczyk gdzieś zakrzyczał w oddali. Okropną trwogą przejęci, wrócili z placem do domu, aby wezwać ludzi na pomoc w poszukiwaniu. Zrobił się alarm we wsi, ten i ów wszedł na konia, inni pieszo, z latarniami w rękę, pośpieszyli w różne strony. Na czele poszukujących stał Franek, drżący z przerażenia i niepokoju o los ukochanej dziewczyny. Z bijącym sercem puścił się w stronę lasu, a obszukawszy tam krzaki i bliższe zarośla i żadnego nie znalazłszy śladu, popędził brzegiem rzeki. Jechał tak sporą chwilę, upatrując jakiegokolwiek śladu, gdy nagle doleciał go ryk bydlęcia.

— O, mój Boże! mój Boże! to ona nadchodzi. Pewnie się daleko zapędziła za krową, a teraz goni ją do domu.

Spiął konia i pełen radości i nadziei pośpieszył w stronę, skąd ryk pochodził. Nagle w ciemnej przestrzeni posłyszał tętent koni; kilku jeźdźców zbliżało się galopem. Dojechali i wnet padło zapytanie:

— Franek, to ty?

— Ja. Znaleźliście Kostrzewiankę?

— Nie! brzmiała krótka odpowiedź.

Zwrócił konia i chciał jechać dalej, nie czekając więcej na objaśnienia, ale chłopcy powstrzymali go:

— Dokąd jedziesz?

— A no, szukać dziewczyny, słyszałem ryk krowy... ona tam być musi.

— Próżne twoje szukanie, tam jej nie znajdziesz.

— Albo to prawda, muszę odnaleźć.

Tyle było uczucia w jego głosie, że chłopcy zawahali się, czy mu odkryć straszne, przed chwilą uczynio-

ne spostrzeżenie. Ale nadjechał właśnie jeden ze starszych gospodarzy i ten zwykłym zwyczajem wieśniaków pośpieszył mu to powiedzieć.

— Oho! Franek, pewnie ty już jej na tym świecie nie zobaczysz, bo ona się utopiła w rzece.

Franek drgnął i przypadł do niego:

— Co ty mówisz? to być nie może!

— Chodź, zobacz; krowa tam stoi w krzakach, na brzegu chustka Stefki porzucona, a kładka złamana.

Na ostatnie słowa Franek chwycił się za głowę:

— O! ja nieszczęśliwy! kładka była spróchniała...

Pośpieszył na miejsce wypadku, a gdy się przekonał o słuszności spostrzeżeń sąsiadów, trudno opisać, co się z nim działo, jaka straszna burza rozpaczy i boleści rozszalała w jego sercu. Niemy, z szeroko otwartymi oczyma, z załamanymi rękami, stał na brzegu, jak martwy, dziko wpatrując się w czarną, szumiącą toń, co pochłonięła cały jego skarb, całe szczęście i życia nadzieję. Chciał się rzucić w te fale sądząc, że albo ją odnajdzie, albo zginie z nią razem, nie dopuszczono jednak do tak rozpaczliwego kroku.

Tymczasem inni wysłańcy, widząc migające z dala światła latarek i słysząc rozmowy, zgromadzili się zwolna w to miejsce. Każdy zapytywał i każdy od razu łatwo zrozumiał, co się stało. Ze wszystkich ust podniosły się słowa żalu i ubolewania, wszyscy byli szczerze tem nieszczęściem zmartwieni, tembardziej, że we wsi ogólnie Stefkę lubiono. Wobec tak niespodziewanego ciosu, wszyscy narazie głowy potracili; bezradni i smutni stali ze spuszczonej w dół oczyma, aż wreszcie jeden zapytał:

— Czyż już niema sposobu i możności ratunku? Przecie niedawno wpaść musiała, to byle tylko odna-

leźć, zdołamy ją jeszcze ocalić. Wszak mamy w książce sposoby ratowania topielców.

Na te słowa iskra nadziei zaświeciła wszystkim, poruszyli się żywo, a ktoś zawołał:

— Masz słuszność, trzeba co radzić, trzeba szukać; ale my tu nic nie mamy.

Wszczęła się krótka, ale żywa wymiana myśli, wreszcie ktoś zawyrokował:

— Walek, siadaj na koni i pędź z Frankiem do rybaków, wiesz? Oni mają łodzie i sieci, niech się zaraz wezmą do szukania, a Wojciechowie suto ich za to wynagrodzą.

— Jedźmy, ach! jedźmy — krzyknął Franek, jakby zbudzony do życia wstępującą weń otuchą — nie mamy chwili do stracenia. Całe swe mienie poświęcę, aby ją ratować.

Dosiedli koni obaj z Walkiem i popędzili do chaty rybaków, o wiorstę od Zacisza, samotnie nad rzeką stojącej. Za nimi wysłano dwóch jeszcze chłopaków, uznając za konieczne pilnować Franka i powstrzymywać w zbyt gorących jego zapędach. Ruszyli wszyscy galopem, ziemia tylko zadudniała pod kopytami — i wnet skryli się w nocnych ciemnościach. A pozostali na brzegu, smutnie kiwając głowami, rozwodzili się nad losem nieszczęsnej rodziny, której to dziewczę całym było skarbem i rozweseleniem, oraz nad okropną jej samej dola, co zerwała pasmo jej życia w chwili tej właśnie, w której szczęście najbardziej się uśmiechać zaczynało. Nie mając tu co robić dłużej, oswobodzili krowę z krępujących ją gałęzi, i zwolna, ze spuszczonej głowami powracali do wioski.

A poza stodołami, hen! w polu spotkali ich Wojciechowie, okropnie zmartwieni, dygocący z zimna i niepokoju. Dostrzegłszy zdala migocące światelko, szli ku

niemu, wtem do uszu ich doleciały przyciszone głosy i wesół ryk krowy.

— O! przecie, chyba ją odnaleźli, kiedy krowa ryczy — z westchnieniem ulgi zawołała Wojciechowa.

Wojciech nic nie odpowiedział, tylko wzrok i słuch nateżył, chcąc się przekonać, czy Stefka rzeczywiście jest z nimi. Wiekem zdała mu się chwila, zanim doszedł do wracających, a gdy już blisko, wyciągnął ku nim ręce i zapytał głosem drżącym:

— Czy Stefcia jest z wami? czyście ją odnaleźli?

Zamiast odpowiedzi, głuche milczenie zapanowało w gromadzie. Nikt nie miał odwagi być pierwszym zwiastunem złej nowiny.

— Stefciu! dziecko moje jedyne, odezwij się, gdzie jesteś! — zawołał starzec z najwyższym niepokojem.

Wtedy dopiero głos jakiś odezwał się nieśmiało:

Bądźcie dobrej myśli, sąsiedzie, Bóg was pocieszy. Myśmy jej nie znaleźli, ale Franek z Jędrzejem. Walkiem i Józkiem pojechali ją szukać i nie ustana, aż znajdą.

— Niema mojej gołąbki, niema mojej pociechy... i już nie będzie! już ja jej nie zobaczę... — jęknął Wojciech, targając i rwąc siwe włosy. — O! ja nieszczęśliwy! a trzeba mi było puszczać ją samą w pole i jeszcze pod wieczór... A niechby wszystko przepadło. byle ona żyła!... Ratuście! sąsiedzi, ratujcie! Oddam wszystko, niczego nie pożałuję, tylko mi powróćcie dziecko moje!

A Wojciechowa i mówić nie mogła z żałości, tylko głośnie zawodziła płaczem.

Sąsiedzi z żalem szczerym na wielką ich boleść patrzyli, ale niczem pocieszyć nie mogli. Starali się im

jeszcze przekładać i uspakajać, ale wszystko napróżno. Namawiano ich, by do domu wrócili, by ogrzali się cokolwiek, ale stanowczo oparli się temu, mówiąc że pójda jeszcze szukać, bo może ona gdzie w polu płacze, nogę złamała, albo gdzie wpadła i w nocy wilki zjeść ją mogą. Wtedy dopiero, uznając słusność tych przypuszczeń, sąsiedzi zmuszeni byli odkryć im straszną prawdę. Jak oni ją przyjęli, jak okropnie ta strata bolesna dla nich była — tego już opowiedzieć niepodobna.

Wychowali ją od maleńka, przywiązali się do niej, jak do własnego dziecka, a nie mając nikogo więcej na świecie, złożyli w niej całą swą miłość i całą nadzieję przyszłości. Patrzyli na nią, jak rosła zdrowa, hoża, piękna i duszą i ciałem, patrzyli z dumą i pociechą a przymioty jej dopełniały miary ich uczucia. Strzegli jej też z radością i nigdy najmniejszym słówkiem nie zdradzili się przed nikim, że ona nie jest ich córką. A przyszło to im tem łatwiej, że od lat 10 dopiero zamieszkali w Zaciszu; przedtem był on gajowym w lasach księcia, o dwie mile stąd — i nie znano ich w tej okolicy. Wojciechowa, uważając Stefkę za swą własność, w każdej modlitwie dziękowała Bogu, że ich takim skarbem obdarzył i takiej radości z tego dziecka doczekać pozwolił. Wojciech natomiast, pamiętając zawsze o tajemniczym jej pochodzeniu, z trwogą zapytywał siebie nieraz, czy mu jej nie zabiorą. Był, jak bogacz, niepewny, czy posiadany skarbem do końca życia cieszyć mu się pozwoli. Ale już lat tyle przeszło im szczęśliwie, już znajdowała się jakby u furty ostatniego swego losu, bo za trzy tygodnie miało być jej wesele; Wojciech więc marzył, że się uspokoi, będąc pewnym, że po zamażpójściu wioski tej nie opuści już przez całe życie. Aż oto grom straszny spadł tak niespodzianie i całe ich szczęście zdruzgotał, całą im

wydarł pociechę!... To też ich rozpacz i boleść straszliwa łyż wyciskały z oczu obecnych.

Zrobiło się we wsi okropne zamieszanie, nikt tej nocy w chacie nie doszedział. Jedni biegli do Wojciechów ze słowami pociechy i współczucia, drudzy, zebrani w gromadki, radzili nad nieszczęsnym wypadkiem i różne zeń wyprowadzali wnioski. Wielu uczuło wyrzut sumienia, że przez niedbalstwo zaniechali zdjąć niebezpiecznej kładki i myśleli ze strachem, że ich wraz z dziećmi mógł spotkać los podobny, bo niejedną tamtędy, dla skrócenia sobie drogi, przechodził. Dziewczęta lamentowały, gdyż wszystkim żal było Stefki serdecznie, bo wszystkie ją mniej lub więcej kochały.

Naigłówniej ze wszystkich biadała Kasia sołtysówna i najbardziej była zmartwiona. Nic to dziwnego, czuła bowiem doskonale, że ona się stała główną sprawczynią tego, co zaszło, że ona była winną śmierci biednej Stefki. Wprawdzie wklejając krowę, miała jedynie zamiar dokuczyć jej na krótko i tak straszego zakończenia złośliwego swego żartu nie spodziewała się wcale; niemniej jednak sumienie teraz, straszną jej zbrodnię zabójstwa przypisując, dręczyć okropnie poczęło. W gruncie nie była ona zła, tylko zazdrość ją zaślepiła, teraz więc niewymowny żal ją opanował, a lęk srogi wstrząsał całą istotą. Drżała na myśl, że mógł ją kto widzieć, jak krowę uczepiała, mógł o tem rozgłosić — i ona już ludziom nie będzie śmiała spojrzeć w oczy i nigdy, nigdy nie dozna już ciszy i spokoju. Wyobrażała sobie przedtem, jak ona się z nim śmiać i triumfować będzie, jak drwić z jej przestępstwa i latania po polach; teraz, gdy się stało inaczej — o! cóżby dała, gdyby ją można do życia powrócić!

Po kilku godzinach, gdy wszystko się we wsi uspakając poczęło i ona upadła na łóżko i usiłowała

zasnąć — ale daremnie. W oczach jej stała Stelka, błada okropnie, wodą ociekła i wzrok w nią taki straszny wlepiła, że krzyknęła mimowoli.

— Co ci jest? — zapytała matka z alkierza.

— Nic, nic — Stelka mi się śni, o! jaka straszna! trup! trup!

— Przeżegnaj się i śpij, to ci się zdaje; a zmów za nią wieczny odpoczynek.

Kasia na czole i piersiach położyła znak krzyża świętego, ale modlić się nie mogła jakoś i — nie śmiała. Zerwała się tylko z łóżka, upadła na kolana i serdecznym wybuchnęła płaczem. Długa upłynęła chwila, zanim się uspokoić zdołała, ale łyż ulżyły jej nieco, żal i skrucha oczyściły duszę grzechem splamioną, uczuła więc pewne ukojenie i nim świtać na dworze zaczęło — usnęła.

ROZDZIAŁ VII.

Ocalenie.

Tegoż tego wieczoru, przy ostatnich blaskach zachodzącego słońca, niewielka łódź posuwała się po bystrych falach rzeki, co od Zacisza tocząc swe wody, tu się szerzej i wspanialej rozlewała. Łódź, silnemi dłońmi dwóch przewoźników popychana, szybko mknęła z biegiem wody, a gwar wesołych osób w niej siedzących, odbijały echa nadbrzeżnych, ciemnych lasów. Osób tych było cztery: dwie młode panny, trzecia starsza pani, którą nazywano ciocią Celina, i młody mężczyzna, przydany jako obrońca kobietom, co się za rzekę do znajomych w odwiedzinę wybrały.

— Cioteczko! czegoś ty taka zadumana? — spy-

tała naraz jedna z panien, widząc, że ciotka spogląda w zamyśleniu w cichą dal, gdzie wody rzeki zdały się zlewać w jedno z ciemniejącym błękitem nieba.

— Myślę, że zaślugo u Leosiów bawiłyśmy — odpowiedziała zapytana — późno będzie, nim się do domu dostaniemy.

— Eh! to nic, mamy ciepłe ubrania, a przy karcz-mie konie czekają.

— Tak, ale matka wasza będzie niespokojna, bo nigdy wodzie nie dowierza.

— Eh! próżna obawa! wiatru niema zupełnie, a wieczór taki piękny!

— I do brzegu już niedaleko — zauważył towarzysz podróży.

Rzeczywiście do brzegu było niedaleko, lecz aby ominąć obszerną mieliźnię, co się w tem miejscu z piasków napędzonych utworzyła, sporo czasu było potrzeba. Panienki, rade z przejażdżki patrzyły z uśmiechem na stojącą im na drodze zaporę, a chcąc przyjemną chwilę o ile możliwości, wyzyskać, zwróciły się do swego towarzysza z prośbą, aby zaśpiewał...

— I owszem — odrzekł zapytany — tylko niech panie zrobią początek.

Po krótkiej sprzeczce, postanowiono zaśpiewać chórem i wnet popłynęły pa fali wdzięczne głosy dziewczęce, którym silny głos męski wtórował:

*Po swych falach szklistych, o! rodzinna rzeko,
Nieśże naszą łódkę daleko, daleko...
Bystre towej nurty wcale nas nie straszą
Boś ty przyjaciółką, tyś kochanką naszą,
Nad twą modrą falą życieśmy ujrzały,
Na twych kwietnych grzegach w dzieciństwie bujały,
A więc kochać ciebie i któż nam zabroni?*

*My się twojej chłodnej nie lękamy toni,
Płynie łódź spokojnie wód twych lśniąco drogą,
One nie zdradziły nikogo, nikogo...*

— Mylicie, się, moje drogie, — odezwała się ciotka, przerywając nagle — zdradziły one już niejednego, a i teraz kto wie, co tam płynie.

— Gdzie? gdzie? — zapytano chórem.

— Tam! — i wskazała ręką ku mieliźnie.

Wstrzymano łódkę i całe towarzystwo z ciekawością śledzić zaczęło ciemny przedmiot którego narazie rozeznaczyć nie było można.

— Ach! zawołał wreszcie jeden z przewoźników — to płynie ciało ludzkie, ot osiadło na mieliźnie.

— Prawda! prawda! — zawołali obecni z przerażeniem.

— Ratujcie, dobrzy ludzie, — poczęła prosić ciotka — może nieszczęsna ofiara niedawno porwaną została, to ją jeszcze do życia przywołać zdołamy.

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Dzielni ludzie w jednej chwili wyskoczyli z łodzi i brnąc po kolana w wodzie, rychło dostali się do piaszczystej wysypki, gdzie się czerniły bezwładne zwłoki nieszczęśliwej wód zdobyczy. Z łodzi posypały się zapytania: kto to jest? czy żyje? i t. p.

— To ciało jakiejś młodej wieśniaczki — odpowiedział jeden.

— Widać, że się niedawno utopiła — zauważył drugi.

Wszyscy w gorączkowym oczekiwaniu spoglądali na przewoźników, gdy ci dźwignęli ją na ramiona nieśli ku łodzi, którą skierowano w tę stronę i osadzono jak najbliższej. Kobiety z bijącym sercem śledziły

każde poruszenie, aż po krótkich usiłowaniach dotarli do nich i ciężar swój u nóg im złożyli.

— Ach! jaka młoda! jaka ładna! — wykrzyknęło chórem, z litością patrząc na śmiertelnie bladą twarz nieszczęśliwej.

Prędzej, prędzej do brzegu! jeszcze zdołamy ją ocalić — wołała pani Celina z najwyższym współczuciem.

Po kilku minutach wszyscy stanęli na ziemi i energicznie, a umiejętnie zabrali się do ratowania. Przez długi czas zdawało się, że wszelkie zabiegi nie przyniosą pożądanego rezultatu, w końcu jednak stosowanie sztucznego oddychania odniosło zwycięstwo — i życie powracać zaczęło.

— Chwała Bogu! żyje! żyje! — odezwała się z westchnieniem ulgi pani Celina.

— O! jakież to szczęście! — zawołały razem obie panienki.

— Dla niej naturalnie — sprzeciwiał się ich towarzysz.

— O! mylisz się pan, panie Ludwiku, uratować życie bliźniemu, to wielkie szczęście i radość prawdziwa. Wyobrażam sobie, jak się ucieszy rodzina, biedni, strapieni rodzice, a ona wdzięczna będzie, gdy do świadomości powróci!

I dobre panienki z uciechą patrzyły na bladą, jałwilną, dziewczynę, co zaledwie słabe dawała życiowe oznaki.

— Maniu! pomóż mi ją rozcierać — mówił ciotka — bo ona cała skostniała, a ty Luciu pójdz z panem Ludwikiem do Arona i postaraj się o szklankę kawy czarnej.

Spełniono polecenie, śpiesznie udając się do karczmy, stojącej w pobliżu, a przez gromadę żydów za-

mieszkałej. Wielki to był budynek, ale stary i odrapany. Mieścił pod jednym dachem zajazd i gospodę, sklepik spożywczy i restaurację dla przyjezdnych — a parę domków opodal zamieszkiwali synowie arondarza ze swymi rodzinami. Jeden był szewcem, drugi krawcem, trzeci mięsem handlował i t. d. Odbyt na wszystko był niewielki, a jednak dobrze im się działo, a choć głuche chodziły wieści, że tam jest gniazdo i przytułek złodziei, nikt jednak prawdy nie doszedł i Arona na niczem nie złapano, cieszył się więc względnie spokojem i pomyślnością.

Za chwilę nad brzegiem rzeki pojawił się wysoki, barczysty żyd z siwą brodą.

— Dobry wieczór! wielmożnej pani, a co to się stało?

— Udało nam się wyratować z wody jakąś młodą wieśniaczkę, czy można u was dostać szklankę czarnej kawy?

— Dlaczego nie? u Arona wszystkiego dostanie; jest miód i wino takie, jakiego niema w całej okolicy.

— Dobrze, dobrze, może i to się przyda, musimy rozgrzać biedaczkę.

Aron przybliżył się, popatrzył na leżącą na trawie dziewczynę i małe jego oczki zaświeciły ciekawością.

— Ny, co to się stało? co to za jedna ta dziewczyna? — zapytał.

— Nic nie wiemy, woda wyrzuciła ją na mieliznę, a że właśnie nadpłynęliśmy w tę porę, udało nam się ją wyratować.

— Oj! taka młoda i przystojna dziewczucha — i czego ona do wody skakała?

— A któż to wie, czy ona sama skoczyła? —

odrzekła z oburzeniem pani Celina — ja sędzę, że był to wypadek nieszczęśliwy, jakich nigdzie nie brakuje.

— Ny, tak — i to może być; ale co teraz wielmożne państwo z nią będą robili?

— Nie wiem jeszcze; muszę się najpierw dowiedzieć, skąd ona — trzeba ją będzie odwiedzić.

Żyd nic nie odpowiedział, gładził tylko brodę jakby się nad czem zastanawiając.

Tymczasem przyniesiono kawę. Pani Celina poczęła ostrożnie wlewać jej do ust łyżeczką ciepły płyn, który ją rozgrzać i wzmocnić powinien. Potem nachylając się, łagodnym głosem zapytała:

— Jakże się czujesz, dziewczeczko?

Zapytana podniosła wzrok na swą wybawicielkę, ale zamiast odpowiedzieć wprost na zapytanie, szepnęła cicho:

— O! mój Boże! mój Boże! więc ja żyję! więc zobaczę moich drogich rodziców...

I rozplakała się serdecznie.

— Nie płacz, dziewczeczko, podziękuj Panu Bogu za ocalenie życia i bądź dobrej myśli.

— Gdzie ja jestem? co się ze mną stało — pytała słabym głosem, uspokoiwszy się nieco.

— Jesteś w miejscu bezpiecznym, między dobrymi ludźmi, co cię z wody wydobyli i nie zostawiają bez opieki. A skąd ty jesteś i jak się nazywasz?

— Nazywam się Stefka Kostrzewianka, jestem z Zacisza.

Ny, z Zacisza, z Zacisza — ja już wiem: to dobre trzy wiorsty drogi. Ja znam tę wieś i nieraz tam byłem za handlem — mówił Aron, gładząc brodę.

— To nam będziecie za przewodnika, boć ją odwiedzić musimy.

— Ny, a po co wielmożne państwo mają się faty-

gować- Aron odwiezie do samego miejsca, mogą państwo jemu zawierzyć.

— Mógłby rzeczywiście to zrobić — zauważył pan Ludwik — bo dla nas to wielki kłopot.

— A jednak opuścić jej nie możemy, odwiedzić ją jest naszym obowiązkiem.

— Ależ to trzy wiorsty drogi, a późna godzina.

— To nic, księżyc świeci, a Aron nam drogę pokaże.

— Ale mama? Mama będzie okropnie niespokojna — dorzuciła jedna z panien.

— No i cóż, wróciłybyśmy o parę godzin później; sędzę więc, że najlepiej pchnąć konnego z zawiadomieniem, albo pan pojedzie, panie Ludwiku?

— A paniom pozwolę jechać w nocy samym i szukać nieznanej wioski? Nie, tego nie będzie.

Pani Celina zamyśliła się zakłopotana. Widząc to Żyd, pośpieszył z radą:

— Wielmożni państwo znają Arona, onby chciał każdemu usłużyć; niech mnie wolno będzie powiedzieć jedno słówko. W lesie po nocy nie dobrze jeździć, no — i kto tam wie... czasem ludzie gadają...

— Co gadają?

— Że nieraz drogę zastępują.

— Ja o tem nigdy nie słyszałam.

— Ale ja nie kłamię, na moje sumienie, ja tylko to mówię co wiem. Jaby państwu radził zatrzymać się z odwiezieniem do jutra, do dnia białego, to zawsze inaczej niż po ciemku.

— Teraz zabierać ją z sobą? To też niepodobna, tembardziej, że jest słaba i potrzebuje odpoczynku.

— Zabierać? po co zabierać? Są u nas pokoje dla podróżnych, bardzo porządne, — tam się może przespąć. Ona nie może jechać, jej trzeba spokoju i ciepłej pieczy, a tego u Arona nie brakuje.

— Pod tym względem macie słusność zupełną, ale potrzebuje ona i troskliwej opieki, bo i tak nie skończy się to pewnie bez jakiej choroby.

— Jest tu niedaleko bardzo dobra kobieta, katoliczka, jakbym ją mógł zawołać, jak wielmożne państwo pozwoli. Ona może się zaopiekować. Co państwo na to? zawołać?...

Pani Celina spojrzała po obecnych, a pan Ludwik pośpieszył odpowiedzieć:

— Niech przyjdzie.

Gdy się żyd oddalił, począł usilnie przekonywać panią Celinę, że nie mogą zrobić inaczej, jak polecić uratowaną opiece wieśniaczki, a samym powracać do domu. Kobieta dostanie kilka złotych za czuwanie, Aron za kosztą i odwiezie — i wszystko będzie dobrze. Długo wzbraniała się pani Celina i nie chciała odstąpić dziewczki, w końcu jednak ogólnym namowom; bo pan Ludwik rad był pozbyć się niespodziewanego kłopotu, panny zaś myślały ze strachem o podróży nocnej przez las i nieznane okolice. Znając Arona, nie dziwiono się bynajmniej, że tak chętnie podejmował się odstawienia dziewczyny do rodziców. Toć mu za nią sownie wynagrodzą i z radością zwrócą kosztą, jakie sobie tylko policzy. Pani Celina wiedziała dobrze o chciwości i interesowności żyda, lękała się też wyzysku, godząc się nawet pozostać przy chorej w gospodzie, aby rano odwieźć ją do rodzinnej wioski. Na to jednak przystać nie chciano, bo była wątłego zdrowia i sama potrzebowała wygody; musiała więc, choć niechętnie, ulec namowom.

Tymczasem Aron przyprowadził niemłodą wieśniaczkę, jakąś potulną i pocziwą kobiecinę, która przyrzekła nie odstąpić od chorej i służyć jej aż do czasu odwiezienia.

Umieszczono tedy Stefkę w maleńkiej stancyjce w tyle domu, napojono gorącą herbatą i polecono opiece wieśniaczki, której pani Celina wsunęła rubla w rękę, a panienki też od siebie parę białych czerdzistówek dorzuciły. Aron dostał trzy ruble z prośbą, aby pamiętać o jej wygodzie, a jak będzie w pobliżu ich wioski, aby dał im znać, co się też stało z dziewczeczką — to jeszcze zboża za swoją grzeczność dostanie.

— Niech wielmożne państwo będą spokojne — mówił ten ostatni, nisko się kłaniając odjeżdżającym. — Ja wszystko zrobię jak najlepiej i wszyscy będą kontenci.

Tymczasem sam najbardziej był kontent, bo skoro całe towarzystwo, usadowiwszy się na wielkiej bryce, ruszyło w swoją stronę, poszedł do żony, zajętej wymowianiem bułek z pieca, i rzekł, zacierając ręce:

— Słuchaj, Malke, ty się martwiłaś o suknię dla Estery, ny, teraz będziesz miała suknię za tę dziewczynę, co ją z wody wyciągnęli. Oni dali mi trzy ruble, to mało — chłopcy muszą dać 30, inaczej im nie oddam. Nie głupim zaraz odwozić; Jędrzejowa dopilnuje, aby nie zachorowała po tej zimnej kapieli, a ja rano pójdę do Zacisza i zrobię ugodę. Już ja wiem, jak sobie poradzić.

Mowy tej godna jego małżonka z nietajoną radością słuchała, a gdy skończył, odrzekła poważnie:

— Ty, Aron, jesteś bardzo mądry; ja wiem, że ty zrobisz tak, żeby nasza Estera miała porządną suknię na wesele.

— Suknia będzie, zobaczysz, Malke, — a teraz idź spać.

I zostawiając żonę w słodkim marzeniu o strojach dla córki, która przy 10-ciu synach była jedynaczką, odszedł do izby karczemnej, gdzie coraz to nowi przybawali goście. Gwar tam pońował i zwykła wiecz-

rowa pijatyka, najczęściej długo w noc się przeciągała.

Tymczasem Jędrzejowa, niespodziewanym zarobkiem ucieszona, z całą troskliwością zajęła się powierzoną jej chorą. Ułożyła ją na łóżku, dzięki staraniom pani Celiny zaopatrzona w czysto powleczone poduszki i pierzynę, otuliła ją, jak mogła najlepiej, a ubranie rozwiesiła, aby wyschło. Stefka osłabiona i wyczerpana okropnie, czując ból we wszystkich członkach, z radością przytuliła się do poduszki. Nim jednak zasnęła, podniosła oczy i serce do nieba, dziękując Bogu gorąco za cudowne ocalenie i polecając Jego miłosierdziu siebie, rodziców stroskanych i wszystkich sercu jej drogich. Nie miała siły o niczem myśleć i nad niczem się zastanawiać, żal jej tylko było, że się nie zdobyła na jakiegokolwiek podziękowanie tym, co jej życie uratowali. Spojrzała dokoła siebie, ale już nie było nikogo, tylko brudne ściany i pajęczyną opleciony pułap żydowskiej izby, migająca lampka na kominie i ława pod małym okienkiem. Westchnęła, myśląc o czystej swej izdebce, przymknęła oczy, a sen błogi skleił jej powieki, otulając marzeniem skronie dziewczęce i to biedne serduszek, które tyle dnia tego wycierpiało. Wkrótce też i dozorczyni, zgasiwszy lampkę, przysiadła przy łóżku na niskiej ławce i głowę oparłszy o poduszki, smacznie zasnęła.

ROZDZIAŁ VIII.

W szponach.

Tymczasem w karczmie hałas nie ustawał, coraz to nowi wchodzili amatorzy kieliszka i dopiero późno po północy wszystko się uciszyło, Aron jednak i teraz nie myślał o spaniu, ale za ostatnim z gości drzwi

zamknawszy, zasiadł do poufnej rozmowy z jakimś żydem, przybyłym z miasteczka, z rudym zarostem, o ponurej twarzy i chytrze patrzących oczach. Ten począł go namawiać na jakąś zyskowną wycieczkę w dniu następnym, ale arendarz potrząsnął głową przecząco:

— Nie mogę, mam pilne zajęcie.

— Jakież to? nie mógłbym wam pomóc?

— Eh! nie!... To sprawa pewnej dziewczyny, którą z wody wyciągnięto i u mnie zostawiono, abym ją jutro odwiózł do rodziców.

— Daleko?

— Do Zacisza, o trzy wiorsty stąd.

— Ojoj! to głupstwo! możesz i to i to zrobić.

— Ale, widzicie, ja chcę się wpierv z nimi zobaczyć sam, odrazu im córki nie pokażę, boby mi nic nie dali. Ja im tylko powiem, że mogę pokazać, gdzie jest, ale muszą mi dać za fatygę co dobrego.

— Aj! waj! co oni tobie dadzą! co ty od chłoparobisz! to skapy naród, za groszem aż się trzęsie.

— Muszą dać i kwita.

Rudy żyd pokiwał głową, i wreszcie zapytał:

— A młoda ta twoja dziewczucha?

— Aj, i jaka jeszcze! a do tego co za śliczności to no! Ty i u panów takiej ładnej nie zobaczysz!

Nieznamomy poruszył się żywo, oczy mu zaświeciły, jak u kota.

— Słuchaj, Aron, po co takiej na wsi siedzieć? niech idzie do miasta, a znajdzie szczęście i majątek...

Zaśmiał się drwiąco i patrzył na arendarza przenikliwie.

— Co ty mówisz? Ona nie pójdzie do miasta; już się dziś zrywała do swoich, a jutro — to jej nikt nie dotrzyma,

— I ty ją puścisz? nie skorzystasz z dobrego interesu?

— Co ty o mnie myślisz, Chaimie?... Już ja wiem, co zrobić; tak sprawę poprowadzę, że starzy za nią dobre dadzą mi pieniądze.

— A jak nie dadzą? Ty sam wiesz, że na wsi ludzie biedni, nie mają grosza w zasobie, a choć i mają, to się z nim rozstać nie lubią. Ja ci powiadam, że ty nic nie skorzystasz, Aronie.

— To nie może być! Po co ja bym się kłopotał na darmo?

— Słuchaj, ja ci lepiej poradzę — ty możesz mieć zysk lepszy, tylko tak zrób, jak ja powiem.

Aron popatrzył na niego ze zdziwieniem, a ten mówił dalej:

— Ja znam bardzo porządnego kupca, co zbiera młode dziewczęta i wysyła do Ameryki, on ci dobrze zapłaci, ty ją jemu oddaj...

Żyd porwał się z ławy — na twarzy jego odbiło się zdziwienie i przestrah:

— Co ty mówisz? albo to koń, albo krowa, żeby ją kraść i sprzedawać?...

Rudy Żyd zaśmiał się szyderczo.

— Głupi ty jesteś, Aronie! ty nie wiesz, jakie z tego zyski mieć można.

— Albo gnić w kryminale — przecież to ja państwo z Jaśminka uratowali i mnie zostawili? oni się będą o nią dowiadywać i pociągną mnie do odpowiedzialności.

— Nie bój się, wszystko można zrobić i nam obu coś się dostanie, a tak z biednego chłopca co weźmiesz?

Aron poskrobał się w głowę; zanadto chciwy był na pieniądze, aby go zysk obiecany nie miał nęcić. z drugiej znów strony czuł słuszną obawę, że u niego

dziewczyny domagać się mogą, przytem i sumienie, choć słabo, przemawiało w nim jeszcze i nie odrazu chciało przystać na czyn tak nikczemny i zbrodniczy.

Chaim z przebiegłością lisa przeniknął myśli swojego kamrata, postanowił mu tedy dać czas do namysłu.

Wstał z ławy, spojrzał na gwiazdy i rzekł ziewając:

— Jutro jeszcze o tem pogadamy, teraz idźmy spać, bo już późno...

— Dobrze — odpowiedział Aron, — powstając — ale słyszysz? coś dudni na gościńcu.

Obaj nadstawili uszu. Z oddali dolatywał coraz wyraźniejszy tentent koni.

— Ktoś pędzi i to niejeden — odezwał się Chaim — może szukają dziewczyny? Pamiętaj! ani słowa o niej, bo wszystko przepadnie.

Szybko weszli do izby, drzwi zamknęli i zgasił lampkę, kopnąc się na kominie. Spoglądając przez okno w stronę gościńca, rozpoznali wkrótce trzech jeźdźców, zbliżających się galopem. Nie dojeżdżając do karczmy, zboczyli oni nad brzeg rzeki i uważnie czegoś po ziemi szukać poczęli. Jeździli tam i z powrotem, przyglądali się i radzili widocznie, wreszcie stanęli przed karczmą. Jeden z nich podjechał bliżej, zeskoczył z konia i do okna pukać zaczął. Z wewnątrz nikt się nie odzywał, choć pukanie powtórzyło się kilkakrotnie. Wtedy drugi parobczak przypadł do drzwi i z całej siły pięścią walić począł.

— Otwieraj! żydzie, bo ci okna powybijam!

Aron trząsł się ze strachu, parobczaków było trzech, widocznie krzepkich i młodych — stawiać im opór byłoby trudno, a do karczmy puścić nie można... co począć? Na złodzieju czapka gore. Chaim odważniej-

szy otworzył okno i udając zaspanego, zapytał z wyrazem zdziwienia w głosie:

— Ny, a kto tam tłucze się po nocy i dobrym ludziom spać nie daje?

— Otwórzcie, bośmy zziębli i rozgrzać się potrzebujemy.

— My nie możemy otworzyć w nocy, nie znając ludzi.

— My nie zdaleka, z Zacisza, otwórzcie, bo mamy interes.

— Co za interes? Ja nie mogę otworzyć, ja się boję, porządni ludzie nie włóczą się po nocy. Czego panowie chcą od biednych żydków?

— Nic od was nie chcemy, jeszcze sowicie wynagrodzimy, powiedzcie tylko, czyście czego dziś przed wieczorem od rybaków nie słyszeli?

— Rybaków tu żadnych nie było.

— A są ślady nad rzeką wydeptane, widocznie łódź w tem miejscu przybijała do brzegu.

— Tak, ale to państwo z Jaśminka przeprawiali się z tamtej strony rzeki. A kogo panowie szukają?

— Dziewczyny, młodej dziewczyny, co przed wieczorem wpadła do rzeki i woda ją poniosła.

Żyd rozłożył ręce z ubolewaniem.

— Oho! to przepadła; z tej wody mało kto się uratować potrafi, a cóż dopiero dziewczyna, co pływać nie umie.

— Czasem bywają wypadki... mógłby ją kto uratować — mówił głosem drżącym ze wzruszenia, milczący dotąd trzeci jeździec. — O! gdybyście wy ją znaleźli żywą, czy umarłą, dałbym wam nagrodę, jakiejbyście tylko zażądali.

Tyle było bólu i rozpacz w jego głosie, że twardego trzeba było serca, aby się nie ulitować. Żydzi jednak

tego serca nie mieli. Aron wprawdzie trącał Chaima i coś do niego szwargotał, ale ten rzucił mu tylko groźne spojrzenie i ani myślał przyznawać się do szukanego skarbu. Chwilę jeszcze trwała rozmowa między nim, a przybyłymi, w końcu ci ostatni, pomimo obietnic i prośb nic nie wskórawszy, pojechali dalej brzegiem rzeki, pragnąc choć zwłoki nieszczęśliwej znaleźć.

A żydzi szwargotali jeszcze czas jakiś, ale już ci-cho, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchiwał, wreszcie i oni legli na posłaniu.

Zaledwie ranna jutrzienka rozproszyła cienie nocy, obudziła się Stefka ze snu ciężkiego i przetarła powieki, rozglądając się dokoła. Ponuro i smutno było w tej li-chej izdebce, cisza panowała głęboka, przerywana tylko od czasu do czasu mocnym chrapnięciem starej wieśniaczki. Dziewczynę dziwny jakiś lęk opanował, a tęsknota rwała jej myśli i uczucia do ukochanej wioski, do chaty rodziców. Ach! jacy oni muszą być przerażeni i smutni!... jak bolesną noc przepędzili! a ona, choć szczęśliwie uratowana, nie może im nawet dać znać, że żyje, ale nie wie gdzie jest i jak od nich daleko. Przed oczyma jej duszy przesuwać się zaczęły drogie postacie: zbolęły ojciec, zapłakana matka... Franek!... Boże! Boże! ileż ona im zmartwienia narobiła przez ten nieszczęśliwy wypadek! Ale teraz co za radość będzie, jak ją zobaczają! co za szczęście, kiedy się znów ujrza razem!... Nie, ona nie wytrzyma ani chwili, ani jednego momentu, musi do nich wracać natychmiast. Czuje się jeszcze osłabioną, ale to nic... wypocznie w domu, ach! byle w domu!... tam w swoim cichym, białym alkierzyku... Na myśl o tem serce silniej w piersiach jej bić poczęło, oczy zaszyły łzami radości, jednocześnie ból jakiś i strach dziwny ją opanował. Coś jej szepnęło do ucha, coś jakby przeczucie złowrogie, że nie prędko je

szcze ujrzy ściany swojej chatki, a choć ujrzy, już się niemi cieszyć nie będzie.

Usiadła na łóżku i, jak zwykła czynić każdego rana, przeżegnawszy się, krótką, ale gorącą zaniosła modlitwę do Ojca w Niebiesiech, co najłichszego ptaszka ma w swej opiece, do Matki Najświętszej, która w żadnem strapieniu nigdy jej nie opuściła. Nadzieja w Bogu nigdy nie zawodzi, to też z modlitwą wnet w duszę jej spłynęła jakaś moc i otucha, a odwaga i chęć czynu oparowały ją raptownie. Wyskoczyła cicho z pościeli i narzuciwszy na siebie niedoschle jeszcze ubranie, podeszła do okna.

Przez brudne, zakopcone szyby nie wiele zobaczyć było można, tylko wyniosłe sosny i gęste krzaki jałowcu, tuż koło domu rosnące, pokazywały, że to było w lesie.

Może u rozbójników się znajduje, o których przeszłej zimy tyle się naczytała? Znowu serce silniej w piersiach uderzyło, a przez głowę myśl jedna tylko przebiegła: uciekać! Uciekać oknem w krzaki, w las... — znajdują się przecież ludzie, co objaśnią i drogę pokażą, przy ich pomocy dostanie się do domu... Spróbowała otworzyć okno, ale było gwoździami zabite, obejrzała je uważnie, poruszając tak i owak, ale nic poradzić nie mogła. Zauważyła tylko, że dolna szybka była sztuczna, złożona z dwóch kawałków, a kawałek jeden trząsł się za lada poruszeniem, słabym tylko kitem przytrzymywany. Wyjęła go z łatwością i wsunawszy rękę za okno, namacała gwóźdź. Poczęła go tedy silnie, a ostrożnie odginać, i choć to jej z trudem przychodziło, bo gwóźdź mocno siedział, dopięła wreszcie celu. Po chwili gwóźdź ułamany leżał na piasku, z drugim już łatwiej jej poszło — i choć z palcem skaleczonym i krwią broczącym, zadowolona stanęła w otwartem

oknie. Fala czystego powietrza popłynęła z lasu, napelniając piersi balsamiczną wonią żywicy. Już teraz nie było dla niej żadnej przeszkody; wyskoczyć przez niskie okienko i puścić się w las — to sprawa jednej chwili. Ujęła ręką za okno i już, już przesadzić je miała, gdy wtem silna jakaś dłoń chwyciła ją pośpiesznie.

— A ty gdzie chcesz iść, dziewczyno? Nie leżeć to tobie w łóżku i wygrzewać się po wczorajszej kąpieli? A kiedy ci tak żadno świeżego powietrza, czemu nie wyszłaś drzwiami, ale otworzyłaś okno, którego odmykać nie wolno nikomu? Ono musi być zawsze zamknięte, bo od lasu mógłby się dostać jaki zły człowiek.

Słowa te wymówiła stara Jędrzejowa, co zbudziwszy się nagle i domyślając zamiaru dziewczyny, pośpieszyła temu przeszkodzić. Stefce opadły ręce, zawiedziona w nadziei, smutny wzrok na starą kobietę zwróciła.

— Puść mnie — szepnęła błagalnie — dopomóż mi stąd się wydostać, a moi rodzice napewno ci wynagrodzą.

— Stara spojrzała na nią ze zdumieniem:

— Więc ty naprawdę chcesz uciekać? i po co? Przecie tu ci nic nie grozi. Przrzekłam ci pilnować, nie mogę się więc zgodzić, abyś, wymknawszy się stąd, zabłąkała w lesie; byłabym za to odpowiedzialna, puścić cię zatem nie mogę. Ale nie bój się, jesteś w zajeździe, pod opieką arendarza, który dziś jeszcze odwiezie cię do domu rodziców. Tak się wczoraj umówiono.

— Ale ja bym się tam chciała dostać jak najprędzej..

— Uspokój się, będziesz tam wkrótce przecież...

Nie dokończyła, bo we drzwiach ukazała się karczmarka. Powiodła wzrokiem dokoła, zatrzymując go ze zdziwieniem na otwartem naościu oknie. Tego tu od

lat paru nikt nie uczynił, nikt tej zatechłej dziury nie przewietrzył. To też wyraz niezadowolenia pojawił się na opasłej twarzy, chciała coś powiedzieć, powstrzymała się jednak, aby dziewczyny nie zrażać, tylko zbliżając się, zapytała:

— Czemu to panna tak wcześnie wstała? Wczoraj mówiono, że trzeba po takim wypadku dłużej w łóżku poleżeć...

— Ale ja się czuję zupełnie zdrową — odpowiedziała Stefka — chciałabym jak najprędzej dostać się do swoich.

— Ojoj! cierpliwości trochę, a wszystko będzie; mój Aron się podjął, to zrobi swoje i sam pannę odwiezie.

— A prędko?

— Ny, trzeba przecie zjeść śniadanie.

— Jabym się i śniadania wyrzekła, byle jechać. Bo to widzicie, pani kupcowo, — rzekła z przymileństwem — moi rodzice są bardzo zmartwieni, myślą, że ja nie żyję; chciałabym ich coprędzej pocieszyć.

— Ja to przecież rozumiem; zatrzymywać nie będziemy, niech tylko „mój“ wstanie, bo jakiś niezdrów, więc śpi dłużej. Panna tymczasem napije się mleka. Icek konia zaprzęże i wszystko będzie dobrze.

Z rodzajem triumfu patrzyła na dziewczynę, sądząc, że ją zupełnie zadowolnić zdołała swemi obietnicami. Ta jednak wzdychając, odrzekła:

— Jabym i piechotą poszła, byleście mi drogę pokazali, a nagroda za ocalenie, nocleg i opiekę z pewnością was nie minie.

— Nu, ja się spodziewam, że od was krzywdy mieć nie będziemy, tembardziej więc samej nie możemy puścić, bo drogą nieznana iść niepodobna.

— A bardzo to daleko?

— Eh! niema się co obawiać, przed wieczorem będzie panna na miejscu.

— Ach! jak to długo! jak długo! co ja zrobię, nie-szczęśliwa? — I załamała ręce z rozpaczą.

Żydówka starała się ją uspokoić, przekonać, że inaczej być nie może; Jędrzejową wysłała po śniadanie, a sama obiecała pójść po męża i poprosić, aby się pośpieszył.

— Ja wam za pośpiech kopę jaj przyślę w podarunku, tylko jedźmy prędzej... — wołała za odchodzącą Stefka, a gdy drzwi się za nią zamknęły, podeszła znów do okna, tęsknie na las spoglądając.

Nagle stuknęła poruszona raptownie okiennica, i odgłos ciężkich kroków rozległ się pod ścianą. Dziewczyna z okrzykiem trwogi odskoczyła od okna, w którym pokazała się postać tęgiego żyda z rudą brodą. Cofnęła się do drzwi, zamierzając uciec, ale przybyły pozdrowił ją grzecznie i zapytał z wielkiem zdziwieniem.

— A czemu to się panienka tak przelekła? Ja tu przecie nie ze złą nowiną przyszedłem, ale z dobrą...

— Z jaką nowiną? Co chcecie mi powiedzieć?

— Ja słyszałem, że panna chce jechać do domu, że jej pilno... ja mogę być pomocny, niech panna ze mną pogada.

— A cóż wy dla mnie uczynić możecie? — spytała Stefka, skwapliwie się do żyda zwracając.

— No, jak panna chce, to ja ją mogę odwieźć na miejsce. Po co tak długo czekać na Arona? On stęka, że chory, on może wcale nie pojeździe, a ja mam interes w tamtą stronę, to mogę zabrać. Za parę godzin będziemy, a ja za drogo z was nie zedrę; dacie, co łaska.

Dziewczyna milczała, nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, żyd po chwili znowu zapytał:

— No i jak? będzie zgoda? to pojedziemy do Zacisza?

Na dźwięk tego słowa „Zacisze“, Stefce silniej serce w piersiach uderzyło, gotowa była wiele przenieść i przcierpieć, byle tam się dostać jak najprędzej, mimo to jednak dziwny lęk i wstręt jakiś instyktowny do tego żyda ją opanował. Zawahała się chwilę, wreszcie przewyciężając pokusę, odpowiedziała stanowczo:

— Dziękuję panu kupcowi za dobre chęci, wolę jechać z Aronem.

— Nu, to będzie czekać na Arona do nocy, a w nocy znowu strach jechać, to i do jutra rana; ale róbcie sobie, jak chcecie.

I udając mocno obrażonego, odwrócił się, jakby odejść zamierzał. Stefce znowu żal się zrobiło, zalekła się, aby nie stracić dobrej sposobności prędszego stąd wydostania się, zwróciła się więc do żyda:

— A prędko jedziecie?

— Ja zaraz mogę jechać.

— Czy jedzie kto więcej?

— Jedzie jedna dziewczyna, co się na służbę do miasta wybrała, będzie wam we dwie weselej.

Na wieść o towarzyszmie Stefce lżej się na sercu zrobiło. Jeżeli z nim już jedna jedzie, to i czegoż ona miałaby się obawiać? Otucha w nią wstąpiła, i choć ją coś dziwnie od rudego żyda odpychało, postanowił jednak przystać na propozycję.

— Dobrze, może i ja się namyślę — odpowiedziała — tymczasem szykujcie wóz do drogi.

Żyd spojrzał na nią przenikliwie, ale znać wyczytał na jej twarzy przyzwolenie, bo rzekł odchodząc:

— Niech panna będzie gotowa, bo ja się prędko uwinę.

Po jego odejściu, Stefka osunęła się na kolana i gorąco modlić się poczęła. Jakiś niepokój, obawa, a zarazem błogie uczucie radości i nadziei owładnęło całą jej istotą.

— Boże mój! Boże! daj mi szczęśliwie zobaczyć moich rodziców, Matko Boża! pod Twoją się opiekę oddaję.

I tak krótkimi słowy z wiarą i ufnością zaniósłszy swe prośby do Pana Zastępów i opiece się Najświętszej Panny poleciwszy, powstała weselsza i uspokojona, marząc tylko o rychłej podróży. W teże chwili weszła Jędrzejowa, niosąc jej kubek mleka i kromkę chleba razowego. Poczęła ją wypytывать, co to za żyd i czy może z nim jechać bezpiecznie, ale kobiecina nie знаła go i nic o nim powiedzieć nie mogła. Natomiast udzieliła jej wiadomości, że jakaś młoda dziewczucha czeka w karczmie i ma z nim jechać, i że Aronowi podobno koń zakulał, a on sam stęka jakoś okrutnie i narzeka, że chory. W końcu dodała:

— Toć te pięć wiorst do Zacisza, to ja bym was odprowadziła, ale mam w domu pilną robotę. Jazdą prędzej się dostaniecie, przytem żyd, jak to żyd, rad na każdym kroku coś zarobić, możeby mi i nie dał wam posłużyć.

Ostatecznie uradzono żeby jechać. Stefka mleko wypila, ale jeść jakoś nie mogła, za poradą więc Jędrzejowej, schowała chleb do kieszeni na drogę i jak tylko usłyszała na bruku turkot zajeżdżającego wozu, podziękowawszy kobiecie za opiekę, wyszła cpo prędzej do sieni.

Przed karczmą stał długi wóz żydowski, parą nędznych koni zaprzężony. Stare litry wielkie, ale dziurawe, wypchane były z tyłu jakimiś workami, na środku, na wąskim siedzeniu, wypłowiałym kilimem osłoniętym,

siedziała wiejska dziewczyna gruba, wełnianą chustką okryta. Koło wozu zebrała się liczna gromada żydów, głośno coś i hałaśliwie rozprawiających. Na ławie pod ścianą siedział Aron skulony, jakby mu zimno było; na grubym kiju oparł obie ręce, na rękach brodę położył, wiodąc rozmowę z dwoma obok stojącymi gospodarzami.

Zaledwie Stefka ukazała się w sieni, zwróciła się do niej kaczmarek z wymówką:

— Nu, dlaczego to panna chce jechać z tym żydem, a nie z Aronem? Aron pannę wyratował, a tamten ma zarobić? no, jak to może być?

Stefka zmieszała się, nie wiedząc na razie, co odpowiedzieć.

— Za kilka godzin jabym pannę odwiózł na miejsce i byłoby dobrze — odezwał się Aron z wyrzutem. — Z jakiej racji on ma wydzierać zarobek? kto on jest? albo go panna zna, czy co? Jemu będzie wdzięczność, a cóż on zrobił? albo to on był, jak my pannę z wody wyciągali.

— Czy wy nie znacie tego kupca, panie arendarzu? — zapytała mocno zaniepokojona Stefka.

— Czemu go nie mam znać? toć on tu często bywa za różnym handlem, tylko mnie żal, że on pannę powiezie, a ja teraz jechać nie mogę.

— Nie martwcie się, Aronie, ja za wami przemówię do rodziców, to oni wam wszystko sownie wynagrodzą. A nie dziwcie się, że jechać chcę prędzej, bo mi bardzo pilno do domu.

— Ny, jak panna chce tak koniecznie, niech już tak będzie, co ja biedny mam robić? Panna ma swój rozum i wie najlepiej, jak postąpić; ja choćbym chciał, gwałtem zatrzymać nie mogę.

— Ale ty pamiętaj, Chaimie, — mówił, zwracając się do żyda, który coś pilnie przy chomatach poprawiał — że to tylko przez tę moją chorobę skorzystałeś. Pilnuj teraz, żebyś jaknajlepiej odstawił do samego miejsca — ja się dowiem.

— Odwiozę na miejsce, nie bój się — mruknął żyd — niech panna siada, bo czasu szkoda.

— Dowiedźcie się do nas, panie arendarzu, — prosiła Stefka, sadowiąc się na brykę — ja wam nic teraz dać nie mogę za waszą grzeczność i usługę, ale jak przyjdziecie do Zacisza, to się wam odwdzięczę, zobaczycie.

Żyd uśmiechnął się z zadowoleniem i podziękował za obietnicę, między gromadą znowu szwargotać i sprzezczać się poczęto, ale Aron odezwał się z powagą:

— Cicho! sza! tak ma być, i koniec.

Ucichła zaraz wrzawa; Aron się zgodził, to już nie ma co mówić, tamten niech wiezie. Gospodarze, stojący na boku, przypatrywali się w milczeniu tej scenie, wreszcie jeden, śmiejąc się zawołał:

— No, żebym ja konia szwagrowi nie pożyczył na cały dzień, byłbym was wszystkich pogodził i tę pannę sam odwiózł; toby wam pewnie było nie do smaku? co?

— I najlepiejbyś zrobił — odparł drugi — nie mieliby się o co spierać.

Stefka tymczasem umieściła się obok siedzącej na wozie dziewczyny, wesołym wzrokiem i słowem życliwym żegnając wszystkich, przed karczmą zebranych. Rudy żyd, w towarzystwie drugiego „kupca“, zasiadł z powagą na przednim siedzeniu, ujął bat w rękę i cmoknął na chude szkapy. Wóz zaczął podskakiwać i trząść się po nierównym bruku przed karczmą, a życzenie szczęśliwej drogi biegło wślad za odjeżdżającymi, dopóki się nie wydostali na gościniec.

Dzień był pogodny i jasny, słońce przebijało się przez gęste konary drzew przydrożnych, pożółkłym liściem okrytych, ciche, omglone pola pustka zalegała i chłód jesieni, w oddali widać się rzeka, niby wstęga srebrzysta, na prawo szumiał ciemny, znacznych rozmiarów, sosnowy bór. Stefka pełna błogiej nadziei, spokojnie patrzyła na karcznię ginącą w oddali, na całą okolicę, obcą jej i nieznaną, i na drogę widniejącą przed nimi, ciesząc się, iż ta ją zbliża do ukochanych. Niestety, miało się stać przeciwnie, bo ledwie z pół wiorsty ujechali gościńcem, żyd skrzył w bok i nie zważając, że droga nierówna i pełna wyboi, popędzał biedne szkapiny, a wóz się przechylał i kołatał tak silnie, że chwilami trudno było dosiedzieć. Stefka cieszyła się, jak dziecko, wyglądając z utęsknieniem, rychło się pokażą strony jej dobrze znane. Biedaczka nie przeczuła, że oddala się coraz bardziej od wioski, do której z takim utęsknieniem i miłością całym się sercem wyrywała.

Godzina jedna i druga upłynęła, a bryka wlokła się wciąż powoli po nierównej drodze. Z lasu wyjechali na czyste pole. Tu i owdzie widniały wioski, zielone gaje, wiatraki, albo dworskie zabudowania, ale okolica ta była obcą, nieznaną zupełnie, a Zacisza ani śladu. Stefka rozglądała się w milczeniu niecierpliwie czekając końca podróży, bo ta jej się niezmiernie długą wydawała. Z niepokojem spoglądała w dal, wypatrując, rychło się ukazać znajome strony, wyniosłe drzewa, wioskę okalające, ścięta topola z ogromnym gniazdem bocianiem i białe chaty z ogródkami. Marzyła jak to na jej spotkanie wyjdą starzy kochani rodzice, jak ją będą witać, jak się radować, dziękując Bogu za ocalenie jedynaczki. Coraz to nowe, coraz to weselsze obrazy snuły się w jej wyobraźni, gorączką oczekiwania pod-

niecone. Zapatrzona przed siebie i swemi myślami zajęta, mało zwracała uwagi na swą towarzyszkę, która daremnie coraz to z nią rozmowę zawiązać usiłowała. Ta też znudzona, zaczęła rozmawiać z żydami, wypytując o różne miasta większe w kraju, a zwłaszcza o Warszawę. Na to widocznie żydzi tylko czekali, bo, jak to mówią, jeden przez drugiego, poczęli w jaskrawych, a ponętnych kolorach malować życie w mieście, jego szczęście, dostatki i bogactwa. Jak to tam łatwo otrzymać dobre miejsce, jak łatwo bogato wyjść za mąż, nic nie robić i panią zostać, co się zowie. Dziewczyna owa nieznajoma słuchała tego z wielką ciekawością i nietajonem ukontentowaniem, coraz to się o coś zapytując. Stefka, przeciwnie, mało na to zwracała uwagi, nie odzywała się wcale, choć widocznem było, że żydzi mieli wielką chęć wciągnąć i ją do rozmowy. Kiedy z kolei zaczęto opowiadać o Ameryce, to już pochwałom i zachwytom końca nie było — jednak i na to Stefka okazała się obojętną.

— Ny, cóż panna na to powiada? — zwrócił się nagle do niej z zapytaniem rudy żyd. — Pewnie panna też chciałaby choć raz w życiu te cuda i dziwy wszyskie zobaczyć?

— O! wcale nie! Ja tegom zupełnie nie ciekawa.

— Nu, jak to może być? Dziś Ameryką wszyscy się zajmują, a kto tam pojechał, nie pożałował tego.

— Ja przecie tam nie pojedę, nic mnie też nie obchodzi.

— To bardzo źle, a może kiedy wypadnie być, to przecież dobrze coś wiedzieć. Kto wie, co tam czeka w życiu, panna taka młoda i ładna, to szczęście samo przyjdzie, byle tylko ręce wyciągnąć.

— Być może, ale ja szczęście znajdę w Zaciszu: nigdzie mi na świecie lepiej być nie może, jak tam

gdzie mnie wszędy kochają, gdzie i ja kocham wszystkich i wszystko.

— Panna świata nie widziała, dlatego tak mówi, ale jak go panna pozna, to i o Zaciszu zapomni zupełnie. Stefka poruszyła się gwałtownie:

— Ja o Zaciszu nigdy nie zapomnę, nigdy! Bogactwa cudzych krajów nie nęca mnie zupełnie, a do miasta ja biedna, nieuczona dziewczyna też bym nie poszła, bobym się obawiała. Przytem i z rodzicami rozstałbym się nigdy nie zgodziła.

— Ojoj! każda panna musi opuścić rodziców, jak wychodzi zamaż; panna o tem przecie wie, to i czego mówić, że tylko w Zaciszu chce mieszkać. Prawdę mówi przysłowie: „Tam moja rodzina, gdzie dobra gozdina” — w dostatku i powodzeniu, to i za morzem dobrze będzie, ho! ho! nawet sto razy lepiej.

— Ej! co tam próżno gadać. Człowiek obowiązany kochać swoją ziemię, swój zagon i chatę, gdzie się urodził; ja też tak robię i od tego nigdy nie odstępę.

Żyd przenikliwie popatrzył jej w oczy, potem zapytał:

— A jakby inaczej wypadło? a jakby kto powiedział teraz, że panna nie wróci do Zacisza, tylko w świat pojedzie i tam będzie miała stroje, bogactwo, będzie jadła, bawiła się i nie pracowała tak ciężko, czyby to nie lepiej było? Ta panna rozumniejsza, bo jedzie do miasta na lepsze, wygodniejsze życie, a panna nie mogłaby tak samo uczynić? Jabym dopomógł i wy starał się, żeby było dobrze, bom ja rad każdemu usłużyć.

Stefka z wyrazem najwyższej trwogi spojrzała na żyda, serce silniej bić w piersiach jej poczęło, zdołała tylko wyszeptać:

— Nigdy! nigdy! ja chcę pracować, ja chcę żyć ze swymi do śmierci. Odwieźcie mnie do Zacisza, odwieźcie...

Złożyła ręce błagalne, patrząc na żyda roziskrzonym wzrokiem.

— Czego się panna zlekła? jak nie, to nie; ja tylko tak sobie mówiłem, bo ładnej dziewczyny żal na wieś, do ciężkiej roboty.

Coś jeszcze mówił, ale Stefka już nie słuchała. Oparła głowę na rękę, a z oczu jej polały się ciche, gorące łzy. Jakiś ciężar dziwny, jakby kamień straszny, piersi jej przytłoczył, jakiś strach i obawa niewytłumaczona nagle ją ogarnęły. W myśli stanęły pytania: gdzie jedzie i z kim jedzie? Żydów tych nie zna, a znajduje się w okolicy również nieznaney, kilka godzin już jest w podróży, a kresu jej jak nie widać, tak nie widać. Przecie ona nie mogła być tak daleko, czemuż dotąd nie ma Zacisza? Podejrzanie raz zbudzone w duszy, rosnać i potęgnać zaczęło, po chwili zastanowienia była przekonana, że wpadła w jakąś pułapkę, że jej grozi niebezpieczeństwo, nie pojmowała jakie, czuła je przecie instynktownie, a w uszach dzwięczały jej coraz to wyraźniej słowa: „A jakby inaczej wypadło? jakby kto powiedział, że panna nie wróci do Zacisza?” Jak się stąd wyrwać? jak wyratować?... nie widziała żadnego sposobu, na żadną pomoc nie mogła liczyć. O ucieczce nie było marzenia, bo gdzieżby schronić się zdołała, kiedy dokoła widniało czyste pole, w pobliżu ani wioski ani chaty, a na drodze ani żywego ducha, do kogoby się mogła zwrócić o ratunek. A tu już i słońce chyliło się ku zachodowi, krótki dzień jesienny był na schyłku. Gęste mgły zwisły ponad polami, mrok zwolna zapadał, wylwiałając w przestrzeni resztki dziennego światła. Trwoga coraz silniejsza opanowywała biedną

dziewczynę, w nocy bowiem każde niebezpieczeństwo stokroć groźniejszym się wydaje. Zapatrzona w ciemny błękit nieba, poczęła modlić się gorąco, wzywając stamtąd pomocy i wybawienia. To podniesienie myśli do Boga z rzewną prośbą i dziecięcą ufnością, wlało błogą otuchę w jej serce i przyniosło ten spokój rezygnacji, jakiego potrzeba do czynu, którego powodzenie zależy jedynie od roztropności i odwagi. Zrozumiała, że tu działać trzeba oględnie bardzo i ostrożnie, że najlepiej zachować się jak najspokojniej, aby uspić czujność żydów — i dopiero czekać odpowiedniej chwili. Jechała tedy w milczeniu, nie okazując niepokoju, nie dopytując się nawet, kiedy dojadą do Zacisza. Rudy żyd ciągle spoglądał na nią badawczo, jakby chcąc jej myśli przeniknąć, starał się przytem okazać troskliwość o jej zdrowie i wygodę, bo spostrzegłszy, że dziewczyna w lekkim gorsecie, bez żadnego cieplejszego ubrania drży, jak listek z zimna, wyciągnął z tyłu, z pod tłumoków jakąś olbrzymią, ciepłą burkę i skłonił ją, by się takową otuliła. Nie gniewała się o to bynajmniej, bo chłód już w dzień dokuczył jej porządnie, po zniknięciu zaś słońca, wzrastał się z każdą chwilą coraz bardziej.

Po jakimś czasie wjechali znowu w las duży i gęsty, wyniosłe konary sosen niebo już całkiem zasłoniły, ciemność zapadała coraz większa, a bryka tłukąc się po korzeniach, podskakiwać i trząść się zaczęła. Stefka łamała ręce z niemą rozpaczą, ale tego nikt nie widział. Gdyż cała okryta była burką. Towarzyszka jej snać inaczej myślała, bo nachyliwszy się do niej, poczęła zcicha opowiadać, jak to nareszcie spełnia się jej marzenia, że pojedzie do Ameryki, jak to jej ten żydek wszystko ma w drodze ułatwić i przez granicę przeprowadzić i o dobre miejsce się wystarać. Stefka zajęta

jedynie myślała o ucieczce i pragnęła namówić do takiej i swą towarzyszkę, ze zgrozą słuchała jej wyrzekań, zwłaszcza, gdy się dowiedziała, iż uciekła w tym celu od rodziny i jedzie prosto do wielkiego miasta niemieckiego Hamburga, aby stamtąd dostać się na okręt i popłynąć daleko w świat nieznaną, gdzie była pewną, że ją czeka szczęście i majątek. Zdumiona i zasmucona tem zwierzeniem, usiłowała ją przekonać, że to nie wszystko prawda, co opowiadają o Ameryce, i że samej dziewczynie żadną miarą w tak daleką podróż puszczać się nie można. Ale tamta żartowała sobie z jej obaw, nazywając je głupimi i dziecinnymi, a nawzajem Stefkę usilnie do wzięcia współudziału w tej podróży zachęcać poczęła. Stefka z oburzeniem namowy wszelkie odrzuciła, ukryła jednak przed nią zamiar wydostania się stąd za jakąbądź cenę.

Żydzi jechali w milczeniu, jeden powoził, drugi drzemał, czy udawał, że drzemie.

Nagle na zakręcie przy zbiegu dwóch dróg, bryka się zatrzymała, rudy żyd zeskoczył na ziemię i począł się niby rozglądać, chodzić w tą i ową stronę, jakby czegoś upatrując.

— A co się stało? — zapytała Stefka z niepokojem.

— Ny, teraz ja już nie wiem, gdzie jesteśmy, noc taka ciemna i zbłądziliśmy w lesie. Tu powinien być gościniec do miasta, a tu jakieś dwie drogi, bądź mądrym, którą wybrać? a tu piach okrutny w dodatku.

— Więc co będzie? co teraz pocniemy? — za pytały dziewczęta obie razem.

— Ha! musimy tu zaczekać do rana.

— Jakto, tutaj w lesie do rana? — zawołała Stefka rozpaczliwie — ależ to niepodobna.

— A co zrobić? Tłuc się po niepewnej drodze też

niepodobna, konie już i tak ustały. Jak się rozwidni, to i drogę prędzej odnajdziemy.

Widząc niepokój dziewcząt, zaczął je uspakajać, że nie grozi im w lesie żadne niebezpieczeństwo, że nikt tu od lat dawnych o wilkach, ani rozbójnikach nie słyszał, lepiej więc się zatrzymać i wypocząć, aniżeli błądzić bez celu po manowcach.

Uwaga zdawała się być słuszną i Stefka, choć z ciężkiem sercem, i tej się smutnej konieczności poddała, ciągle jednak pilnie uważając, czy się w tem nie kryje jaka zasadzka.

— Nu, my musimy najpierw co przekąsić, bo się od południa nic nie jadło i wszyscyśmy głodni porządnie, potem się panny położą na wozie i prześpią spokojnie, aby były rzeświesze do dalszej podróży, my zaś czuwać będziemy i pilnować, aby się co złego nie przytrafiło.

Mówiąc to, Chaim wyjął z pod słomy niewielki węzełek w czerwonej chustce i rozwiązawszy takowy, podał dziewczętom pół bochenka chleba razowego i dwa małe serki pachciarskie, zapraszając, aby się posiliły. Stefka, prócz kawałka chleba, co jej pozostał od śniadania, nic w ustach więcej nie miała, nie czuła przecie głodu wobec trwogi i zmartwienia, jakie ją przyniotły. Żyd jednak usilnie zachęcał i namawiał, wzięła więc kromkę chleba, ułamała sera kawałeczek, obiecując spełnić życzenie. Nie na tem się jednak skończyła gościnność żydowska, bo rozdzieliwszy jedzenie, wyjął z kieszeni dwie małe buteleczki, obejrzał je przy zapalonej zapałce i podając dziewczętom, odezwał się zachęcająco:

— Ny, jak to panny wypiją, to mnie podziękują. rarytne to wino, zarazem konieczna rozgrzewka w noc tak zimną i przejmującą.

Uśmie wzięły flaszeczki, a podczas gdy towarzyszka Stefki ochotnie swoje wino pić poczęła, ona udała tylko, że pije, i gdy żyd widząc zdała, że przechyla do ust butelkę, odszedł, by koniom założyć torby z obrokiem. zręcznym ruchem, burką się od swej sąsiadki osłoniwszy, wino pod wóz wylała. Na piasek zwolna spadające krople nie sprawiły żadnego szelestu, niczyjej nie zwróciły uwagi — i Stefka w chwilę potem, ku wielkiemu zadowoleniu żyda, oddała mu pustą buteleczkę.

— No, niech się teraz panny spać kładą — zakomenderował — jedna na jednym, druga na drugim siedzeniu; my ściagniemy sobie jeden worek na ziemię — i dosyć będzie dla nas wygodny.

Zrzucił worek z wozu, a dziewczęta potulnie spełniły jego żądanie: owinięte starannie jedna w burkę, druga w ciepłą chustkę, ułożyły się na wozie na odpoczynek. Ale Stefka o spaniu nie myślała; układała w myśli plan ucieczki, projektując, że jak wszyscy posną, zeskoczy cicho z wozu i umknie w las; wejdzie na drzewo, bo przecie umie się drapać po nich jak wieśniórka, doczeka jakoś rana — i będzie ocalona. Aby więc czujność żydów omylić, przytuliła się do posłania, okrywając głowę swą olbrzymią burką. Nie poruszała się wcale, nie drgnęła nawet, gdy się nad nią rudy żyd nachylił, widocznie dla przekonania, czy śpi rzeczywiście.

Dokoła głucha panowała cisza, tylko od czasu do czasu wiatr wstrząsał gałęziami choiny, albo ptasze w krzakach zatrzepotało, zresztą żadnego odgłosu, żadnego szmeru nie było; zda się wszystko na chwilę zamarło w naturze, albo też mocno usnęło pod okryciem ponurej, ciemnej nocy jesiennej. Stefka wsłuchiwała się w tę ciszę, prawie nie śmiejąc oddychać, rozmyślała nad swem położeniem i środkami obrony, i gorąco się nie-

dliła, polecając opiece Bożej. Nagle uszu jej doleciał cichy szepot:

— To dobrze, że panna nie śpi, ja tak chciałem, żeby panna nie spała, tylko „ona“ niech śpi najdłużej. Jesteśmy na brzegu lasu, tu zaraz jest stacja kolejowa. Ona też musi jechać, a że nie chce, to my ją prosić nie będziemy. Jak ona się tego wina napiła, to już będzie spać bez poruszenia; my ją przeniesiemy do wagonu, jako chorą — i ona sobie pojedzie. Panna rozumie? To dla jej szczęścia, bo ona głupia nic nie wie, a potem to będzie kontenta. Pannie też w towarzystwie przejdzie podróż weselej, więc niech nam panna pomoże, a jak dobrze pójdzie, to ja już za swoją fatygę nic od panny nie wezmę, jeszcze bilet kupię za własne pieniądze do Hamburga.

— Dobrze — odpowiedziała nieszczęśliwa dziewczyna, nie zastanawiając się i nie przypuszczając, że do zbrodni rękę przykładła.

— Ny, to wszystko już zrobione, jak się odezwa dzwonki — to wtedy ruch, niech panna pamięta.

Stefka, słysząc to, trzęsła się, jak w febrze, jeżeli dotąd miała jeszcze jakie złudzenia, znikły one w tej strasznej chwili. Nie zdradziła się jednak najmniejszym poruszeniem, a gwałtownych, bolesnych uderzeń serca nikt przecie nie mógł dosłyszeć. Chwila za chwilą upływała, dzwonki się nie odzywały, powoli więc ochłoneła z pierwszego wrażenia i spokojniej już myśleć poczęła o tem, co by jej czynić wypadało. Dziękowała Bogu gorąco, że zawsze wstręt mając do wszelkich trunków, teraz uniknęła zguby. A żyd wytrzymałszy ją tyle godzin bez kropli wody, o suchym kawałku chleba, był przekonany, że jego napojem uraczy się teraz z radością. I byłaby to może uczyniła, gdyby sobie nie przypomniała wyczytanego w jakiejś książce ostrzeżenia,

że od ludzi nieznajomych, niepewnych, żadnego napoju przyjmować nie należy. Teraz czując się przytomną i trzeźwą, była niemal pewną, że się zdoła obronić, bo przecież na stacji są ludzie i, wezwani, przybędą z pomocą. Wierzyła w swe powodzenie, ufała w miłosierdzie Boże, to jej dodawało siły i męstwa, a zarazem roztropności do odpowiedniego zachowania się w tak krytycznej chwili.

Nagle w powietrzu rozległ się sygnał oczekiwany, zadźwięczały dzwonki kolejowe. Chaim tego tylko wyglądał.

— Niech panna weźmie swój tłumoczek — szepnął, budząc drzemiącą dziewczynę — i niech będzie gotowa. Już słysząc dzwonki, to znak, że pociąg niedługo przyjdzie. Ja idę po bilety i przyślę tu żydka, co pomoże nam ją przenieść do wagonu.

Wyrzekłszy te słowa, szybkimi krokami podążył w poprzek drogi przez las, kierując się widocznie w stronę stacji, pośród znanych sobie manowców. Za chwilę już tylko ciężkie stąpanie słyszać było w odali, wreszcie i chrzęst poruszanych gałęzi ucichł zupełnie.

Tej chwili czekała Stefka. Westchnawszy tylko w głębi serca: „Matko Boża! ratuj mnie“, jednym śmiałym rzutem wydobyła się z ogromnej burki i jak kot zwina i zręczna, zeskoczywszy z bryki na ziemię — pobiegła w las pomiędzy zarośla i krzaki. Stało się to tak prędko, tak nieoczekiwanie, że ani żyd, ani zajęta swym tłumoczkiem dziewczyna, nie mieli czasu nawet krzyknąć, a cóż dopiero zatrzymać. Puścili się oboje w ślad za nią, ale pogoń była niełatwa. Ścigana biegła, ledwie dotykając ziemi, a strach dodawał jej siły i odwagi. To tylko było jej przeszkodą w ucieczce, że nie wiedziała, w którą kierować się stronę, że żadnej nie mogła dopatrzeć się ścieżki. Noc była ciemna, las gęsty

pod nogami ostre pnie i korzenie... nie zważała jednak na nic. Rozbijała się o drzewa, kaleczyła o gałęzie, kłuła w ostrych krzakach jałowcu, przez które przeska-kiwała, biegła jednak ze zrećznością sarny spłoszonej; od tego bowiem zależało jej życie, lub śmierć, czy też gorsza od śmierci niedola. Żyd gonił zawzięcie, kierując się odgłosem jej kroków, pod którymi szele-ściły uschłe liście, trzeszczały łamiące się drobne ga-łązki. Biegł jak opętany, również nie zważając na pnie i ostre krzaki, o które się zaczepiał i przewracał zrywając się jednak szybko i podążał, wyrzucając z piersi woła- nie ustawiczne:

— Stój! stój! co ty mnie narobiła! stój! — to znowu rozpaczliwie:

— Chaim! Chaim!

Tem wołaniem, jakby ponurym głosem puszczyka, Stefka jeszcze bardziej do pośpiechu nagłona, dobywa- jąc sił ostatnich, pędziła dalej i dalej, krążąc w ciemno- ści i gęstwinie, aż wreszcie wydostała się na brzeg lasu. Rzuciła okiem dokoła i odetchnęła swobodniej. O kilka- dziesiąt kroków widniały zabudowania stacyjne, migo- tały światła, sapał i gwizdał parowóz, a dzwonki oznaj- miały odejście pociagu. Ani chwili się nie zatrzymując, skoczyła przez zagony, przez pole, ku stacji, ale już zdyszana, zmęczona, prędko nie mogła uciekać, omdle- wała coraz bardziej i tylko z nadzwyczajnym wysiłkiem utrzymać się na nogach zdołała. Z lasu dolatywały ją odgłosy rozmów, nawoływań i przekleństw, hałas i trzask gałęzi. Żydzi tam jej jeszcze szukali, więc choć stacja opodał, zdąży przecież dobiec, zanim ją dopędzą. Ach! już i oni są na brzegu, już ją dostrzegli — i to jej znów siły dodaje. Daremne ich mozoły; wiejska dziewa, w trudach i pracy zahartowana, da już sobie radę. Za- sapali się, spocili najokropniej, gniew i oburzenie wzbie-

ra w nich najstraszliwiej, jak czarne widma w swych długich chałatach, daremnie już podążają za lotną dziewczyną, co boso, w krótkiej spódniczce i obcisłym gorseciku sadzi przez pole i już dobiega do stacji. A oto słysząc ostatni dzwonek i świst lokomotywy, pociąg zasyczał, zasapał potężnie i siłą pary popchnięty, ruszył w dal ciemną.

— Aj! waj! co ona narobiła! co za nieszczęście! bilety zmarnowane! aj! waj! Nu, ja jej dam, niech tylko dopędzę, już ona drugi raz nie spróbuje uciekać. Ona mnie popamięta...

To głos Chaima, co rozwścieczony pędzi za swą ofiarą. Słyszy te słowa biedna dziewczyna i pod ich brzmieniem, jakby pod wzrokiem bazyliuszka, odstepują ją siły, paraliżują ruchy, a żydzi coraz się bardziej przybliżają. Już są niedaleko, rudy Chaim pędzi na przedzie z potężnym kijem w rękę... Ona drży i omdle- wa, nie bacząc, że już jest na stacji, a więc może być spokojniejszą. Widzi nadbiegających żydów i kij wznie- siony do góry — i w najwyższej trwodze i przerażeniu pada na ostrym żwirze, zdoławszy tylko zawołać:

— Ratujcie! litości! litości!

Upadła, w oczach jej pociemniało, żydzi ją dopę- dzili. Ale gdy jeden z nich nagle zamierzył się kijem, aby ją uderzyć, barczysta jakaś postać chwyciła go za rękę i krzyknęła groźnie:

— Stój! ani kroku dalej!

— Aj! waj! puszczajcie, to wariatka; my ją mieli odwieźć do szpitala, a ona nam się wyrwała — aj waj! z tego może być nieszczęście.

— Precz, nie przystapisz do niej, dopóki się nie dowiemy, co to za jedna.

Był to robotnik stacyjny, po przejściu pociagu wra- cający do domu, który widząc upadającą dziewczynę

pośpieszył jej na ratunek. Wszczęła się sprzeczka między nim a żydem, który jeszcze nie chciał ustąpić, choć czuł, że już wszystko stracone.

— Co to jest? co się stało? — zabrzmiał nagle silny, młody, męski głos.

— Nic nie wiem, proszę pana, jakaś dziewczyna uciekała przed żydami i tu upadła, wzywając ratunku. Żydzi powiadają, że to warjatka, my przecież to sprawdzić musimy.

— Warjatka na moje sumienie; ale niech mnie ją panowie oddadzą, to się uspokoi.

— Ani mi się waży o nią upominać, dopóki nie dowiedziesz prawdy słów swoich. Ta sprawa bardzo podejrzana mi się wydaje, ale w tej chwili nie czas na rozprawę.

Pochylił się nad dziewczyną, a widząc, że się nie porusza, krzyknął na stróża:

— Zaświeć latarką! — ona zemdląca.

Stróż obrócił trzymaną w rękach kolorową latarkę, jasne światło padło na twarz dziewczyny, co ze zmęczenia i przestachu zemdlawszy, na twardym żwirze leżała bez przytomności.

— Wody! — krzyknął nieznajomy, i ukląkłszy, podniósł głowę dziewczęcia, badawczo jej się przyglądając.

Blada, z wyrazem cierpienia na twarzy, z rozwianymi i potarganymi włosami, z rękami pokaleczonemi, spoczywała nieszczęśliwa ofiara złości ludzkiej, spoczywała cicho, smutna, a dziwnie powabna i piękna. Obecni ze współczuciem na nią spoglądali, a przybyły pan, spojrzawszy uważnie, krzyknął z wyrazem najwyższego zdumienia:

— Boże wielki! toć to Salińska! co ona tu robi? co to wszystko znaczy?

Skropił wodą skronie dziewczęcia, usiłując ją przywrócić do życia. Po chwili otworzyła oczy i widząc nad sobą nieznajomego z latarką, zawołała błagalnie:

— Panie! ratuj mnie! ratuj przed żydami!

— Nie bój się, dziecko, jesteś ocalona, zostajesz pod życzliwą opieką, żadnej ci tu krzywdy nie zrobią. Kto cię śmiał prześladować? biada mu! biada! ręka go moja dosięgnie i pomści za ciebie.

Porwał się, stanął i głos podnosząc zawołał:

— Hej! ludzie! kto żyw na stacji, łapać tych żydów, co tu byli przed chwilą; ja was sowicie za to wynagrodzę.

Ale żydów już ani śladu nie było. Na pierwszy okrzyk nieznajomego pana czmychnęli przez pola, co tylko sił starczyło. Przeczuwając, co ich czeka, nie oglądali się nawet po za siebie i uciekli pierwsi, nim służba stacyjna zebrała się na poszukiwania. Wpadli między puste, stojące na uboczu, wagony i tam się ukrywając, przeczekali, aż wysłańcy obrócą się w inną stronę. Wtedy chyłkiem, ostrożnie przemknęli się do lasu i odnalazłszy swą brykę, ruszyli śpiesznie z powrotem, nie oglądając się nawet na drugą pasażerkę, która bez biletu, bez pieniędzy (bo co miała, oddała żydowi do przechowania), zgubiwszy w pociągu nawet swój tłumoczek, pozostała na stacji zziębnięta, przestraszona, klnąc w duszy żydów i tę całą awanturę, która ją pożądaną jazdą do Ameryki pozbawiła, a właściwie od najstraszniejszej niedoli wyratowała.

ROZDZIAŁ IX.

Szlachetny opiekun.

Stefkę ludzie stacyjni przenieśli do sali drugiej klasy i na miękkiej sofie ułożyli. Z podróźnych nie było nikogo, uznano więc, że tu może spokojnie odpocząć. Nie zdołała ona jeszcze ochłonąć ze strasznego wrażenia, piersi jej gwałtownem podnosiły się tchnieniem, a oczy z trwogą na obecnych zwracały. Zmieszana była i zawstydzona, widząc samych mężczyzn koło siebie. Usiłowała się podnieść, ale sił jej brakowało i głowa bezwładnie opadała na poręcz kanapy.

Nieznajomy wyjął sakiewkę z kieszeni i obdarzyłszy hojnie wszystkich, co mu przyszli z pomocą przy ratowaniu, odprawił ich, upominając, aby przysłali którą z dziewcząt z bufetu, bo ocalona kobieciej opieki potrzebuje. Za chwilę w progu ukazała się otyła jejmość, sapiąc i przecierając oczy, domagające się gwałtem odpoczynku po nocnem czuwaniu. Młodzieniec spostrzegłszy ją, z widocznem zwrócił się zadowoleniem:

— Ach! kochana pani Martyńska, jak to dobrze, że pani sama przychodzi; chciałbym panią prosić o opiekę nad tym biednem dzieckiem, dopóki się ktoś z rodziny nie zgłosi.

Przybyła spojrzała badawczo na Stefkę, ale jej wytarte, ubogie, o krzaki poszarpane odzienie, nie zrobiło widać dobrego wrażenia, bo wyraz niechęci i jakby pogardy pojawił się na jej twarzy. Była to kobieta grzeczna i chętna do usługi, ale dla tych jedynie, co jej dobrze płacili, gdzie zaś nie widziała własnego interesu, tam trudna była z nią sprawa.

— Proszę pana, ja się tem zająć nie mogę, dziś zwłaszcza mam tak dużo kłopotów na głowie, przytem

całą noc nie spałam, więc muszę odpocząć. Może się pan zwróci do kogo innego, ludzi litościwych nie braknie.

— Ja dla niej o litość nie proszę, — odpowiedział dumnie młodzieniec, widocznie odmową urażony. Zapłacę za wszystko i hojnie mogę zapłacić, byle jej na niczem nie zbywało.

— Ach! to może pańska znajoma? — nie wiedziałam, bardzo przepraszam; w takim razie muszę coś poradzić. Niech to pana nie dziwi, że my na stacji nie jesteśmy skore do usług pierwszej lepszej osobie, bo też tu tyle najrozmaitszych ludzi codzień się przewija, tyle nam nieraz zmartwienia i strat przyczyniają, że musimy być ostrożni.

— Ale mnież zna pani oddawna, można się więc było nie obawiać.

— A skądże ja mogłam przypuścić, że panu coś na tem zależy? Mówiono mi, jak przypadkiem wybawił pan uciekającą od żydów dziewczynę, myślałam, że się na tem skończyło owo miłosierdzie, że to obca zupełnie i nic pana nie obchodzi. Ale skoro jest inaczej, obowiązkiem moim spełnić we wszystkim pańskie polecenie. Czem tedy mogę służyć?

Widząc jeszcze chmurę na jego czole, zbliżyła się do Stefki, wzięła ją za rękę, dłoń do czoła przyłożyła i usiłowała pokazać, że się nią ma zająć troskliwie. To zachowanie się wywarło skutek pożądany; nieznajomy podszedł do niej i już wesoło zupełnie zapytał:

— Czybym też nie dostał choćby małego, ale osobnego pokoiku?

— A i owszem, znajdzie się na piętrze bardzo ładny pokój, tylko może trochę za drogi...

— Mniejsza z tem, o koszt mi nie chodzi, byleby tam spokojnie mogła odpocząć.

— Dobrze więc, dobrze, pójdę wszystko rozporządzić...

I podreptała, ziewając i wzdychając wymownie, a zaraz za drzwiami słyhać było, jak służbie wydawała rozkazy.

Stefka milcząca, z przymkniętymi oczyma leżąc na kanapie, rozważała w duszy słyszana rozmowę i wielkie uczucie czci i wdzięczności dla nieznanego dobrodzieja owładnęło jej sercem. Nie dość, że ją ze strasznego niebezpieczeństwa wyratował, teraz jeszcze obiecuje się zaopiekować, nie żałując nawet na wydatki, może bardzo znaczne, bo przecież nieraz słyszała, że na stacjach wszystko nadzwyczaj drogie i trudno się czego dokupić. A skądże mu ta litość dla biednej, nieznannej wieśniaczki? skąd jej trafiło się szczęście, że napotkała takiego człowieka? Ach! jemu powie, skąd jest i jak się nazywa, to on jej z pewnością dopomoże odnaleźć rodziców szczęśliwie do wioski powrócić.

Pełna dziecinnej ufności, podniosła wzrok na stojącego opodal mężczyznę, bacznie mu się przyglądając. Był to młodzieniec dwudziestokilkoltni, o pięknej twarzy i wyniosłej zgrabnej postaci. Silnie zbudowany, w wytwornem ubraniu — wydał się jej dziwnem, jakby bajecznem jakimś zjawiskiem, jakby królewiczem zaklętym. Przyglądała mu się długą chwilę, a w myśli jej poczęło się tworzyć przekonanie, że go już kiedyś widziała, kiedy jednak? — żadną miarą przypomnieć sobie nie mogła.

Tymczasem młodzieniec spostrzegłszy, że patrzy na niego, podszedł do kanapy i kładąc dłoń na jej czole, zapytał łagodnie:

— Jakże się czujesz, dziewczeczko? — czy bardzo jesteś zmęczona?

— Eh! już trochę odpoczełam i nic mi nie jest — odpowiedziała Stefka nieśmiało, a widząc w nim życzliwego przyjaciela, dodała: — Ach! panie, czy mnie tu żydzi nie znajdują?

— Bądź o to spokojną; nawet szukać cię nie będą, boby bardzo źle na tym wyszli. I tak mam nadzieję, że ich nie minie kara zasłużona. Ale czy nie mogłabyś mi powiedzieć, jakim sposobem dostałaś się w ich ręce?

— Ach! proszę pana, to wszystko przez to nieszczęsne wpadnięcie w wodę.

— Więc w wodę wpadłaś? — opowiedz mi jak to się stało?

W krótkich, ale dobitnych słowach opowiedziała Stefka swoje przygody od złamania się kładki, aż do ucieczki ostatecznej. Narzekała na swą nierozwagę, że się pośpieszyła jechać z obcymi żydami, zamiast poczekać na Arona, będąc tego przekonania, iż byłby ją szczęśliwie do domu odstawił. Młodzieniec jednak tylko machnął ręką na tę jej uwagę, jakby chciał powiedzieć: „wszyscy oni tacy! albo tamten nic o tem nie wiedział?” Słuchał uważnie całego opowiadania i tylko pięści zaciskał, gdy mu mówiła o namowach Chaima, o napoju podanym i rozmowie z ową dziewczyną, w końcu rzekł z widocznym wzruszeniem:

— Biedne dziecko! nie masz nawet pojęcia, jaka straszna spotkałaby cię niedola, gdybyś się nie wytknęła z żydowskich szponów. Dziękuj za to Panu Bogu, jak i ja dziękuję, że mi pozwolił przybyć ci z pomocą i wrócić tym, którzy bez ciebie czuliby się bardzo nieszczęśliwi.

Miał na myśli pana Salińskiego i p. Milecką, którzyby sobie całe życie wyrzucali, że nie pośpieszyli na-

tychmiast zabrać do siebie tego biednego dziecka. Słyszając o jej zgubie, nie zaznaliby już nigdy radości, ni spokoju. Stefka natomiast myślała, że mówi o jej ukochanych w Zaciszu i lzy zabłyśły w jej oczach. Ujęła jego rękę i chciała do ust przycisnąć, ale on tego nie dopuścił. Zapłonila się więc tylko i wyszeptala z prostotą:

— Dziękuję panu za wyrażenie, o! bardzo dziękuję. Moi rodzice całe życie będą panu wdzięczni za to, nigdy, nigdy tego nie zapomną. Zawsze będziemy młodzić się za pana, który tyle dobroci okazał biednej, nieznajomej wieśniaczce.

Młodzieniec patrzył na nią z zadowoleniem i uśmiechając się, rzekł:

— Nie jesteś mi, Stefciu, nieznajomą — poznałem cię niegdyś w Zaciszu, i dlatego czuję się w obowiązku zająć się twoim losem.

Błysk zdziwienia i żywej radości rozjaśnił bladą twarzyczkę dziewczęcia. Podniosła głowę i zapytała z żywością:

— Pan był w Zaciszu? Pan zna moich rodziców?

— Byłem i tańczyłem z tobą, pamiętasz, na weselu? przyszedłem z rodziną dziedzica...

Stefka zerwała się, usiadła na kanapie i podnosząc obie ręce do góry, zawołała z uniesieniem:

— Ach! już teraz wiem.

I nagle, jakby myślą nową poruszona, błagalny wzrok na młodzieńca podniosła:

— Ach! pan mi wskaże drogę do Zacisza, tam ojciec i matka zmartwieni bardzo i nieszczęśliwi, o! pan mi pomoże wrócić do nich, nieprawdaż?

Wyraz rozrzewnienia i jakby smutku przemknął po twarzy młodzieńca. Jakże ona kocha swą wioskę rodzinną i tych mniemanych rodziców! Jakże jej trudno

będzie od tego się oderwać, do czego nawykła z dzieciństwa! A jednak los jej musi się zmienić stanowczo: pytanie tylko, czy przynosząc jej swobodę i dostatek, szczęście też i zadowolenie przyniesie? On musi przyspieszyć ostateczne zagadki rozwiązania, tymczasem przecież nic o tem wspominać nie może. Odezwał się więc tylko wymijająco:

— Wyślę zaraz komego posłańca z listem, żądając, aby jak najspieszniej po ciebie przyjechali.

— Och! dziękuję panu, bardzo dziękuję! Jaki pan dobry!

W tej chwili weszła bufetowa, oznajmiając, że pokój przygotowany. Oboje z Wacławem pomogli Stefce wstać z kanapy, poczem, oparta na jego ramieniu, przeszła po schodach do niewielkiego, ale ładnego pokoiku, oświetlonego palącą się na stole lampą, pomimo, że świt dzienny rozpraszał coraz wyraźniej nocne ciemności. Wacław poleciwszy, aby p. Martyńska opatrzyła poranione ręce i nogi dziewczęcia i aby ją herbatą napoiła, pożegnał obie, życząc jednej snu spokojnego, do drugiej zaś powiedział:

— Niech pani będzie tak dobra i o wszystkim pamięta, a ja śpieszę list wysłać, gdzie potrzeba. Pojadę dopiero wieczorem, mam tu na stacji znajomych, tam więc dzień przepędzę. Jeżeli ktoś przyjedzie z Kalinowej Woli, proszę po mnie przysłać, ot, tam, do tego domku, do p. Kornelego.

Oddalił się, odprowadzany spojrzeniem dziewczyny. na której ciągle jeszcze robił wrażenie jakiegoś królewicza z bajki. Otyła jejmość nie dała się jej jednak nad tem zastanawiać. Przyniosła szklanę gorącej herbaty i bułeczkę z masłem, potem miękką gąbką obmyła pokrwawione ręce, twarz i nogi, wreszcie ułożyła ją do wygodnego łóżka, na miękkie materace i pod ciepłą

kołdrą, a na odchodnem, otulając ją jeszcze, powie działa:

— Teraz śpij spokojnie, moje dziecko, trzeba bowiem dobrze odpocząć i nabrać siły do podróży, jaka cię czeka. Przecież tu po ciebie przyjada. Nie zrywaj się, dopóki cię nie zawołają, a nie nastąpi to prędko, bo bo jesteś o kilka mil od swoich oddalona.

Stefka w odpowiedzi przycisnęła do ust jej rękę, a ta powiedziawszy: „dobranoc“, odeszła i drzwi za sobą zamknęła.

Kiedy odgłos kroków ucichł na schodach, Stefka ostrożnie powstała z łóżka i zbliżyła się do okna. Chciała wiedzieć, gdzie się znajduje i z za firanki ciekawie miejscowość oglądać zaczęła. Była to stacja kolejowa, podobna już gdzieś widziała, choć koleją nigdy nie jeździła. Przed dworcem rozciągał się plac duży, pusty, kamieniami wybrukowany, ze studnią i kilku rozłożystymi drzewami w środku. Po obu stronach wznosiły się domki ładnie zbudowane i parkanami otoczone; na prawo biegła szeroka droga, rozgałęziająca się w oddali na dwie odnogi, prowadzące w strony przeciwne, ale zarówno przez pola szare, jednostajne, omglone, co kończyły się gdzieś dopiero pod czarną lasów obwódka. Patrzyła długo na ten krajobraz nieznany, smutny i — myśli jej w tęsknej zadumie biegły daleko, przywołując przed oczy upragnione postacie i obrazy, budząc w duszy coraz to nowe, coraz to żywsze uczucia. Wróciła wreszcie do łóżka i przytuliła się do poduszki; myśli jej się płatać poczęły bardzo prędko, bo przemogło zmęczenie, gdy ją miłe ciepło ogarnęło.

I usnęła, marząc w dalszym ciągu o tem, nad czem się zastanawiała przed zaśnięciem. I stało jej przed oczyma to, co ją na jawie zajmowało. Śniła się jej chata w Zaciszu, sień otwarta, w oknach doniczki z kwia-

tami, a krówki na podwórku. Stary ojciec siedzi przed sienią, przy nim matka skrobie ziemniaki — i płaczą oboje i biadają nad swym losem, że niema ich komu w pracy wyręczyć, pocieszyć w starości. A przed nimi stoi Franek z batem w rękę i sroży się czegoś i odgrza okrutnie, a oczy mu gniewem palają. Ona zaś idzie do nich i śpieszy, a dojsz jakoś nie może. Wreszcie jest już blisko, już wrota uchyla, gdy nagle czarna chmura zakrywa jej wszystko przed oczyma. Pragnie biec, szukać choć w ciemności, ale ruszyć się z miejsca nie może, próbuje zawołać, ale głosu z piersi wydobyć nie zdoła, wyciąga ręce... gdy w tem błyskawica rozjaśnia widnokrąg, a przy jej blasku ona ogląda już inny obraz piękny, pociągający, ale nieznany. I ciągnie ją coś i przyzywa do tego obrazu, a ona sama nie wie co począć, tylko z duszy jej wyrывa się wołanie: „tatusiu mój kochany! matuś moja serdeczna, ja was nigdy, nigdy nie zapomnę“.

Tak przecuciem serca wiedziona, dostrzegła w sen-
nem marzeniu to, co jej wkrótce rzeczywistość przynieść miała. W onej bowiem chwili w biurze naczelnika stacji siedział przy stoliku Wacław i pisał list do pani Mileckiej, list, który miał stanowić o jej przyszłości i los jej rostrzygnąć ostatecznie. Wzywał ojca i ciotkę, aby niezwłocznie przybyli i zabrali dziewczkę, którą dziwnem zrządzeniem Bożem odnalazł w obcej stronie i ze strasznego położenia wybawił. Szczerze od lat jeszcze dziecinnych przywiązany do p. Mileckiej, szanował też i przyjaznem uczuciem otaczał i pana Salińskiego, a teraz do tajemnicy rodzinnej przypuszczony, serdeczną litość i współczucie powziął dla biednej jego córki i pragnął gorąco, aby jak najprędzej pod dach rodzicielski wróciła. Kreślił też pośpiesznie słowa usilnej prośby o jej zabranie, rzucając tym sposobem most nie-

jako pomiędzy dziedzicami Kalinowej Woli, a nieznaną dotąd, pokrzywdzoną niegodziwie odroślą ich rodu, spadkobierczynią imienia i majątku. Za chwilę list był gotów, włożył go w kopertę i oddał czekającemu przed gankiem posłańcowi.

— Pedź, co koń wyskoczy, — mówił, wręczając pismo, — czekam rychłej odpowiedzi i wiele mi zależy na pośpiechu.

Posłaniec, sutą zachęcony nagrodą, pomknął, jak strzała na rączy koniku, a Wacław w zamyśleniu ściagał go oczyma, dopóki nie skrył mu się w tumanach kurzu, kłębiącego się na drodze. Wtedy poszedł wyszukać mieszkającego tu przyjaciela, by się u niego zatrzymać i doczekać rezultatu swych starań.

Nie wątpił o ich powodzeniu, gdyż wiedział dobrze, że pani Milecka żywo odczuła krzywdę biednemu dziecku wyrządzoną i pragnęła coprędzej ujrzeć je na łonie rodziny. Chciała ona jednak pierwszej ojca do tej zmiany przygotować, a Jadwigę pogodzić z myślą, że siostrę w nowoprzybyłej mieć będzie. To stało się zwłoki przyczyną, choroba zaś Jadwigi na czas dłuższy tę zwłokę odłożyła, a przykuwając panią Milecką do jej łóżka, mimowoli sprawę wydziedziczonej na drugi plan zepchnęła. Sprawozdanie, złożone przez Wacława po powrocie z Zacisza, uspokoiło i ucieszyło ciotkę, dowiedziała się, że choć jej życie w ciężkiej pracy i niedostatku upływa, nie czuje się jednak nieszcześliwą, bo jest kochaną i ocenianą należycie. Swobodnie więc snuła plany, jak całą tę sprawę przeprowadzić, a najpierw postanowiła przygotować ojca na spotkanie z córką i usposobić go, by ją przyjął z dobrocią i miłością jako prawdziwe, a nieszcześliwe swe dziecko.

Razu jednego, gdy po kilku dniach nieobecności, pan Saliński wrócił do domu i zastawszy Jadwigę w gorącz-

ce, począł rozpaczać o jej życie i narzekać na los zawistny, co wydarł mu przed laty żonę ukochaną, a teraz chce go ostatniej pozbawić pociechy; skorzystała z tego pani Milecka i, wyjawiając tajemnicę, zapewniła, że jego córka rodzona żyje w oddaleniu od domu rodzinnego, a ta, którą oplakuje w tej chwili, jest tylko dzieckiem narzuconem podstępnie. Zdumiał się na tę wiadomość pan Saliński i żadną miarą uwierzyć temu nie chciał. Kiedy wreszcie dowodami przekonany, zrozumiał, że padł ofiarą niegodziwości ludzkiej, poczuł w swej duszy straszną walkę i szamotanie się uczuć najsprzeczniejszych. Współczucie dla jednej, a niechęć dla drugiej strony ścierały się w jego sercu; dwojakie też uczucia miłości staczały z sobą walkę o pierwszeństwo. Wrodzone ojcowskie przywiązanie pociągało go do tamtej, nieznaney dziewczeczki, a znów miłość z latami w duszę wrosła dla wypieszczonej, wypielegnowanej z takim staraniem Jadwigi, nie dopuszczała nawet myśli do odsunięcia jej od siebie. I stało się to, czego pragnęła zarówno i pani Milecka: obie jak siostry miały przy nich pozostać i jednaka cieszyć się miłością.

— Ona temu nie winna, za czyny swej matki odpowiadać nie może, pokrzywdzić jej nie wolno — mówił p. Saliński — dla obu chleba i serca w naszym domu nie zbraknie, niechże tu żyją obie razem, a my się niemi cieszyć będziemy i przyszłość postaramy się zapewnić.

Chciał natychmiast po Stefkę posyłać, by zabrać jak swoją, powstrzymała go jednak p. Milecka, mówiąc, że dopóki Jadwiga do zdrowia nie powróci, należy ją oszczędzać i nie narażać na niepokój i wzruszenie, jakiegoby doznać musiała wobec przybycia tej, co rzeczywiście i największe miała prawa do miłości ojca i ciotki, co zabierała jej pierwszeństwo w domu, który przez całe życie za własny uważała. Nie miałaby je-

szcze siły znieść tego ciosu, postanowiono więc odwiec cokolwiek spełnienie zamiaru, pocieszając się wiadomościami z Zacisza, że się dziewczecze krzywda nie dzieje, że więc z zabraniam opóźnić się można cokolwiek. Wacław wiedział o tem wszystkim i podzielał słusność takiego postępowania, teraz jednakże niebezpieczeństwo, grożące życiu Jadwigi, minęło zupełnie, siły powracały z dniem każdym, można więc było zakończyć tę sprawę. A obecna chwila zdawała się najspokojniejszą, niedola Stefki budziła największe współczucie, to zaś mogło bardzo korzystnie wpłynąć na usposobienie dla niej tych, co ją do domu przyjąć mieli. Szlachetne serce Wacława pragnęło w tem dopomóc, dlatego też w liście użył całej swej wymowy na przekonanie p. Mileckiej, że dłużej już zwłóczyć nie powinni, bo już tę zwłokę, gdyby nie miłosierdzie Boże, a wskutek tego szczęśliwy zbieg okoliczności, biedna dziewczyna opłacałaby zgubą niechybną, im pozostawiając żal i wyrzuty sumienia na całe życie.

Zbyteczne właściwie były jego obawy w tym względzie, prawość charakteru, poczucie obowiązku nie pozwalały dziedzicom Kalinowej Woli ociągać się dłużej z przyjęciem pod swój dach dziedziczki rodu i imienia, a jeżeli dotąd nie mieli odwagi jasno postawić tej kwestji, teraz nic ich od tego nie powstrzymało. Przy Jadwidze unikano wszelkiej o tem wzmianki, zdala od niej naradzano się jednak żywo, jak sobie postąpić, jak pokierować wykształceniem dziewczęcia, którego wychowanie z pewnością bardzo wiele pozostawiało do życzenia. Rachując na wiek młody, spodziewano się naprawić i uzupełnić te braki, dając przynajmniej to, co najkonieczniejsze dla kobiety ziemianki. Wobec tego powtarzano sobie codziennie, że dłużej zwłóczyć nie podobna, gdyż czas upływający jest stratą nie do poweto-

wania. Jadwigę, otaczając pieśczęcią i troskliwą opieką, starano się przekonać, że wyjawienie tajemnicy jej pochodzenia nie wydarło jej ich przywiązania i względów, i że na nie w życiu śmiało może rachować. Zwolna przygotowywano ją tym sposobem do pogodzenia się z losem i do przekonania, że w domu ich i w sercu miejsce dla obu się znajdzie.

Jadwiga odwzajemniała się wyrazami przywiązania i wdzięczności, okazywała spokój i zadowolenie. w duszy jednak wrzała burza zwątpienia i trwogi, bunt się jakiś tajemny podnosił, głusząc uczucia dziecięcej ufności i wiary, które mogłyby jej bóle złagodzić, a nawet uleczyć zupełnie. Pomimo zapewnień pani Mileckiej, że w ich uczuciach dla niej żadna zmiana nie nastąpi, żywiła w sercu przekonanie, że wszystko, czego doznaje obecnie, jest tylko jałmużną, z litości podawaną, i że skończy się to niezadługo, skoro tylko do zdrowia i sił powróci. Duma podrażniona oburzała się ciągle, wołając, że tego cierpieć nie powinna, że raz zepchnięta ze swego stanowiska w domu, na inne przystać nie może, gdyż nie czeka ją nic więcej, jak być towarzyszką prostej wiejskiej dziewczyny, którą w duszy pogardzaćby musiała. Walczyła z temi uczuciami, niczem ich nie zdradzając, czuła się przecież nieszczęśliwą i upokorzoną. Z dnia na dzień oczekiwała przybycia dziedziczki majątku, z goryczą myśląc, że ustąpić jej będzie zmuszona i że pójdzie w świat pomiędzy obcych ludzi, może na ciężką pracę i tułaczkę. Kiedy jednak dni upływały bez zmiany, poczęła się niecierpliwić, bo słusznie nieraz mówiła, że niepewność gorsza bywa od samego nieszczęścia. Nie zważając tedy na nic, postanowiła przerwać nareszcie to złowrogie milczenie, i zapytać się o to, czego w rozmowie z nią wciąż starannie unikano.

Jednego więc poranku, wypiwszy, jak zwykle szklankę czekolady w łóżku, wstała trochę wcześniej, bo około 9-ej i narzuciwszy ranny szlafroczek, poszła do pokoju pani Mileckiej. Zastała ją, jak zwykle, z robotką w ręku, przysiadła się więc przy niej na niskim taborecie i zaraz po przywitaniu odezwała się:

— Wie ciocia co, śniło mi się dzisiaj, że przyjechała Stefania, bo tak się podobno nazywa ta...

Urwała, nie wiedząc jak się wyrazić, jaki dać tytuł swej przeciwniczce. Pani Milecka zaskoczona niespodziewanem zapytaniem, zmieszała się w pierwszej chwili, zaraz jednak zapytała:

— A jakże ci się śniła ta twoja siostrzyczka?

— Mniejsza z tem, jak się śniła — odpowiedziała z pewną niechęcią Jadwiga — nie należy przywiązywać wagi do sennego marzenia, ale ja radabym się dowiedzieć, kiedy ona przyjedzie, bo przecież potrzebuje...

— Co potrzebujesz, moje dziecko? — przerwała jej z trwogą pani Milecka.

— Przygotować się na tę straszną dla mnie chwilę, w której zmuszona będę pożegnać wszystkich i wszystko, do czego sercem przygłębiałam od dzieciństwa.

Łzy przerwały jej mowę, ukryła twarz w dłonie, serdecznym wybuchając płaczem.

— Dziecko, moje biedne dziecko! — zawołała żywo dotknięta p. Milecka — co też ty o nas myślisz? co ty sobie wyobrażasz? Czyż nie powiedzieliśmy ci z ojcem wyraźnie, że żadna zmiana w twym losie nie zajdzie i zejść nie może? Stało się, co się stać powinno, prawda musiała wyjść na jaw, aby wyrządzona krzywda nagrodzona została. Tamta powróci pod dach rodzicielskiego domu i otrzyma to, co się jej sprawiedliwie należy. Ale i ty nie przestaniesz być naszym dzieckiem ukochanem, tyś nic nie zawiniła, nie możesz poku-

tować za cudze grzechy, matka zaś twoja w grobie, przebaczyć jej więc wszystko i zapomnieć należy. Mylisz się sądząc, że my ci odejść pozwolimy — nigdy! Złamane życie twoje i szczęście zniweczone mielibyśmy brać na swoje sumienie? — o, tego nie będzie! Chcesz wiedzieć, cośmy z ojcem w tym względzie postanowili? — posłuchaj. Macie pozostać tu obie, jak dwie siostry rodzone, między którymi my żadnego nie zrobimy wyróżnienia; sercem i mieniem zarówno dzielić was będziemy tak, że dla każdej wystarczy. Tamta ma się dowiedzieć tylko o krzywdzie jej wyrządzonej, o tem, że wraca do domu prawdziwego ojca, że ci, co ją wychowali, nie są jej rodzicami. Ale dowiedzieć się nie powinna nigdy, żeś ty jest owem dzieckiem, dla którego ona z rodzicielskiego domu wyrzuconą została, — jest to tajemnica, której nikomu zdradzić nie wolno. Co prawda, nikt o tem nie wie, prócz starej Błażejowej, nikt też wiedzieć nie będzie i w przyszłości. Ta kobieta potrafiła milczeć tyle lat, zdołamy ją skłonić, aby i nadal milczała. Ty będziesz w domu uchodzić za starszą, iakkolwiek w równym wieku jesteście, bo pragnieniem jest naszym, aby w tobie znalazła nietylko siostrę, ale i doradczynię. Jesteś od niej rozumniejsza, wykształceńsza, wielu ją rzeczy możesz nauczyć, a czyniąc to, i nam się najlepiej odwdzięczysz i przypodobasz. Zostaniesz więc dla nas i w dalszym życiu ukochaną córką i bratanicą, jeżeli nie z rodu, to z ducha i przywiązania. Ojciec da ci swoje nazwisko i naszą pozostaniesz na zawsze. Czy zgadzasz się na to? czy chcesz być dla nas dzieckiem dobrem i kochającym, a dla niej siostrą tkliwą i wyrozumiałą?

Jadwiga z pochyloną głową słów tych słuchała: gdy ją podniosła, błysk radości jaśniał w jej twarzy, a krwawe rumieńce świadczyły o żywości uczuć dozna-

nych. Łzy rozrzewnienia zabłyśły w jej oczach, osunęła się do kolan i przytulając do ust rękę pani Mileckiej: wyszeptła wzruszona:

— Ciociu! jakaś ty dobra! jaki dobry ten, któregom dotąd ojcem nazywała!

— I nadal nazywać będziesz; on tego żąda stanowczo.

— Ależ to niepodobna! to nie do uwierzenia... dla dziecka biednej, a do tego występnej sługi, to nazbyt wiele litości!

— Niedobra! także to ty oceniasz nasze przywiązanie? sędzisz, że litość dyktuje nam to postanowienie? Tak nie jest i mylisz się bardzo, jeżeli prawdziwych pobudek zrozumieć nie potrafisz. Zastanów się tylko sama. Myśmy cię lat tyle kochali, tak bardzo do ciebie przywykli, mogliżbyśmy się teraz rozstać z tobą bez wielkiego bólu i ofiary? Byłabyś niewdzięczną i bez żadnego przywiązania, gdybyś nasze uczucia inaczej tłumaczyć usiłowała, a tembardziej, jeśli byś nas na coś podobnego narazić zamyślała.

Przyciągnęła ją do siebie i patrząc w oczy z miłością, dalej mówiła:

— O! powiedz, Jadwiniu, powiedz, że będziesz jak dotąd, uważać mnie za ciotkę, a pana Salińskiego za ojca. Przecież ty nas kochasz? czy nie prawda?

— O! tak, ciociu; kocham i kochać nie przestanę. Ale czyż nie dość jeszcze krzywdy przez moją matkę wyrządzonej, żebym ja miała dalej to dzieło prowadzić? Ja tu do niczego nie mam prawa, ja jej krzywdzić nie mogę żadną miarą i wydzierać to, co jej wyłączną jest własnością.

I znowu wybuchnęła płaczem.

— Wystarczy dla was obu, wystarczy, zobaczysz, i o żadnej krzywdzie mowy tu być nie może — powta-

rzała, tuląc ją do piersi. I póty ją całowała i pieściła, póty przekładała, że wiele dobrego może wyświadczyć nowoprzybywającej i stać się dla niej prawdziwym aniołem przewodnikiem, że w końcu Jadwiga uspokojona i przekonana zupełnie, roześmiała się wesoło i zarzucawszy ręce na jej szyję zawołała z gorącym uczuciem:

— O! przebac, ciociu, że ja się ośmieliłam powątpiewać o waszem sercu i wspaniałomyślności, że mogłam myśleć o rozłączeniu, któregobym przeżyć nie zdołała. Nigdy już o czemś podobnem nie wspomnę, aby wam nie sprawiać zmartwienia. Teraz jestem spokojna i czekać będę z utęsknieniem przybycia siostrzyczki, którą będę tak uczyć i kochać, taką otaczać życzliwością, że musi mnie uznać za swą serdeczną i szczerą przyjaciółkę.

— O! teraz mi się podobasz, tegośmy po tobie oczekiwali. Przez to staniesz się tem więcej godną naszej miłości i najbardziej ojca ucieszysz.

Pochyliła się, a dwie łzy ciche, wielkie, spadły na czoło Jadwigi.

— Nie płacz, ciociu, nie płacz, — postaram się abys przeze mnie zmartwienia nigdy nie doznała.

— To są łzy radości, moja droga, staną się więc dla ciebie błogosławieństwem na dalsze życie, bodajby ci też prawdziwe szczęście przyniosły.

Tak się skończyło ostateczne porozumienie, o którym uwiadomiony p. Saliński, bardzo się ucieszył i postanowił niezwłocznie tamtą córkę do domu sprowadzić. Ułożono zatem, że zaraz na drugi dzień pojadą oboje z p. Milecką do Zacisza i wynagrodziwszy pocziwych opiekunów, dziewczynę do siebie zabiorą. Przy stole rozmawiano o tem już swobodnie, układano różne plany, żartując wesoło. Wszyscy byli w dobrych humorach, spoglądali w przyszłość z błogą nadzieją i jakąś

pociechą wewnętrzną, a prześcigali się w pomysłach urządzenia i uprzyjemnienia życia nowej mieszkance tego domu. Pokoik miano jej przygotować obok pokoiku Jadwigi, a ona sama podjęła się go umeblować i przyozdobić, czem będzie można, przenosząc tam część własnych swoich gracyków i pięknych cacek. Łóżko miano sprowadzić także samo, jakie miała Jadwiga, tymczasem musiało służyć jedno z gościnnych, szafkę zaś, stolik i jakąś kanapkę wynaleziono w domu — i gniazdko miało być na jutro gotowe.

Ale gdy się tak bawiono, nagle Jadwidze przyszło, na myśl, że i ona i imię zapewne nosi nie swoje, więc i to również zwrócić jest obowiązana. Zamyślili się smutnie starsi oboje, po chwili jednak pan Saliński podniósł głowę i rzekł wesoło:

— No, moje kochane, morze przepłynąwszy, trudno na brzegu tonać; to też i my radę na tę ostatnią troskę znaleźć musimy. Rzecz naturalna, że tamta nazywa się Jadwiga, ale możnaby w tym razie przyjąć za zasadę to, co się nieraz między ludźmi praktykuje, to jest nazywać ją drugim imieniem, którego ty, Jadwisiu, wyrzec się musisz stanowczo.

— Masz słuszość, Edwardzie, — powiedziała p. Milecka — tak będzie najlepiej. Jest to przytem imię jej babki, dla wszystkich miłe i drogie.

— A więc postanowione: nazywać ją będziemy Aniela.

— Zgoda! zgoda! — zawołały z zadowoleniem obie kobiety — i na tem skończyły się narady.

ROZDZIAŁ X.

Rodość i smutek.

Nazajutrz bardzo rano p. Milecka posłała po Błażewską, a skoro ta przybyła, zamknęła się z nią w pokoju, gdzie długo sam na sam rozmawiały. Co tam radziły — niewiadomo, widać jednak doszło do porozumienia, bo gdy nakoniec ukazały się w stołowym pokoju, na twarzach obu widniało zadowolenie, co przypuszczać pozwalalo, że umowa pomyślnie zawartą została.

— Już ja teraz pożegnam wielmożną panią; bo kiedy mam iść do Zacisza, to muszę pośpieszyć, boć to porządny kawał drogi.

— Ale nie mogę was tak puścić bez śniadania, bo byście ustali w podróży, usiądźcież tutaj, zaraz wam co przygotuję i pójde dowiedzieć się, czy w tamtą stronę nie jada od nas fornale, toby was przewieźli.

— Bóg zapłać wielmożnej pani za fatygę, toć zajdę i piechotą.

— Ale po co? po co? jeżeli można pojechać, zaraz się zapytam.

W tej chwili do pokoju weszła Jadwiga w rannym stroju, piękna i świeża, jak rozkwitająca róża; z uśmiechem zwróciła się do ciotki i całując ją w rękę, powiedziała „dzień dobry“. Ta objęła jej główkę i przytuliła do piersi, a składając na niej pocałunek, odpowiedziała z uczuciem.

— Dzień dobry, moje dziecko; mam nadzieję, że będzie dobry, bo spełni nasze życzenia i straćę nam rodziną powróci. Oto posyłam Błażewską, jako pierwszego gońca, niech ich o wszystkim zawiadomi i przygotowuje cokolwiek do naszego przyjazdu. Chcę, aby dziewczynka, zanim ujrzy dom ojcowski, coś się wpierv

o swem pochodzeniu dowiedziała. A teraz wyreczę mnie, Jadwiniu, oto jest kawa gorąca, nalej szklanke dla Błażejowej, masz tu chleb i masło na stole, ja zaraz powrócę.

— Ależ, ciociu... — skrzywiła się Jadwiga, zamilkła jednak, dojrawszy poważne, lecz niezwykle surowe wejście p. Mileckiej, która się też śpiesznie oddaliła.

Rada nie rada, podeszła do stołu i spełniła polecenie, nie mówiąc do starej ani słowa. Czuła ona zawsze do niej dziwną niechęć i jakby odrazę, zawsze jej się zdawało, że ona na nią nieszczęście jakieś sprowadzi, nie mogła się też i teraz przekonać, choć rozumiała dobrze, że należało pozyskać względy tej, w której rękę spoczywała tak niezmiernie ważna dla niej tajemnica. Ale to, właśnie to, bardziej ją jeszcze odsuwało od starej kobiety; czuła się wobec niej upokorzona i traciła pewność siebie, a to ją gniewało. Obecnie bardzo była wzruszona, ręce jej drżały, na twarz wybiegły gorączkowe rumieńce. Stara przyglądała się jej bacznie i uśmiechała się pokryjomu.

— Dziękuję, panienczce, bardzo dziękuję za usługę — ozwała się, przyjmując podane śniadanie — postaram się za to odwdziżyć. Przekona się panienska, że stara ogrodniczka umie milczeć, jak mur. Można spać spokojnie i żyć spokojnie, tajemnica tajemnicą pozostanie; a na towarzystwie tamtej panienska nic nie straci, bo to i mądre i miłe i ładne. Weselej teraz będzie w tym domu.

Jadwidze krew uderzyła do głowy i łzy zaświeciły w oczach.

— Nie trzeba się martwić, wszystko pójdzie dobrze, panienska się pokocha i żyć zacznie, jak siostry rodzone, a państwo cieszyć się będą obydwoma za równo.

— Oby tak było, szepnęła Jadwiga, ale nie mam dobrego przeczucia, to dla mnie smutnie się skończy.

— Co też to panienska mówi! państwo tacy dobrzy i tak ją kochają...

— O! tak, w to wierzę najmocniej, ale ludzie, gdy się dowiedzą...

— Ludzie się nie dowiedzą, bo stara Błażejowa strzec będzie tajemnicy, chyba... chyba... ale nic podobnego nie zajdzie przecie.

Jadwiga podniosła głowę i bacznie w twarz starej spojrzała. Ale na tej twarzy, brzydkiej i pomarszczonej, prócz wyrazu cygańskiej przebiegłości nic nie dostrzegła. Zamyśliła się smutnie. Byłaby to groźba z jej strony? czy też chęć wyciągnięcia jak największej korzyści? — prędzej to ostatnie, ona do tego podobna. I to w rękę takiej kobiety spoczywa tajemnica jej szczęścia! ach! to okropne! Odwróciła się, niby krając chleb koło kredensu, po chwili dopiero, odzyskawszy równo wagę, odezwała się już spokojnie:

— Mam nadzieję, że pozostaniemy zawsze w dobrej zgodzie i że się na nas skarżyć nie będziecie.

Stara uśmiechnęła się znacząco, ale nie miała czasu odpowiedzieć, bo do pokoju weszła p. Milecka i odezwała się zaraz z progu:

— No, jakeście się posilili Błażejowo, to śpieszcie, podwiożą was blisko do Zacisza. Postarajcie się spełnić wszystko jaknajlepiej i niech was Bóg prowadzi.

Stara pośpiesznie wstała z krzesła, otuliła się porzuconą u wejścia chustką i pożegnawszy ucałowaniem ręk obie panie, podażyła w stronę stodoł, gdzie na nią formal dworski oczekiwał.

Jadwiga nie chcąc sprawić ciotce przykrości, starała się okazać spokój, a nawet wesołość; otrząsnęła się z przykrego wrażenia, postanowiwszy nie myśleć o tem.

a zaufać całkowicie sercu i szlachetności swych opiekunów. Zagadnęła też zaraz o urządzeniu pokoiku dla nowej tego domu mieszkanki, czem wielce p. Milecka uradowała.

— Tobie to poruczam, kochanie, jeśli się zgodzisz: sama się tem zajmij, możesz wziąć do pomocy Kasie i Justynę, ja mam jeszcze inne sprawy na głowie.

— Ależ najchętniej, ciociu, zobaczę, czy ci się spodoba.

— Dobrze, moje dziecko, jestem pewna, że zrobisz jaknajlepiej: do widzenia zatem, idę do spiżarni.

I rozstały się. W chwilę potem Jadwiga pilnowała ustawiania sprzętów i zakładania firanek w małym, ładnym narożnym pokoiku, a p. Milecka krzątała: po kuchni i spiżarni, zaglądała do kurników i do ogrodu warzywnego, i wszędzie było jej pełno, a ożywiona była i szczęśliwa, jakby jej lat ubyło. Przy tej krzątaniu opowiedziała tu pokojówce, tam znów kucharce, to gospodyni, pilnującej kopania warzyw w ogrodzie, że wykradzioną przed laty córkę dziedzica odnaleziono teraz w sąsiedniej wiosce i tu ją może dziś jeszcze przywiezą, dlatego taka radość w rodzinie. To wystarczyło, aby po całym dworze gruchnęła wieść wesółą, że zaginiona przed laty panienska, nacierpiawszy się w życiu biedy wszelakiej, do rodzicielskiego domu powraca. Różni różnie o tem mówili, ten i ów dziwne czynił przypuszczenia, tworzyły się historie na poczekaniu, a wiadomość przechodząc z ust do ust, rosła i zmieniała się najdziwniej. W parę godzin opowiadano sobie z taką pewnością o napadzie na dwór, o tajemniczej zemście, o porwaniu dziecka, po którego stracie matka z rozpaczny umarła i t. p., iż zdawałoby się mogło, że ci ludzie patrzyli na to własnymi oczyma.

Gdy bajki te z kolei doszły do uszu Jadwigi, śmiała

się z tego serdecznie, a gdy próbowała zaprzeczyć, że nie tak było, już jej wierzyć wcale nie chciano. Opowiadania te rozbudziły we wszystkich sercach wielkie współczucie, a postać zaginionej dziewczeczki okalając wieńcem cierpień przebytych, ukazywały w blasku bohaterstwa i dziwnego uroku i podwajały ciekawość ujrzenia jej jak najprędzej.

A służba wszystka z nowych się składała przybyśzów; starzy albo wymarli, albo też odeszli, jeden tylko karbowy pamiętać mógł dawne lata, ale i ten leżał w szpitalu od kilku tygodni. Nie było też nikogo, coby sobie chciał zadać cokolwiek trudu i zapytać, czemu dotąd nigdy o owem dziecku nie było wspomnienia i skąd tak nagle teraz się o niem dowiedziano. Znaleźli się natomiast tacy, co przypominali sobie jakieś tajemnicze zeznanie umierającej piastunki i nagle zaśląbnie Jadwigi i byli pewni, że to ma związek z odnalezieniem córki dziedzica, tłumaczyli tylko sobie cokolwiek inaczej. Mówiono, że Tekla pierwsza wpadłszy na ślad zbrodni, odkryła ją państwu i dlatego tak przez nich pielęgnowaną i pięknie pochowaną była. Jadwiga zaś, dowiedziawszy się o tem, rozchorowała się z zazdrości i żalu, że już nie będzie jedynaczką i że wszystkim z siostra podzielić się będzie musiała. Tak więc stworzono różne domniemania, na ślad jednak prawdy nikt nie trafił.

Tak stały rzeczy w Kalinowej Woli w onym dniu. kiedy konny posłaniec pośpieszył tam z listem od Wacława, wioząc wieści wcale nie oczekiwane.

Tymczasem drugi posłaniec, Błażejowa, zdążyła do Zacisza, układając w myśl plany, jak ma rzecz całą przeprowadzić, jak przygotować Wojciechów na rozstanie się z przybraną córką i jak najlepiej odegrać rolę zwiastunki szczęśliwej zmiany losu dla ubogiej wiejskiej dziewczeczki. Szła dumna i uradowana, pewna ze wszech

stron nagrody, rosła we własnych oczach, przypisując sobie zasługę długoletniego milczenia, które przecież bezinteresownem nie było, owszem nieszczęśliwą Tekle bardzo wiele kosztowało. Nie spodziewała się, że ją tu spotka zawód, że nie zostanie tej, u której pragnęła teraz łaski sobie zaskarbić, bo Błażejowa przy wszystkich swoich zaletach chowała w duszy zbyteczne zamilowanie do pieniędzy, tego więc rodzaju nagrody przedewszystkiem wyglądała i dla niej na różne, nawet ciężkie, gotowa była ofiary.

Zaraz na wstępie do wioski spotkała ją jedna z gospodyn i zagadnęła, dokąd idzie.

— Idę do Wojciecha Kostrzewy z ważną nowiną, choć oni może temu radzi nie będą.

— To dajcie im pokój, moja sąsiadko, nieszczęśliwi to ludzie, mało nie pomrą z bóleści.

— A cóż się stało? — zapytała niespokojnie Błażejowa.

— A to wy jeszcze nie wiecie? Co prawda, to i nie dziwota, toć to przedwczoraj dopiero się stało.

— A co? Mówcież, na litość, bom okrutnie ciekawa. Może się ich dziewczynie jakie nieszczęście przytrafiło?

— Nie inaczej. Już to widać prawdę mówi przyśłowiem, że dobrego to niedługo na ziemi.

— Cóż jej się stało? może chora?

— Oj! gorzej jeszcze, bo już jej niema na tym świecie — utopiła się onegdaj przed wieczorem.

— O! ja nieszczęśliwa! — krzyknęła Błażejowa, oburącz się chwytając za głowę. — Cóż to za okropne zmartwienie! Ach! co tam w Kalinowej Woli na to powiedzą?... A co ja pocznę, biedna kobieta, jakże im o tem doniosę?!

I targała chustkę na głowie, okrutnie zafrasowana.

— Chyba ta jedna tylko się ucieszy!... — szepnęła złośliwie.

— Kto taki? co wy mówicie? — pytała wieśniaczka, mocno zdziwiona temi wykrzyknikami.

— Ej, nic; sama nie wiem, co plotę, takam rozżalona. Ha! trudno, pójdę do nich jednak i wszystko opowiem.

— Nie chodźcie tam lepiej, poco im żalu dodawać.

— Właśnie, że nie, ja im powiem coś, co im niejaka pociechę przyniesie. Niech się dowiedzą, że i tak niedługoby się nią cieszyli.

— Ha! ha! myślicie pewnie o jej zameżciu, aleście się pomylili, bo dziewczyna obiecana była chłopakowi ze wsi, zaraz po sąsiedztwie, toby ją mieli przy sobie d ośmierci.

— Och! wcale nie o to chodzi; ale ja wam opowiadac nie mogę, dopóki się wszystko nie wykryje.

Wieśniaczka skoczyła zaciekawiona.

— Co też wy powiadacie! a cóżby to wykryć się miało.

— A to, że Stefka nie jest córką Wojciechów, że oni ją tylko wychowali; teraz się znalazł ojciec prawdziwy i miał ją właśnie zabrać do siebie. Dobrze ja wiem o wszystkim i z tą nowiną szłam do nich.

Zdumiona wieśniaczka pochwyciła się za głowę:

— To nieprawda, to chyba ktoś zmyślił sobie bajkę — poczęła tłumaczyć.

— Jakże nie prawda! Spytajcie się Wojciechów. Wiedzą oni dobrze, skąd ją dostali; sądzili tylko, że jej już nikt im nie zabierze... a tymczasem miało być inaczej. Pójdę też mimo wszystko, opowiem, jak to na jaw wyszło, może się choć tem pocieszą cokolwiek, gdyż i tak by ją niezadługo utracili.

— I nie słuchając dalszych zapytań, pośpieszyła do

zagrody Kostrzewy, zostawiając gospodynię ową bardzo zaciekawioną i czyniącą najdziwaczniejsze z usłyszaney nowiny wnioski i przypuszczenia. Wojciechowie siedzieli przed domem, jedno na progu, drugie na niskiej ławeczce pod ścianą, w ciężkim smutku pogrążeni. Siedzieli bezczynnie w milczeniu i na pozrowienie Błażejowej ledwie odpowiedzieć zdołali, bo żal głos im zatałmował. Przez te kilkadziesiąt godzin postarzelili znacznie, pochylili się ku ziemi, a oczy przygasłe świadczyły, że se nuciekl od ich powiek i że łez wylali nie mało. Milczeli teraz, nie odzywając się do przybytey, widocznie nie radzi, że im ciszę i samotność przerywa, a pytanie — ból świeży będzie rozdrażniać. Błażejowa jednak nie zważając na ich obojętność, przysiadła obok na płaskim kamieniu i, otarłszy pot z czoła, odezwała się cichym głosem:

— Przyszłam użalić się nad wami i pocieszyć cokolwiek.

— Nie potrzebnicie się trudzić — odrzekł posępnie Wojciech — niema dla nas pociechy, kiedyśmy dziewczynę ukochaną stracili.

— Takeście się przywiązali do cudzego dziecka? aż mi dziwno.

Wojciech drgnął, wyprostował się i zwrok osłupiały wlepił w twarz mówiącej. Więc był ktoś, co znał ich tajemnicę? i to ktoś mieszkający w pobliżu, co mógł być ich zdradzić i prawdę wyjawić? Tego nigdy nie przypuszczał, wszakże lat tyle upłynęło w spokoju i nikomu nawet na myśl nie przyszło posadzić ich o to, że wychował cudze dziecko. Postanowił temu zaprzeczyć, choć szczerą jego natura brzydziła się wszelkiem kłamstwem; odezwał się tedy z oburzeniem.

— A wy co pleciecie? co wam się przyśniło? To nasze było dziecko, i basta.

— Wasze, boście je wychowali, tego wam nikt nie zaprzeczy. Ale i mnie się nie śnią żadne bajki, wiem dokumentnie o wszystkim, to już się nie zapierajcie. a ja wam za to powiem, czegoście dotąd nie wiedzieli.

Spojrzeni na nią oboje, mocno zdziwieni, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Wreszcie po chwili Wojciech się odezwał:

— Radbym usłyszeć, co wy też wiecie o naszej dziewczynie; czy też jest w tem prawdy choć trochę.

— Jest i cała, a jakeście ludzie uczciwi, prawdzie nie zaprzeczycie. Dziecko było wam podrzucone i do tej pory nikt się o nie nie pytał, teraz jednak znalazł się ojciec prawdziwy i chciał ją zabrać do siebie. Nie wierzycie temu, są jednak pewne dowody. Dziecko to z pańskiej pochodzi rodziny; nie mogę powiedzieć, dla czego je rodzicom wydarto, ale tak było w istocie. Czas jakiś po wykradzeniu trzymano je na wsi u pewnej kobiety za opłatą, ale gdy się sprawczyńi płacić uprzykrzyło, położyła je na waszym progu, wiedząc żeście ludzie dobrzy i poczciwi, a bezdzietni, więc nie opuścicie sieroty.

— Ha! tak było rzeczywiście — westchnął Wojciech, głowę spuszczaając. — W noc zimną i dżdżystą, kiedy, jak to mówią, psa z domu trudno wygonić, usłyszeliśmy płacz dziecka pod oknem — a las był tuż, a jesienią wilcy się włóczyli, podchodząc aż pod zabudowania. Struchleliśmy, ujrawszy niebożatko w nędzną chuścinę owinięte, przemarzłe, splakane; można się było nieulitować? I zabraliśmy je, przytulili i ogrzali — a poznali prędko, że warta była naszych zabiegów i starania. I wychowała się i wyrosła piękna, jak żadna we wsi dziewczyna, a myśmy się cieszyli, jakby swoją. Ona też kochała nas i szanowała, jak rodziców, zado-

wolona była i szczęśliwa. Ach! niktby nam jej zabrać nie zdołał, gdyby nie nieszczęście.

— Mylicie się gospodarzu, ojciec rodzony ma do niej prawo; wy możecie żądać tylko nagrody za wychowanie, ale zabronić jej powrotu do ojca nie możecie. Dziś właśnie miał po nią przyjechać, naprzód jednak mnie wysłał, aby to oświadczyć.

Na te słowa gniew opanował Wojciecha; porwał się z ławy i zawołał porywczo:

— I on myślał, jakiś tam, że jabym mu zaraz oddał dziewczuchę? takiemu ojcu, co dziecka nie pilnuje? niedoczekanie jego!...

— Uspokójcie się, Wojciechu i pomyślcie — toć i on również nieszczęśliwy był, kiedy mu dziecko wydarto, a nie wiedział, gdzie je znaleźć; a teraz żał mu dziecka i chciał je mieć u siebie. A krzywdyby tam nie miała, o! nie! szczęście ją czekało i dostatek, bo to dziedzic bogaty, a przytem, człek dobry i szlachetny.

— Eh! co mi tam! nikogo znać nie chcę. Ja dziewczynę wychowałem, to moja.

Ale w tej chwili spostrzegł się, westchnął i pochyłając głowę, rzekł ciszej:

— Ha! Pan Bóg zrządził inaczej!... może to i lepiej.

— Oj! co też ty mówisz, okrutniku, — odezwała się z oburzeniem milcząca dotąd Wojciechowa. — Czyżby nie lepiej było oddać ją ojcu i cieszyć się jej szczęściem, aniżeli stracić zupełnie i tak nieszczęśliwie, że nam nawet mogiła po niej nie pozostała? Oj! biedneż my, biedne sieroty, cóżeśmy zawinili, że nas takie spotkało nieszczęście?

I zakrywszy twarz fartuchem, szlochać poczęła.

Wojciech spoglądał ponuro, zadumał się chwilę, wreszcie westchnął ciężko i rzekł:

— Człek zapędzony, w żalu, to i nie wie, co mówi, ale kto byłby lepszy na mojem miejscu? Chowałem tyle lat, jak swoją, a teraz chcę mi ją zabrać, nie pytając nawet, czy się zgadzam na to. Ale przecież z dwójga złego, toć i jabym wołał oddać ją, byle w dobre ręce. Jeśli się prawnie należy, aniżeli teraz zgon jej oplakiwać i nigdy już, nigdy nie oglądać. Ha! niebo mnie skaralo, że ją zabrałem dla siebie i myślałem zawsze, że gdyby kto się i upominał, to nie oddam. Stało się jednak inaczej... Przebac mi, Stefciu! jabym ci już i odejść nie bronił, byłem mógł przynajmniej kiedy niekiedy ciebie zobaczyć, byłem wiedział, że dobrze ci na świecie.

Tyle było smutku, a zarazem rezygnacji w tych słowach, że i Błażejowa uczuła się wzruszoną; pokiwała głową z ubolewaniem i odezwała się, pocieszając:

— Trudno, kiedy taka wola Boża, zgodzić się z tem potrzeba, ale co prawda, szczęście ją spotkało, co się zowie. Wiecież wy, czyja to była córka?

— Czyja mówcie, jeśli znam. Zawsze radbym wiedzieć.

— Znaie dobrze... — Zatrzymała się i patrząc na nich oboje, tonem uroczystym dodała: — dziedzica z Kalinowej Woli.

Oboje, jakby iskrą elektryczną poruszeni, porwali się z miejsc w największem podziwieniu.

— To być nie może — zawołał Wojciech — zawsze o nim słyszałam, że jedną ma córkę.

— Bo druga była u was — dokończyła poważnie Błażejowa.

Ha! ktoby to pomyślał! A jednak ten chyba nie zwodzi, jeśli tak mówi, to chyba już musi być prawda!... to zacny i pocziwy pan.

— Kogożeśmy to mieli w swoim domu, mój Boże! — mówiła, rozkładając ręce, Wojciechowa. — Ja to

zawsze mówiłam, że to pewnikiem pańskie dziecko, takie to było delikatne i rozumne. Oj! gdzieś ty, nasza biedaczko! czemuż nie doczekała skosztować szczęścia w pańskim stanie; jużbyś ci nie bronili i odejść od nas, byleś tylko żyć mogła w spokoju i dostatku.

Wojciech siedział z głową pochyloną i czas jakiś milczał zadumany, wreszcie podniósł wzrok na Błażewą i zapytał:

— Jak myślicie, będzie on jej żałował, jak się dowie?

— O! okrutnie — i jego siostra również. Aż strach pomyśleć, jak ja to powiem.

— Ja temu nic nie winien, niebo mi świadkiem, jabym jej własnego życia nie żałował.

— Wierzę wam obojgu, żeście się do niej przywiązali i myślę, gospodarzu, że wam przejśćby należało do Kalinowej Woli i porozmawiać z dziedzicem. On pewnie rad będzie coś się przynajmniej dowiedzieć o swej córce nieszczęśliwej. Może pójdziecie ze mną?

— Ej! nie mam ochoty, podumam jeszcze i z żoną się naradzę, bo i co ja mu będę opowiadał? Może on i słuchać nie zechce?

— Mylicie się; on was posłucha i dobre wasze serce oceni, przyjdźcie, koniecznie przyjdźcie.

— No, zobaczę, może zaprzęzę konika i przejadę się tam wieczorem, teraz nie mogę.

Błażewą więcej nie nalegała, a widząc, że już południe się zbliża, pożegnała Wojciechów i odeszła drogą ku Kalinowej Woli, niosąc tam wieść straszną, niespodziewaną.

Państwo siedzieli przy obiedzie, kiedy dano im znać że Błażewą powróciła. Wezwano ją natychmiast i ledwie się w progu ukazała, zarzucono ją py-

taniami, co się dzieje w Zaciszu i co też jej powiedziano. Ale ona stała przy drzwiach posępna, z pochyloną głową, milcząc uporczywie.

— Czemu nic nie mówicie, Błażewo? — spytała zdziwiona tem zachowaniem, pani Milecka — takżeście się bardzo zmęczyli? Siadźcie sobie, a powiadajcie, czyście ją widzieli i czy ona chce do nas powrócić?

— Nie zmęczyłam się wielce — odpowiedziała ogrodniczka — bo mnie z powrotem podwieźli, ale niewesołych rzeczy się dowiedziałam, to i nie wiem, co mam powiedzieć.

— Czy tam się stało coś złego?

— Mów, co takiego? może nie żyje?

— Tak, proszę państwa, wpadła w rzekę i utopiła się, a nawet jej ciała nie znaleźli.

Okrzyk zgrozy i przerażenia wydarł się ze wszystkich ust jednocześnie. Jakby piorunem, okropną wiadomością rażeni, wszyscy opuścili ręce w bolesnem odrętwieniu. Pan Saliński chwycił się za głowę, a kobiety rozplakały rzewnie.

— A więc to ona — przemówił po chwili złamanym głosem nieszczęśliwy ojciec — to ona uległa temu straszalnemu wypadkowi, o którym mi dziś rankiem opowiadano. O! czemuż mi o tem wcześniej nie doniesiono, byłbym ją może wyratował. Ach! więc nie było mi nawet przeznaczonem poznać, a choćby raz tylko zobaczyć biedne swoje dziecko. O! za cóż ją tak straszną spotkała niedola?

I biadał nad swym losem, zgębiony boleścią i żywo niespodziewanym ciosem dotknięty. Siostra mu w tem dopomagała, a cierpienie ich tem było cięższe, że poczuli w głębi duszy gorzkie wyrzuty, iż tak zaniedbali tę sprawę, tak długo zwlekali z odebraniem dziewczę-

cia, które wskutek tego uniknęłoby okropnej śmierci. Jadwiga tylko milczała, choć smutna była i załzawiona. Co się działo w jej duszy — niewiadomo, zdaje się jednak, że i ona szczerze żałowała biednej dziewczki, że i jej serce zaczynało wzdychać za tą towarzyszką i przyjaciółką, jakiej dotąd nie miała w tem cichem, wiojskiem ustroniu, a jaką z czasem z tej przybranej siostry przysposobiłoby sobie mogła.

Nie długo jednak danem im było zastanawiać się nad poniesioną stratą. Smutek ich miał się rychło zakończyć i, posłużwszy tylko do spotęgowania uczuć, w tem większą się zamienić radość. Bo oto nie zdołali jeszcze ochłonąć z pierwszego wrażenia, gdy na dziedzińcu rezległ się tentent konia i jakiś jeździec pośpiesznie przypadł do ganku. Spocony był i kurzem okryty, a z konia piana spadała kawałami; świadczyło to, że z pilnym przybywa interesem, że ważną przywozi wiadomość. Co to za wiadomość? zła, czy dobra? — takie zapytanie można było wyczytać we wszystkich oczach, które z ciekawością i niepokojem zwróciły się na dziedziniec. Jadwiga szybko podbiegła do okna i otworzywszy takowe, wezwała posłańca do siebie.

— Skąd przybywacie i od kogo? — zapytała.

— Mam list bardzo pilny — odpowiedział posłaniec, chustką pot z czoła ocierając — ale od kogo — nie wiem, nie znam tego pana.

Podał jej list, który ona natychmiast p. Salińskiemu wręczyła. Ten popatrzył na adres, obejrzał uważnie kopertę i zawołał mocno zdziwiony:

— Ależ to list od Wacława! co mu się stało? Miał odjechać nocnym pociągiem, a widocznie ze stacji przyśła gońca i to z piorunującym wykrzyknikiem: „ważne i pilne!"; ciekawym, dla kogo?

Rozerwał kopertę i głową pokręcił z niedowierzaniem.

— „Ważne i pilne“ — powtórzył, jakby do siebie — a miał czas tak szeroko rozpisać? Ha! no! i ja chwile swobodną mieć muszę, aby to spokojnie odczytać i zrozumieć, o co mu chodzi.

— Hej! Szymonie! — zawołał na przechodzącego parobczaka — zaprowadź tego człowieka do kuchni, niech się tam posili i odpocznie, zanim dam odpowiedź.

Spełniono polecenie, jeździec wraz z koniem zniknął z przed ganku, a p. Saliński powrócił na swoje miejsce i pogrążył w czytaniu. Chwil kilka upłynęło w niecierliwym oczekiwaniu, które obu kobietom wydały się długimi nieskończeniem. Nie śmiały jednak wtargnąć ani jednego słówka, śledziły tylko z niepokojem odbijające się na jego twarzy uczucia. A dziwna zmiana w jego rysach zachodziła; smutek, gniew, rozrzewnienie, wreszcie jakby odbłask wielkiej radości, kolejno ich wyraz zmieniały. Po dwakroć odczytywał niektóre ustępy tego listu, jakby swym oczom nie dowierzał, wreszcie porwał się z młodzieńczą żywością i podniósłszy obie ręce do góry, zawołał głosem drżącym ze wzruszenia:

— Niepojęte są sprawy Opatrzności. Niech Imię Boże będzie błogosławione! Po krótkim smutku tem większa nas radość spotyka. Córka moja żywa i zdrowa, i dziś ją zobaczymy.

— Więc uratowana! więc ją odnaleziono?

— Tak jest; Bóg nam ją powraca. Mówię nam, bo dziwnie się stało, iż Wacław do jej ocalenia rękę przyłożył, a teraz wziął pod swoją opiekę. Poczciwy chłopiec! jakież on ma dla niej współczucie.

Kobiety uradowane i drżące ze wzruszenia, pochwyciły list, odczytując go skwapliwie. Co się tam

działo w owej chwili, trudno wyrazić; jaka wszczęła się wrzawa, ile było zdań, szybkich narad i wykrzykników! Pani Milecka po Stefkę sama jechać chciała, ale brat nie zgodził się na to.

— Jadę razem z tobą, bo to jest moim obowiązkiem, a śpieszyć musimy bardzo, chcąc zastać Wacława, który nam z nią spotkanie ułatwi i sam spokojnie odjedzie w swoją stronę.

— Ale wieczór się zbliża, noce takie ciemne — zauważyła z obawą Jadwiga.

— Nie stanie się nam nic złego; droga wiadoma, konie każe zaprząć najlepsze, a Wincentemu do pomocy dam Szymka — to zręczny chłopak, może nam się przydać w podróży.

Jadwiga prosiła, aby i ją zabrano, ale p. Saliński odmówił stanowczo, zostać więc w domu musiała. Prędko przygotowano się do podróży i w niespełna godzinę lekki powozik, w parę dzielnych koni zaprzężony, wypadł przez bramę wjazdową na gościniec i podążył przez lasy i pola do stacji kolejowej. Jadwiga, stojąc na małym wzgórku w ogrodzie, skąd widzieć można było całą okolicę, długo, bardzo długo ścigała wzrokiem powóz, oddalający się szybko i ginący poza lasem świerkowym. Rada była szczerze z ocalenia Stefki, mimo to jakieś uczucie niepokoju i obawy ścisnęło jej serce. Rozumiała dobrze, że od tej chwili ona tylko cząstkę otrzymała tej miłości, jaką się dotąd cieszyła, że wiele ofiar znieść zapewne będzie zmuszona, wielu rzeczy się wyrzec dla tej przybranej siostry, że życie inne formy przybierze — i to ją trwożyło, jakkolwiek zupełnie na wszystko była zdecydowana. Stała więc teraz poważna i zamyślona, a gdy odjeżdżający zniknęli jej z oczu, pochyliła głowę na piersi, a dwie łzy ciche spadły niepostrzeżenie i w fałbankach stanika utonęły.

Zbiegła ze wzgórza i aby smutne myśli odpędzić, poczęła zrywać astry, georginie i inne jesienne kwiatki, a zrobiwszy z nich ładny bukiet, powróciła do swojego pokoju.

ROZDZIAŁ XI.

Połączenie.

Już noc czarna rozpostarła swe cienie nad okolicą i tylko gdzieś niegdzie gwiazdka z za chmur wyrzała, a Wacław jeszcze daremnie wyczekiwał wezwanych osób, albo powrotu posłańca. Przechadzając się po rozległym dziedzińcu stacyjnym, wyteżał wzrok i słuch ustawicznie, czy czego nie dostrzeże, lub nie usłyszy. Cicho jednak było i cicho, a czekającemu zawsze czas się wlecze powoli, zaczął się też na dobre niecierpliwieć. Do Stefki nie chodził wcale, nie chciał jej i siebie narażać na złośliwe gadaniny sług i lokai; dopilnował tylko, ażeby miała wszelkie wygody. Podano jej w południe smaczny obiad, którego ona ledwie zjadła połowę, leguminy, ani czarnej kawy nie dotknąwszy się wcale. Podwieczorek zaniósł jej sama bufetowa, która też zaraz prosić poczęła, aby ją już do domu puszczono, bo radaby tam wrócić jak najprędzej.

— Niech panna będzie spokojna — odrzekła na to tłusta jejmość — posłaniec dawno już pojechał i teraz ten pan, co pannę wyratował, wygląda, że już lada chwila nadjechać powinni. Trzeba się więc posilić na droge.

Słyszac to Stefka ucieszyła się niezmiernie i zabrała chętnie do mlecznej kawy z bułeczką, marząc

tylko o miłym spotkaniu. Nagle zwróciła się do bufetowej:

— Na co mi pani każe dawać tyle różnych potraw? przecież to wszystko musi drogo kosztować? Moi rodzice są biedni, ciężko im będzie zapłacić, jabym się i bez tego obyła, jam po pańsku nie przyzwyczajona

— Wszystko każe dawać i za wszystko sam płaci ten pan — z naciskiem odpowiedziała bufetowa.

— Jaki on dobry dla nieznaomej dziewczyny! jaki dobry! — wyrzekła Stefka z rozrzuwieniem.

— Musiał on pannę znać przecie, kiedy mówił jej nazwisko, tylko że teraz nie pamiętam, jakie.

— Kostrzewianka.

— O! nie! wcale nie; jakieś zupełnie inne, szlacheckie.

— Eh! to chyba się pomylił, albo pani może nie dosłyszała.

— A jakże, ja nie dosłyszałam! mam ja do tego wprawę, moje dziecko, bo nie mało tu się codzień ludzi przewinie. Takiegoż nazwiska i państwo mają tu przyjechać. Ach! kto wie, czy to nie oni, bo słyszałam turkot powozu; niech paniątka będzie przygotowana, że ich tu ten pan przyprowadzi.

To rzekłszy, zabrała szybko tacę z naczyń i szybko wyszła z pokoju, Stefka zaś z ciekawością pobiegła do okna zobaczyć, kto to przyjechał. Przy świetle latarni dostrzegła śniący powóz i dwa śliczne, w pięknej uprząży, konie. Z powozu wysiadali jacyś państwo, których twarze dostrzec nie mogła, dosłyszała tylko wykrzyknik Wacława:

— Ach! nareszcie! myślałam, że się nie doczekam.

— A! jakież w gorącej wodzie kąpany — odpowiedział jakiś głos poważny — i tak przebyliśmy tę

przestrzeń w stosunkowo krótkim czasie. Patrz! najlepsze konie, a jakie zgrzane.

Co dalej mówili, nie słyszała, bo weszli do wnętrza domu, nie odstępowała jednak od okna, przypatrując się koniom, których wielką była amatorką. Myślała sobie, jak to wygodnie siedzieć na miękkich poduszkach! A jedna, westchnęła, co onaby dała, żeby teraz mogła zobaczyć ubogi, w jednego konika mizernego zaprzężony wózek Wojciecha Kostrzewy z Zacisza! O! jak żeby była szczęśliwa!

Gdy o tem rozmyślała, nagle drzwi się otworzyły i do pokoju weszli przybyli, poprzedzeni przez Wacława.

— Dobry wieczór, panno Stefciu — odezwał się wesoło. — Ładne koniki pod oknem, nieprawdaż?

— O! bardzo ładne, proszę pana; ale po mnie ja-koś nikt nie przyjeżdża... a pan obiecał, że dziś jeszcze będę w domu ojca.

— Będiesz, jeżeli mnie posłuchasz i zaufasz zupełnie.

— O! tak; pan dla mnie tyle dobrego uczynił...

— A teraz chciałbym jeszcze coś lepszego uczynić — chciałbym, żebyś była szczęśliwa i bogata.

Popatrzyła na niego swemi dużemi, błękitnemi oczyma, nic nie rozumiejąc, do czego zmierza; wszak ona tylko o powrocie do domu myślała.

— Będę szczęśliwa, jak powrócę do domu.

— Powrócisz, ale nie wyglądaj furmanki z Zacisza, bo nie przyjedzie, ja ci przychodzę dać inny sposób dostania się; oto pojedziesz tym pięknym powozem i temi końmi.

Odkoczyła od okna, przerażona. Znowu jakaś zasadzka, znowu ją gdzieś zawieźć myśla!... o! nie!

nie! ona się stąd nie ruszy, a jutro pójdzie piechotą do-
pyta się i trafi do Zacisza.

Chciała coś odpowiedzieć, ale Wacław nie do-
puścił do słowa.

— Widzisz, że mi nie ufasz, kiedy się tak prze-
lekłaś, ale bądź spokojną, nie pojedziesz z nieznanymi,
nie! Oddaję cię pod opiekę ludzi dobrych, szla-
chetnych, których zresztą znasz zapewne i sama. Są
to dziedzice z Kalinowej Woli.

— Znam dziedziców z Kalinowej Woli, bo prze-
cież widuję ich w kościele, a pani to nawet we wsi u
nas była dwa razy za jakimś interesem.

— A widzisz; więc nie masz się czego obawiać;
oni cię zabiorą.

Ale dziewczyna stała zawstydzona i zafrasowana
mocno, co widząc pani Milecka, zbliżyła się dotykając
lekką jej ramienia, rzekła łagodnie:

— Cóż, moje dziecko, pojedziesz z nami? my cię
stąd zabierzemy do siebie, a jutro ojca zobaczysz od
rana.

Stefka milcząc, pochyliła się do jej ręki i serdecz-
nie ją ucałowała. Ale w tej chwili zaszło coś, czego
nikt z obecnych żadną miarą wytłumaczyć nie potrafił.
Ta pani strojna, szeleszcząca jedwabiami ją ubogą, ob-
darta wieśniaczkę przytuliła do piersi i ucałowała tak
czule, tak gorąco, jak tylko matka kochająca ucałować
umie. A ona naraz, zapominając o wszystkim: o róż-
nicy stanu, o zwykłej swej nieśmiałości, o tych, co
na nią patrzyli, natomiast przypomniawszy sobie
wszystkie bóle, trwogi, cierpienia dni ostatnich i, jakby
przeczuwając zacne serce, przed którym uskarżyć się
może, ciepłem serdecznego pocałunku poruszona, wy-
buchnęła naraz wielkim, jakby długo hamowanym, płą-

czem. Ten płacz żałosny, jakby pokazujący całą głę-
bię jej niedoli, a zarazem tę ufnosć instynktowną, to
jakby przeczucie swoich bliskich, choć jeszcze niezna-
nych, ogromne na obecnych sprawił wrażenie. Pan
Saliński z Wacławem spojrzeli na siebie, a obaj mieli
lzy w oczach; p. Milecka od łez się powstrzymać nie
mogła. Przez chwilę dała się jej spokojnie wypłakać,
potem chustką własną twarz jej otarłszy, poczęła po-
cieszać i zapewniać, że wszystko złe już minęło, że te-
raz spotka ją szczęście, o jakim nawet niema pojęcia.

Tymczasem Wacław zbliżywszy się do p. Saliń-
skiego, szepnął:

— Czy nie miałem słuszności, doradzając, aby jej
dopiero w domu odkryć powoli tajemnicę? — i to za-
wezawszy Wojciecha, aby z ust jego się dowiedziała,
że nie jest jej ojcem. Tu za dużo byłoby dla niej wra-
żeń, ona i tak rozdrażniona, a rzecz wątpliwa bardzo,
czyby uwierzyć zachciała. Niech ją więc państwo
zabierają jak obcą, a powoli przygotowują do tej nowiny.

— Masz rację, powstrzymać się tylko nie mogę,
aby jej nie ucałować; bo gdyby nawet innych nie by-
ło dowodów, dość na nią spojrzeć, by powiedzieć, że
to Salińska. Taka do matki podobna! te same oczy,
czoło, usta, te same bujne, cudne włosy! O! biedne
moje dziecko, mam cię więc nakoniec.

Podszedł do kobiet złaczonych uściskiem i ujmując
główkę dziewczęcia, przytulił do siebie i ucałował w
czoło, szepcząc słowa pociechy. A ona, jakby nagle
ze snu ocucona, zarumieniła się, zawstydziła, wymknę-
ła szybko z objęć p. Mileckiej, pocałowała dłoń p. Sa-
lińskiego i rzekła, spuszczaając oczy:

— Niech mi wielmożni państwo przebaczą, że ja

się zapomniałam, ale ja byłam bardzo nieszczęśliwa i nikogo znajomego nie widziałam od tak dawna...

— A przeczułaś, że my cię kochamy i życziwi jesteśmy — to dobrze, moje dziecko, nie gniewamy się wcale o to; bądź z nami zawsze szczerą. A teraz, mów — pojedziesz z nami co?

— Ach! jakże ja z państwem pojedę? wstyd im tylko zrobić, jam taka obdarta i...

— Nie turbuj się o to; mamy ciepłą burkę dla ciebie, cała się w nią owiniesz i zobaczysz, jak ci będzie wygodnie.

— Państwo tacy dobrzy, ale ja myślałam...

— Zapewne myślałaś, że przyjadą po ciebie z Zacisza, ale próżne byłoby twoje czekanie.

— A pan powiedział, że posyła do ojca — zwróciła się z wymówką do Wacława.

— I prawdę powiedziałem, bo dowiesz się nieza długo, że oprócz ojca w Zaciszu masz jeszcze na świecie drugiego ojca, który cię bardzo kocha i bardzo rad, że cię odzyskał.

— Jakże to być może? chyba to mój ojciec chrzestny, którego nigdy nie znałam.

— Dowiesz się powoli; a teraz ciesz się i raduj, że przebywasy dni ciężkie, rozpocznieś nareszcie inne, szczęśliwsze życie.

Ponieważ konie wytchnąć jeszcze potrzebowały, postanowiono więc razem wypić herbatę i odjechać dopiero po przejściu pociągu. Rozłokowano się tedy w tym pokoiku i tu kazano przynieść wszystko, co potrzeba, a wszyscy byli weseli i zadowoleni. Stefcie p. Milecka usadziła obok siebie, czemu ona w duszy wydziwić się nie mogła, skąd jej to szczęście, że nią nikt

nie pogardza, że ją tacy państwo do swego grona przyjmują.

Niedługo odezwały się sygnały, pociąg nadchodził, powstali wszyscy, żegnając Wacława. Stefka stanęła na boku, ale czuła, że jakoś smutno jej się zrobiło, że on odjeżdża, on, dla którego czuła wielką wdzięczność i którego życzliwości była tak pewna. Myślała, że o niej zapomni w pośpiechu, ale nieprawda! zbliżył się, podał jej rękę i rzekł:

— Do widzenia, panno Stefcu, mam nadzieję, że się jeszcze nieraz zobaczymy. Czy życzysz mi szczęścia na drogę?

— O! tak, z całego serca; bo pan mnie wyratował, a o tem nie zapomnę.

— Dobrze, dobrze, pamiętaj o mnie i pomódl się czasem, a ja ci piękny podarek przywiozę z zagranicy.

Jeszcze raz wszystkim dłonie uściśnął i wybiegł. W chwilę potem pociąg zasyczał, zasapał i pomknął siłą pary w dal ciemną. A z okna na pierwszym piętrze biegły za nim tęskne spojrzenia trzech osób tam pozostałych, ślących życzenia szczęśliwej podróży miłemu im młodzieńcowi.

— No, teraz i nam czas w drogę; konie już odpoczęły, jaśniej się nawet zrobiło na dworze, nie mamy po co zwlekać.

Kazano przynieść ciepłą damską burkę dla Stefki, otulono jej głowę szalem, i tak przystrojona, czuła, iż jej wygodnie i miło, a długie to okrycie osłaniało nawet jej bosc, podrapane nogi, bo o przywiezieniu bucików jakoś zapomniano.

W chwilę potem konie niecierpliwie grzebały ziemię przed gankiem, schodzili więc śpiesznie, sadowiąc się w powozie. Stefka do ostatniego momentu była

przekonaną, że pojedzie na koźle, mile więc była zdziwiona, gdy jej miejsce w powozie wskazano. Rozkoszowała się też pyszną jazdą, odpowiadała wesoło na zadawane jej pytania, powoli jednak zmęczenie ciała przemogło; ulegając przyjemnemu kołysaniu, pochyliła głowę i usnęła.

A powóz mknął szybko, przesuwając się między drzewami w lesie, podskakując na grubych korzeniach i różnych wybojach, tonąc kołami w piasku na cięższych drogi kawałkach, aż wydostał się wreszcie na gładki gościniec i popędził prosto do Kalinowej Woli, której domy i zabudowania majaczyły już zdala na ciemnym tle nieba. A Stefka nieświadoma swych przyszłych losów, spokojna pod troskliwą opieką, w senem rozmarzeniu zbliżała się do rodzinnego gniazda, gdzie nowe, a odmienne czekało na nią życie. Ocknęła się dopiero i otworzyła oczy wówczas, gdy skręcono w aleje, do dworu wiodącą.

— Czy byłaś kiedy w Kalinowej Woli? — zagadnęła ją p. Milecka.

— Nie, proszę pani, nigdy nie byłam.

— To rozejrzyj się i powiedz, czy ci się tutaj podoba.

— O! jakżeby mi się podobać nie miało! tak tutaj pięknie i wesoło.

— Bodajby ci tu dobrze i przyjemnie było! — westchnęła p. Milecka.

Stefka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Tyle już dziś słyszała wyrażen i zdań, które jej trudno było zrozumieć. Ot i teraz to tak wygląda, jakby ona tu zostać miała, a przecie ma gościć we dworze tylko do jutra. Czy państwo myślą, że jej się tu tak podoba, iż zostanie na służbie? O! nie, nigdy, ona woli w do-

mu u ojca, choć tam ubogo i skromnie; woli chodzić na zarobek, niż rodziców na stare lata porzucić, woli niską swoją chatkę, bo jej własna, więc miłsza, niż cudze pałace.

W myślach tych zatopiona, milcząc, spoglądała wokoło. Wjeżdżali właśnie w wielką bramę, nad którą cztery rozłożyste kasztany spłotły swe gałęzie, tworząc jakby dach, szeleszczący przy każdym wiatru powiewie, a zrzucając duże swe, żółknące liście, słały z nich jakby miękki kobierzec. W głębi, poza dużym, krzewami obsadzonym dziedzińcem, wynurzały się z cieniów nocnych białe ściany obszernego dworu, dalej czerniały wyniosłe drzewa ogrodu. Wszędzie panowała cisza i pustka, w oknach nigdzie nie widać żadnego światła, bo późna bardzo była pora, tylko dwa wielkie psy podwórzowe zerwały się z radosnem szczekaniem i pędem przybiegły od zabudowań. Nadszedł za nimi stróż nocny, a pukając do jednego okna, wołać począł:

— Hej! a coście tak wszyscy posnęli! otwórzcie co żywo! państwo przyjechali.

— Powoli, powoli, niech się tam rozbudzą — mówił pan Saliński, wysiadając z powozu. — Bogu dzięki, że już w domu jesteśmy nareszcie. A nic się tu złego nie stało?

— Wszystko dobrze, proszę pana. Państwu się też widać szczęśliwie jeździło... panienska jest...

— A jest, jest, mój Antoni, jutro ją poznacie i wszyscy razem cieszyć się będziemy.

Podał rękę siostrze, potem zwrócił się do Stefki:

— No, chodź, dziewczeczko, czas ci już odpocząć pod ojcowskim dachem. Nie lękaj się psów — dośa,

widząc że z trwogą na brytany spogląda — nie dam ja ci tu krzywdy zrobić.

Antoni psy odwołał, a Stefka znalazła się wnet na ganku, oplecionym zwojami dzikiego wina. W tej chwili zgrzytnął klucz w zamku, drzwi się otwarły i w progu stanęła zaspana pokojówka z lampą w ręku.

— O! jak to dobrze, państwo przyjechali, bo panienka tak się kłopotowała i niedawno dopiero spać się położyła.

— Pocziwe dziecko — szepnęła p. Milecka — trzeba się teraz cicho zachować, aby jej nie budzić.

— A, to pewnie druga nasza panienka? — spytała służąca.

— A tak, tak — odrzekł wesoło p. Saliński — jutro ją poznać.

Stefka zmieszana i zapłoniona, zostając ciągle pod dziwnym, niewytłumaczonym wrażeniem, że musiała tu zająć jakąś pomyłkę, nie śmiała ani się ruszyć, ani odezwać, co widząc p. Milecka, pociągnęła ją za sobą:

— Chodź, moje dziecko, do mieszkania, tatuś tu pewnie jeszcze zostanie.

— A tak, muszę wydać pewne rozporządzenia na jutro; dobranoc ci, Krysiu, dobranoc i tobie, moja córkucho.

To mówiąc, objął Stefkę ramieniem i pocałował w czoło.

— Jaki on dobry! — pomyślało dziewczę — mnie biedną wieśniaczkę córką nazywa — i pocałowała go w rękę.

Pani Milecka odprawiła służącą i sama Stefkę odprowadziła do jej pokoju, starannie i gustownie przybranego. Pięknie tam było i jakoś milej, niż w innych pokojach; różowa lampka przed obrazem Matki

Boskiej rzucała łagodne światło, dokoła, białe łóżeczko, zdobne w batysty i koronki, zdało się zapraszać do spoczynku, na stoliku stał bukiet ostatnich jesiennych kwiatów, które Jadwidze jeszcze zebrać się udało.

— Patrz, Stefcu, to twój pokój — czy dobrze ci tu będzie?

— Ach! proszę pani — odrzekła jakby z trwogą dziewczyna — jabym się w kuchni przespała; jam do takich wygod nie nawykła.

— Nawykniesz prędko i zobaczysz, że to ci przyjdzie z łatwością.

Pomogła jej zdjąć burkę i szal, zachęcając, by się coprędzej położyła, wreszcie ucałowawszy ją serdecznie, odeszła do swego pokoju.

Ale Stefka nie myślała o spoczynku, sen od niej uciekł daleko; usiadła na niskim krzeselku pod oknem, oparła twarz na rękę i zadumała się głęboko. Dwie doby zaledwie minęły od wypadnięcia we wodę, a ile już ona w tym czasie przeszła, przeżyła: Jak w sennem marzeniu przesunęły się przed jej oczyma straszne chwile nocy poprzedniej: poóróż z żydami... ucieczka... ocalenie, a potem? Potem, to wszystko, jak w bajce, dziwnie się odmienia: doznaje samej troskliwości, dobroci, pieśszcót, ale w tem wszystkim jest coś tajemniczego, niezwykłego, coś, co ją trwoży, zadziwia... coraz to słyszy jakieś słowo, którego znaczenia nie pojmuje. To też nic ją nie cieszy, nie bawi, radaby już coprędzej wrócić do swojej chaty, choć jej tu niczego nie braknie. I nagle w duszy poczuła jakiś smutek, żal i tęsknotę, choć sama nie wiedziała, skąd jej to przyszło i dlaczego. Pośniosła oczy na obraz Matki Boskiej i lzy rzewne popłynęły jej po twarzy.

W tej chwili cicho bez szelestu drzwi się otwarły

i w progu stała p. Milecka w białym kaftaniku i ze świecą w ręku. Nim się położyła, przyszła jeszcze zarzucić do Stefki, by się przekona, czy już zasnęła. Zdziwiła się mocno, widząc ją siedzącą i łzami zalaną.

— Co ci jest, moje dziecko? — rzekła, nachylając się do niej z cudością, czegoś ty smutna? czego płaczesz?

Na te słowa Stefka porwała się z miejsca i lzy fartuszekiem ocierając, szepnęła zakłopotana:

— Ja nie wiem, proszę, pani, tak mi jakoś tęskno do swoich, że rady sobie dać nie mogę.

P. Milecka przygarbła ją do siebie i sadzając obok na kanapce, spytała łagodnie:

— Więc tak ci tu źle między nami?

— O! nie! nie! Państwo są dla mnie bardzo do brzy, ale...

— Cóż takiego? mów śmiało, co ci się nie podoba?

Stefka zawahała się chwilę, wreszcie podnosząc na p. Milecką nieśmiało, ale pełne szczerości wejrzenie, rzekła tonem skargi serdecznej:

— Tego pojąć nie mogę, jakim sposobem ja biedna, wiejska dziewczyna znalazłam się w pańskim powozie i w pańskim pokoju; dlaczego tyle łaski i dobroci doznałam? Tego sobie wytłumaczyć nie umiem i to mnie niepokoi.

P. Milecka spojrzała na nią zdziwiona i zrozumiała, że bystry jej rozum nie mógł dłużej znosić zagadki. Nadeszła więc chwila stanowcza, prawdę nareszcie odkryć należało.

— Stefcu, — rzekła po krótkim milczeniu — widzę, że twoje serce przeczuwa tę wielką tajemnicę, jaką ci odsłonić zamierzamy. Rzeczywiście jest przyczyna i ważna przyczyna, dlaczego tak z tobą jak

z własnym, najmilszym dzieckiem postępujemy. Od dnia dzisiejszego w życiu twojem ma zająć zmiana ogromna, ale będzie to dla szczęścia twojego, dlatego kłopotać się nie powinnaś.

Dziewczę wpatrzyło się w nią zdumionemi oczyma i rozumiejąc, że znowu chcą ją oddalić od rodzinnego domu, z rozpaczą niemal, drżącym od wzruszenia głosem zawołała:

— Ach! dobra pani, ja nie chcę żadnej zmiany, żadnego szczęścia, bylebym tylko do domu rodziców wrócić mogła.

— Biedne dziecko! właśnie powracasz do rodzicielskiego domu, bo trzeba ci wiedzieć, że Wojciech Kostrzewa, ani jego żona nie są twymi rodzicami.

— Ach! nie! to być nie może; oni mi o tem nigdy nie mówili.

— Bo i pocóż mówiliby mieli? Byłaś dla nich córką i oni cię za córkę chcieli uważać całe życie. I takby było gdyby się prawda nie była wykryła. Ale przyszedł czas sprawiedliwości, czas wynagrodzenia krzywdy uczynionej. Bo oto posłuchaj: byłaś malefiką dzieciną, kiedy cię niegodziwi ludzie porwali, wykradli z domu ojca i na obcym progu porzucili. Całe szczęście, że trafiłaś na ludzi dobrych, pocciwych, co cię z radością do domu swego przyjęli. Ale że sami biedni byli, więc i ty nieraz biedy doznałaś i ty musiałaś ciężko na kawałek chleba pracować, szczęścia i swobody nie zaznałaś na świecie. Teraz dopiero otrzymasz to, co ci się słusznie należy, bo ojciec twój, dowiedziawszy się nareszcie gdzie jesteś i u kogo, zabiera cię do siebie, jako swą córkę, dziedziczkę swego rodu i mienia. Tak, moje dziecko, pan Saliński jest twoim ojcem, ja jestem ciotką twoją, a tam (tu na drzwi

przyległe wskazała) śpi twoja siostrzyczka, co cię też oczekuje z utęsknieniem. Ten pokoik i wszystko, co się w nim znajduje, twoją jest własnością, tu jest twój kącik rodzinny, tu chcemy, abyś była szczęśliwa.

Słowa te dźwięczały mile, słodko, jak muzyka, a oczy badawczo patrzyły w twarz dziewczęcia, co oszołomiona tak nagłą, a nadzwyczajną wiadomością, nie wiedziała narazie, czy ma się smucić, czy cieszyć tą niespodzianką. Więc to jej dom, jej rodzina! wszystko takie piękne i bogate, ale dla niej obce zupełnie i nieznane. Tu ją wszystko trwoga tylko przejmie, a tam, tam w ubogiej chacie są istoty, co ją tak bardzo kochają i które ona kocha tak gorąco. I teraz musi odejść od tamtych, a tu pozostać na zawsze — o! jak to ciężko! jak boleśnie!

I siedziała milcząca, z głową pochyloną, a piersi jej cichem podniosły się westchnieniem. Pani Milecka patrzyła na nią ze smutkiem, bo z twarzy jej dokładnie uczucia duszy wyczytała.

— Tyś smutna, Stefciu, — rzekła — nie cieszysz się z odzyskania rodziny — i nie dziwiw się temu; ty nas nie znasz jeszcze, a do przybranych rodziców sercem przylgnęłaś. Ale chciej nas zrozumieć: my twego szczęścia pragniemy, więc cię nie myślimy odrywać od dawnych opiekunów, ani bronić dla nich miłości. Owszem, spodziewamy się, że teraz odpłacisz im za wszystko, co dla ciebie uczynili, a mając więcej środków ku temu, wyprowadzisz ich z biedy i starość starość spokojną zapewnisz.

— Jakto! ja będę mogła coś dla nich uczynić? będę im mogła dopomagać?

— Tak, moja droga, ojciec się temu sprzeciwiać

nie będzie, owszem, każdem się szlachetnem uczuciem cieszyć nie omieszką.

Błysk radości rozjaśnił twarz dziewczęcia, z wdzięcznością podniosła oczy na p. Milecką, która tak daleko mówiła:

— Ojciec twój kocha cię i niczego żałować nie będzie dla twego szczęścia i zadowolenia, pamiętaj też, moje dziecko, że i jemu miłość się od ciebie należy. Dawniej miałaś zawieszony na szyi medaljonik z wizerunkiem twoich rodziców, dziś gdy on się zatracił, w sercu przynajmniej obraz ich wyryty mieć powinnaś. Matka twoja już w grobie, ale biedny ojciec czeka z utęsknieniem dziecięcej twej miłości i przywiązania. Czy chcesz zamieszkać z nami? czy chcesz uszczęśliwić twego ojca?

Tyle było uczucia w jej słowach, że Stefka do głębi wzruszona, osunęła się na kolana i usta do rąk poważnej pani przyciskając, cicho przez łzy wyszeptwała:

— Zostanę, tutaj, będę kochać mego ojca, jeżeli on mi tamtych kochać nie zabroni.

I w tej chwili, jakby coś sobie przypominając, sięgnęła ręką za gorset i wyjąwszy malenki złoty medaljonik, podała go pani Mileckiej, mówiąc:

— To mi zawsze, od dzieciństwa nosić kazano, bo na wierzchu jest wizerunek Matki Boskiej.

Pani Milecka, ujrawszy klejnot, krzyknęła zdumiona:

— Więc to ci pozostawiono! ach! to jest droga po matce pamiątka i jeszcze jeden dowód, żeś ty naprawdę Salińska.

Nacisnęła ukrytą sprężynę i, ku wielkiemu zżiwieniu dziewczęcia, medaljon się otworzył, a w środ-

ku ujrzała maleńkie, ale wyraźne fotografie p. Salińskiego i młodej, pięknej kobiety.

— To są twoi rodzice — rzekła ze łzą w oku. — Teraz już nie masz żadnej wątpliwości, boś ich podobizny przez całe życie w tym medaljonie nosiła. Czy otwierałaś go kiedy?

— Nie; nie wiedzieliśmy, że się otwiera.

Długo jeszcze siedziały obie na kanapce, przytulone do siebie, zasłuchane we wzajemne wynurzenia i mowy, oraz budzące się serc własnych uczucia. I snąc nastąpiło ostateczne porozumienie, snąc dobrotliwe i pełne słodczy słowa p. Mileckiej trafiły do serca Stefanji, bo wesołe i radością jaśniejące ukłękły razem przed wizerunkiem Najświętszej Panienki i długą chwilę na serdecznej, dziękczynnej modlitwie przepędziły. Gdy wstały po tej modlitwie, p. Milecka nie odeszła, dopóki nowa jej wychowanka do łóżka się nie położyła. Wtedy, całując ją serdecznie, nakreśliła krzyżyk na jej czole, mówiąc:

— Niech ci Bóg błogosławi, w tej nowej twej siedzibie — dobranoc!

— Dobranoc, kochana ciociu, — brzmiała odpowiedź dziewczęcia.

I tak się rozstały; chociaż nadto były wzruszone, aby mogły o śnie pomyśleć. Już świt począł dobrze w okna zaglądać, już się w całym dworze budzić zaczęło, gdy wreszcie sen miły skleił im powieki, kończąc wrażenia, niespodzianki i radości dnia tego.

ROZDZIAŁ XII.

Szlachcic i włościanin.

Wojciech Kostrzewa pomimo obietnicy, jaką był uczynił Błażejowej, nie wybrał się dnia tego do Kalinowej Woli.

— Po co ja tam pójde? — mówił do siebie — co powiem, kiedym marnie postradał dziewczuchę? im i sobie boleści napróżno przysparzać nie myślę.

I pomimo namowy żony, pozostał w domu.

Nazajutrz, ledwie słońce w górę cokolwiek podeszło, zaczął się w pole wybierać z wołami, by smutek pracą odpędzić, gdy wtem przed wrota zajechała jakaś porządna bryczka, parą ładnych koni zaprzężona.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — rzekł furman czapki uchyliwszy.

— Na wieki wieków — odpowiedział gospodarz, bliżej podchodząc.

— Czy tu mieszka Wojciech Kostrzewa?

— Tutaj; a co za interes?

— Interes to nie wiem jaki, ale chyba pilny, kiedy mnie tu wysłano z upomnieniem, abym gospodarza, Wojciecha Kostrzewę, przywiózł co prędzej do Kalinowej Woli. Pokażcie mi go, moi kochani.

— Toć to ja jestem, ale kiedy nie wiem, po co, to i nie pojade.

— A zlitujcie się, nie róbcie tego, bo pan dziedzic bardzo prosił i mnie z tem umyślnie przysłał.

Wojciech zachmurzył się i stał w milczeniu zadumany. Tymczasem przybyły zszedł z bryczki i otworzywszy sobie wrota, zajechał na podwórze. Przystą-

pił do Wojciecha i począł usilnie namawiać, aby nie zwłóczył z wybieraniem. Nadeszła i Wojciechowa, rzuciwszy kopanie buraków za drogą, i posłyszawszy o co chodzi, starała się też męża skłonić do podróży.

— Nie ma co, tylko ubierz się przystojnie — mówiła — w nową kapotę i jedź. Twoim obowiązkiem było pójść zaraz i oświadczyć, co się stało, a kiedyś tego zaniedbał i doczekałeś, że aż dziedzic przysłał po ciebie — to jedź koniecznie.

— A może i gospodyni by pojechała? bo pan powiedział, że mogą oboje przybyć do dworu i że ich tam czekają.

— A ja tam po co? co ja bym tam robiła? — poczęła się bronić kobiecina. Parobek też nie nalegał więcej — i została w domu, męża tylko co rychlej wyprowadziła.

Smutny i zafrasowany jechał Wojciech i nawet do parobka mało się odzywał. Siedział z pochyloną głową, a spuszczał ją jeszcze niżej, spotykając po drodze sąsiadów i znajomych, co przyglądali się z ciekawością, gdzie to on tak pańską bryczką paraduje. A kiedy ujrzał zabudowania dworskie, kiedy koło dworskiego jechali ogrodu, to taki żal go opanował, taki strach dziwny, że o mało z bryczki nie wyskoczył i nie umknął w swoją stronę, aby gdzie zdala od ludzi mógł się swobodnie wypłakać. Bo i jakże miał się nie smucić, na to wszystko, skoro wiedział, że ona z tego miała korzystać — a teraz w ciemnym grobie spoczywa. Po pierwszej chwili uniesienia, teraz gotów był ją panu ustąpić, byleby choć od czasu do czasu mógł ją zobaczyć.

Pogrążony w myślach, ani się spostrzegł, jak przed ganek zajechał. Stary sługa wyszedł na jego spotka-

nie, wprowadził do dużej sieni, potem otworzył drzwi do gabinetu, gdzie siedział pan Saliński z gazetą w rękę. Wojciech nieśmiało stanął w progu i gniotąc czapkę w rękę, wymówił:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — odpowiedział wesoło p. Saliński, i powstawszy, uściśnął serdecznie spracowaną dłoń gospodarza.

— Witajcie sąsiedzie, usiądźcie sobie tutaj — rzekł wskazując kresło przy stole — wytłumaczę się zaraz, dlaczego umyślnego po was posłałem. Oto mam wielką i radosną zwiastować wam nowinę.

— Oj! proszę wielmożnego pana, co mi po nowinach, kiedy mnie takie spotkało nieszczęście... Choć pono nie mnie tylko, lecz i pana dziedzica, bo nie wiem, czy prawdę mówiła stara Błażejowa, ale to miała być podobno pańska córka?

— Tak, moi drodzy, przecie to nie było wasze dziecko?

— Co nie, to nie — pocóżbym miał gadać nieprawdę. Położyli ją na naszym progu, to i wychowaliśmy. Jak swoją... ale cóż, nieszczęście...

— Minęło — przerwał mu wesoło p. Saliński — wiercie mi, ojcze, że minęło.

— Nie wiem, o czym pan dziedzic mówi, bo ja powiadam o tem nieszczęsnem utopieniu.

— Właśnie też o tem oznajmić wam chciałem. Wy jeszcze nie wiecie, że ona uratowana, różne przechodziła koleje, aż wreszcie dano nam znać, że się znajduje na stacji — i stamtąd przywieźliśmy ją do domu.

Wojciech słysząc te słowa, porwał się z miejsca i drżąc jak w febrze od wielkiego wzruszenia, zawołał:

— Jakto! więc ona żyje? więc naprawdę uratowana?

— Żyje, żyje, i zaraz ją zobaczycie.

— Ach! mój Boże! mój Boże! co to za szczęście! moje dziecko ukochane, więc ja cię ujrzę na tym świecie.

I nie wiedział, co ma począć z radości; śmiał się i płakał jednocześnie, zataczał, jak nieprzytomny, rzucił się wreszcie do p. Salińskiego i począł go po rękach całować. Ten do głębi wzruszony takim dowodem przywiązania do przybranej córki, począł go uspakajając i sadzając na nowo, odezwał się poważnie:

— Bogu niech będą dzięki, że nam pozwolił do czekać tak wielkiej radości; pilno mi też było i was pocieszyć, dlatego zaraz z rana posłałem do Zacisza, sadząc, że oboje z żoną przyjadziecie.

— O! dziękuję, bardzo dziękuję panu dziedzicowi, ale „moja“ jechać nie śmiała. Któżby się spodziewał, jaka nas tu spotka pociecha.

— Ha! no, nie przyjechała, to wy jej o tem powiecie, ja zaś wezwałem was nie tylko, aby was tą nowiną uradować, ale zarazem, aby o przyszłości waszej wychowanki pomówić. Jeżeli mi nie wierzycie, to złożę wam dowody, że ona jest moją córką rzeczywiście żyją jeszcze ludzie, którzy na to przysiąc będą mogli. Otóż mnie, jako ojcu, prawo do niej przysługuje, ja jednak chciałbym zgodnie z wami się poradzić i usłyszeć, co wy też o tem myślicie. Wyście ją wychowali, więc również do niej macie pewne prawa, ale ja, ojciec nie szczęśliwy, tyle lat jej widoku pozbawiony, proszę was, oddajcie mi ją bez sprzeczki, a ja wam za trudy wychowania, ile będzie w mej możności, wynagrodzę.

Wojciech ze zdziwieniem wpatrywał się w mówiącego, słów podobnych usłyszeć od niego wcale się nie spodziewał. To też pocziwie jego serce zaraz jak wosk

stajało, zapomniał o sobie samym, a mając tylko sprawiedliwość na względzie, rzekł dobroduszenie:

— Panie dziedzicu, kiedy to jest pańska córka, to już ja żadnej przeszkody stawiać nie mogę. Pragnąłem, aby z nami była całe życie, ale kiedy tak się stało, żalu mieć nie będę, bo wiem, że u pana posiadzie szczęście i dostatek, a u nas tylko pracy i biedy użyła. Ale trudno, nic więcej dać jej nie mogłem.

— Wychowaliście ją pocziwie, za to wam się wdzięczność należy.

— Oj! kochaliśmy ją, bardzo kochali oboje! Ale ja zawsze miarkowałem, że to pańskie musi być dziecko, bo była piękna i rozumna, jak żadna we wsi dziewczyna.

Nie dał mu się dłużej rozwodzić p. Saliński, powstał z miejsca i ściskając za rękę, powiedział:

— Widzę, żeście człek dobry i serce szlachetne pod ubogą kryjecie sukmaną; bądźmy odtąd przyjaciółmi. Ja wam bronić nie będę przystępu do niej, ona też kochać was nie przestanie. Zgoda więc między nami — a teraz chodźmy do kobiet, niech o zmianie swego losu z ust waszych się dowie.

Weszli do przyległego pokoju, ale ten był pusty, drzwi tylko oszklone, do ogrodu wiodące, stały otworem, świadcząc, że tędy ktoś wyjść musiał. Pan Saliński postąpił ku drzwiom i spojrzawszy w głąb ogrodu, zwrócił się z uśmiechem do Wojciecha i pociągając go ku sobie, rzekł:

— Patrzcie!

Nieopodal ganku, pod cieniem rozłożystej jabłoni, stał stół białym nakryty obrusem, zastawiony szklanami i talerzykami, a koło stołu, z rękami pełnymi noży i widelców, stały dwie młode panienki, widocznie za jęte nakrywaniem do śniadania. Jedna brunetka, o ró

zowej, delikatnej cerze, pięknych czarnych oczach, o wytwornych ruchach, kształtnej kibici i bogatych splotach kruczonych warkoczy, o całą niemal głowę przewyższała drugą, jasną blondynkę, o bladej twarzyczce i łagodnem, jakby trwożliwym spojrzeniu prześlicznych niebieskich oczu. Różowa jej sukienka, w pasie szeroką szarą ujętą, uwydatniała zgrabną figurkę, a sięgając tylko do kostek nie kryła drobnych nóżek, obutych w czarne pantofelki. Włosy, splecione w dwa warkocze i różowymi zdobne kokardami, spływały aż do kolan, a cała postać tchnęła jakimś urokiem skromności i prostoty, i choć ustępowała okazałym wdziękowi swej towarzyski, nie mniej od niej była uroczą i powabną.

Obaj patrzący w tę drugą wzrok swój utkwili, bo i któż się nie domyśli, że to była owa biedna, nieszczęśliwa Stefka, dziś ustrojona i wśród pieśszot ciotki i siostry życie w tym domu rozpoczynająca. Po nocy mało spanej, późno się wszystkie panie obudziły, a że dzień był jasny i pogodny, p. Milecka, chcąc wszystkim większą sprawić przyjemność, zaproponowała, że jeść będą śniadanie w ogrodzie. Z radością myśl tę przyjęto, a Jadwiga, wbrew swemu zwyczajowi, oświadczyła, że sama, przy pomocy Stefki, nakryje stół i przyniesie wszystko, co potrzeba. Przy tem tedy zajęciu zastali je dwaj mężczyźni do nich zdążający, i z przyjemnością przypatrywać się im poczęli.

— No, cóż, ojczu, poznajecie swoją wychowaną? — zapytał Wojciecha p. Saliński.

— Och! poznałbym ją wszędzie, choć się naprawdę w tym stroju bardzo odmieniła. Oj! paniątko ty moje — szepnął ciszej do siebie — czy też ty mnie teraz znasz i kochać nie przestaniesz?

Nie długo czekał na odpowiedź. Właśnie w tej chwili Stefka spójrzała w tę stronę i spostrzegła sto-

jących. Okrzyk radosnego uniesienia wyrwał się z jej piersi i wnet z otwartemi rękoma, lekka i zręczna jak sarenka, skoczyła ku domowi i nim stary wieśniak zdolał krok postąpić na jej powitanie, przypadła do niego i zarzuciwszy mu ręce na szyję, zawołała drżącym od radości głosem:

— Tatusiu mój kochany! więc ja was jeszcze oglądam...

Zadrżał starzec i zaszlochał głośno, porwał ją w ramiona i do piersi przytulił. Ta jedna chwila wynagrodziła mu wszystkie cierpienia, wszystkie łzy podczas bezsennych nocy wylane. Droższą mu się teraz i miłszą jeszcze wydała w tym dziwnym dniu powitania i rozłąki.

— O! dziewczyno moja! więc ty żyjesz! więc ja cię jeszcze na świecie oglądam, ach! jakżem szczęśliwy!

Ale tę radość wnet uczucie smutku przyćmiło, przypomniał sobie, że to już inna istota, że to nie jego córka, bo owa bosa, uboga ubrana Stefka zniknęła na zawsze ze świata i z progów niskiej jego chaty. Westchnął cicho i ucałowawszy ją w czoło, odsunął lekko od siebie.

— Niech cię Bóg błogosławi — wyszeptał — kiedy mnie kochać nie przestałaś.

Boleść tajona drgnęła w jego głosie; odczuła ją dziewczeczka i łzy zabłyśły w jej oczach.

— Powiedźcie wy mi jeszcze — odezwała się błagalnie — czy to wszystko prawda? czy ja rzeczywiście nie jestem waszą córką?

— Nie jesteś, o! nie! Myśmy cię wychowali, nie wiedząc, czyje dziecko mamy u siebie, dopiero teraz wszystko się wydało Stefciu, żal mi się z tobą rozłączać, ale muszę prawdę powiedzieć: oto jest twój oj-

ciec i jego odtąd kochać powinnaś... ale i o nas nie zapomnij — dodał ciszej.

— Więc kiedy tak mówicie, to już wierzę najzupełniej, ale nie bójcie się, i o was pamiętać nie przestane.

Była wzruszona, twarz jej płonęła rumieńcem, a oczy dziwnym zajaśniały blaskiem. Zwróciła je nieśmiało na p. Salińskiego, a gdy ten do niej wyciągnął obie ręce, jakby nagle pchnięta uczuciem, upadła w jego ramiona, z cichym okrzykiem:

— Tatusiu mój drogi!

I była to chwila wielka i uroczysta, chwila połączenia ojca z córką, zbratania się dwóch stanów: pańskiego i wieśniaczego. Odczuli to wszyscy obecni, bo otoczono ich kołem, zadźwięczały słowa serdecznych powinszowań, a na wszystkich twarzach widniała radość i głębokie rozrzewnienie. Stary Wojciech łączył ręce, ocierał, choć i on uśmiechał się radośnie, dwie sługi stojące w pobliżu, również płakały.

— No, teraz wszyscy siadajmy do stołu — odezwał się wreszcie p. Saliński — pora nam się posilić — i zwracając się do służby, dodał: — A przynieście nam miodu starego z piwnicy, musimy wypić po lampce na uczczenie dnia tego pięknego. Dziś przez to dziecko łączą się w serdecznej przyjaźni surdut z siermięgą, zadzierzga się węzeł zgody i miłości pomiędzy dworem i chatą.

A kiedy miód podano, nalał kieliszek i podnosząc go w górę, zawołał:

— Za zdrowie i pomyślność córki mojej, Anieli Salińskiej, i za szczęście i długie życie jej opiekuna Wojciecha Kostrzewy.

Spełniono toast, zabrzęczały kieliszki, Wojciech jak mógł — odpowiedział, pijąc za zdrowie państwa i dawnej

swej wychowanki. I zasiedli wszyscy ochoczo i wesoło do śniadania i bawili się tak mile i serdecznie, że gdy wreszcie Wojciech opuścił ten dom szczęśliwy, czuł się tak wzruszonym i uradowanym, jak nigdy.

Odwieziono go dobrmi końmi, jednak jazda zdawała mu się za długą, i chwilami chciał wysiąść z bryczki i pobiec do domu piechotą, tak pilno mu było radością, jaką go spotkała, podzielić się ze swą ukochaną Marcysią. Ledwie stanęli przed wrotami, zeskoczył szybko i, podziękowawszy woźnicy wpadł na podwórze.

— Stefcia nasza żyje! żyje! paniatko z niej teraz... o! i jakie jeszcze!... zobaczysz.

Kobieta myśląc, że zmysły postradał, wybuchnęła płaczem.

— Co ty mówisz? co ci jest? o! ja nieszczęśliwa! tego tylko jeszcze brakowało.

Chłop spostrzegł się dopiero wtedy i oprzytomniał. Toż ona tych wykrzykników zrozumieć nie mogła, należało jej wszystko dokładnie opowiedzieć. Pociągnął ją więc do izby i zdał sprawę ze swego pobytu w dworze. Oj! co też tam było radości i podziwiania, jakie łączyły rzesiste wylewała Wojciechowa, słuchając opowieści o swej ukochanej wychowance! Poczcwi staruszkowie, jak wszyscy dobrzy ludzie, cieszyli się oboje jej szczęściem i wyniesieniem, o sobie zapominając. A przyszło im to tem łatwiej, że byli przekonani, iż ona umarła, a więc dla nich straconą została. Tym sposobem nieszczęsny wypadek co tylu cierpień stał się przyczyną, posłużył teraz do złagodzenia ich smutku i tęsknoty, gdy ją powtórnie, na korzyść drugich, tracili. Radzi też byli copędzej dobrą się wieścią z sąsiedami podzielić, i zaledwie się sami ugadali, pośpieszyli drugim o tem opowiedzieć. I wnet po wsi gruchnęła wiado-

mość niezwykłą, obiegała lotem błyskawicy wszystkie domy i zakątki, i zawrzało wokół, jakby w ulu. Dziwili się ludziska i cieszyli pospół, radosna nowina z ust do ust przechodziła, odbieżano najpilniejszej roboty wobec tak ważnego wydarzenia, i kto mógł do chaty Wojciechów pośpieszał. Wkrótce na ich niewielkiem podwórzu było ludzi jakby na jarmarku, a wrzawa rozmów rozchodziła się daleko.

Franek najpóźniej się o tem dowiedział, bo dnia tego był w miasteczku za jakimś interesem. Słońce już zaszło, gdy do wioski powracał, a widząc zdala takie zbiegowisko ludzi w zagrodzie Kostrzewów, domyślał się, ale rzeczy wprost przeciwnej, okropnej, a mianowicie, że zwłoki Stefki odnaleziono. Szedł więc smutny i nieśpieszno mu było, bo strach go dziwny przeimował. Miał ochotę minać, ale nań wołać poczęto, śmiejąc się i machając czapkami. Zmiarkował tedy, że to coś innego być musi i przyspieszył kroku. Donieroż to zaczęto opowiadać mu na wyścigi o wszystkim, co się z jego ukochaną Stefcią wydarzyło. A on aż skakał z radości i uniesienia, słuchając tych opowiadań, osłabła tylko jego uciecha, gdy pojął, że przez zmianę stanu ona jest dla niego stracona.

— Czemużście ją nam oddali? — odezwał się z wyrzutem do Wojciechów.

— A jakżeśmy mogli zatrzymać? przecież wiemy, że nie jest naszym dzieckiem; lepiej już było oddać po dobrej woli, niżli się niesłusznie upierać.

— Ale dla nas ona przepadła.

— Ej, nie ze wszystkim. Gdybyś ty słyszał, jak tam pan pięknie mówił o zbrataniu się surduta z sukmaną i dworu z chatą chłopską, tobyś też nabrał nadziei, że nam ją nie całkiem zabrano.

— Wam to tak, ale nie mnie.

— A kto tam może wiedzieć, co przyszłość pokaże, toć to najwięcej od jej woli będzie zależało.

Oczy Franka zabłysły nadzieją; przecież ona go oddawna kochała, czy teraz zapomni, czy nim pogardzi? Chyba nie, wszak była taka dobra dla niego... Ale z drugiej strony ona teraz pani, a on biedny wieśniak, gdzież mu oczy na nią podnieść i do niej się przybliżyć.

Takiemi zajęty myślami, wymknął się z gromady i pośpieszył do siebie, unosząc w duszy uczucie żywej radości z ocalenia ukochanej dziewczyny, żalu i tęsknoty za szczęściem straconem, oraz nieśmiałości, ale błogiej nadziei, że ona go z dumą i obojętnością nie odepchnie. Płonącą była ta nadzieja, ale snąć już było sądzono, aby ten dzień radości i wesela dla nikogo smutku nie zasępił się chmurą, aby zarówno nad pańskim dworem, jak nad wieśniaczą strzechą, anioł pokoju i miłości rozpostarł swe skrzydła i snami złotemi ukołysał zboliałe niedawno serca, łącząc przyjaznem życliwością uczuciem siedziby szlachcica i włościanina.

ROZDZIAŁ XIII.

Powitanie i uczta w Zaciszu.

Dnia następnego była niedziela, a choć dzień wypadł posępny i chłodny, liczniejsze, niż zwykle, tłumy dążyły do parafialnego kościoła. Wielu obok pobożności prowadziła ciekawość, spodziewano się bowiem ujrzeć tam cudownie odzyskaną córkę dziedzica z Kalinowej Woli, której historia głośną się stała w całej okolicy. Najliczniej i najwcześniej zebrali się mieszkańcy Zacisza, bo im najpilniej było ją zobaczyć. Śpieszyły dziewczęta, rozmawiając o tak niespodziewanem szczę-

ściu i wyniesieniu dawnej swej towarzyszki, zazdroszcząc jej w duszy takowego; śpieszyła młodzież, co dla niej zachowała szczerą przyjaźń i uwielbienie, a wśród grona starszych podążali z bijącym sercem Wojciechowie, aby się jej widokiem ucieszyć. Wbrew swemu zwyczajowi nie podążyli wprost do kościoła, ale stanęli pod rozłożystą lipą na cmentarzu i wzrok utkwili w drogę do Kalinowej Woli wiodącą. Nie oni jedni czekali, bo wnet zgromadziło się ludzi dużo, że ksiądz, idący do kościoła, zaledwie mógł się przecisnąć.

— Zaraz będzie nabożeństwo — rzekł, zachęcając, by szli za nim.

Idziemy, idziemy, księżu proboszczu — odezwano się chórem, ale nikt się z miejsca nie ruszył.

Nagle szmer powstał, słychać było głosy:

— Jada! jada!

Każdy wzrok skierował ku drodze, gdzie wśród tłumów kurzu mknął szybko powóz, parą dzielnych koni zaprzężony. Poznano te konie zdaleka i nikt nie wątpił, że to ci, na których czekano. Za chwilę powóz zatrzymał się przed bramą cmentarza, a siedziało w nim cztery osoby: oboje państwo i dwie młode panny w jasnych płaszczykach i kapeluszach z niebieskimi wstążkami.

— Stefka! Stefka — rozszedł się cichy okrzyk wśród zebranych.

— Nie Stefka już, ale panna Aniela — odezwał się Wojciech, łzawem okiem ścigając swą wychowaną.

A ona wysiadając z powozu, podniosła oczy na tłum zebrany, ale widząc wszystkie spojrzenia na siebie zwrócone, spuściła je natychmiast i płonąc żywym rumieńcem, wzruszona i onieśmielona, podążyła za swą towarzyszką i znikła we drzwiach kościoła. Poruszył się teraz i lud zebrany i jak fala zaczął płynąć do świą-

tyni. Wnet się i nabożeństwo rozpoczęło, ale dnia tego nie modlono się tak pobożnie, jak zazwyczaj. Wielu pewnie nie umiałoby powiedzieć, co ksiądz proboszcz mówił na kazaniu, bo wszystkie umysły czem innem były zajęte, a wszystkie oczy na ławkę Salińskich zwrócone, gdzie w kornej postawie, z oczyma na książkę spuszczone. Nie śmiała ich podnieść ani razu, bo czuła się dla wszystkich widowiskiem, twarz jej płonęła pod tem wrażeniem, jak róża pod palącymi promieniami słońca. A modliła się gorąco, serdecznie, miała tyle próśb i tyle dziękczynień Panu Bogu do złożenia! Tydzień temu modliła się ot tam, w kącie i spoglądała ukradkiem na tę ławkę blisko ołtarza, na tego poważnego pana z siwymi wąsami, na tę panią w pięknej jedwabnej sukni, a najbardziej na tę pannę śliczną, strojną uśmiechniętą, co się jej ze wszystkich pań i panien najpoważniejszą wydawała. A dziś ona sama pomiędzy temi paniami, z pełnem prawem do ich imienia i majątku; ona w takiej pięknej niebieskiej sukience, w płaszczyku i kapeluszu! Jakaż to odmiana! Ale nim do tego przyszło, ile ona przecierpiała! a w jakim straszem była niebezpieczeństwie! cóżby się z nią stać mogło, gdyby nie miłosierdzie Boże? Za wszystko więc składała gorące dzięki Panu Jezusowi i Matce Najświętszej, całą duszą tonąc w rzewnej modlitwie i rozmyślanii. A była wtedy tak piękną, patrzący oczu od niej oderwać nie mogli, bo się im niemal aniołem wydawała.

Skończyło się nabożeństwo, tłumnie opuszczono świątynię i znowu ludno i gwarno na cmentarzu się zrobiło. Tylko państwo z Kalinowej Woli modlili się dłużej, niż zwykle. Chcieli uniknąć ciekawych i natrętnych nieraz dopytywań i powinszowań sąsiadów, przez

wzgląd na Anielę, którejby to przykrem być mogło, czekali więc, aż się arystokracja miejscowa rozjedzie. I tak się stało. Nim wyszli z kościoła, znikły wszystkie prawie piękne pojazdy, a tylko ich konie niecierpliwie grzebały ziemię kopytami. A oni szli wolno, rozglądając się dokoła i jakby kogoś szukając oczyma. Aniela, postępując przy boku ojca, drżała ze wzruszenia; a podniósłszy oczy i ujrawszy tyle twarzy znajomych, zapłoniona, rozradowana, kłaniać się z uśmiechem poczęła. W tej chwili zaszumiało w tłumie, las czapek podniósł się w górę, a szept wyraźny, choć cichy, rozszedł się dokoła:

— To ona! to nasza Stefka! jaka piękna! jaka strojna!

A ona słyszała te odgłosy i dziwnie jej się tęskno i radośnie, miło i straszno zrobiło, i nie śmiała odezwać się do nikogo, wzrokiem tylko wodziła dokoła. I znalazła widać, czego szukała, bo przystała nagle i zwracając się do ojca, szepnęła jedno słowo: „Sa!”

— To dobrze — odrzekł p. Saliński — idź do nich.

Ledwie tych słów domówił, a już dziewczę w tłum się wmieszało i wnet z cichym okrzykiem radości rzuciło na szyję ubogiej wieśniaczce, co lży ze wzruszenia wylewając, stała pod kasztanem. O! jakież to serdeczne było powitanie! jakaż radość i uniesienie niezmiernie, tego opisać niepodobna. Był tam i stary Wojciech, podeszli wszyscy państwo, wspólnie się cieszone, a zebrani dokoła wieśniacy wydziwić się i napatrzeć nie mogli szczęściu i zaszczytowi, jakie tych ubogich, skromnych ludzi spotkały.

— No, moi drodzy — odezwał się wreszcie p. Saliński — dałem się wam przywitać z dawną wychowanką, ale tu nie miejsce na rozmowy. Trzeba, żeby Anielcia we własnym domu was odwiedziła, wracajcie więc do

siebie, a my za godzinę do was przybędziemy, wstąpimy tylko na probostwo. Mam nadzieję, że i sąsiedzi przyjdą na powitanie — dodał z uśmiechem.

Radością zabłyśły oczy Anieli, radość zajaśniała na twarzach Wojciecha i jego żony, skłonili się panu, pokornie dziękując za obietnicę, i podążyli do Zacisza. Sypnęli też za niemi gromadnie starzy i młodzi nietylko z tej wsi, ale i okolicy. I nie zawiedli się, bo miał to być dla nich dzień wesela i zabawy, gdyż p. Saliński na uczczenie odzyskanej córki zamierzył wyprawić ucztę dla dawnych jej przyjaciół i sąsiadów; wszystko ku temu w sekrecie przed nią przygotowano. I kiedy Wojciechowie weszli do swej zagrody, ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zastali już na podwórzu dwa wozy dworskie, beczułkami i różnemi paczkami napełnione. Skoro się dowiedzieli, że to państwo z Kalinowej Woli przysłali jadło i napitki na przyjęcie wszystkich, co by paniąkę powitać przyszli, — puścili po wsi tę wiadomość, a skutek był taki, że wnet podwórze Wojciechów gości pomieścić nie zdołało, aż mnóstwo ich stanęło na drodze, a dzieci, jak stada gołębi, obsiadły dokoła wszystkie drzewa i ploty, ba! nawet dach piwnicy i w kącie podwórka wysoko ułożoną kupę kamieni.

— Trzebaby jej nawzajem sprawić jaką przyjemność — naradzać się pomiędzy sobą poczęto.

— Zbudujmy bramę triumfalną, tak to na powitanie stroją — doradzali chłopcy.

— Ech! może to nie wypada? — medytowali starsi.

— Co niema wypadać; toż to nieraz w czasie uroczystości jakiej we dworze urządzają.

— Ofiarujmy jej bukiety z kwiatów; toć ich jeszcze coś w ogrodach znajdziemy — mówiły dziewczęta.

— A to wy jej ofiarujcie, my bramę stroimy — brzmiała odpowiedź chłopców.

I wnet projekt w czyn wprowadzono. Dwie grube tyki, jednakowej długości, otoczono zwojami zielonych gałęzi, paproci i tartaku, po które ochoczo dziatwa rozbiegła się na wszystkie strony. U góry połączono tyki pięknym wieńcem ze świerku, traw różnych i georgonji. ustawiono to ponad wrotami — i brama była gotowa.

A ledwie zdążyli wszystko uszykować, jak należy, gdy już oczekiwani goście nadjechali. Wsiadając z powozu Anielę dziewczętą kwiatami i zielonemi gałązkami zarzuciły, a ona, rumieniejąc się jak róża, pod ich spojrzeniem, dziękowała im serdecznem słowem i uśmiechem; kwiaty zaś z ziemi podnosząc, w bukiet układała. Drżąc z wzruszenia, weszła przez zieloną bramę na podwórze swej dawnej zagrody, a kiedy po pierwszych powitaniach uciszyło się cokolwiek, p. Saliński poprosił o głos i w te odezwał się słowa:

— Kochani sąsiedzi! — Wiadomo wam już, że wychowanka tutejszych gospodarzy, znana we wsi Stefanja Kostrzewianka, jest moją córką rodzoną. Wykradziona w niemowlęctwie przez niegodziwą kobietę, teraz mi szczęśliwie wróconą zostaje. Składając Bogu za to dzięki, pragnę zarazem i z wami, wśród których żyła i pracowała tyle lat, radością się moją podzielić i zapewnić wszystkich, iż radbym, aby przyjazny stosunek między nią a wami na zawsze pozostał. Czasby już było, aby miejsce dawnych niechęci i uprzedzeń, istniejących pomiędzy dworem a chatą wieśniaczą, zajęła szczerą, zobopólna życzliwość. Czasby już było, aby odwieczne swary i niezgody ustały między nami na zawsze, a obywatele i włościanie poczęli wspólnie dla dobra swej ziemi rodzinnej pracować. Na tej spójni i zgodzie szczęście zarówno biednej naszej ojczyzny, jak i nasze własne zależy. Żyjmy więc i pracujmy dłoń w dłoni i serce przy sercu, nie słuchając burzycieli, co chcą nas roz-

dzielić i powaśnić ze sobą. Gromada — to wielki człowiek; głową jego winni być ci, co więcej od Boga otrzymawszy, nauką większą obdarzeni, prędzej pokierować i w każdej sprawie lepiej doradzić i pomóc potrafią. A wy wszyscy, jako członki tego zbiorowego człowieka, chciejcie zrozumieć, że wam światłej rady, że wam wskazówek i pomocy często potrzeba i że takowych u starszych braci waszych, t. j. u szlachty, szukać powinniście z zupełnem zaufaniem. Co do mnie, radbym z całej duszy, aby to się stało jak najprędzej — i to dzisiaj, w tym dniu tak dla nas uroczystym, pierwszy wyciągam do was dłoń przyjaźni i braterstwa i pragnę, aby przez to dziecko pod waszą ubogą strzechą wychowane, złączyły się nasze myśli i zamiary do wspólnej i owocnej, dla dobra powszechnego, pracy.

— Oto jest — mówił dalej, obejmując córkę swem ramieniem — już nie Stefanja Kostrzewianka ale Aniel Salińska, dziedziczka dóbr moich i rodu mojego, zarazem siostra i przyjaciółka wasza. Nie wydzierać ją wam, ani ją z wami rozłączyć zamierzam, ale, owszem, przez nią węzeł zgody i miłości serdecznej między mną i wami zadzierzgnąć pragnę. Mam nadzieję, że nam swej przyjaźni nie odmówicie, razem się więc dzisiaj cieszyć i bawić będziemy, by uczcić ten dzień radosny. Niech żyją bracia z pod słomianej strzechy! Niech żyją!

W czasie tej przemowy cisza panowała uroczysta w całym zgromadzeniu, ale gdy skończył i przy ostatnich słowach podniósł w górę kapelusz, tłum zebrany poruszył się i zaszumiał, jak fala zbóż wiatrem kołysanych, podniosły się ręce, w górę czapki poleciały, a ze wszystkich piersi wyszedł jeden, potężny okrzyk:

— Niech żyje dziedzic z Kalinowej Woli! niech żyje Aniel Salińska!

I powstał gwar wielki, zakłębiło, zakotłowało się

w tej licznej gromadzie i zapanowała radość powszechna. P. Salińskiego znali i szanowali wszyscy, przystępny i uczynny dla każdego, niejednemu wielką wyrządził przysługę, śpiesząc chętnie z radą i pomocą. Ludziska to pamiętali, sławili dobroć jego w okolicy, to też łatwo mu było wieśniacze serca pozyskać. Wysunęło się też zaraz kilku starszych gospodarzy i w prostych, ale gorących słowach dziękowali mu, że nie pogardza prostaczkami, że pragnie ich dobra i pomyślności, jakie niewątpliwie w przyjaźni z ludźmi zacnymi i mądrymi znaleźć mogą. Wszczęła się też zaraz żywa, poufna gawęda, do której coraz to się ktoś nowy przyłączał, młodzież tymczasem cisnęła się do bohaterki dnia tego — do Anieli.

A ona witała się ze wszystkimi radośnie i ochotczo, ścisła zbliżające się do niej dziewczęta, a dalej stojące, albo mniej śmiało sama wyszukiwała, chcąc każdej swą życzliwość okazać. Biedna tylko Kasia, serdecznie za swą winę żałująca grzesznica, przystąpić do dawnej towarzyszki nie śmiała. Przypatrywała się jej zdaleka, wspominając z przykrością wszystko czem jej dokuczyła niegdyś, zazdrością i niechęcią powodowana. Dziś więcej miałaby jej czego zazdrościć, zmieniła jednak przekonanie i wstydziła się dawnych postępów. Aniela sama ją wynalazła i uściskała, nie słuchając nawet i nie chcąc się zastanawiać nad tem, co ona jej mówić zaczęła, prosić o przebaczenie. Serdecznemi słowami ucieszyła ją i uspokoiła, serce jej na zawsze dla siebie zjednywując.

Gorzej było z Frankiem; ten sam nie mógł zrozumieć, co się z nim działo, czuł tylko jedno, że weselić się, jak drudzy, nie może. że mu ciężko jakoś na sercu i żal go niezmierny i dziwna ogarnia tęsknota. Ta uroczą, w pięknej niebieskiej sukni panienka, to nie jego

Stefka w skromnym gorseciku i w koralach na szyi, prosta i uboga, jak on do życia pod strzechą wieśniaczą i do pracy na roli przeznaczona. Tamta jego była ukochaną i tamta już nie wróci, — do tej on nie śmie się przybliżyć, bo i nie wie nawet, jak ją powitać i jak do niej mu przemówić wypada. Stał więc na uboczu ze zwieszoną na piersi głową i smutnie rozmyślał nad wieczną szczęścia nadzieją i nad tem, co teraz czynić wypada. Tak zadumany, nie słyszał nawet, jak ktoś się zbliżył do niego i dopiero podniósł głowę, gdy dłoń jakaś dotknęła jego ręki.

— Franku! a ty mnie nie witasz? — zabrzmiał jednocześnie głos Anieli miły i wdzięczny, jak odgłos muzyki, lub pieśni.

On drgnął na dźwięk tego głosu, zdjął szybko czapkę z głowy i pokłonił się jej w milczeniu.

— Nic mi nie powiesz? ani słowa — spytało dziewczę z żalem widocznym.

On westchnął.

— A cóż ja powiem? ot, to, co i wszyscy: winszuję ci, panienko, szczęścia i wyniesienia tak niespodziewanego.

— A czemuś taki smutny? czemu się nie radujesz ze wszystkimi?

— A bo mi markotno, żeś ty już nie nasza, że do tej wioski nie wrócisz...

— Ha! trudno, kiedy tak wypadło; jednak ja o was nie zapomnę; moi opiekunowie i ty i wszyscy dawni przyjaciele drogimi być mi nie przestaną i, o ile tylko mi pozwolą, będę tutaj przyjeżdżać, by się z wami i wioską moją kochaną ucieszyć.

— Eh! co mi z tego, że ty czasem przyjedziesz, że cię na większą żalność zobaczę zdaleka.

— A cóż wolałbyś, żebym się była utopiła i żebyś mnie nigdy nie oglądał?

— Oj! nie mówcie takich rzeczy, panienko, bo mi przykro słuchać. Dziękuję Panu Bogu serdecznie, że was od śmierci wybawił, ale przecież nie mogę patrzeć spokojnie, że was zabrano... Ja was tak miłowałem i cieszyłem się nadzieją, że będę miłować przez całe życie.

Anieli lzy stały w oczach, smutek Franka i jej się udzielił, żal go jej było i nie wiedziała, co ma powiedzieć, czem pocieszyć. Czuła w tej chwili, że nic mu nie może obiecywać, bo nie ma prawa rozporządzać swą przyszłością — i na tę myśl dziwnie jej tęskno i przykro się zrobiło. Tak, ona z nim w wieśniaczej chacie mogłaby być bardzo szczęśliwą; choć w pracy i ubóstwie, ale w miłości i zgodzie, życieby im wesoło, spokojnie upływało. A teraz? czy ona wie, co ją czeka? co ją spotkać może? Cóż z tego, że będzie bogatą, ale czy będzie zadowolona, szczęśliwą? Ale trudno. taka jej dola, zgodzić się z nią musi, toć jest u rodzonnego ojca, u ojca tak dla niej dobrego, czegoż się więc trwożyć?... Podniosła na chłopaka swe oczy łzami zamglone i rzekła serdecznie:

— Nie martw się, Franku, że ja do was nie wrócę, kto wie, co tam jeszcze być może; wy zawsze dla mnie miłym być nie przestaniecie. I mnie będzie tęskno za wami, ale trzeba nam się zgodzić ze swym losem.

— Tak, wam to łatwo przyjdzie, bo się wam nowe szczęście i nowe, wygodniejsze życie uśmiecha, ale my tu zostajemy bez pociechy.

— Ja o was nie zapomnę, nigdy, a jak tylko uzysczę pozwolenie, wpadnę tu zaraz, by się z wami wszystkimi w cichości ucieszyć, bo dziś tyle ludzi, na-

wet obcych zupełnie, że trudno swobodnie porozmawiać.

Oczy Franka zabłyśły radością.

— O! przyjdźcie tu jak najprędzej, a wielce nas tem ucieszycie.

— Przyjadę, napewno przyjadę; tylko Franku, rozchmurz czoło i baw się razem z drugimi.

Odeszła, bo ją ciotka przyzywała do siebie zdaleka, a Franek z budzącą się w sercu nadzieją, spokojniejszy już i weselszy, chcąc spełnić żądanie dziewczęcia, wmieszał się w koło hałaśliwej młodzieży, by śmiać się i bawić razem z nimi.

Pan Saliński, zajęty rozmową z gospodarzami, nie zwracał uwagi na zachowanie córki, zostawiając jej zupełną swobodę. Oczu jednak p. Mileckiej nie uszła dłuższa Anieli z chłopcem młodym rozmowa. Zwróciła się do najbliższej wieśniaczki z zapytaniem, co to za jeden, ta jej powiedziała, że to dawny narzeczony p. Anieli. Zamyśliła się pocziwa ciotka nad tem, co im czynić należało, aby serce Anieli od tego niestosownego związku oderwać i chłopcu również go wyperswadować, tak jednakże, aby rozrywając uplanowane połączenie, nie unieszczęśliwić obojga. Zadanie to było trudne do przeprowadzenia, trzeba się było dobrze zastanowić i dobrze, z całą oględnością i roztropnością do niego zabierać. W paru słowach oznajmiła to panu Salińskiemu i Franka mu nieznacznie pokazała.

— Nie martw się, Krysiu, damy sobie radę, tylko powoli i z wielką miłością, a dokonamy swego. Pokażemy dziewczęciu świat inny, inne zadania i przyjemności, a zapomni o nim z pewnością. Ona taka młoda, dziecko prawie, może nawet nie wie jeszcze, co to miłość; starsi tak umyślili, to i przystała; wogóle wieśniacy w sentymencie się nie bawia. Sądzę, że i jemu

nie trudno to będzie wyperswadować przez ludzi rozsądnych i poważnych.

Tak uspokoiwszy siostrę, wszedł znowu pomiędzy najstarszych gospodarzy i począł ich przekonywać o konieczności wprowadzenia jakiejś zmiany w dotychczasowej uprawie roli; na Anielę jednak baczniejszą począł zwracać uwagę. Ale ta już więcej do Franka się nie zbliżyła, przedstawiała głównie z dziewczętami, albo też swym opiekunom opowiadała wszystkie przygody ostatnich kilku dni, od wpadnięcia w rzekę, aż do odkrycia tajemnicy jej pochodzenia — czego oni z wielką ciekawością i serdecznym wzruszeniem słuchali.

Tymczasem na podwórzu ustawiono stoły, z kilku sąsiednich domów zniesione, ponakrywano je białymi obrusami, a gdy tych nie starczyło, wprost płótnem nowym, tegorocznego, wiosennego wyrobu, w czym Aniela i swoją rozpoznała pracę. Dziewczeta, pod przewodnictwem przybyłej ze dworu klucznicy, układały na stołach całe stosy chleba, serów, placków, pieczonej baraniny i innego mięsiva, przeplatając je koskami jabłek i orzechów; chłopcy znów zdejmowali z wozów baryłki piwa i miodu. Wnet rozpoczęła się uczta suta i ochocza. Oboje państwo i obie panienki, chodząc pomiędzy zebranymi, zachęcali do jadła i napoju i zważali, aby nikt nie był pokrzywdzony. Znikały też szybko nagromadzone zapasy, krążyły z rąk do rąk szklance, wznoszono przy miodzie wesole okrzyki na cześć pana, pani i obu panienek, zwłaszcza tej ukochanej dawnej ich sąsiadki i wychowanki.

Już i mrok gęsty coraz więcej zapadał, wyławiając resztki dnia jasnego, zabawa przecież nie ustawała, owszem dochodziła do najwyższego szczytu, ochota i podniecenie wzrastały z każdą chwilą. P. Saliński widząc, że tu jeszcze daleko do końca, szepnął siostrze, iż

czas im powracać do domu, wnet się też żegnać począł. Poruszyli się wszyscy, posypały się podziękowania, serdeczne oświadczenia przyjaźni i życzliwości, przy czem ten i ów spoglądał jakoś z żalem na stoły i szklance, nie opróżnione jeszcze jak należy.

— Dobrzy ludzie — odezwał się p. Saliński — zabawy wam nie przerywamy, używajcie darów Bożych, a jeżeli chcecie — oto przed wami długi wieczór jesienny, macie tu pieniądze na opłacenie muzyki, zabawcie się tedy tańcem, aby dzień ten pozostał dla wszystkich miłym wspomnieniem.

Młodym tego dwa razy nie trzeba było powtarzać; kapela w lot się znalazła i wnet daleko po pustych polach popłynęły odgłosy wesółych tanów i wiejskich piosenek, a echo ich dogoniło jeszcze odjeżdżających i odbiło się w sercu Anieli, co pogrążona w zadumie, rwała się myślą do tej wioski i miłych jej mieszkańców. Widząc to pan Saliński i pragnąc jej uwagę na co innego zwrócić, zaczął z nią rozmowę, zapytując czy jest z dnia dzisiejszego zadowolona.

— O bardzo! bardzo, serdecznie dziękuję tatusiowi — odpowiedziała z zapałem.

— Jak myślisz, a oni czy są kontenci?

— O! tak; bezwątpienia. Mówiono mi, że dzień ten na zawsze pozostanie im w pamięci.

— To dobrze; takbym chciał, aby nareszcie ci ludzie zrozumieli, że w panach nie wrogów mają, ale przyjaciół. Teraz myślę, nad tem, że wartoby trwalszą im jakąś zrobić pamiątkę twego między nimi pobytu.

Aniela spojrzała na mówiącego z wdzięcznością, a on dodał po chwili:

— I cóż ty myślisz, czegoby im najwięcej było potrzeba?

— Nie wiem, ojczulku, to jedno wiem tylko, że im

wszystkim prawie bieda dokucza, że im brak często kawałka chleba. Gdyby tak można cokolwiek ulżyć ich doli, ach! jakieżby to szczęście było!

— Cieszy mnie to, moje dziecko, że wrusza cię ich niedostatek, ale wiesz, jakim sposobem najskuteczniej pomóc im można? Oto posłuchaj. Ziemi oni mają niewiele, ale i ta wyżywiłaby ich dostatecznie, byleby się nauczyli większe z niej ciągnąć korzyści. A do tego potrzeba oświaty. Podać im rękę pomocy, to, mojem zdaniem, najpierw założyć im szkołę dla dzieci, a czystelnię dla starszych. Niech się uczą, niech rozszerzają zakres swych wiadomości, a łatwiej zdobędą sposoby zapracowania na swe utrzymanie i lepiej dźiać im się pocznie.

— Myślisz o postawieniu szkoły w Zaciszu? — wtrąciła pytanie p. Milecka.

— Tak, ale wtedy dopiero, gdy moja Aniela oceni wartość nauki i tak się sama do książki zabierze, aby z czasem mogła być pierwszą w tej szkole nauczycielką. Toby dla nich była najlepsza pamiątka, a dla niej najchlubniejsze z nimi obcowanie. I cóż ty na to, moja córko? czy chciałabyś do światła wiedzy i nauki prowadzić dzieci dawnych swych sąsiadów? czy chciałabyś, aby przez twe ręce to wielkie dobrodziejstwo otrzymali?

Aniela w radosnem uniesieniu pochwyciła rękę p. Salińskiego i do ust ją przycisnęła.

— Och! jakiś ty dobry, ojczulku, ach! jakby to dobrze było! Ale czy zdołam tyle się nauczyć? czy to możliwe?

— Moje dziecko, taka jeszcze jesteś młoda, że tu nic niema niepodobnego, zwłaszcza, że Bóg ci udzielił zdolności; pracy tylko potrzeba i wytrwania, a wielkich dokonasz rzeczy.

I dalej potoczyła się rozmowa w tym przedmiocie, a Aniela z żywym zainteresowaniem uchwyciła się myśli, że kiedyś mogłaby być nauczycielką w Zaciszu. Myśl ta, z rozważą przez p. Salińskiego rzucona, padała w chwili najodpowiedniejszej, w chwili, kiedy z tęsknotą do wioski tej się wyrwała i przemyśliwała nad sposobami zbliżenia do jej mieszkańców, między którymi tyle miała serc kochających i kochanych. Pan Saliński, człowiek doświadczony i rozumny, a znający ludzkie usposobienia, obawiał się, czy zdoła tak łatwo nakłonić córkę do oddania się nauce, której przecież potrzebowała koniecznie. Dobrze rozumiał, że długo ona jeszcze do tych, między którymi się wychowała, tęsknić nie przestanie, serce jej więc i uczucia postanowił na jej i ich pożytek wyzyskać; pojmował bowiem, że ukazując jej ponętny cel do pracy, tem ją do takowej jedynie zachęcić zdoła. Rachował przytem, że oddawszy się nauce i od dawnych marzeń oderwawszy, łatwiej o Franku zapomni. I szlachetne jego zamiary dopięty swego. Duszę dziewczęcia rozbudził do nowych marzeń, do pracy pożytecznej, do czynu; wskazał jej nową drogę życia, po której pnać się do upragnionego celu, miała przynieść chlubę i pociechę zarówno zacnemu ojcu, jak i wszystkim mieszkańcom Zacisza, a sobie trwałe i prawdziwe szczęście zgotować.

Wprawdzie niebiorąca udziału w rozmowie Jadwiga, uśmiechała się ironicznie, jakby z politowaniem, słuchając tych projektów, nikt przecież tego nie widział, bo ciemno było, nikt na to nie zwracał uwagi. Jadwiga nie wierzyła, że Aniela zdoła nabyć potrzebnych do otrzymania patentu wiadomości, nie wierzyła, by do tego starczyło jej sił i wytrwania. Nie mogła przytem pojąć, jak to można nazywać szczęściem nauczanie wiejskich prostaczych dzieciaków? Toć to męka nie

do wytrzymania, jakież w tem można znaleźć zadowolenie? I takież to szczęście gotuje ten kochany ojciec swej jedynaczce? zaprzęga ją do ciężkiej, mozolnej pracy teraz i w przyszłości pracę jej ukazuje, jakby ona tego potrzebowała, jakby nie mógł jej stworzyć życia wygodnego i pełnego przyjemności? Nie zazdrościła swej towarzyszce — i nie dziw; od zepsutych koleżanek na pensji, z czytania lekkich, próżnych książek nauczyła się cenić rozrywki i przyjemności światowe, nie rozumiejąc, że prawdziwego szczęścia właśnie tam nie ma, że blask ich zwodniczy prędzej czy później uleci, a w duszy zostawi tylko pustkę i zniechęcenie.

Pani Milecka przeciwnie, cieszyła się z tego projektu i choć nie przypuszczała, aby on kiedyś doszedł do spełnienia, czuła jednak, jak zbawienny wielki wpływ wywrze to na Aniela, od ilu złego ją uchroni, ile znacznych pocziwych myśli i pragnień w młodej duszyczce rozbudzi. I błogosławiła tę myśl i podtrzymać ją starała się najusilniej, a po powrocie do domu wyjednała u Jadwigi przyrzeczenie, że do nauki będzie zachęcała Anielę i dopomagać jej, o ileby tego zaszła potrzeba, nie omieszką.

A Aniela tego wieczoru dłużej, niż zwykle klęczała przy swoim białem łóżeczku i w obraz Matki Bożej zapatrzona, modliła się gorąco o spełnienie zbudzonego w jej duszy pragnienia, o pomoc i siłę do przedsięwziętej pracy, z której w przyszłości miał płynąć pożytek dla jej ukochanych wieśniaków. I zasnęła zadowolona, szczęśliwa, a śniła noc całą o zastępach drobnych dzieł, których ona wielu pięknych rzeczy nauczy, o swych przybranych rodzicach, którzy ją podziwiać i błogosławić będą i o Zaciszu, gdzie stanie piękny, nowy budynek szkolny — i czytelnia, cel jej marzeń we śnie i pracy na jawie.

ROZDZIAŁ XIV.

Na nowej drodze.

Kilka tygodni upłynęło od owej uczty w Zaciszu, kilka długich jednostajnych tygodni, w których prosta, czyste dziewczę, Stefka Kostrzewianka, coraz bardziej przemieniać się zaczęła w pannę Anielę Salińską, coraz bardziej stosować i przyzwyczajać do nowego położenia. Z natury bystra, uważna i umiętna, łatwo spostrzegła, czego jej niedostaje i przyglądając się zachowaniu drugich przy stole, przy gościach i w każdej okoliczności, usiłowała przyswoić sobie to, czego jej brakowało w obejściu i ułożeniu. Uległa woli starszych i pełna szczerego do nich zaufania, wierząc, że wszystko, czego ją uczą, albo w czem przestrzegają, dla jej dobra jest czynione, — chętnie przyjmowała uwagi i upomnienia p. Mileckiej i życzliwe rady Jadwigi. To też, nabywając oglady towarzyskiej, wrodzona jej piękność coraz większym jaśniała wdziękiem, coraz bardziej pociągała oczy i serca patrzących.

— Jaka ona piękna! — mówiła nieraz p. Milecka do brata.

— Jakaż to śliczna ta nasza panienka — szeptali domownicy.

Ona o tem nie wiedziała i tem się nie zajmowała, a choć zwierciadło odkrywało jej czasem tę miłą tajemnicę, mówiła sobie, że Jadwiga jest od niej piękniejszą i przypuszczała, że dlatego tak ładnie wygląda że jest pięknie ubrana. Lubiała się stroić i cieszyła ją każda nowa wstążka, każdy najdrobniejszy szczegół, mający służyć ku ozdobie, bo i któraż młoda dziewczyna tego nie lubi? A jednak nieraz tęskniła za swoim strojem wieśniaczym, za barwnym gorsetem, krótką zgrab-

na spódniczką, sznurami paciorek i koralu. Jak w tem było wygodnie i swobodnie! a te pańskie stroje krępują, takie niewygodne! Wzdychała też często do wieśniaczej prostoty, życie obecne nieraz ją męczyło, ale zrozumiawszy, że to jest jej przeznaczeniem, poddała się spokojnie swemu losowi, tembardziej, że miłość rodziny coraz silniej ją do tego zniewalała.

Do nauki zabrała się z całym zapałem i to zaraz dnia następnego po powrocie z Zacisza; miłość braci wieśniaczej była jej do tego stopnia podniecią, przytem do pracy od dzieciństwa przyzwyczajona, bez zajęcia żyć nie umiała. Zagadnęła ojca rano przy śniadaniu, kiedy do książki zabrać się będzie mogła.

— A choćby dziś, moje dziecko, jeżeli masz ochotę — odpowiedział ojciec. — I ja i Jadwisia i ciotka nawet, o ile jej czas pozwoli, najchętniej ci w tej pracy pomagać będziemy, nauczymy i wytłumaczymy co będzie potrzeba, śmiało więc i ochotczo bierz się do dzieła.

— Dobrze, dobrze — zawołała z radością — ale skądże książki weźmiemy?

— O! to rzecz najłatwiejsza: zaraz je mieć będziesz.

Wyszedł do drugiego pokoju, dał jakieś rozporządzenie i niezadługo służący wniósł sporą skrzynkę drewnianą i postawił ją na podłodze. Aniela spojrzała z nieutajoną ciekawością.

— Tu są dawne książki Jadwisi, teraz jej nie potrzebne, tobie więc wszystkie oddaję; możesz je obejrzeć i zabrać do siebie.

Serdecznie ucieszona, poskoczyła do skrzynki i podziękowawszy ojcu i siostrze za podarunek, wzięła się do oglądania swych skarbów. A był tam rzeczywiście piękny dobór książek dla dzieci i młodzieży, zarówno do nauki, jak i rozrywki przeznaczonych. Miała się

czem zająć i ani spostrzegła, jak jej wśród tych książek czas upłynął do obiadu. Umiała dobrze czytać i pierwsze wiadomości otrzymała już przeszłej zimy od panien z Zacisza, nauka jej więc zupełnie obcą nie była. Teżoż dnia po południu pierwsza lekcja, z ojcem odbyta, sprawiła na niej silne wrażenie. Wyszła z jego gabinetu szczęśliwa, zadowolona, jakby naprawdę znalazła to, do czego oddawna wzdychała.

Odtąd kilka godzin dziennie poświęcała nauce, coraz bardziej nabierając do niej upodobania. Czytywała chętnie książki, starannie przez ojca dobierane, reszcie czasu zbiegało jej na drobnych zajęciach domowych; pomaganiu ciotce, spacerach z Jadwigą, a czasem dalszej przejażdżce. I tak upływały jej dni i tygodnie; coraz swobodniej postępowała tą nową życia drogą, chociaż wiedziała, że nieraz na niej i ciernie znajdować będzie. O! bo nauka — to rzecz ciężka, mozolna, wiele ona trudów i pracy wymaga; może i Aniela prędkoby się do niej zniechęciła, gdyby nie rozumny, a troskliwy kierunek ojca, gdyby nie piękny cel, jaki sobie wytknęła, a do którego nauka miała ją doprowadzić! Ach! bo pomimo wygod i szczęścia, w jakie opływała, nie zawsze czuła się zadowoloną. Nieraz w jej piersi zrywała się jakby burza gwałtowna tęsknoty i dziwnych, niewytłumaczonych pragnień, którą ciągnęły ją tam, do wioski ubogiej, do niskiej wieśniaczej chaty, do tych dwojga starszków, których od dzieciństwa rodzicami nazywać przywykła. Była wtedy jak to pisklę zabrane z gniazda i do pięknej klatki przeniesione, gdzie mu niczego nie braknie, głód, ani zimno nie dokuczy, tyle pięknych rzeczy dokoła otacza, a jednak źle mu tam i smutno i ciężko, gdyż miłszem dlań było nędzne gniazdko rodzinne, zimną wichurą wstrząsane, na różne przykrości narażone. Tak! bo każdy nawyka do swe

doli i najszcześniejszy bywa w miejscu, gdzie wyrósł, gdzie się wychował. Dlatego to ludzie szlachetni, gdy los im inną, choćby lepszą dolę zgotuje, swą skromną przeszłością nie gardzą i miłe dla niej zachowują wspomnienie...

I Aniela, choć dostatkiem otoczona, upieszczona miłością rodziny zacnej i wielkimi przymiotami serca i umysłu obdarzonej, jakkolwiek kochała ich i czuła się tu zadowolona, o dawnej swej siedzibie i dawnych opiekunach myśleć nie przestała. Nie przestała być dzieckiem wsi, miłującym swobodę pola i lasy ojczyste, niską chatę i pracę wieśniaczą i do tego serce jej się rwało.

Wówczas to marzyła o chwili powrotu do nich w roli nauczycielki, wówczas najbardziej zachęcała się do wytrwałości w pracy nad swym wykształceniem i zacna myśl niesienia pomocy tym, wśród których wzrastała, była jej najsilniejszą do nauki pobudką i zachętą.

I tak upływały dni i tygodnie, zbliżała się zima, niezwykle ostra od początku. Z drzew resztki liści opadły, mróz wodę ścinał w sadzawce ogrodowej, wiatr niósł tumany śniegu coraz częściej, coraz suciej ziemię białym całunem do snu zimowego otulając. Aniela coraz rzadziej wybiec mogła na swój ulubiony wzgórek w ogrodzie, coraz smutniejszy widok pustki i odrętwienia oczom się jej przedstawiał, coraz też częściej bywała smutną i zamyśloną.

— Nad czem się tak zadumałaś, moja córko? — spytał raz p. Saliński, widząc to jej zamyślenie.

Podniosła na niego wilgotne oczy i odrzekła nieśmiało:

— Myślałam o moich biednych dziadkach (bo tak Wojciechów odtąd nazywać jej kazano), jak im tam zimno i smutno być musi teraz. Chata nędzna, ciepła nie

zatrzyma, zaś w samotności niema ich komu rozerwać, a w pracy wyręczyć.

— To prawda — izekł, zamyślając się p. Saliński — trzebaby coś na to poradzić.

— Wybierz się do nich — dodał po chwili — i zawieź im ode mnie zaproszenie, aby na czas zimowy przynajmniej przenieśli się do dworu, kiedy nie chcieli opuścić całkiem swej gospodarki. Inwentarz z sobą tu przyprowadzą, dom zamkną, sprzęt cały zachowają do wiosny, a do omłotu zboża pošlę ludzi na parę dni, i wszystko zrobią. Dostaną tu ciepłą izbę, opał i ordynarię — i nie będzie im braknąć niczego. Wreszcie — dokończył patrząc na rozradowaną twarz Anieli — sama o nich będziesz mieć staranie.

Za całą odpowiedź rzuciła się ojcu na szyję i pocałunkami okryła jego ręce.

— Jakiś ty dobry, ojczulku, — wyszeptala ze łzami w oczach.

— Radbym, abyś była szczęśliwa i zadowolona a spodziewam się, że nią zostaniesz, gdy będziesz mogła świadczyć dobrze tym, którym w życiu wiele zawdzięczasz.

Nadeszła i p. Milecka, rozpoczęła się narada, i wkrótce potem małą bryczuszką, zaprzęzoną w parę ślicznych kucyków, ciepłym futrem otulona, jechała Aniela do Zacisza. Radość błyszczała w jej oczach, radość wielka, bo miało się stać zadość jej pragnieniu obdarzenia wygodami i dostatkiem tych dwojga starszków, co przez tyle lat dla niej żyli i pracowali, po raz pierwszy jechała do nich sama, bo choć odwiedzała ich dość często, zawsze jednak w towarzystwie ciotki, albo Jadwigi. To ją trochę krępowało; nie mogła wpaść w każdy kącik, wszystko zobaczyć, o wszystko zapytać.

Teraz więc marzyła, że za wszystkie czasy z nimi

się ucieszy i nagada, a nakłonić ich musi, aby się do dworu przenieśli.

Było już po południu, kiedy zajechała na podwórze. W chacie cisza panowała, tylko od stodoły dochodził odgłos młocki i zmieszany z nim klekot międlicy do tarcia lnu. W całej wsi słyszać było też samo, praca wrzała w całej pełni. Zeskoczywszy z bryczki, pobiegła do stodoły.

— Witajcie, dziaduniu, witajcie — wołała z daleka — rzućcie cepy, bo wasza Stefka do was przyjechała.

Spojrzał stary Wojciech, roześmiał się wesoło, rzucił cepy na klepisko i podążył na powitanie ukochanego gościa. Usłyszała ten głos i Wojciechowa i prędko strzepując kurz i paździoły lniane ze swego ubrania, wyszła pośpiesznie z za stodoły.

— Z kim przyjechałaś? — zapytał Wojciech po pierwszych słowach powitania — bo my tacy zabrudzeni i obdarci, że wstyd się pokazać. Ty, wiem, że się nie podziwisz, bo znasz wiejską robotę, ale państwo...

— Nie bójcie się, dziaduniu, niema nikogo, chodźcie prędzej do izby, mam dla was dobrą nowinę.

I sama skoczyła zamknąć stodołę, by się kury do zboża nie dostały. W chwilę później siedzieli już wszyscy na ławie około komina, na którym Wojciechowa suty ogień rozpałała, siedzieli przytuleni do siebie i tak szczęśliwi, że o całym świecie zapomnieli. Aniela opowiedziała im o projekcie i życzeniu ojca, aby się do dworu przenieśli; ale oni pokiwali głowami:

— O! moje dziecko kochane, jakże tu wszystko opuścić i zaniechać, toć niepodobna.

— Inwentarz weźmiecie z sobą, zboże wam wymłóca, wszystko się pozamyka — tłumaczyła Aniela — zresztą coraz tu zaglądać będziemy. I tylko do wiosny,

do czasu rozpoczęcia roboty; przecież im tego odmówić nie możecie. Tam będziemy razem, będziemy się codzień widywali. Ach! ja tylko o tem marzę — dla mojego szczęścia uczynicie to koniecznie. Nieprawdaz, dziaduniu?

— I patrzyła im w oczy tak błagalnie, tak mile, że serce do niej się rwało, nie prędko jednak Wojciechowie namówić się dali. O! bo trudno opuszczać własną chatę, choćby się i wiedzało, że do niej powrócić będzie można niedługo, bo to tak przykro u obcych szukać schronienia, choćby to byli najżyczliwsi, u siebie bowiem najlepiej. Ale czego prośba ukochanej istoty nie zdoła? Musieli jej ulec ostatecznie, boć ich zapewniała, że skoro im tam źle będzie, powrócić im nikt nie zabroni, ona sama przeszkód wtedy stawiać już nie będzie, ale jeszcze w tem dopomoże. Zgodzono się tedy i stanęła umowa, że Wojciech zaraz z nią pojedzie podziękować dziadziowi i ostateczne umówić się co do różnych szczegółów i co do czasu przeprowadzki. Aniela, dopiąwszy swego, nie posiadała się z radości: śmiała się, żartowała, trzepotała, jak płasze, a starym serca rosły, że ona taka piękna i taka szczęśliwa. Wyjęła z bryczki koszyczek, w którym ciotka różnych zapasów naszykowała dla jej kochanych dziadusiów, rozłożyła to wszystko na stole i rada była z ich zadowolenia.

— A cóż Franek? — zagadnęła, gdy społem do jadła zasiedli.

— A cóż, chodzi markotny, bo przeczuwa, że mu ciebie nie dadzą, że przepadły jego nadzieje.

— Szkoda mi go, ale mu powiedzcie ode mnie, że mnie teraz zameńczcie nie w głowie, ja muszę się uczyć, bo mam zostać u was w Zaciszu nauczycielką.

Spojrzeli na nią oboje zdumieni.

— Ty masz się uczyć? ty masz zostać nauczyciel-

ką? a na cóż to tobie? czyż ojciec twój nie jest dość bogaty, aby ciebie utrzymać bez pracy?

— Ach! tu nie o to chodzi, tylko obiecał wystawić szkołę w Zaciszu, ale wtedy dopiero, gdy ja będę mogła zostać w niej nauczycielką. A ja tak pragnę uczyć nasze wiejskie dzieci, pragnę doprowadzić wioskę do oświaty, bo oświata da im większy dostatek i większą pomyślność przy umiejętniejszej pracy i zabiegach około roli. Ja tylko marzę o tem, kiedy do was powrócę, a powrócę, aby wam dobrze czynić.

Słowa te wymówiła z zapalem, z ogniem w oczach, z jakąś dumą szlachetną i przeświadczeniem o sile, która jej pozwoli dopiąć zamierzonego celu. A starzy wieśniacy przyglądali się jej z podziwieniem i w głowie im się pomieścić nie mogło, skąd przyszła jej ta ochota do nauk, skąd takie pragnienie zobaczenia szkoły w Zaciszu.

— I tobie chce się teraz zasiadać do książki i tak się męczyć, kiedyś ty bogata i dostatkiem otoczona? — pytała jej Wojciechowa, co sama z wielkim trudem niegdyś ledwie się czytać nauczywszy, zrozumieć nie mogła chęci do nauki. — Teraz u ojca nic ci nie brakuje, potem wyjdiesz zamaż bogato i poco ci pracować?

— O! moja babciu! właśnie w bogatszym stanie więcej nauki potrzeba. Jak do nas kto z gości przyjedzie i mądre się rozpoczną rozmowy, to ja się wstydzę, że nic nie umiem i nic nie rozumiem. Mylnie sądzą ludzie, że u panów dzieci nic nie robią; oj! namęcza się one może stokroć więcej, niż wiejskie dzieci przy swoich zatrudnieniach, bo nauka, to rzecz ciężka, mozolna. Już i ja nieraz myślałam sobie, że lepiej mi było pleć, żąć, albo kołowrotek obracać, niżeli się uczyć; ale za to z nauki taka przyjemność i tak wielki płynie pożytek, że trudno się zniechęcać, trudno za-

niedbować, kiedy można z tego dobrodziejstwa korzystać. Ale wy o tej szkole nic jeszcze nie mówcie do nikogo, chyba do Franka, pod wielkim sekretem, bo ja sama nie wiem, czy mi się uda dopiąć celu.

Długa jeszcze chwilę gwarzyli razem o tej nowej drodze życia, na którą obecnie wstąpiła, a z której zejść nie miała zamiaru, choćby tam największe trudy ją spotykały. Rozmowa ta ostatecznie większe jeszcze poszarpanie wzbudziła dla niej w sercach dawnych jej opiekunów. „Oj, jakież to mądre! — myśleli sobie — gdzież jej tu było mieszkać między prostakami!“.

Zabawiwszy z godzinę, Aniela miała już odjeżdżać, gdy nagle drzwi się otworzyły i w progu, zarumieniony od wiatru i prędkiego chodu, w zgrabnej, siwej czamarcie na kożuchu, stanął Franek. Zatrzymał się chwilę, powiódł wzrokiem dokoła i spytał nieśmiało:

— Czy można wejść?

— A i owszem, chodź do nas, toć sami jesteśmy — odezwali się wszyscy jednogłośnie.

Wszedł z czapką w rękę i powiedziałszy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, stanął na środku izby.

— Siadaj tu z nami — odezwała się Wojciechowa, ręką mu miejsce na ławie wskazując.

— Chodźże, chodź, uciesz się i ty widokiem naszego gościa, bo kto wie, czy prędko zdarzy się podobna sposobność — dorzucił Wojciech, patrząc z uśmiechem na chłopaka.

Ten jednak nie spieszył na wezwanie, ale stał milczący, a zapatrzony, niby w obraz, w piękną pannę, siedzącą za stołem. Bo też jej nigdy nie widział tak powabną, a zarazem taką jakąś pańską, taką inną, jakby wyższą istotą. Przez te kilka tygodni wydelikatniała, wybielała, a ożywienie, wesołość i strój gustowny zmie-

niły ją do niepoznania i dziwnym otoczyły urokiera. Zdało mu się w owej chwili, że wieje od niej czar jakiś niezrównany, że bije jakaś łuna, od której aż się w chacie jaśniej zrobiło. Nie śmiał się więc zbliżyć, nie śmiał przemówić, aż ona pierwsza wołać nań poczęła:

— Cóż to, Franku, przyszedłeś nam się tylko przyglądać? siadajże i zagadaj przecie.

Usiadł na ławie, ale ust nie otwierał i ledwie po chwili do rozmowy wciągnąć go potrafiłono. Zaraz na wstępie Wojciechowie jęli mu opowiadać o zamiarze przeniesienia się do dworu. Zmartwiło go to i zdziwiło bardzo; nie chciał zrozumieć, jak oni mogli przystać na opuszczenie swej chaty i gospodarki, choćby na zimę tylko. Usiłował ich przekonać, że stąd się ruszać nie powinni, ale Aniela z żywością i niezwykłą u niej wymową stanęła w obronie swego projektu. Wkrótce potrafiła przekonać wszystkich, że tak będzie najlepiej, bo i gospodarka nic na tem nie straci i oni nie zazną głodu, i chłodu, a z nią codzień się widzieć i codzień ucieszyć będą mogli. Na to ostatnie, najbardziej dla wszystkich pojętne przypuszczenie, Franek westchnął smutnie i zwrócił się z zapytaniem do Anieli:

— Ale tutaj my was pono nie prędko zobaczymy?

— Zapewne — odpowiedziała zagadnięta — jak nie mam się o co zamówić, to mi i przyjechać trudno; postaram się jednak zajrzeć kiedy niekiedy do Zaczisa, bo mi tu między wami zawsze miło i dobrze.

Zamyśliła się chwilę i dodała:

— Teraz to może i dłuższy czas tu nie będę.

— Czy państwo gdzie wyjeżdżają? — zapytał Franek.

— Tymczasem nie, mówiono coś o Warszawie, ale chyba wyjazd jeszcze rychło nie nastąpi. Radam zobaczyć Warszawę, ale przedtem chciałabym się nauczyć

jak najwięcej, bo bieda ludziom nieoświeconym znajdować się między panami.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Więc panna Aniela uczyć się myśli? — zapytał

— A cóż ty sądzisz? w obecnym mojem położeniu nauka jest niezbędna, jak chleb powszedni. A przytem... o! gdybyś ty wiedział, jakie mam piękne zamiary! jaka u ojca obietnica!... Ale nie! nie mogę tego rozgłaszać, o tem nikt we wsi wiedzieć nie powinien, niechby to było dla nich niespodzianka.

— Czy i ja o tem wiedzieć nie mogę? — zapytał zaciekawiony.

— W takim tylko razie, jeżeli mi przyrzekniesz, że nic nie wspomnisz do nikogo.

— Dobrze, zatrzymam napewno w sekrecie, kiedw taka wasza wola.

Opowiedziała mu tedy o zamiarze założenia szkoły w Zaczisu, o przedsięwzięciu pracy i nauki, o swem marzeniu zostania tu nauczycielką. On słuchał z coraz większym zdumieniem, coraz szerzej oczy otwierał, aż w końcu porwał się za głowę.

— Czy to podobna, aby taka panna bogata miała się uczyć i pracować? A toż każda na waszem miejscu bawiłaby się tylko i przyjemności wszelakich używała, a wy się tak myślicie mordować! bo i po co? Bogaczom praca nie potrzebna.

— Mylisz się, Franku, pracować każdy powinien według swej możliwości. Tak twierdził mój ojciec, a on przecie taki rozumny! Wierzę temu, co powiada i słucham go, bo wiem, że mnie kocha i dobrze mi radzi. Zabrałem się chętnie do roboty, bo to tak miło myśleć, że się swą pracą drugich uszczęśliwi, drugim pomoże. Zresztą, bez pracy życie, choćby w największym dostatku, strasznie musi być nudne i nieżnośne. Ja to

czuję, bo wtedy mi najsmutniej, kiedy nie mam się czem zająć.

— A czy wam kiedy bywa smutno? — podchwycił Franek.

— O! tak. Nieraz tak mi jakoś tęskno i czegoś brakuje, choć mam wszystkiego więcej, niż mogłabym zapragnąć i wszyscy są dla mnie tak dobrzy! Ot, zwyczajnie z początku, trudno nawyknąć odrazu do nowego życia i czasem się westchnie za dawniejszem.

Rzeczywiście westchnęła zcicha, ale wnet dodała wesoło:

— Ale teraz, skoro będę miała dziadusiów moich tak blisko, już mi na niczem zbywać nie będzie i będę całkiem zadowolona.

Chłopak popatrzył na nią badawczo, chciał coś przemówić, ale się powstrzymał i głowę spuścił na piersi. Chciał ją zapytać, czy za nim kiedy nie zatęskniła, ale coś go w niej tak onieśmiało, że nie mógł się zdobyć na odwagę. Zrozumiała go przecież i żal jej się zrobiło.

— Franku — rzekła serdecznie — nie myśl, że ja o tobie zapomniałam, o! nie; przyjazną dla ciebie na całe życie pozostanę. Ale musimy żyć od siebie zdaleka, taka już nasza dola... chyba, chyba wtedy, jak wrócę do Zaczysa...

Chciała powiedzieć, że spełni może wówczas przyrzeczenie zostania jego żoną, nie mogła przecież dokończyć, bo czuła, że daremną jest ta nadzieja. Ze słów ojca i ciotki wyrozumiała doskonale, iż się nigdy na ten związek nie zgodzą, a na myśl jej nawet nie przychodziło sprzeciwiać się ich woli i samej o swej przyszłości stanowić. Uważała go dotąd za narzeczonego i lubić nie przestała, myśl atoli o zameżciu daleką

od niej była w obecnej chwili, gdyż cała jej uwaga w inną zupełnie zwrócona była stronę, inne w jej duszy budziła marzenia i zamiary. Cóż mu więc miała powiedzieć? czem pożegnać na długie, może bardzo długie tygodnie niewidzenia? Nie znajdowała dlań ani jednego słowa pociechy i to jej wielką przykrość sprawiało. Posmutniała nagle i łza zakręciła się w jej oku.

On patrzył na nią, a oblicze mu się niby chmura czarną zasępiać poczęło. Jej smutek był dla niego aż nadto wymowną odpowiedzią, że niczego się już dla siebie spodziewać nie może, że szczęście jego od tej chwili zdruzgotanem zostało na zawsze. Strasznie mu się więc i boleśnie zrobiło, rozpacz, jak żmija zjadliwa poczęła wkraść się w serce, a gniew szalony i przekleństwo na bogactwa i różnicę stanów na świecie miały nim coraz bardziej.

Stał ponury, milczący i jak wilk spozierał na obecnych, którzy również czuli się przygnębieni. Nikt nie śmiał przerwać milczenia, aż po długiej chwili Aniela mówić zaczęła:

— Nie martw się, Franku, bądź cierpliwy, kto wie, co tam przeznaczone dla nas w przyszłości. Tymczasem muszę ci oddać korale, które babcia w skrzyni przechowuje, a bardzo się obawia, aby kiedy złodziej jaki się nie zakradł i nie zabrał tej waszej drogiej pamiątki.

Na wzmiankę o koralach, Franek pobladł, potem zaczerwienił się znową, wreszcie podnosząc na dziewczynę wzrok błagalny, odezwał się z zapalem:

— Zostawcie u siebie te korale, nie wydzierajcie mi ostatniej nadziei, że już dla mnie wszystko stracone, że dawna Stefcia ukochana na zawsze moją być przestała. Wam dobrze na świecie, ale ja jestem nieszczęśliwy, niema już dla mnie żadnej w tem życiu pociechy. Ach miejcie litość nade mną! — i nim was za pana wy-

dadzą, nim czegoś o waszym losie nie postanowią, zatrzymajcie te korale, a ja przynajmniej cieszyć się będę tem przekonaniem, że patrząc na nie, o mnie też czasem wspomniecie.

Tyle było smutku i skargi serdecznej w jego słowach, że Anieli serce się ścisnęło, ale nic tu poradzić nie mogła; rzekła więc łagodnie:

— Nie, Franku, ja tych koralu u siebie zatrzymać nie mogę; cóżby na to wszyscy w domu powiedzieli? Zabierz je; dawna nasza przyjaźń i bez tego pozostanie mi w pamięci. Ja dla ciebie będę zawsze życzliwą, zawsze jednakie zachowam uczucie i choć rozchodzą się nasze drogi i nie wiemy, co mnie czeka na świecie, o tobie przecież nie zapomnę. Teraz muszę cię pożegnać na długo, może na lat kilka, ale nie smuć się... i nie narzekaj i... jeśli możesz, zapomnij o mnie, poszukaj sobie innej żony...

Przy ostatnich słowach głos jej zadrżał i złamał się, zdławiony wzruszeniem. Zasłoniła twarz rękami, aby ukryć łzy po niej płynące, smutek i cisza zaległy dokoła. Franek załamał ręce i suchem, gorejącem okiem wpatrywał się w płaczącą dziewczynę, a w uszach, jak dzwon żałobny, dźwięczały mu słowa: „zapomnij o mnie! poszukaj sobie innej żony!” Ciężka to dla obojga i bolesna była chwila, chwila rozstania — może na zawsze! Aniela wkrótce opanowała wzruszenie, otarła łzy i szybko do odjazdu wybierać się poczęła, wzywając i Wojciecha do pośpiechu. Nic już prawie nie mówiono, bo wszystkie serca przepełnione były goryczą. Franek patrzył w milczeniu, jak kładła na siebie futro i ciepłym szalem głowę otulała i nie zbliżył się do niej, aż wówczas, gdy usiadła już na bryczce. Podeszedł wtedy, pocałował ją w rękę i bąknął coś tak cicho, że nawet nie dosłyszała. Zwróciła ku niemu twarzyczkę

zaplonioną i rzekła z wyrazem prośby serdecznej w głosie:

— Przebacz mi, Franku; ja muszę swoją iść drogą; ty bądź szczęśliwy, niech ci Bóg błogosławi!

Konie ruszyły — on stał z czapką w rękę, z głową do ziemi pochyloną, i czuł, że w tym momencie los jego życia się rozstrzygał, że i przed nim nowa widnieje droga, ale droga taka pusta i taka daleka od tej, którą sobie obrał i miał przebywać przy boku ukochanej, wybranej z pośród wielu, dziewczyny. A bryczka zaturlotała i ucichła, wyjechawszy na błotnistą drogę, rozległy się jeszcze ostatnie wyrazy pożegnania — i wnet wszystko zniknęło i skryło się w tumanach mgły jesiennej, co gęsta, szara oponą pola i ogrody naokół zasnuła i zasłoniła. On patrzył w tę dal mglistą, ponurą, a coś mu piersi szarpało straszliwie, napełniając je jadem bólu i zniechęcenia. Nie słuchając zaproszeń Wojciechowej, co go wzywała, aby wszedł do izby, wciągnął czapkę na uszy i zwolna, jakby długą osłabiony chorobą, powlókł się do wrót, a potem na drogę.

Szedł bezmyślnie przez wieś, nigdzie się nie zatrzymując, minał chatę ojcowską i wydostał się na pole. Tu lżej odetchnął; wiatr mroźny chłodził mu rozpalone czoło, cisza uspakając go zaczęła, bezładne myśli w kształt jakiś układały się powoli, a burza w piersi szalejąca zmniejszałaby się może i ustała, gdyby jej pozwolono wyszumieć w samotności, bez przeszkody.

Ale na nieszczęście, niedługo używał tej samotności. Tuż za nim na drodze zadudnił wózek w drabinach, w lichego konia zaprzężony, a głos jakiś silny i młody wyrwał go z zadumy.

— Niech będzie pochwalony!... A gdzie to tak podążasz, Franku? czekaj, to cię na wóz zabiorę.

Franek przystanął, obejrzał się i poznawszy sąsiada z pobliskiej wioski, odpowiedział tylko niechętnie:

— Na wieki wieków.

— Siadajże, siadaj, to cię podwiozę z kawałek, bo ciężko iść po błocie. Pewnie śpieszysz do Sitówki, do kowala? Ja właśnie tam jadę.

— Eh! nie. Tak wyszedłem w pole i wracam do domu.

— Ha! ha! ha! bratku, pięknie wracasz do domu, kiedy właśnie idziesz do wioski.

— To nic, wszakże ci powiedziałem, że tak sobie w pole wyszedłem i zaraz powracam.

— A pocóżes wyszedł w pole? czy zboże oglądać? — zaśmiał się znowu siedzący na wozie mężczyzna.

Franek nie odpowiadając, chciał u wioski zawrócić, ale ten przytrzymał go, za rękaw ująwszy, i gwałtem do jazdy przymuszał.

— Widzę, że u ciebie dziś święto — mówił, z ręką nie puszczając — masz dość czasu na przechadzkę, a błaganie się po polu, to i mnie może nie odmówisz kompanii. Bo wiesz co? ckiwo mi się jakoś zrobiło i jadę do Sitówki pokrzepić się trochę, wezmę i ciebie, a przyda ci się to niezawodnie, bo jakiś dzisiaj jesteś niewyraźny. Znać doskonale, że coś kamieniem leży ci na sercu, zrzuć więc to potrzeba. Ja mam na to dobre lekarstwo, zobaczysz.

— Nie, nie; do Sitówki z tobą nie pojedę, grosza przy sobie nie mam... Bądź zdrow!

I chciał odejść, ale natrętny przybysz do tego nie dopuścił.

— Nie rób głupstwa, co ci to szkodzi przejechać się i rozerwać cokolwiek. Znasz stare przysłowie: „Dobry trunek na frasunek”. A ja widzę, żeś ty zafrasowany

i, ot, niewiele potrzeba, abym odgadł przyczynę twego smutku, bo...

— Bo co? — podchwycił Franek.

— Bo miałem w drodze bryczkę z Kalinowej Woli, jechała panna Salińska z dawnym swym ojcem, Kostrzewą. Widocznie tu była, a tyś się z nią nie widział i pewnie tego żal ci okrutnie, nieprawdaż? Ale czego tu się martwić napróżno; raz przecie musisz sobie powiedzieć, że ona już nie dla ciebie. Próżno na nią spoglądasz, jak lis na winogrona, za wysoko tobie do niej, za wysoko.

Franek nic nie odpowiedział, westchnął tylko smutnie i o wóz oparty, patrzył przed siebie ponuro.

— No, siadaj na wóz, pogadamy sobie i o twej biedzie poradzimy, a niedługo odwiozę cię z powrotem.

Jeszcze chwilę namyślał się Franek, słusznie żywiąc odrazę do tego rodzaju towarzystwa, a wkońcu jednak dał się namówić i pojechał do Sitówki.

A przejeżdżającym tym był Jędrrek Michniak, chłop młody, dorodny i nie głupi, ale cóż, kiedy wszystkie jego przymioty marnował jeden nieszczęśliwy nałóg — oto lubił często zaglądać do kieliszka. Jak tylko grosz złapał do ręki, to już praca i wszelkie najpilniejsze sprawy szły na stronę, gdyż karczma ciągnęła go tak gwałtownie, że oprzeć się jej nie potrafił. A że samemu pić jakoś niemiło, zwykle rad upatrywał sobie jakiego towarzysza i zaciągał go z sobą do pobliskiej wioski, Sitówki, gdzie usługny Mosiek wszystko miał na zawołanie i wódkę, i piwo, i papierosy, nawet i zakąszone jakąś wynalazł, a w dodatku i na pieniądze poczekał, naprędce tylko zrobiwszy rachunek. Tam też Jędrrek najczęstszym bywał gościem, najmilej czas przepędzał, przygodnych zyskiwał przyjaciół. Grosza na wódkę jakoś mu starczyło, choć dotąd nic nie miał własnego, i dru-

gich i siebie nieraz tak uczył, że trudno było myśleć o powrocie do domu — w karczmie noc przepędzić wypadało.

Za to ojciec dziwnie jakoś ubożał, mimo pracy i wcale ładnych zbiorów, końca z końcem związać nie potrafił i już kilka półtoraków poszło między ludzi. Ten i ów bakał, że nocą idą worki ze zbożem do Mośka, ale ojczysko nie chciał temu wierzyć i oburzał się, że ktoś śmie jego syna o coś podobnego posądzać. Ten i ów przekładał też nieraz, że chłopak, mający lat dwadzieścia kilka, żenić się i pracować na siebie powinien. Jędrek śmiał się z tego i do żeniaczki nie śpieszył, a ojciec nie nastawał, mówiąc, że dobrze, jeżeli na rodziców czas jakiś jeszcze popracuje. Tak upływały tygodnie i miesiące, Jędreka przyzwyczaił się do kieliszka i coraz częściej wracał do domu pijany. Ojciec coraz widoczniej przekonywał się o smutnej prawdzie, gdy mu jednak sąsiedzi przedstawiali, że syn źle postępuje, machnąwszy ręką, zwykł był mawiać:

— Eh! co tam! choć nieraz głowę zaproszy, nie to nikomu nie szkodzi. Majątku nie przepije, boć ja mu na to pieniędzy nie daję, a kiedy czasem spotka towarzysza, co mu zafunduje, nie wiele jeszcze w tem złego, toć młodemu rozrywki potrzeba.

I tak zaślepiony ojciec, nie zdając sobie sprawy z tego, co się w oczach jego działo, pobłażał synowi, a ten powoli zdrowie, dobre imię i majątek ojcowski topił w kieliszku.

Dla młodzieży w sąsiedztwie niebezpiecznym był Jędreka towarzyszem, umiał ich sobie łatwo zjednywać i wywierać na każdego wpływ szkodliwy i demoralizujący. Wielu już narzekało na niego, że przezeń wstrętnego nabyli nałogu, wielu znów, nie widząc w tem nic złego, sprzyjało mu, tembardziej, że jak miał grosz

w kieszeni, szczodrym być i przyjacielskim potrafił, a jak sobie podochocił, to już kto nie chciał, to go nie wyzywał.

Franek zwykle stronił od jego towarzystwa, bo znając słabą swą naturę, wpływu się zgubnego obawiał, teraz, gdy napadł go niespodziewanie, oprzeć mu się nie umiał i uległ namowom, powtarzając sobie w duszy: „pierwszy to raz i ostatni”. Był smutny, zrozpaczony, czuł potrzebę podzielenia z kimś swego żalu, wylania uczuć, przepełniających mu serce — a Jędreka był jedyny do tego. Nikt lepiej od niego nie umiał rozzerwać i rozweselić, wyperswadować i doradzić, nawet bardzo trafnie niekiedy. To też Franek, zdecydowawszy się siaść na jego wózek, myślał sobie: „Może to i lepiej się stało, że mię spotkał w drodze, bo nie wiem, do czego by przyjąć mogło, gdybym ze swoim zmartwieniem sam w polu pozostał”.

Jędreka rad z pozyskanego towarzysza, zaciął konika, wózek na nierównej drodze trząsł się i podskakiwał, to znów w błotniste zapadał kałuże, aż wreszcie zatrzymał się przed lichym, drewnianym domkiem, na końcu którego widniał brudny szyld z napisem: „Tani sklep spożywczy”, a przez małe szybki w oknie wyglądały na świat jakieś pudełka i pudełeczka, paczki tytoniu, słój z karmelkami, butelka z olejem i t. d. Tutaj zatrzymał się Jędreka i konia do rosnącej pod oknem topoli przywiązał.

— Chodźmy — rzekł krótko, pociągając Franka za sobą — zimno na dworze, że trudno rozmawiać, rozgrzejemy się trochę i pogawędzimy.

Schylając się w niskich drzwiach, weszli do wnętrza domu, gdzie ich usługny gospodarz z uśmiechem zadowolenia powitał.

— Dzień dobry panom! dzień dobry! — mówił kła-

niając się — czem mogę służyć? Z pana Franciszka to rzadki gość, pan nie łaskaw na mój sklep i po towary jeździ do miasta, a czyto warto tłuc konie i samemu się mordować, kiedy wszystkiego u mnie dostać można? Pan sam zobaczy, jakie porządne mam rzeczy — co teraz dać?

— Nic tymczasem nie będziemy kupowali — odpowiedział Jędrak — puśćcie nas tylko do pokoiku, chcemy się rozgrzać i pogadać na osobności.

— Zaraz, zaraz, bardzo proszę, tam panom będzie najlepiej.

I otworzył drzwi do małej izdebki, brudnej i odra-panej, przesyconej wyziewami wódki i tytoniu, gdzie za cały sprzęt służyła niska kanapka, niebieskim perkaliem wybita, prosty stół i parę krzesełek. Jedyne okno wychodziło na niewielki ogródek warzywny, obecnie ze wszystkiego ogołocony, dalej już ciągnęły się pola wiejskie. Zaledwie weszli, Jędrak upadł na kanapkę, aż pod nim zatrzęszczała, i wskazawszy krzesło Franciszkowi, zwrócił się do żyda:

— Mošku, bądź nam rad, przecież na sucho rozmawiać nie możemy, a wiele mamy do pogadania.

Mosiek się nie targował, wnet na stole stanęła butelka, na której widok oczy Jędraka zajaśniały.

— No, w ręce twoje! — zawołał, nalewając i do ust podnosząc kieliszek.

— Na zdrowie — odpowiedział Franek ponuro.

— Rozchmurz się i rozruszaj, Franku, a nie siedź jak ten grzyb robaczywy przy drodze, co tylko patrzeć kiedy się przewróci. Co ci się stało? nietylko śmiać się, ale gadać zapomniałeś, co ci jest? czego ci brakuje?

— To ty nie wiesz? toś sam przed chwilą o tem mi wspominał, a teraz pytasz, co mi się stało? Gdyby

na ciebie przyszło takie nieszczęście, tobyś pewnie nie lepiej ode mnie wyglądał.

— To prawda, żal mi cię serdecznie, ale to się już nie wróci, więc próżno się dręczysz i rozpaczasz; musisz ją sobie wybić z głowy.

— Nigdy! nigdy! bez niej niema dla mnie szczęścia na świecie, bez niej smutna, ciężka moja dola.

— Musisz to sobie jednak wyperswadować; skoro panią została, jużbyś z niej i tak pociechy nie miał żadnej, i gdyby nawet zgodziła się wyjść za ciebie, tyś się z nią żenić nie powinien.

— A to czemu? Cóż to w chłopie inna dusza, jak w panu? Chłop z innej gliny stworzony został, czy co? Cóż oni od nas lepszego? Że nosa zadzierają, że mają większe dostatki i nie potrzebują tak ciężko pracować, to już mają i wartość mieć większą? Iada kiep to samo potrafi, byle miał bogactwo tak, jak oni.

— Nie rzucaj się, Franku, bo to, co mówisz, bardzo jest niemądre i śnać nie zastanowiłeś się, o co tu chodzi. Przedewszystkiem, nie możesz powiedzieć, jakoby państwo z Kalinowej Woli nosa zadzierali, bo chyba nieraz się przekonałeś, że oni biednymi prostakami nie gardzą i, jako dobrzy chrześcijanie, uznają, iż dusza nie gardzą i, jako każdy człowiek jest jednakowa, na obraz i podobieństwo Boże stworzona i przeznaczona do wiecznej szczęśliwości w niebie. Ale że są różne stany na świecie i że każdemu w swoim stanie żyć najlepiej, na to narzekać nie powinniśmy, bo to Pan Bóg dla ogólnego dobra postanowił. A co powiadasz, że Iada kiep potrafi być panem, to znowu nieprawda, boć i ty teraz panem byś być nie potrafił; wiesz, że im kto wyższe zajmuje stanowisko w świecie, tem większej potrzeba mu nauki i umiejętności. Widzisz, że i twoja Stefcia już to zrozumiała i, zostawszy panną Salińska, wzięła się gorliwie

do książki, bo bez tego trudno być panią. A ty co? chłop jesteś, coprawda, jakich mało, dorodny, silny i pracowity, ale prosty chłop, gdzie tobie się równać z panami? Nie dadzą ci jej, nie dadzą, bądź pewny, a i ona już teraz nie zechce. Próżno więc sobie głowy nie zawracaj, czasu i zdrowia na zgryzoty nie marnuj, bo ci powiadam, że nic z tego nie będzie.

— Musi być, inaczej w łeb sobie palnę!

— Eh! mój kochany, nie jesteś taki głupi, aby to zrobić.

— Alboż to tylko głupcy życie sobie odbierają?

— Nieinaczej; bo pomyśl tylko: gubić siebie i duszę swoją na wieczne męki do piekła skazywać dlatego, że nam się coś w życiu nie powiodło, lub jakie spotkało nieszczęście, czyż to oznacza człowieka rozumnego? Tchórze tylko tak postępują, tchórze, co nie umieją cierpieć, ani bronić się od złego. Po tobie się tego nie spodziewam.

Franek słuchał z pochyloną głową i myślał sobie: „Jaki ten Jędrak mądry? skąd on nabrał tyle rozumu? Chyba to nieprawda, co o nim ludzie powiadają, że czas napróżno trwoni przy kieliszku. On obcując z różnymi ludźmi, uczy się i mądrości nabywa, nie tak, jak ja, co siedzę wciąż za piecem, nic też nie wiem i nie rozumiem“.

— Ha! niech i tak będzie — odezwał się po chwili — przyznaję ci słusność, ale i ty nie zaprzeczysz, że o takiej dziewczynie zapomnieć trudno i nic dziwnego, że różne myśli do głowy człowiekowi przychodzą.

— Otrząśnij się z nich, bracie, porzuć próżne marzenia, bo już w tym ożenku niema szczęścia dla ciebie. Choćby się uwzięła dotrzymać obietnicy, to i cóżby ci z takiej żony przyszło? Tu ci jej nie dadzą do chaty, a ty pójdziesz do dworu? i co będziesz tam robił? pa-

robkiem zostaniesz? co? Wszakżeś chłop prosty, orać i siać tylko potrafisz, jakbyś ty wyglądał między panami? A czy ci to nie lepiej we własnej chałupie i na własnym zagonie? czy ci nie lepiej wziąć wiejską dziewczynę, co z tobą razem stanie do roboty, z tobą razem do miski żuru lub kapusty zasiądzie? Otóż moja rada: poszukaj sobie żony we wsi, wypraw huczne wesele, — toż to będzie zemsta na lepsza, zobaczysz.

Franek słuchał tej mowy i oczy coraz szerzej otwierał, przyznawał rację Jędrkowi, ale z drugiej strony czuł żal coraz większy i mało brakło, aby się jak dziecko rozplakał. Przy ostatnich słowach poruszył się niecierpliwie i zawołał z żywością:

— Ona mi sprzyja, a ja miałbym się mścić na niej? za co? że panią została? a cóż ona temu winna?

— Ot, widzisz, sam nie wiesz, czego żądać — zaśmiał się Jędrak — tyś chory i słusznie powiedziałem, że lekarstwa ci potrzeba. Hej! Mošku! przynieś jeszcze buteleczkę.

— Daj pokój, dosyć tego, czas nam do domu powracać, starzy nie wiedzą, gdzie się podziałem.

— Nie kłopotz się, nic pilnego, zaraz pójdziemy. Na starych nie uważaj, oni by ciągle gonili tylko do roboty, a człowiek przecie nie wół, ani koń, aby pracował bez wytchnienia. Odpocząć trzeba... w ręce twoje!

I znowu krążył kieliszek krótką kolejką z ręki do ręki, aż obu chłopcom wódka w głowie szemrać poczęła. Franek czerwony, jak burak, porwał się z za stołu i zawołał na Moškową, aby nową flaszkę i parę obwarzków przyniosła.

— Ho! ho! i ty fundujesz? — zapytał Jędrak z udanym zdziwieniem.

— A cóż chcesz, abym tylko gębę na cudze otwierał? trudno, niech idzie i moje.

— A pieniądze masz?

— Mosiek do jutra poczekaj... co Mošku?

— Oj, oj! czemu nie; komu innemu to jabym tego nie zrobił, ale pan Franciszek, wiem, że mojej krzywdy nie zechce.

— Możesz być spokojny; już ja twego półkwatka wódki nie wezmę na swoje sumienie; o! nie! Zapłacę ci jutro.

— Dobrze, że tu przyjdiesz — odezwał się Jędre — ja też będę, to sobie pogadamy, a prędzej o smutku zapomnisz.

Dopili ostatniej butelki i wyszli obiecując sobie powrócić tu nazajutrz. Frankowi w głowie się kręciło, nogi osłabły, w piersiach i w gardle czuł dziwne palenie, za to myśli miał swobodniejsze i weselsze, do serca wstąpiła mu jakaś otucha i taka odwaga, iż mu się w tej chwili zdawało, że byłby zdolny świat cały zawojować.

To też, kiedy pode wsią rozstał się z towarzyszem i drogą zagumienną do swoich zabudowań podążał, rozmyślać zaczął, że wódka, choć wstrętna, a nawet szkodliwa (jak o tem ks. proboszcz przekonywał, a w książkach pisaną), to przecież w strapieniu pocieszyć potrafi i pewnie w tem niema nic złego, że i on w swoim nieszczęściu szukał w kieliszku ukojenia. Sumienie wprawdzie co innego mu mówiło, ale budzący się stąd niepokój usiłował wesolą odpędzić piosenką. Począł tedy nucić pierwsze zwrotki pieśni, często w gronie wiejskich swych rówieśników śpiewanej.

*Do roboty, do zabawy,
Zawsze byłem chłopak żwawy,
Zawsze byłem zuch nielada,
O tem cała wie gromada,
O tem dziewczka wie kochana —
Dana moja, dana, dana!*

*Szumią bory, szumią lasy,
Przyszły na mnie ciężkie czasy,
Ożenić mi się kazano,
Starą babę mi wybrano,
Oj! smutna to w życiu zmiana —
Dana moja, dana, dana!*

Nucąc te słowa, szedł zwolna, coraz się potykając na nierównej drodze; niewiadomo, czy wskutek ciemności, czy też działania alkoholu, ścieżki do własnej stodoły nie mógł jakoś znaleźć. Ha! nareszcie jest na ckołniku, otworzył szopę i po omacku, wierzeje tylko za sobą zamknawszy, upadł na kupę słomy. Zaczął znowu śpiewać, ale jakoś słowa płatać mu się poczęły, chciał się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa wyciągnął tedy ręce przed siebie, jakby mu się coś ukazało, i westchnawszy tylko zcicha: „Stefciu moja, Stefciu! czemuś ty mnie opuściła“ — zasnął snem twardym, kamiennym.

Nazajutrz obudził się dość późno, z bólem głowy i dziwnym na sercu ciężarem.

— A niech ją tam, tę wódkę, — rozmyślać począł — człek teraz jak struty. Przykro mi jakoś i niedobrze... nie pójdę już więcej do Moška, nie chcę. Ale... obiecałem Jędrkowi... pójść muszę, choć na chwilę, inaczej obraziliby się na mnie. A setny to chłop, głowa do rady, aż miło! Posłuchać go można z przyjemnością, wytłumaczyć i pocieszyć potrafi. A mnie teraz tak bardzo pociechy potrzeba, tak jestem nieszczęśliwy, nie mogę gardzić jego towarzystwem, tylko pić nie będę nic, a nic, bo czuję, że wódka do wszelkiego złego doprowadza. Czy tylko uda mi się wymknąć z domu i tak wszystko urządzić, aby o miejscu zabaw nikt się z rodziny nie dowiedział?

Wstyd mu było przyznać się przed swoimi, że u Moška szuka pociechy i smutek swój topi w kieliszku, on, który tak bardzo na to powstawał, tak zawsze był temu przeciwny. Zrobił więc sobie przyrzeczenie, że wódki do ust nie weźmie, zapłaci tylko za wczorajszą i z Jędrkiem pogada, albo go do siebie zaprosi, by stanowczo wcześniej być w domu. Tem uspokojony, wyszedł z szopy i począł się krzątać koło zwykłej roboty. Na zapytanie ojca, gdzie był, że nawet nie przyszedł na kolację, bąknął coś tylko o pannie z Kalinowej Woli (o której wszyscy wiedzieli, że do wsi wczoraj przyjeżdżała) i westchnął tak ciężko, że ojciec dał pokój dalszemu badaniu, ze smutkiem tylko zauważył, że dziś bardzo mizernie wygląda.

Matka niemniej względna się okazała — i nie dziw: znając jego przywiązanie do dziewczyny, którą utracił, litowała się nad nim serdecznie i dokładała starań, by go niczem nie drażnić, a czem można — rozerwać i rozweselić.

A on czuł w duszy zgryzotę, nie rad z siebie i nie rad z całego świata, miejsca sobie, ani zajęcia nie potrafił znaleźć. Dzień cały chodził chmurny i zamyślony, a za nadejściem mroku, nie mogąc przezwyciężyć chęci widzenia się z Jędrkiem, podążył cichaczem do Sitówki, gdzie się znowu bez wódki nie obeszło.

Odtąd coraz częściej spędzał tam wieczory, coraz częściej podchmielony do domu powracał. Rodzice z początku nie zwracali na to uwagi, potem tłumaczyli sobie, że zmartwienie zmusza ich syna do szukania rozrywki w tem, czego dawniej nie lubił, i że opatrzy się prędko i do dawnego trybu życia powróci. Gdy to jednak coraz częściej się powtarzało, poczęli upominać, prosić, zabraniać, ale nie wiele to już wpłynęło na postępowanie Franka. Nabrał zamiłowania do wódki, pijatyki

i nocne hulanki smakować mu poczęły, zmienił się też do niepoznania. Dobry syn, brat kochający, wzór młodości oklicznej, tracił coraz bardziej piękne swoje przymioty, zaniedbywał się w pracy, opuszczał w pobożności, przyczyniał coraz więcej zmartwienia rodzicom, schodząc coraz niżej ścieżką, ku upadkowi wiodącą.

Słusznie powiedziała Aniela w czasie ostatniej swej bytności w Zaciszu, że drogi ich rozchodzą się. Rozeszły się bardzo, bardzo daleko: ona pięła się ku górze, pragnąc być coraz lepszą, coraz cnotliwszą i rozumniejszą; on, przeciwnie, uległszy nieszczęsnemu nałogowi, staczał się coraz niżej i niżej. Niechący więc, oddalili się od siebie i spotkanie ich w życiu było już teraz niemożliwe.

ROZDZIAŁ XV.

Niepożądane odwiedziny.

Tymczasem w Kalinowej Woli szczęśliwie dni upływały. Starzy Wojciechowie przenieśli się do dworu jakoś wprędce po otrzymanem zaproszeniu, a Aniela sama zajęła się urządzeniem dla nich mieszkania. Z jaką radością i żywym zainteresowaniem dopełniła tego! Jakaż to dla niej była uciecha, gdy swoich ukochanych staruszków pod dach nowej siedziby wprowadziła, z błogiem przekonaniem, że odtąd nie zaznają niedostatku, i że wolni od nazbyt ciężkiej na stare ich lata pracy, pędzić będą dni swoje w spokoju i zadowoleniu.

Piękne też i miłe gniazdko im przygotowała. W białym domku, nieopodal kuchni dworskiej, obok mieszkania ogrodnika i starego karbowego, przeznaczona była dla nich obszerna, świeżo wybielona izba, z ma-

łym alkierzykiem i wygodną, w różne zapasy zaopatrzoną, komorą. Według życzenia Anieli, przywieźli do tego mieszkania trochę tylko co lepszych swych sprzętów, ona bowiem nagromadziła tam już sporo różnych rzeczy, mających służyć ku upiększeniu i ku wygodzie. Począwszy od garnuszków i misek w małej szafce niedaleko komina, aż do pięknego obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, z płonąca przed nim lampeczką, wszystko tam było starannie obmyślane i dobrane. Nie brakowało nawet firanek i doniczek z kwiatami na oknie, paru książek pobożnych na półce, fajki i tytoniu przy łóżku dziadka, tudzież ziółek od kaszlu, jakich zwykle babcia używała. Cieszyli się też starzy ze swego dostatku i dziękowali Bogu za doznana szczęśliwość, zlewając obfite błogosławieństwo na głowę tej ukochanej dziewczeczki, co teraz ich dobrodziejką się stała.

A ona? Ach! ona, gdy już o ciemnym zmroku do domu wróciła rozpromieniona, szczęśliwa, choć po całodziennem krzątaniu się strudzona, ukłękła przed ojcem i okrywając ręce jego pocałunkami, serdecznie i ze łzami w oczach za doznane szczęście dziękowała. A on rad z tego, tulił ją i pieścił, i dopytywał o najdrobniejsze szczegóły, widząc, że to jej wielką sprawiło przyjemność. Pani Milecka dzieliła radość obojga, Jadwiga tylko nagle jakoś posmutniała i tłumacząc się bólem głowy, wcześniej wszystkim powiedziała „dobranoc” i odeszła do swego pokoju.

— Jak ona ich kocha! — myślała z goryczą — kocha, choć wie, że nie są jej rodzicami. Otoczona dostatkiem i względami, należnemi jej urodzeniu, nie wstydzi się przecież ich rąk zgrubiałych od pracy ucałować. I za co? Oto, że jej dali nędzny kawałek chleba i do ciężkich trudów zaprzęgli od dzieciństwa! Ha! więcej uczynić nie byli w stanie, ona więcej też nie

wymagała, miłość ich należycie oceniając. A ja czy mogłabym kiedykolwiek pokochać tak swoją matkę? czy chciałabym odwdziżyć się jej za to, co dla mnie uczyniła? Nie, pewnie nie.

I stały jej w myśli dziecinne lata, pod troskliwym okiem piastunki spędzone, przypomniały się jej serdeczne pieczyoty. Tekli, jej cierpliwość i poświęcenie, z jakim wszelkie grymasy i zachcianki swej małej władczyni spełniała, wreszcie jej radość, gdy ukochana Jadwina czegoś się nauczyła, a smutek, gdy miała łzy w oczach. Tak! ona ją kochała, o! jak bardzo kochać musiała, kiedy dla niej wyrzekła się szczęścia matki, dla niej poświęciła pokój duszy, ba! nawet własne zbawienie, bo dopuściła się niegodziwego czynu, aby tylko swemu dziecięciu dobrobyt i szczęście zapewnić! Miłość macierzyńska aż do występku ją popchnęła, a za to cóż otrzymała? — niechęć tylko, pogardę i zapomnienie...

I długo jeszcze zastanawiała się nad smutną historią swego serca i serca swej matki — i wstyd jej się zrobiło, że tak mało czuła dla niej litości i wyrozumienia, a na żadne uczucie serdeczniejsze zdobyć się nie umiała.

— Nie będę gorszą od Anieli — rzekła do siebie — modlitwą przynajmniej i życzliwym wspomnieniem n.e.j. nieszczęśliwej matce odwdziżyć się postaram.

I po raz pierwszy dnia tego pomodliła się za duszę Tekli, a nazajutrz wyprosiwszy u ojca konie do kościoła, Mszę św. za nią zamówiła, odwiedzając zaś jej grób na cmentarzu, przyrzekła sobie uroczyste, że za nadejściem wiosny pilne o nim mieć będzie staranie.

A Aniela cieszyła się swymi staruszkami; codzień do nich przybiegała, to im coś od ciotki przyniosła, to coś ciekawego przeczytała, a zawsze upieściła i rozwesiła, dla siebie zaś czas w ich towarzystwie spędzony,

za miłą rozrywkę i odpoczynek od pracy uważała. Nie raz i do kołowrotka usiadła i z lnu srebrzystego cienkie snując niteczki, uśmiechała się do dawnej roboty, zawsze ją za bardzo przyjemną uważając. O Franku rzadko mówiła, a zawsze z cichem westchnieniem, i znać było, że jego wspomnienie radość jej życia zatrudniało. Czy miała jakie względem niego zamiary, nikt nie mógł przewidzieć, bo się przed nikim nie zdradziła, unikając rozmowy w tym przedmiocie. Nie widywała go wcale, nawet w kościele; widocznie gdzieś w tłumie przebywał, że go dostrzec nie mogła; może też zwolna i zapominać zaczęła?... kto to mógł odgadnąć?

Tak stały rzeczy, gdy naraz dnia jednego niespodziewane odwiedziny zakłóciły spokój w kalinowskim dworze, nową nań burzę sprowadzając.

Było to jakoś w poobiedniej porze, p. Saliński z siostrą siedział w stołowym pokoju, Aniela głośno czytała świeżo z poczty przywiezione gazety, gdy na dziedzińcu zadźwięczały dzwonki, a psy ze szczeniem rzuciły się ku bramie.

— Oho! goście do nas przyjechali! — zawołała Aniela, do okna podbiegając.

— Któż tam taki? — zapytał ojciec.

— Nie wiem jeszcze... kareta na saniach... wysiada jakaś pani... o! musi przybywać z daleka, bo tak cała w futra i szale spowita, że twarzy nie widać zupełnie.

Pan Saliński podszedł do okna i popatrzywszy przez zamazane szyby na wysiadającą z powozu damę, z wyrazem niezadowolenia cofnął się od okna.

— Miszewska! cóż jej się stało! — wyrzekł ze zdziwieniem, ale wnet jakby coś sobie przypominając, zwrócił się do siostry i znaczące z nią zamieniwszy spojrzenie, dodał:

— Moja droga, uprzedź Jadwisię, że ciotka Malwina przyjechała.

Pani Milecka wstała natychmiast, by poszukać Jadwigę, a p. Saliński mówił do Anieli:

— Pani Miszewska jest naszą daleką krewną, nazywać ją będziesz ciocią, bądź dla niej grzeczną, ale trzymaj się zdaleka, nie wierz zbyttnio w miłe słowa, jakich ci z pewnością nie poskani.

Przerwał bo przed przybyłą drzwi otwierano.

Tymczasem Jadwiga, dziwnie dnia tego smutna i rozdrażniona, siedziała na kanapie w swoim pokoju, i czoło o niekłą poręcz oparłszy, pograżyła się w zadumie. Myślami swemi zajęta, nie słyszała wejścia ciotki do pokoju i dopiero na dźwięk jej głosu głowę podniosła.

— Jadwiniu, mamy gościa — rzekła pani Milecka.

— Ach! nareszcie ktoś sobie o nas przypomniał — zawołała, zrywając się z kanapy.

— Ciotka Malwina przyjechała.

— Tak? To dobrze, cieszę się z tego, bo dawno już u nas nie była.

— To prawda, moje dziecko, mimo to jednak z jej wizyty nie jestem zadowolona: czegoś dziwnie się boję.

Jadwiga pytając spojrzała ciocię w oczy.

— Dlaczego, ciociu?

— Ach! moja droga, czyż ty nie znasz ciotki Malwiny? Ona wszystkiego dojść musi i domyślam się, po co tu przybyła. Musiała się już dowiedzieć, że mamy obecnie dwie córki, chce na miejscu całą rzecz zbadać i przekonać, skąd się druga wzięła, kiedy nigdy o tem nie było u nas wspomnienia. Och! bardzo się jej lękam i dlatego przyszedł ci ostrzec, Jadwiniu, bądź z nią bardzo, a bardzo ostrożna, abyś się z czem nie wymęwiła. Zostaw nam wszystkie w tej sprawie wyjaśnienia,

a my sobie jakoś poradzimy z natręctwem tej kobiety. Ty się miej na baczności, zechce cię zjednać z pewnością ale nie wierz w piękne słówka, bo u niej często jad się w słodyczy ukrywa.

— Niech ciotunia będzie spokojna — zapewniła Jadwiga.

— Czy wyjdiesz zaraz do salonu?

— W tej chwili, tylko włosy poprawię.

Pani Milecka wyszła, westchnąwszy z cicha, a Jadwiga stanęła przed lustrem.

— Dziwna rzecz, że jej tak ciocia nie lubi — myślała — tymczasem to nieoceniona kobieta w towarzystwie, miła, wesoła, jak rzadko. Ach! przecie ja się rozerwę cokolwiek, bo u nas nudy nie do wytrzymania. Mam nadzieję, że czas dłuższy zabawi, postaram się o to.

I wesoło pobiegła na powitanie.

Ciotka Malwina, osoba w średnim wieku, mimo znacznej tuszy, ruchliwa niezmiernie i ożywiona, znana była powszechnie z niezmierniej ciekawości i plotkarstwa. Żeby, jak to mówią, niebo i ziemię poruszyć, musiała wszystko wiedzieć, wszędzie dojść, wszystko zbadać a nic się przed jej okiem nie ukryło. Każda tajemnica budziła w niej nieprzepartą chęć rozwiązania, odsłonięcia na jaw, choćby ją to nie wiem ile kosztować miało. A gdyby choć potrafiła przy sobie jaki sekret zatrzymać. Ale gdzie tam! wszyscy o tem dowiedzieć się mieli i to jeszcze każdy z innemi dodatkami, tak, że daremnie z jej opowiadań ktośby chciał rzeczywistych zasięgnąć wiadomości. Wskutek tej nieszczęśliwej wady była ona plagą prawdziwą domów, które swą bytnością zaszczycała. Wkręciła się wszędzie, wszystko spostrzegła, jak nie między państwem, to wśród służby, i na poczekaniu bajeczkę jakąś utworzyła. Łatwo więc

zrozumieć, dlaczego tak niemiłym gościem była obecnie w Kalinowej Woli; tam przecie chciano utrzymać w sekrecie historię Jadwigi. Pan Saliński, choć już poczynił pierwsze kroki, aby ją prawnie uznać za córkę i dać jej swoje nazwisko, usiłował całą tę sprawę zachować w najgłębszej tajemnicy, aby się o tem nikt z sąsiadów nie dowiedział, ani nawet prawdy domyślił. Teraz tej tajemnicy rodzinnej poważne groziło niebezpieczeństwo, a na nieszczęście osoba, którą to najbardziej powinno obchodzić, nie zdawała sobie z tego sprawy, a cieszyła jedynie z następczącej się sposobności zabawienia i rozerwania cokolwiek. A przytem było tam jeszcze coś więcej, co ją do ciotki Malwiny ciągnęło i kazało o wszystkim zapominać. Syn jej, Alfred, przystojny wymuskany paniczek, zabiegający oddawna o względy pięknej kuzynki, zdaje się, że takowe do pewnego stopnia pozyskał i że teraz, gdy od kilku miesięcy nie pokazał się w kalinowskim dworze, ona rada była coś się o nim dowiedzieć.

To też Jadwiga wesoła i uśmiechnięta wbiegła do salonu i serdecznie nowoprzybyłą powitała.

— Ach! jakże się cieszę, droga Jadwiniu, że cię oglądam; chodź-że, chodź, niech twoje śliczne oczęta ucałuję, moja ty różyczko świeża i kwitnąca, pomimo śniegu i mrozu na dworze.

— Ach! ciocia mnie tylko zawstydzą niezasłużonemi pochwałami — mówiła, rumieniąc się, Jadwiga.

— Ha! trudno, muszę każdemu, co mu się należy, powiedzieć, taka już moja natura, a ty wiesz dobrze, filutko, że to szczerą prawdą. Ale też i siostrzyczkę godną dostałaś, wyobrażam sobie, jak z tego jesteś rada. No, powinszować ci, panie Edwardzie, takich cór, toż to kwiatki, z rajskiego chyba ogrodu uszczknięte

Pociągnęła obie panny ku sobie i sadzając obok na

kanapie. przyglądała się im tak badawczo, że pod jej wrokiem pochyliły głowy z trwogą jakąś i niepokojem. Widząc to p. Milecka, rozmowę na inny przedmiot zwróciła, a wkrótce odwołała obie panienki, aby pomogły klucznicy przygotować dla gościa podwieczerek.

— Ach! Jadwisiu — szepnęła Aniela — ja dziwnie boję tej ciotki Malwiny, tak mi jakoś przykro i nieswojo... Zdaje mi się, że ona zaraz strofować mnie zacznie, iż nie umiem się znaleźć, jak należy.

— Eh! co znowu, wybij to sobie z głowy, ciocia wie, że dotąd w wieśniaczej się chacie chowałaś i wiele od ciebie nie wymaga. To tylko z początku tak się zdaje, powoli, gdy bliżej ją poznasz, zmienisz zdanie z pewnością.

— Och! nie! nie! nie wydaj mnie, proszę, ale ona mi się bardzo niepodoba.

Jadwiga skrzywiła usta z wyrazem niezadowolenia.

— Ja znów bardzo lubię towarzystwo ciotki Malwiny — odezwała się, jakby naprzekór.

Po podwieczorku p. Saliński zasiadł do lekcji z Anielą, gościowi zaproponowano odpoczynek po podróży, na co ona chętnie przystała, tylko pod warunkiem, że ją Jadwiga do przeznaczonego pokoju odprowadzi.

— Długo nudzić cię nie będę, ale musisz mi towarzyszyć — rzekła, biorąc ją pod rękę.

— Ależ, ciociu, uważam to sobie za największą przyjemność.

— To dobrze: a ja ci powiem za to o kimś, co bardzo tęskni do twego widoku i bardzo chwili miłej z tobą rozmowy wygląda.

Jadwiga nic nie odrzekła, tylko zarumienioną twarzą do ramion ciotki przytuliła.

A ta wszedłszy do pokoju, usadowiła się wygodnie na małej kanapce i Jadwigę wciąż przy sobie trzymając poczęła jej opowiadać, gdzie w tym roku lato spędziła, i dlaczego syn jej od tak dawna nie pokazał się w Kalinowej Woli.

— Powiadam ci, moja droga, całe lato spędziliśmy w podróży, a cośmy użyli rozrywek i przyjemności, to wyrazić trudno.

I ze zwykłą sobie żywością, oraz wielkiem przejęciem, używszy do tego całej swej wymowy, roztaczała przed wyobraźnią Jadwigi obraz ponętny uciech, zabaw i wspomnień wesołych, w jakich uczestniczyła w Warszawie i zagranicą. Jadwiga słuchała wszystkiego z namiętną uwagą, nie mogąc od czasu do czasu powstrzymać westchnienia, które się jej z piersi dobywało. Pani Malwina spostrzegła szybko wrażenie, jakie na niej wywierało opowiadanie, i rada z tego, coraz się wy-mowniejszą stawała, widocznie dokładając starania, by o ile można, owo wrażenie spotęgować.

I dokonała swego. Rozmarzone dziewczę przeniosło się myślą w świat inny, w świat zupełnie niepodobny do tego, w którym żyć była zmuszona. O! jakież to piękne, jakież pociągające były te przyjemności i zabawy o jakich ciotka opowiadała. Jakiż to musi być szczęście tak się stroić, jeździć powozami, odbierać hołdy i pochwały, obracać się w gwarnem, wesołem towarzystwie! A tutaj? Ach! tutaj doprawdy gorzej niż w klasztorze, bo tam przynajmniej ma się więcej towarzyszek, a tu jej nawet tego brakuje. Jedna, jedyna... to jaka? Miła, dobre dziewczę, ale jakże prostoduszne, naiwne i dziecinne! Ha! ona ją nigdy nie zrozumie, nie odczuje, nie oceni... I tak ma być zawsze? Tak marnie ma spływać jej młodość w osamotnieniu i tęsknocie? i co ją czeka w przyszłości?...

Takimi przejęta myślami, oparła głowę na rękę i zadumała się smutnie.

— Cóż się tak zachmurzyła, pieśzotko moja? stara ciotka nudzi cię widocznie, powiedz prawdę, a porzucę tę rozmowę... Co? ty masz łzy w oczach!.. co ci się stało?

— Ach! ciociu! moja droga ciociu, nie dziw się temu: twoje opowiadanie powiodło mnie w ten świat uroczy, do którego wdycham oddawna, a nigdy go, nigdy nie zobaczę!

Pani Malwina przyciągnęła ją do siebie, serdeczna oddając pieśzotę.

— Ach! biedne dziecko! — mówiła, jak mogła najczulej — ja cię rozumiem doskonale. Ty tutaj żyć nie możesz w tym domu zastarzałym, nudnym, gdzie ciebie kochają, ale nie pojmują zupełnie, żeś ty młoda i piękna, że tobie szerszego świata, wesołości i zabawy potrzeba; bo inaczej zmarnujesz twoje najpiękniejsze lata, i słusznie żalić się kiedyś będziesz, żeś szczęścia nie doznała na świecie. Nie mów jednak, że go nigdy nie zobaczysz... przyjdzie upragniona zmiana, przyjdą ludzie dobrzy, wyrwą cię z tej niewoli i rozpoczniesz inne, szczęśliwsze, swobodniejsze życie.

— Niema na to sposobu, kochana ciociu.

— Owszem jest i od ciebie tylko zależeć będzie przyjąć go, albo odrzucić. O! ja nie napróżno tu przyjechałam.

Jadwiga spojrzała na nią ze zdziwieniem, a ona mówiła dalej:

— Ukochałam cię serdecznie, drogie moje dziecko, i jeżeli mię przyjmiesz za matkę, wprowadzę w ten świat piękny, do którego wdychasz, dopomogę do pozyskania szczęścia i zadowolenia. Czy chcesz zostać moją córką?

Jadwiga zadrżała i twarz zakryła rękami. Pani Malwina objęła ją ramieniem i mówiła głosem słodkim, miłym, co się jej wdzięczną muzyką wydawało:

— Alfred cię kocha, i choć się z tem nie zdradził przedemną, zmiarkowałam to oddawna. Radabym się więc dowiedzieć, czy mu nie jesteś przeciwną. Jeśli otrzymam zadawalającą odpowiedź, a nie doznam przeszkody ze strony ojca i ciotki Krystyny, postaram się wasze połączenie przyspieszyć. A wtedy spełnią się twoje pragnienia, wtedy szczęśliwa i kochana, wejdiesz z nami w świat wielki, by w nim uciech życia zaskosztować. I cóż ty na to?

Jadwiga za całą odpowiedź przytuliła się do p. Malwiny, twarz swoją w zwojach okrywającego ją szala ukrywając.

— Cóż, nic mi nie powiesz? czyż naprawdę przykrość ci sprawiłam?

— O! nie!... nie!... Ciociu droga, jesteś dla mnie tak dobrą ale... ale...

— Nie tłumacz się, kochanko, nie stawiaj żadnych warunków i jeśli twe serce przystaje na to, pozwól, abym cię powitała, jako moją przyszłą synową, a następnie, bym mogła prosić ojca o twą rękę dla Alfreda.

Jadwiga była jak oszołomiona; spadło to na nią tak szybko, tak niespodzianie, że myśli zebrać nie mogła. Ogarnęło ją silne wzruszenie, radość i trwoga, nadzieja i lęk jakiś dziwny raptem ścisnęły jej serce, że nie wiedziała, co ma czynić, co odpowiedzieć. Przez chwilę zdawało się jej, iż uciec stąd, iż odmówić powinna, a przynajmniej prosić o czas do zastanowienia. Jednocześnie znowu siła jakaś nieprzeparta pchała ją w objęcia tej kobiety, co ją sobie pięknymi słówkami zjednała i której widocznie bardzo na tem zależało, by jej zaufa-

nie mogła pozyskać. Słowa słyszane dziwnie brzmiały w jej uszach; ona sprzyjała kuzynkowi, ale o wyjściu za niego dotąd wcale nie myślała. Ojciec przeciwny był zawsze kojarzeniu się małżeństw pomiędzy krewnymi, dowodząc, że w podobnych związkach zazwyczaj szczęścia się nie znajduje. Ona podzielała to zdanie, choć często myśl o pięknym i wymownym kuzynku budziła w niej pewną tęsknotę. Marzyła o nim nieraz, uważała wszakże te marzenia za nigdy spełnić się nie mające, a oto teraz stawały się rzeczywistością... Czy miała prawo odmówić? czy mogła się czegoś lepszego w życiu spodziewać? Nie, z pewnością nie. A tak się wszystko dobrze układa; ojciec teraz sprzeciwiać się temu nie będzie, o jej pochodzeniu nikt mówić nie ma potrzeby, wyjdzie za Alfreda, jako Salińska — i wszystkie jej obawy skończą się szczęśliwie. A o jej tajemnicy choćby się kto dowiedział, losu jej zepsuć już nie zdoła.

Miała więc wymówić ostateczne słowo przyzwolenia, gdy p. Malwina, przez chwilę bacznie się jej przypatrująca, jakby lękając się stanowczego rozstrzygnięcia, pośpieszyła temu przeszkodzić:

Widzę, że zaskoczyłam cię niespodzianie i trudno ci odrazu odpowiedzieć. Ach! nie żądam tego i pozostawiam czas do namysłu przez te dni kilka, jakie zamierzam tu zabawić. Jest to chwila, stanowiąca o całej twojej przyszłości, powinnaś mieć swobodę pilnego nad nią się zastanowienia. Niech więc przeto zamiary te pozostaną między nami, nie mów o tem tymczasem nikomu.

Ostatnie słowa zdziwiły Jadwigę, celu ich pojąć nie mogła. Dlaczegoż kazano jej to ukrywać przed tymi, którzy najlepiej i najszczerzej doradzić jej mogą i bez których o swym losie stanowić nie powinna? Ale pani Malwina nie dała jej się nad tem długo zastanawiać; pewna już swej zdobyczy, obsypawszy ją miłemi słowami,

kami, poczęła nieznacznie zwracać się do celu, który ją tutaj sprowadził.

— Moja droga, znasz mnie dobrze, wiesz zatem, że jestem szczerą i żadnych wątpliwych i niejasnych historyj nie lubię. Komu innemu nicbym nie powiedziała, tobie jednak mogę się zwierzyć otwarcie z tego, co mi leży na sercu. Chciałabym z tobą, jako z przyszłą córką i ukochaną siostrzenicą, o ważnej bardzo sprawie powiedzieć, ale musisz mi dać słowo honoru, że naszą dzisiejszą rozmowę zachowasz w sekrecie i nikomu o niej nie wspomnisz. Dobrze?

— Dobrze; daję cioci słowo, że nic nie powiem — odrzekła Jadwiga, nie domyślając się wcale, o co tu chodzi.

Pani Malwina raz jeszcze upewniwszy się, że Jadwiga jej nie zdradzi i podstępnych pytań nie odkryje, zwróciła się do niej z utyskiwaniem:

— Dziecko drogie, co się tu u was dzieje? wszakże ty padasz ofiarą jakiejś tajemnej przygody; krzywdę dotkliwą ci wyrządzają, a niema komu, coby stanął w twojej obronie. Posłyszawszy głuche wieści w okolicy, przybyłam tu umyślnie, aby ci dopomóc. Lecz muszę przedewszystkiem rzecz całą zbadać, muszę się prawdy dowiedzieć, od ciebie też najpierw żądam szczerzej odpowiedzi. Przecież zaufać mi możesz, możesz być pewna, że twego dobra pragnę jedynie.

— O czem mówisz, kochana ciociu? — spytała Jadwiga blednąc.

— Jakto! więc się nie domyślasz, do czego zmierzam? Dziwna rzecz doprawdy! Czyż tobie nigdy na myśl nie przyszło żadne podejrzenie? O! chyba nie zaprzeczysz, że co najmniej zadziwić cię musiało to nagłe ukazanie się jakiejś nowej siostrzyczki, o której dotąd najmniejszego nie było wspomnienia.

Jadwiga zadrżała i pod badawczym ciotki spojrzeniem oczy spuściła, po chwili jednak, opanowując wzruszenie, wydobyla z siebie słów kilka:

— Ciociu kochana, dano mi tak niezbite dowody, że ani na chwilę wątpić nie mogłam, iżby tu zajęć miała jakąś pomyłka.

— Nie o pomyłkę tu chodzi, ale o rzecz z góry uplanowana. Ty uwierzyłaś temu, co ci powiedziano, mnie jednak nie oszukają tak łatwo. Przecież ś. p. matka twoja w niespełna dwa lata po wyjściu za mąż umarła, i wiem doskonale, iż jedno tylko pozostawiła dziecię... skądże więc drugie się wzięło? skąd ta cała historia o wykradzeniu dziewczynki i jej cudownem odnalezieniu?

Biedna Jadwiga straszne przechodziła tortury; siedziała milcząca, z pochyloną głową, przemyślając, jakimby sposobem stąd się wyrwać, jakby uciec od tej strasznej kobiety. Teraz zrozumiała, jak uzasadnione były obawy ciotki Krystyny, i żał jej było, iż tak nieopatrznie naraziła się na to okropne położenie. Co teraz odpowiedzieć? jak zachować w całości tajemnicę, od której zależało jej szczęście i dobre imię na świecie?

A tu p. Malwina nie dawała jej spokoju. Zapewniając co chwila o swej przyjaźni i życzliwości i dowodząc, że pragnie coś dla jej dobra uczynić, usiłowała wyciągnąć z niej jakieś wyznanie.

— To niepodobna, musisz coś wiedzieć przecie, tylko mnie nie ufasz widocznie i chcesz zbyć milczeniem. Słuszną jest rzeczą, aby tajemnic rodzinnych nie odkrywać przed obcymi, ale przecie ja tak bardzo obcą nie byłam, a teraz nie mam być tembardziej, — dlaczegoż więc prawdę ukrywasz przedemną? Jeśli jest w tem coś dla ciebie przykrego lub bolesnego, to właśnie wierzyć mi powinnaś, a ja postaram się, według

możności, osłonić to, a jeśli można, odwrócić i zmienić. Córkę moją ukochaną, wierzaj mi, że twego szczęścia pragnę jedynie.

— Ależ ja nic nie wiem — broniła się Jadwiga — ja nic nie wiem, nic powiedzieć nie mogę, proszę się o to pytać ojca i ciotki Krystyny, oni najlepiej potrafią życzenie ciotki zadowolnić.

— Tak, potrafią, jeżeli zechcą, jeżeli im się podoba, wątpię jednak, czy się zgodzą prawdę powiedzieć. I z twojej strony to tylko wymówka, przecie trudno uwierzyć, abyś ty nic nie wiedząc, dała sobie tak łatwo, tak naiwnie narzucić towarzyszkę i do tego jaką jeszcze — prostą, nieokrzesaną wieśniaczkę!

— Ach! ciocia zmieni zdanie, gdy ją lepiej pozna. Ona ma w sobie tyle szlachetności, tyle delikatności wrodzonej, że niejedna z panien najstaranniej nawet wychowanych pozazdrościłaby jej tego mogła. O! ona, choć pod niską strzechą wzrastała, nie w wieśniaczej urodziła się chacie, więc...

— Więc ty wiesz coś o tem, tylko się wzbranasz prawdę powiedzieć, a przecie o twoje szczęście tu chodzi...

— Ależ ja jestem szczęśliwa i zupełnie zadowolona.

— To być nie może — inna rzecz przecie być dziewczką całego majątku, a inna jego połowy. Chyba rozumiesz to dobrze, że panna bogatsza prędzej i lepiej może wyjść za mąż, bo na ubogie nikt dzisiaj nie patrzy. Jakże możesz praw swoich nie bronić?

— Ona ma także same prawa — odrzekła zniecierpliwiona i zmartwiona ogromnie temi pytaniami, bo coraz wyraźniej widziała, że swej tajemnicy wszelkiemi sposobami bronić powinna. Z ostatnich słów łatwo było zrozumieć, że ciotka Malwina ogromną wagę przywiązywała do pieniędzy i że kto wie, czy nie cennie

swego oświadczenia co do wyboru jej za synową, skoro się przekona, iż ta jej przyszła synowa połowę tylko majątku Salińskich posiadać będzie. A cóżby to było, gdyby się o jej pochodzeniu dowiedziała? ona, co tak wiele ceniła ród i nazwisko? Wobec tego znikły zbudzone w jej sercu nadzieje, zbladły w jej oczach ponownie okazywane powaby wielkiego świata; czuła w swej duszy pustkę i ruinę, bo głos jakiś szeptać nie przestawał: „nic z tego nie będzie...”.

Wejście służącej przerwało tę męczącą rozmowę. Jadwiga z radością pochwyciła wiadomość o wezwaniu na wieczerzę. Odetchnęła swobodniej i starała się przybrać minę spokojną i wesołą, choć to się jej nie bardzo udawało — nie uszło też oka pani Mileckiej. Ciotka Malwina, choć zniecierpliwiona, iż dotąd nic jej się wydobyć z Jadwigi nie udało, starała się jednak pokryć swe niezadowolenie i bawiła wszystkich przy stole uprzejmą i dowcipną rozmową i niewyczerpanemi opowiadaniem.

Przy końcu wieczerzy Jadwiga pod jakimś pozorem wymknęła się z pokoju, a powróciła wówczas dopiero, gdy ciotka Malwina, powiedziawszy wszystkim „dobranoc“, udała się na spoczynek. Widocznem było, że jej unikać zaczęła, lękając się nowej rozmowy sam na sam.

Zwróciła na to uwagę p. Milecka i słusznie domyślając się jakiegoś powodu, postanowiła wybadać Jadwigę. Gdy więc we dwie tylko zostały, z macierzyńską troskliwością dopytywać zaczęła, o czym z ciotką Malwiną rozmawiały. Jadwiga w pierwszej chwili, potrzebą serca wiedziona, chciała jej wszystko opowiedzieć, o radę i pomoc prosić, — powstrzymała się jednak, przypomniawszy sobie nieszczęsne przyrzeczenie. Uważała, że danego słowa łamać jej nie wolno; postanowiła

więc dochować sekretu, choć czuła, że to ją pozbawi pożądaney pociechy i pewnej obrony, których tak bardzo potrzebowała w tej chwili. Zbywała więc ciotkę wymijającemi odpowiedziami, zmianę w swem usposobieniu przypisując pięknym opowiadaniom o wielkim świecie i jego przyjemnościach, które (jak się wyraziła) dla indydych osób zawsze są ciekawe i nęcące, myśl też w inną krainę przenoszą.

P. Milecka słuchała tego z wyrazem smutku i niedowierzania, nic jednak nie zaprzeczała, ale pocałowała ją na pożegnanie, odeszła z cichem westchnieniem i z wielkim w sercu niepokojem. Nie udała się jednak na spoczynek, ale znalazłszy brata w jego pokoju, długo z nim jeszcze nad czemś radziła, a potem również długo samotnie rozmyślała i ledwie o północy światło w jej sypialni zagasło. Nic dziwnego; czuła ona dobrze, jak poważne ich szczęściu domowemu grozi niebezpieczeństwo, chciała przed niem zasłonić swą ukochaną wychowanicę, ale wobec jej milczenia nie miała na to sposobu. Troszczyła się tedy i przemyślała, a smutne jakieś przeczucie trapić ją coraz bardziej zaczęło.

Jadwiga, również smutna i pełna niepokoju, wróciwszy do siebie, rzuciła się na kanapę i twarz w dłoniach ukrywszy, zastanawiać się poczęła kolejno nad wrażeniami, jakich dnia tego doznała, i nad trudnem położeniem, w jakim ją natrętna ciekawość ciotki Malwiny postawiła. A miała się nad czem zastanawiać. Tyle ona nadziei, tyle obrazów szczęścia i wesela roztoczyła przed jej oczyma, tyle zarazem obaw strasznych zbudziła w jej duszy!... Zyskać jedne, uchronić się przed drugimi było teraz jej zadaniem, ale jak tego dokonać? czy zdoła uspić podejrzenia tej pani, ukryć straszną tajemnicę, zyskać jej względy, zostać naprawdę jej córką przez związek małżeński z Alfredem? Och! teraz wa-

żyły się losy jej życia, od tego powodzenia całe jej szczęście w przyszłości zawisło; a ona — w tej chwili tak ważnej, tak trudnej niezmiernie nie miała nikogo coby ją wsparł radą, coby jej przyszedł z pomocą. Czuła, że sama temu winna, że ojcu i ciotce Krystynie wszystko wyznać należało, nie miała jednak odwagi złamać danego słowa. To też przechodziła nieznane jej dotąd udręczenia, a gdy się z kanapki podniosła, twarz miała rozpaloną, piersi jakby ciężkim przytłoczone kamieniem. Duszą jej się i niedobrze zrobiło, czuła zawrót głowy, podeszła tedy do okna i czoło o ramę oparłszy, patrzyła na jasną smugę światła, ciągnącą się aż w głąb ogrodu, na czarne, огоłocone z liści gałęzie drzew i migocące na niebie gwiazdy. Noc była jasna, księżycowa, wszędzie cicho, pusto, biało; ziemia śniegiem, niby puszystym kobiercem okryta, błyszczała tysiącami drobnych iskerek, natura senna i spokojna nęciła swą tajemniczą pięknnością, budząc zarazem w duszy jakąś niewytłumaczoną, nieprzepartą tęsknotę.

Obraz ten na Jadwigę silnie wywarł wrażenie, nie namyślając się ani chwili, zarzuciła ciepły szal na ramiona i przemknęła się cicho do jadalnego pokoju, otworzyła ostrożnie drzwi i wydostała się do ogrodu. Chłodny powiew wiatru zaraz na wstępie dreszczem ją przejął, nie zważała jednak na to i szczerzej tylko chustką się otulając, podażyła w głąb ogrodu ścieżką na śniegu wydeptaną. Przeszła tak kilka razy, rozkoszując się pięknnością nocy zimowej, wreszcie weselsza i spokojniejsza, wróciła do swego pokoju. Zmarzła tylko ogromnie, ręce i nogi miała skostniałe, poczęła znów biegać po pokoju, aby się rozgrzać, wreszcie krótki pacierz zmówiwszy, położyła się do łóżka i wkrótce twardo zasnęła.

Zadowolona była z przechadzki, sądząc, że nikt jej

nie widział, tymczasem rzecz się miała przeciwnie. Pani Malwina nie spała jeszcze, choć światło oddawna zgasła. Usiadłszy w wygodnym, do okna przysuniętym, fotelu, rozmyślała nad sposobem odkrycia tajemnicy, na której tak jej bardzo zależało. Sądziła, że najłatwiej potrafi podejść Jadwigę, zjednawszy ją sobie pochlebstwem i złudnemi obietnicami, gdy jednak wszelkie jej zabiegi nie przyniosły żadnego skutku, zastanawiała się nad tem, czy Jadwiga rzeczywiście nic nie wie, czy też tylko nie chce powiedzieć i jaki może mieć cel w ukrywaniu prawdy nawet przed nią, dla której nigdy żadnych nie miała sekretów.

Gdy tak siedziała w myślach zatopiona, usłyszała nagle skrzypnięcie drzwi i odgłos kroków po zmarzniętym śniegu. Zdziwiona, spojrzała przez okno i dostrzegła ciemną postać, przesuwaną się pomiędzy drzewami i ginącą w głębi ogrodu.

— Kto to może być?... po co w tak późnej godzinie wychodzi do ogrodu na śnieg i czas mroźny nie zważając?

Do najwyższego stopnia zaciekawiona i nawykła do szukania wszędzie jakichś awanturniczych wydarzeń, z niecierpliwością wyglądała powrotu tajemniczej postaci. Jakież było jej zdumienie, kiedy w powracającej poznała Jadwigę!

— Więc to ona, ona o tej porze wybiega pokryjmu z mieszkania, włóczy się po nocy — i w jakim celu? Gdyby to tamta, prosta dziewczucha uczyniła, nie tyleby mi to zdziwiło, ale Jadwiga?!... Nie! chyba oczy mnie myła, chyba mi się zdawało... ach! jakież to dom pełen tajemnic, ileż tu się historii ukrywa!

Dla jej bujnej wyobraźni i podejrzliwego usposobienia dość było tak błahego powodu do wysnucia różnych domysłów i przypuszczeń. Obok oburzenia, rada

była niezmiernie ze swego odkrycia, śledziła bacznie przechadzającą się panienkę i nie odstępowała od okra, dopóki ta do mieszkania nie wróciła.

— Przydać mi się to może i bardzo przydać w przyszłości — szepnęła do siebie z zadowoleniem, idąc na spoczynek.

ROZDZIAŁ XVI.

Na tropie.

Dla Jadwigi wieczorna przechadzka po mrozie i śniegu bez przykrych następstw nie pozostała. Obita się nazajutrz z silnym bólem głowy i taką chrypką, że słowa przemówić nie mogła. Pani Milecka, mocno tem zakłopotana, gwałtem ją w łóżku zatrzymała i różne środki lekarskie stosować poczęła. Dzielnie jej w tem pomagała Aniela, usiłując jak najspieszniej i najstaranniej wszelkie polecenia ciotki wypełniać; nie szczędziła pracy, byle tylko chorej ulgę jakąś, lub przyjemność sprawić, nie odstępowała jej też na chwilę. Co prawda, to chyba ona jedynie tylko zmartwiona była tą nagłą chorobą. P. Milecka bowiem i Jadwiga w duszy rade były z tego wydarzenia, gdyż ono odbierając Jadwidze możność mówienia, tem samem uniemożliwiało p. Malwinie dalsze badania. Ta niemile tą wiadomością została dotknięta i ubolewać głośno poczęła, choć jednocześnie znaczący uśmiech na jej ustach zdawał się mówić:

— Spodziewałam się tego; wyście się dopytać powinni przyczyny zaziębnienia, a nie dawać takiej swobody młodej, rozmarzonej dziewczynie...

Głośno jednak z niczem się nie odezwała. Odwec-

dziła zaraz Jadwigę w jej pokoju, uściskała i spytała z wyrazem serdecznego współczucia:

— A skądże spadło na ciebie to utrapienie, biedaczko moja? wczoraj przecie. zdrową byłaś zupełnie.

Jadwiga chciała jej opowiedzieć o wycieczce do ogrodu, ale głosu z piersi wydobyć nie mogła i, mimo wysiłku, musiała poprzestać na słuchaniu tego, co do niej mówiono.

— Nie morduj się, kochanko, nie wysilaj, a postaraj o to, aby ta choroba przeszła jaknajprędzej. Szkoła wielka, że tak się stało; ta nieszczęsna chrypka pozbawiła mię twego miłego towarzystwa, ciebie zaś wesołej przejażdżki do Jaśminka.

Jadwiga spojrzała pytająco, a p. Malwina ciągnęła dalej:

— Dawno już obiecałam pani Celinie, że do nich przyjadę, teraz byłoby dobrze dopełnić przyrzeczenia; ale samej jechać niemiło, wołałabym z tobą, moja dyna. Tam przecież są młode panny, rozweseliłabyś się trochę, a to ci tak potrzebne. Na dziś właśnie plan tej wycieczki układałam, twoje tymczasem zaziębnienie stało mi na przeszkodzie. Ale nie martw się, zaczekam do jutra, może to przejdzie.

Ucałowała ją znowu i odeszła do swego pokoju. Na Anielę zdawała się wcale nie zwracać uwagi, przez cały ranek żadnem się słówkiem do niej nie zwróciła, a z całego względem niej zachowania wiał jakiś chłód pogardliwy, jakaś niechęć widoczna, co zdawała się mówić: „Pocoś ty tutaj? jakim prawem dostawałaś się do tej rodziny? ty, prosta, wiejska dziewczyna, śmiesz się równać z rozumną, wypieszczoną Jadwigą!”

Odczuła to Aniela i boleśnie dotknięta została, i i komu jednak z tem się nie zwierzyła, aby niepokoju nie robić. Postanowiła dla tej „dumnej” ciotki być grzeczną

usługą ale trzymać się zdaleka i wszelkiej unikać rozmowy. Ona też nie szukała z nią spotkania, przeczuwała, że ta najmniej objaśniłaby ją potrafiła w sprawie, która tak bardzo na sercu jej leżała.

Zmuszona pozostawić Jadwigę w spokoju, pani Malwina polowała teraz na p. Milecką, aby ją, jak to mówią przycisnąć do muru, zmusić do wyznania prawdy. Trudno jej było upatrzeć chwilę spokojną do poufnej rozmowy. P. Milecka dziwnym zbiegiem okoliczności, ciągle była zajęta, ciągle z kimś miała interesa, tak, że prócz ogólnej przy śniadaniu, lub obiedzie gawędy, niepodobna było z nią się rozmówić. Choroba Jadwigi i nagły wyjazd p. Salińskiego, tłumaczyły poniekąd ten nadmiar zajęcia, p. Malwina jednak szybko spostrzegła, że tkwi w tem inna przyczyna, a mianowicie wyraźna niechęć do spotkania się z nią samą na sam.

— Ha! — pomyślała sobie — oni wszyscy widocznie unikają o tem rozmowy, — a więc się nie pomyliłam, musi tam być coś niedobrego. To mię tylko bardziej zachęca do odkrycia tajemnicy, i choćby mnie to jak najwięcej kosztować miało, muszę się o wszystkie dowiedzieć. Niepodobna, żeby we dworze nie znalazł się ktoś z dawnej służby, coby pamiętał nieboszczkę Salińską i mógł zaświadczyć w tej sprawie; poszukać tylko trzeba...

Zaraz tego wieczoru, gdy jedna z dziewcząt dworskich przyszła do jej pokoju, by łóżko posłać, wdała się z nią w rozmowę, dopytując, jak dawno tu służy i czy zna wszystkich we dworze. Na to dziewczyna odpowiedziała, iż jest tu dopiero od kilku miesięcy, ale wie, że najdawniej ze wszystkich służy karbowy Wincen'y Milek, który pono nieboszczkę panią jeszcze na rękach nosił.

— A gdzie on jest? czybym się z nim widzieć nie mogła? — spytała p. Malwina. — Bo to widzisz, moja kochana, bywając u państwa przed kilkunastu jeszcze laty, znałam wiele osób dworskich i teraz miłoby mi było, gdybym się z kimkolwiek z nich zobaczyć mogła.

— Cóż, proszę pani, kiedy Wincenty chory i leży w szpitalu, inni powymierali, albo się rozeszli po świecie, i to nie wiem, czy się kto z tych dawniejszych znajdzie.

— A Błażej, ogrodnik?

— Ho! ho! on już pono od dziesięciu lat nie żyje.

— Prawda, prawda; przypominam to sobie. Znałam go dobrze, żonaty był z wdową, dużo starszą od niego; teraz pewnie już i ona nie żyje.

— Przeciwnie, stara Błażejowa wcale dobrze się trzyma i żwawa jeszcze kobieta. Przychodzi tu czasem, państwo ją czemś obdarzą, a dawna piastunka, Tekla, bardzo się z nią przyjaźniła. Kiedy miała zjechać „nowa“ panienska, Błażejową państwo posyłali do umowy z Wojciechem Kostrzewą, co to panienkę wychowywał, a teraz siedzi tu z żoną w dworskiej chałupie i opływa we wszystkie dostatki.

Śluchając tych słów dziewczyny, p. Malwina o mało nie podskoczyła z radości. Teraz była pewna, że ją-kaś nitkę uchwyci, a po nitce to już dojdzie i do kłębka. Błażejową z dawnych lat znała, mówiono jej wówczas, że do różnych sekretów była dopuszczana; ona coś przecie wiedzieć powinna. A gdyby się wzbraniała odkryć tajemnicę, znajdzie sposób łatwy złamania jej uporu, potrafi ją sobie zjednać... kilka, kilkanaście rubli, to bagatela, wobec tak ważnego zadania. Przez wzgląd na Jadwigę i Alfreda, niczego nie pożałuje.

Zapytała tedy służącej, gdzie mieszka Błażejowa i czem się zajmuje, otrzymała na to odpowiedź, że

mieszka u syna, w leśniczówce, ale synową ma niebardzo dobrą: żaluje jej wszystkiego, i nieraz tylko z tego żyć musi, co we dworze uprosi. O miejscu zamieszkania również dokładnie jej doniosła, za co hojnie obdarzona, z wesołą miną pokój opuściła, zostawiając p. Malwinę w błogiem przekonaniu, że teraz jest już na tropie i bez wielkich trudności potrafi dopiąć celu. Naprzód jednak postanowiła odwiedzić dawnych opiekunów Anieli.

Wybrała się tam zaraz z rana, aby nie tracić drogiego czasu, nie mogła bowiem znieść tego, że siedząc tu już od dni paru, nic się jeszcze nie dowiedziała. Właśnie Wojciechowa, izbę uprzątnąwszy, przysiadła do kądzieli, Wojciech zaś z kawałka drzewa gruszkowego zabrał się zrobić parę łyżek do użytku w domu, kiedy naraz drzwi się otwarły i okazała postać p. Miszewskiej pojawiła się w progu...

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki wieków... — odpowiedzieli oboje małżonkowie, powstając na powitanie gościa. Widocznie zdziwieni i zakłopotani, nie wiedzieli, co im czynić wypada, ale p. Malwina pozdrowiła ich przyjaźnie, i, rozglądając się po izbie, zawołała z ożywieniem:

— Ach! jak tu u was czyściutko! jak przyjemnie! zdaje się, że szczęście z każdego kąca wygląda...

— Bogu niech będą dzięki, szczęśliwi jesteście, niczego nam z łaski pańskiej nie brakuje, — odrzekł Wojciech, a wysunąwszy krzeselko, dodał uprzejmie:

— Może wielmożna pani spocznie, kiedy nasza chudobę odwiedziła.

— Ach! i owszem, moi dobrzy ludzie, przychodzę wam powinszować szczęścia, jakie rzadko zdarza się na świecie. Taką piękną wychowaliście dziewczynę i w takiej ją widzicie pomyślności, czyż to nie pociecha?...

Wojciech chciał coś odpowiedzieć, nie dała mu jednak przyjść do słowa, ale zajmwszy miejsce przy stole, dalej mówiła:

— Dziwne bo też to, dziwne zdarzenie! doprawdy trudno uwierzyć, jak mogło przytrafić się coś podobnego. Jakim sposobem to dziecko się do was dostało? jak znowu o niem tutaj się dowiedzieli? Słyszałam już o tem kilkakrotne opowiadanie, a jednak to mi jeszcze nie wystarcza. Radabym z ust waszych coś o tem poznać, wszak wy, najlepiej jesteście w całą tę sprawę wtajemniczeni.

Wojciech słuchając tych słów, zamyślił się chwilę i zaraz przebiegło mu przez głowę, że p. Miszewska musi mieć w tem jakiś cel ukryty, kiedy do nich przyszła z zapytaniem, postanowił też mieć się na baczności. Wojciechowa znów, uważając męża za nierównie mędrszego od siebie, gdy prowadził rozmowę z jaką dostojniejszą osobą, zwykle się nie odzywała, mógł być więc o nią spokojny, że nie wygada. Poszedł tedy bliżej i oparłszy się o okno, zapytał z powagą:

— A o czem wielmożna pani wiedziećby chciała?

— Przedewszystkiem o tem, skąd dziecko do was się dostało?

— Z lasu, proszę pani, z lasu.

— Jakto z lasu? Nie żartujcie sobie; przecież samo do was nie przyszło... A więc, kto wam je dał?

— O! tego wiedzieć nie mogliśmy, bośmy nikogo nie widzieli, to tylko możemy zaświadczyć, że zbrodniarz to był jakiś co dziecinę maleńką porzucił na obcym progu, w noc taką zimną i słotną.

— A wyście nic nie słyszeli?

— Nic; tylko płacz dziecka, co głodne i zziębnięte kwiliło żałośnie, jakby wzywając pomocy.

— I nikogoście potem nie pytali?

— A po cobyśmy pytać mieli? Toć wiadomo, że nie na co innego dziecko porzucono, tylko na to, aby się go pozbyć. A nam dziecina do serca przypadła, tośmy się cieszyli i uważali ją, jakby zesłaną z nieba dla naszej pociechy.

— A ona jak wam się przedstawiła? coście sądzili z pierwszego wejrzenia, czy to mogło być pańskie, czy chłopskie dziecko?

— O! proszę wielmożnej pani, jakże to było poznać? Toć mam się zdaje, że wszystkie dzieci w niemowlęctwie jednakowo wyglądają, czy wzięte z pałacu, czy też z kurnej chaty.

— Głupi chłop! — pomyślała zniecierpliwiona p. Malwina — czy taki ograniczony, czy tylko udaje? Ale mnie byle czem nie zbędzie, muszę się dowiedzieć.

I nie okazując zniechęcenia, z pobłażliwym na ustach uśmiechem, tłumaczyć poczęła:

— Ależ, moi drodzy, wy mnie tylko zrozumieć nie chcecie, niepodobna przecież, abyście nie wiedzieli, o co mi chodzi. Dziecko chłopskie, zarówno jak pańskie, jednakową ma naturę, ale rychło staranne wychowanie, ubiór, pieśczoćy robią z niego wcale inną istotę — i to większej części łatwo już w krótkim czasie rozpoznać, z jakiego stanu pochodzi. Ja też się zapytuje, jak wasze dziecko było ubrane i czy znać było, że się chowało w wygodach?

— Oj! proszę pani, takie to było miłe niemowlętko, takie delikatne i śliczne, że nie tylko wzięliśmy je za pańską dziecinę, ale nawet za anioła z nieba. A znów w taką brudną, grubą koszulkę było ubrane i lichą tylko chustciną owinięte, że śmiało sądzićby można, że to dziecko jakich nędzarzy.

— I nic przy nim nie znaleźliście? ani papierów, ani dowodów żadnych?

— Nie, proszę pani; bo i któż byłby taki niemądry, aby ślad pokazywać? Miałoby na sobie tylko jakiś podwójny medalik, co to medalionem nazywają. Świecił jak złoty, a na wierzchu był obrazek Matki Boskiej z napisem: „Pod Twoją obronę“.

— I sprzedaliście go pewnie w małej potrzebie?

— Uchowaj Boże! czyżbyśmy temu biedactwu taką krzywdę mogli wyrządzić? Choć nieraz ciężko było, mówiliśmy sobie jednak, że nam tej pamiątki zatracić nie wolno. Nosiła ją zawsze na piersiach, a kiedy nam ją zabrano, pani dziedziczka otworzyła ten medalion i okazało się, że tam były malutkie obrazki, przedstawiające pana i jego nieboszczkę żonę. To był już ostateczny dowód, że ona jest córką i z jego rodu pochodzi.

— Eh! to dowód bardzo słaby, jeżeli nie było większego.

— Jakto nie było! a skądżeby pan tak dobrze o niej wiedział i wprost zabrał, jak swoją?

— O to też mi właśnie chodzi: skąd się dowiedział i dlaczego ją zabrał. To, co mi w tej sprawie opowiadają, jest bardzo niejasne — i od was chciałabym się coś pewniejszego dowiedzieć.

— A no, przystali do nas jedną kobietę z zawiadomieniem, a to było właśnie wtedy, kiedy nasza ukochana dziewczeczka się utopiła... byliśmy bardzo zmartwieni...

— Ach! to nie należy do rzeczy. Ja się pytam, jaką wam dano pewność, że ona rzeczywiście jest córką tutejszego dziedzica?

— Et. to długa historia, trzebaby wszystko od początku opowiadać, a na co to wielmożnej pani? Jak pan przyznał, że to jego córka, to dosyć; musiał mieć na to niezłomne dowody.

Pani Malwinie brakło już cierpliwości.

— Ale gdzie te dowody?! — wybuchnęła — ciągle mi o nich mówią, a nikt nic nie pokazuje, czyż to tak czynić należy? Wyście tak łatwo uwierzyli i dali sobie zabrać waszą pociechę, nie pytając nawet dlaczego; zostaliście dobrowolnie sierotami na stare lata i nawet nie podejrzewacie, że w tem się jakaś zdrada może ukrywać. Biedni ludzie! żal mi was szczerze; jaby tak sobie wydrzeć jej nie dała.

Wojciech popatrzył na nią zdumiony i podrapał się w głowę fraszliwie. Już teraz nie wiedział, co ma sądzić; spojrzął na żonę, którą również powyższe słowa zmieszały i zmartwiły.

Pani Malwina spoglądała na nich wyzywająco.

— I cóż, milczycie oboje — mówiła, — chyba przyznacie mi słusność. A więc wam powiem, co myślę, ufając, że mnie nie wydadacie i słów moich nie powtórzyście nikomu. Otóż mnie się widzi, żeście zanadto się pośpieszyli z oddaniem, bo tu się kryje jakaś nieczysta sprawa, a jak prawda na wierzch wyjdzie, to wasza wychowanka ze wstydem stąd ustąpić będzie musiała. Bardzo się o to obawiam.

Wojciechowie porwali się z miejsca oboje, z wyrazem przestachu i najwyższego zdumienia w twarzy, p. Malwina spoglądała na nich z miną triumfującą. Wojciech jednak spostrzegł się szybko i podejrzewając jakiś podstęp, podniósł głowę do góry, a oczy gniewem mu się zaiskrzyły.

— To nieprawda — zawołał porywczo, bliżej do stołu przystępując. — Aniela jest córką dziedzica i nikt jej teraz nazwiska, ani majątku nie wydrze. Dosyć się naciępiła, kiedy ją wykradziono i kiedy u nas w biedzie i pracy ciężkiej żyć była zmuszona. Teraz jej nikt od dziedzictwa nie odsądzi.

— A pokażcie jakie ona ma do tego prawa.

— Prawa pokaże pan dziedzic i basta. My tylko wiemy, że jak niegdyś tak i teraz, źli ludzie się spiknели, aby ją zgubić, — ale nie doczekanie ich; ona tu pani.

— A tamta druga, czy nie jest córką dziedzica? (czy co?)

— A czemu nie ma być córką? czyż to dziedzic dwóch córek mieć nie może?

— A nie; miał tylko jedną, bo mu wprędce żona umarła; skądże więc teraz dwie się wzięły?

Zaczerwieniona i mocno podrażniona, wpatrzyła się w Kęstrzewę gniewnym wzrokiem, ale i jego cierpliwość się wyczerpała.

— To wielmożna pani do mnie z takim zapytaniem przychodzi? to ja mam objaśniać, czy dziedzic miał jedną, czy dwie córki? a skądże my to wiedzieć mamy? czyżiny tutaj byli, czy co?

Pani Malwina straciła wszelką nadzieję dowiedzenia się czegokolwiek, utwierdziła się tylko w przekonaniu, że Aniela nie jest chyba córką dziedzica, kiedy Wojciechowie tak się zatrwożyli. Myślała zaś sobie: „Szczwany chłop, nic mi nie chce powiedzieć, ja jednak na ślad natrafiłam, dam już sobie radę i bez jego objaśnień“.

Powstając tedy z krzesła, rzekła z urazą w głosie:

— Myślałam, że coś więcej wiecie, i że mi nie odmówicie wskazówek, bo to dla dobra waszej wychowanki potrzebne. Tymczasem widzę, że się pomyliła, że przez upór, czy niedowierzanie, prawdy odsłonić nie chcecie. Ha! bodajbyście tego nie pożałowali w przyszłości. Teraz dla Anieli możnaby jeszcze coś zrobić, ale później, gdy rodzina Salińskich przekona się, że ona tu właściwie praw nie ma, może już będzie po niewczasie. Wtedy pewnie przyjdzie wam pożałować, żeście odtrącili osobę, co wam dopomóc chciała.

i zawiedziona w oczekiwaniu, nie skinawszy im nawet głową na pożegnanie, pośpiesznie opuściła izbę, gdzie ją tak niechętnie przyjęto.

A Wojciechowie spoglądali za nią wzrokiem wyłękłym, nie pojmując właściwie, czego od nich żądała. W uszach brzmiały im tylko słowa strasznej groźby wydalenia i wydziedziczenia ich kochanej dziewczeczki z tego domu i majątku, którego połowa miała jej przyługiwać w przyszłości. Gubili się w domysłach, co by w tem być mogło, skąd powstała wątpliwość, że Aniela nie jest córką dziedzica? Ale znów skądże wiadomo, że ona jest nią rzeczywiście?... Ach! doprawdy, pani ta miała słuszność, utrzymując, że im brak wszelkich dowodów, że tylko na słowo uwierzyli. Ale jakże mogli nie wierzyć? Ubogą ich wychowankę otoczyło naraz takie szczęście, taki dostatek, by zrozumieć, że obcemu dziecku tegoby nikt nie uczynił.

Oni też wątpić nie mogli, nie mogli jej bronić radości rozkosznego, wygodnego życia. Z pewnością państwo obcej dziewczyny nie przyjęliby do swego domu, a skoro ją za córkę uważają, musi nią być niezawodnie. Widocznie ta kuzynka szczęścia jej i majątku zazdrości, radaby wydrzeć jej takowe, szuka więc i bada, ale przecież zaszkodzić może jej nie zdoła... Może... ale jeśli stanie się inaczej? jeżeli niczem jej pochodzenia udowodnić się nie da? co wtedy począć? Zmartwieni wielce, naradzać się poczęli czyby nie należało przedsięwziąć jakich środków obrony, a przedewszystkiem, czy nie opowiedzieć o tem, co zaszło, panu, aby on sam postarał się wątpliwość usunąć. Wtedy nagle drzwi się otworzyły i do stancji weszła wysoka, szczupła kobieta, duża chustką okryta. Była to żona kucharza, a zarazem pracownica dworska, która nieopodal mieszkając, często do nich zachodziła. Nie lubili jej Wojciechowie z po-

wodni, nadzwyczajnej gadatliwości i złośliwego języka, którym już niejednemu dokuczyła.

Teraz tembardziej skrzywili się na przybycie nie milego gościa, na co ta nawet uwagi nie zwróciła, ale drzwi ledwie za sobą zamknawszy, zawołała:

— Ach! kochani sąsiedzi, przyszedłam was pocieszyć w waszem zmartwieniu.

— W jakim? — zapytali ze zdziwieniem.

— Oj! nie udawajcie napróżno, że nie wiecie, o czem mówię, a powiedzcie mi lepiej, po co tu pani Miszewska przychodziła?

— Eh! pani Andrzejowo, a wam co do tego?

— Co mnie do tego? Ha! ha! ha! myślicie, że to się kryje? daremna nadzieja! wyjdzie wszystko na jaw wcześniej, niż przypuszczacie.

— Co takiego? o czem mówicie, sąsiadko?

— O czem? oto o tem, co wam przed chwilą p. Miszewska mówiła. Słyszałam dobrze przez ścianę bo właśnie byli u ogrodnika. Nie macie co ukrywać; wiadać prawda, o czem ludzie zdawna bąkali; i mnie się widziało, że to jakaś nieczysta sprawa w tej całej historii, i że krótki tu będzie koniec szczęścia waszego i waszej wychowanki.

Złośliwa kobieta, z zazdrością spoglądając na wyrażenie Wojciechów, rada była im teraz dokuczyć, z szatańską w duszy radością widziała już, jak ich piękna córeczka uciekać będzie ze dworu, a oni z żalem i ze wstydem do własnej chaty powrócą. Są ludzie, którym szczęście bliźnich solą jest w oku, do takich i Andrzejowa należała; nie mogła więc wytrzymać, aby swego zadowolenia nie okazać.

Wojciechowie stali milczący, z głową spuszczoną, co więcej jeszcze dało jej do myślenia i w powziętem przekonaniu utwierdziło.

— Ho! ho! dziwiliśmy się wszyscy, co się to u nas dzieje, nikt przecie głośno nie śmiał nic mówić; ale teraz przyjechała osoba, co wszystkie odkryje sekreta i nie da naszej pannie Jadwidze krzywdy zrobić. O! nie!

Wojciechowa nie mogła wytrzymać.

— A co wam ta druga uczyniła, że tak na nią nastajecie? — wyrzekła z żalem.

— Toć nic mi nie zrobiła i nic nie mam do niej, ale trzeba sądzić po sprawiedliwości; co się komu nie należy, po to sięgać nie powinien.

— My ich nie szukali i nie prosili — bąknął Wojciech, i czapkę na głowę nacisnąwszy, wyszedł z izby.

Wojciechowa usiadłszy koło swego kołowrotka, praść próbowała, ale w drżących rękach nie mogła niki utrzymać. Oparła je tedy na stole i głowę na nich położywszy, cicho płakać poczęła. Andrzejowa, widząc, że nema tu co robić, wykreśliła się na pięcie i wymknęła się z izby, mruknąwszy tylko coś pod nosem.

W godzinę później już po całym dworze krążyła dziwna wiadomość, że ta świeżo przywieziona panienka nie jest wcale córką dziedzica, że to było tylko jakieś czuśkaństwo, a teraz wszystko na jaw wychodzi, bo się zjadują krewni, gotowi stanąć w obronie pokrzywdzonej panny Jadwigi, która jest jedyną tutaj dziedziczką.

Wiadomość ta, przybiegając z ust do ust, z różnem była usposobieniem przyjmowana. W jednych budziła tylko podziwienie, w innych litość i współczucie; nie wielu znalazło się takich, co to obojętnie, albo z zadowolaniem przyjęli. Aniela bowiem u wszystkich względy sobie zyskać potrafiła. Z żalem też myślano o tem, co ją czeka, jeżeli rzeczywiście ta sprawa na jej się korzystać nie rozstrzygnie. Że tak będzie, nikt o tem nie wątpił, a już p. Malwina była prawie pewna, że się w swem przypuszczeniu nie myli. Mocno zadowolona

z całej rozmowy u Wojciechów, tembardziej pragnęła czegoś się dowiedzieć, i rozwiązanie zagadki za triumf sobie uważała. Tylko osoby, które najbliższej ta sprawa dotyczyła, nic o tem, co we dworze mówiono, nie wiedziały. P. Milecka zauważyła wprowadzić jakieś narady, jakieś szepty po kątach, nie domyślała się przecież, kogo one mają na celu, a nikt jej o tem nie śmiał powiedzieć. Tymczasem pogłoski rosły i coraz większej wagi w oczach wszystkich nabierały.

ROZDZIAŁ XVII.

W leśniczówce.

Zaraz po obiedzie (wczesnym, jak zwykle na wsi bywa), p. Malwina uskarżając się na lekki ból głowy, oświadczyła chęć przejechania się w pole, czy do lasu, dla orzeźwienia świeżem, mroźnem powietrzem. Pośpieszono spełnić jej życzenie — i wkrótce małemi saneczkami, z jednym tylko furmanem, bo, ku ogólnemu zdziwieniu, nie zaproponowała nikomu, by jej towarzyszył, pomknęła drogą, poza ogrodem biegnącą.

— No, chłopcze, jedź dobrze, a suty dostaniesz napiwek — odezwała się, gdy jechali w pole.

Chłopak cmokał na konie — i pędzili, jak wiatr, przez białe, puste równiny.

— W którą stronę pani każe jechać? — zapytał, gdy dojechali do lasu.

— Na prawo, do leśniczówki — brzmiała odpowiedź.

— Ale to parę wiorst drogi, proszę pani,

— Nic nie szkodzi; chcę się przejechać, a zarazem odwiedzić starą sługę, Błażejową. Znać ją?

— Ojoj! bardzo dobrze; toć nieraz do dworu przychodzi.

Pojechali tedy kręcąc się po lesie drożyną; byli już blisko celu, gdy nagle chłopak, powstrzymując konie, ukazał coś ręką w oddali.

— Widzi mi się, że to Błażejowa zbiera gałęzie, ot, tam za temi krzakami.

— Prawda! — zawołała pani Malwina, przyglądając się czerniejącej zdala postaci — to ona, jedźmy w tę stronę.

— Nie da się zboczyć z drogi, bo las gęsty w tem miejscu — zauważył chłopak.

— W takim razie stań tutaj, ja pójdę do niej sama.

I choć nie bez trudności, wygramoliła się z siana, a że śnieg był niewielki i stwardniały, łatwo dostała się do schylonej nad swą pracą kobiety. Dochodząc zauważyła, że ta coraz to fartuchem oczy wyciera, usłyszała też dobywające się z jej piersi ciężkie westchnienia. Na odgłos kroków, stara podniosła głowę i pilnie przyglądać się poczęła.

— No, jeśli mnie oczy nie mylą, to wy jesteście Błażejowa, dawna ogrodniczka, nieprawdaż? — odezwała się z przyjemnym uśmiechem pani Malwina. — Czy wy też mnie poznajecie?

Błażejowa przez chwilę przypatrywała się przybyłej, wreszcie z wyrazem wielkiego rozradowania w górę obie ręce podniosła.

— Ach! to wielmożna pani Miszewska — zawołała, podchodząc i całując jej ręce. O! jakżeż się cieszę, że panią jeszcze przed śmiercią oglądam, a tyle już lat, tyle lat nie widziałam! Skądże się paniusia tutaj wzięła? w lesie, w śniegu, sama jedna...

— A no, wyjechałam na spacer do lasu i trzebaż szczęśliwego zdarzenia, że was spotykam po drodze. Bardzo z tego rada, bo miałam chęć zobaczyć się z wami. Nie przychodźcie teraz do Kalinowej Woli?

— O! i owszem, często tam bywam, teraz tylko nie mogłam, bo miałam wiele zmartwienia w domu — odpowiedziała i westchnęła smutnie.

— A widzę, żeście markotni; co wam to dolega?

— Ach! pani serdeczna, wszystka bieda na mnie się zvaliła, bo i syn mi chorował i z synową tyle miałam przykrości, a oto znów wczoraj złodziej dostał się do komory i zabrał mi wszystko, com przez życie sobie uciulała, aby mieć na śmierć i na pochowanie... oh! co ja teraz pocznę nieszczęśliwa!

— A dużo tego było?

— O! więcej jak 50 rubli — z jękiem wyszeptala Błażejowa.

Po ustach pani Miszewskiej przebiegł nieznaczny uśmiech.

— Nie macie się czego martwić tak okrutnie, można to sobie przecie powetować. Ot, i ja od was żądać będę usługi, za którą hojnie wywdzięczycie się potrafię. Chodźmy więc do waszej chaty, tam sobie pogadamy, a nie będziecie tego żałować.

Błażejowej oczy radością zaświeciły.

— A, proszę łaski pani, czym ja godna, by mnie taki dostojny gość odwiedził? Ale kiedy pani tego sobie życzy, to proszę, bardzo proszę. Oto tedy już tylko kilkadziesiąt kroków od naszej chatynki.

I porzuciwszy niedokończoną robotę, poprowadziła swego gościa prosto do leśniczówki.

Gdy weszły na małe podwórko, p. Malwina, oglądając się w koło, zauważyła:

— Ach! jak wy się nie lekacie mieszkając tak wśród lasu, nic dziwnego, że was okradają.

— Ej! tyle lat tu żyjemy, tośmy się przyzwyczaili, a nieszczęście podobne pierwszy raz mnie spotkało. Och! wiedział ktoś dobrze o moich pieniądzach, to mi je zabrał... niegodziwiec... — i fartuchem oczy zasłoniła.

— Nie macie czego tak desperować, powiadam wam, że teraz lepsze dla was nastąpią czasy, byleście tylko skorzystać z dobrej sposobności potrafili i nie odepchnęli szczęścia, które się do was uśmiecha.

Błażejowa mocno zaintrygowana, badawczo w oczy mówiącej spojrzała, jakby zapytując, co by to być mogło takiego. Nie wyrzekła jednak ani słowa, dobrze rozumiejąc, iż p. Malwina czegoś od niej żądać będzie, bo nieraz już doświadczyła, że gdy się chciała o czym dowiedzieć, lub co uzyskać, od obietnic i datków zwykła była zaczynać. Przygnębiona największym, jakie w jej nuniemaniu spotkać ją mogło, nieszczęściem, ucieszyła się nadzieją podarunku, wystawić sobie tylko nie mogła na co by ona tej pani przydać się miała.

Gdy weszły do mieszkanka, a nie zastały nikogo, p. Malwina odezwała się z zadowoleniem:

— Zdaje mi się, że będziemy tu mogły swobodnie porozmawiać; a ważna to sprawa, radabym przeto, aby nam nikt nie przeszkadzał.

— Zaraz się przekonam — odpowiedziała stara kobieta i poczęła wołać:

— Antoś chodź tutaj! chodź prędko!...

Na to wezwanie wyszedł z alkierza kilkoletni chłopczyzna, i progu nie przestępując, zaczął się nieznajomą pani przyglądać.

— A gdzie matka? — spytała wnuka Błażejowa.

— Matka obiad poniosła tatusiowi do boru, tam,

gdzie sążnie stawiają — odpowiedział mały i skrył się do kąta.

— To dobrze. Nikt nam nie przeszkodzi, może się wielmożna pani rozgościć, bardzo proszę nie gardzić ubogą chatą naszą.

I podwszy krzesło p. Malwinie, sama stanęła przy stole.

— I wy sobie usiądźcie, boście się zmęczyli i jakoś mi źle wyglądacie. Czy to praca, czy choroba tak was zmizerowała?

— Po trosze i jedno i drugie, ale najwięcej niszczy człowieka zmartwienie, a mam ci ja go nie mało, najwięcej z tą moją synową... co ja muszę ciągle znosić, złota pani! to trudno opowiedzieć.

— Kiedy tak, to najlepiej, żebyście się odosobnili.

— Ale gdzie? gdzie? toć ja więcej nie mam na świecie nikogo.

— Ha! w takim razie muszę się zająć waszym losem; tyle lat przesłużyliście w Kalinowej Woli, miejsce tam dla was i dożywocie znaleźć się powinno. Ale nie może to być wcześniej, jak po weselu panienki...

Błażejowa aż podskoczyła i z największą ciekawością wlepiwszy wzrok w panią Miszewską, zapytała:

— Wesele panienki? a której, proszę pani?

— No, chyba za dobrze o wszystkim wiecie, żebyście się pytać mieli. Toć wiadomo, że jedna jest tylko prawna córka dziedzica, więc chyba ją mam na myśli.

Błażejowa znienacka zaskoczona, zmieszała się w pierwszej chwili, zaraz jednak oprzytomniawszy, pośpieszyła z zaprzeczeniem:

— Ależ, proszę pani, obie są córkami i obie mają tam równe prawa. Ja przecie wiem o tem.

— Dlatego właśnie, że wiecie o wszystkim, powiadam wam odrazu, iż tylko jedna jest córką dziedzica.

Daję wam przez to dowód zaufania, bo nikomu innemu o tembym nie wspomniała; przecież i drugiej szkodzić nie można, ani jej stamtąd wypędzać. Przykro mi tylko, że się do mnie w ten sposób odzywacie, aby mię w błąd wprowadzić; chyba możecie przypuszczać, że jestem wtajemniczona w tę sprawę, która jedynie dla obcych i obojętnych na zawsze nieznaną być powinna.

Błażejowa była zdumiona. Mówiono, że nikt, a nikt o tem wiedzieć nie będzie, a tu znajduje się osoba, co twierdzi inaczej, i do tego osoba, u której zachowanie tajemnicy było zwykle bardzo niepewne. Trzeba się jednak mieć na baczności — pomyślała — nie dam się w pole wyprowadzić, wiernie dotrzymam obietnicy milczenia. Dumna to panna, co prawda, i widocznie mnie nie lubi, ale przez wzgląd na pana, krzywdy jej imieniem wyrządzić nie mogę... A przytem Tekla była moja przyjaciółką...

— Cóżście się tak miesza? — pytała pani Malwina — zdziwiło was to, że ja wiem o wszystkim? Ha! ha! ha! myślicie, że was tylko dopuszczono do tajemnicy?

— Ale do jakiej tajemnicy, proszę pani? przecie to co się stało we dworze, powszechnie jest wiadomem. Odnaleziono utraconą panienkę, zwracając to, co jej się należało od urodzenia, a czego ją źli ludzie pozbawili, — to nie jest żadnym sekretem i nikogo nie dziwi.

— Nie żartujcie sobie, moja Błażejowo, chyba bowiem dobrze rozumiecie, że nie może tu być mowy o tem, co się stało i jest ogólnie znane. ale o tem, w jaki to mianowicie sposób się stało; jak trafiono na ślad wykradzionej dziewczynki i z jakiego powodu dopuszczono się niegdyś takiej zbrodni?

— Aha! — pomyślała Błażejowa — wydałaś się, moja pani, że ciekawość cię tu przywiodła, że sama nie

nie wiesz, a tylko odemnie chcesz się dowiedzieć. Ale zobaczysz, że nie łatwa to sprawa ze starą ogrodniczką, o! nie!

Ale, jak to mówią, trafił swój na swego. Pani Malwina zręczną była i przebiegłą, nie mogąc czegoś prostą drogą otrzymać, zmierzała ku temu manowcami. I teraz widząc, że Błażejowa prawdy jej nie odsłoni odrazu, w inny sposób zachodzić poczęła.

— Wielkie to szczęście dla wszystkich, że ją odnaleziono. Pocziwe bo też to dziecko z tej Anielki; szlachetna, zacna istota, a co za delikatność w obejściu, skromność i wdzięk w zachowaniu!... no! podziwiam ją ustawicznie. A przecież wiecie, że jestem bardzo wybredna, że do wytwornego nawykłam towarzystwa. Ona mnie jednak nie razi i ani znać, że tak niedawno z pod wiejskiej przybyła strzechy. Z tego już poznać można jej ród i pochodzenie. Gdybym ją przed odnalezieniem spotkała, nie pomyliłabym się chyba, że ona z innego stanu pochodzi. Jadwiga nie mniej piękna, a o wiele uczeńsza i rozumniejsza, ginie jednak przy tamtej i zaraz widać, że to co innego.

Mówiąc to, była przekonana, że Błażejowa pośpieszy sprostować pomyłkę, ta jednak tylko oświadczyła:

— Proszę pani, ja tam pannie Anieli nic nie ujmuję, ale i panna Jadwiga śliczności, jakich mało, takiej w okolicy całej nie znajdzie, a ja przecie znam wszystkie dwory po kolei.

— Toż ja i tej rozumu, ani urody nie zaprzeczam, ale obok tego wartość prawdziwą dostrzec potrafię, myślę więc, że to i inni zauważyć powinni, bliżej się przyjrawszy.

— To tylko pani się tak wydaje, bo pani, wie o wszystkim, ale kto nie jest wtajemniczony, ten nie pozna, że to nie siostry rodzone.

Ani się spostrzegła, jak jej powyższe słowa z ust się wyrwały, pani Malwina w lot je pochwyciła:

— Macie słuszość w tem cała pociecha, bo inaczej jakżeby to wyglądało, aby jakaś tam przybłęda uchodzić miała za córkę p. Salińskiego, dziedziczkę takiego rodu i majątku? Przecie to wstyd i hańba przed ludźmi, gdyby się dowiedzieli.

Pocisk był zręcznie wymierzony i dobrze ugodził. Błażejowa, prosta dobroduszna kobieta, nie domyśliła się podstępu, ale przekonana, że p. Malwina już naprawdę wie o wszystkim, przestała się liczyć ze słowami.

— O! nie proszę pani, gdyby się ludzie dowiedzieli, to zaszczyt i sława byłoby takim państwu, co zamiast mścić się za wyrządzoną krzywdę, nietylko, że przebaczyli, ale i nie odepchnęli dziecka, zdradziecko im podsunętego. Trzymając ją i narówni z córką własną uważają... O! takich drugich, to chyba niema na świecie!

Teraz p. Malwina zmieszała się i do najwyższego stopnia zdumiona, patrzyła ciekawie w twarz Błażejowej, nie wiedząc co odpowiedzieć, jak podtrzymać rozmowę, by się nie urwała, nim ona czegoś pewnego narzeczcie dowiedzieć się zdoła.

— Podzielam wasze zdanie w zupełności, ale przyznacie, że ludzi razić to musi ogromnie i utrzymywanie tajemnicy szkodzi wielce sławie całego domu. Sądzę, że najlepiej byłoby odkryć prawdę, niechby ludzie próżno różnych bredni nie gadali i nie rzucali krzywdzących podejrzeń na pana i panią. Bo możecie i wy szepteli, co w okolicy opowiadają, a po co to wszystko?

— Ja tam nic nie słyszałam, ale przyznam się pani, że nieraz i mnie to na myśl przychodziło, czy państwo dobrze robią, prawdę ukrywając. Dla panny Anieli większa byłaby chwała, a tamtej, kiedy jest za córkę uważana, to już wiele nie zaszkodzi. Matka w grobie,

ona zaś sama nic tu niewinna, można mieć dla niej tylko współczucie.

P. Malwina znowu spojrzała zdumiona. Nie! ona doprawdy nigdy chyba z tego tajemniczego koła nie wyjdzie, na ślad pewny nie trafi. Tyle czasu rozmawia z Błażejową, a coraz mniej całą tę historię rozumie. Nie przestając jednak grać komedji, ukryła swe zdziwienie i odezwała się spokojnie:

— Nie martwcie się, poczcziwa kobieto, wszystko to wprędce na jaw wyjść musi, bo jak wam wspominałam, syn mój ma zamiar ożenić się z panną Salińską, sprawa więc wyklarować się powinna. Nowożeniec musi mieć pewność i dowody, że jego wybrana jest rzeczywiście córką dziedzica, musi przytem wiedzieć, jaki będzie udział majątku, bo to rzecz nader ważna w tych czasach. P. Saliński sam sobie winien, że prawdy dotąd nie wyświecił, teraz samo jego oświadczenie nie jest wystarczającym, innych świadectw żądać będziemy. Zapewne i was pociągną, abyście zeznawali, a może nawet zaprzysięgli uroczyście, co wiecie o tej sprawie.

Błażejowa zadrżała i z bojaźnią wpatrzyła się w twarz p. Malwiny. Nie uszło to uwagi tej ostatniej.

— Niemila to będzie dla was sprawa, dobrze to rozumiem, ale innej rady niema na to: chyba, chyba... no, ale nie wiem, czy syn na tem poprzestanie, — chyba, żebyście prywatnie wszystko pod przysięgą jak najwierniej zeznali.

Błażejowa milczała, widocznie zmartwiona, p. Malwina zaś ciągnęła dalej:

— Jabym na waszem słowie zupełnie poprzestała, tak ufam waszej poczcziwości... może i mój Fredzio byłby tego samego zdania... Oszczędziłoby to wam przykrych następstw i nie naruszyłoby tajemnicy. Cóż

na to? Czy zechcecie nam prawdę wyznać tak szczerze, jak na spowiedzi?

— Chętniebym to uczyniła, ale danego słowa złać nie mogę.

— I komu to wyjdzie na dobre? Ani państwu, ani panienkom. Syn mój, nie mając pewności, z kim się żeni, cofnie się stanowczo, złamiecie serce biednej dziewczki, bo ona go kocha, zniweczycie szczęście, jakie ją spotyka, bo teraz o dobre zamęście bardzo trudno.

— Ach! proszę wielmożnej pani, a cóż ja tu mogę poradzić?

— Możecie dużo, byleście tylko chcieli. Sądzę, że i panu Alfredowi złem za dobre oddawać nie należy, bo on od dzieciństwa dużo miał dla was życzliwości. Dowód tego i teraz mam w ręku patrzcie, jaki wam przysłała podarunek.

To mówiąc, sięgnęła do kieszeni i wydobywszy z niej elegancki, aksamitny woreczek, otworzyła go, a wynalazszy pomiędzy sztukami drobnej monety coś w białą bibułkę zawinięte, podała Błażejowej.

— Rozwińcie to, a przekonacie się, że mówię prawdę.

Kobieta pośpiesznie spełniła polecenie i gdy rozwinęła papiera, oczom jej przedstawił się błyszczący, złoty 10-rublowy pieniążek. Okrzyk radosnego zdumienia z ust jej się wydobył, oczy radosnym zaświeciły blaskiem, wpatrzyła się w pieniążek chciwym wzrokiem, znać było, że silne na niej wywarł wrażenie. Pani Malwina odetchnęła swobodniej: może teraz przecie zdoła dopiąć celu, może choć tym sposobem dojdzie do posiadania pożądanej tajemnicy.

Błażejowa przekładała złoto z ręki do ręki, lubując się niem widocznie, a wrodzona skłonność do pieniędzy torowała p. Malwinie drogę do jej zaufania. Jeszcze

chwila, jeszcze słów parę, a pierzchył wszelkie skrupuły; uwierzyła zapewnieniom, że wydając tajemnicę, nie tylko, że nikomu nie zaszkodzi, ale jeszcze do szczęścia dopomoże, sobie zaś los w przyszłości zgotuje i zapewni spokojne na starość dożywocie.

I stało się zadość życzeniu p. Malwiny, posiadała wiadomość, której tak gorąco pożałowała, której jednak żadną miarą z początku uwierzyć nie była w stanie. Z gorączkowym niepokojem i żywą radością poczęła słuchać opowiadania ogrodniczki, zdumiała się przecież i porwała z miejsca, jakby piorunem rażona, usłyszawszy, że to Jadwiga, właśnie Jadwiga jest tu obcą, wbrew woli narzuconą, a teraz z litości przygarniętą sierotą. Nie mogła w to uwierzyć, nie mogła się z tą myślą pogodzić, choć czuła, że Błażejowa mówiła prawdę i że była dokładnie we wszystkie szczegóły wtajemniczona. Zresztą powiedziała jej w końcu:

— Jeżeli mnie pani nie wierzy, niech się zapyta panny Jadwigi, toć jej matka wszystko przed śmiecią wyznała, a to na niej takie sprawiło wrażenie, że się ciężko rozchorowała i mało życiem tego nie przypłaciła.

Tak, ona słyszała o tej chorobie i pamięta, jak i ją dziwiło, że nikt nie umiał objaśnić powodów tak naglego zasłabnięcia. A więc tu niema wątpliwości... straszna nieoczekiwana nowina! Jakiż zawód, jakież rozgoryczenie zajęło miejsce spodziewanej uciechy i triumfu! Nic nie było z tego, o czem myślała!... awantury miłosnej, zgorzelenia, krzywdy własnego dziecka, tajemniczych intryg, słowem tych wszystkich okoliczności, tak nęcących umysły plotkarskie, ani żdźbła tu się nie znalazło. A więc ta mała wieśniaczka jest naprawdę dziedziczką całego majątku, jej ojciec i ciotka — to rzadkie przykłady uczuć najszlachetniejszych, Jadwiga tylko — to

obca ptaszyna, co do cudzego wdarła się gniazda, co niesłusznie cudzego używa nazwiska!... Ha! teraz rozumie, dlaczego wzbraniała się na nie odpowiedzieć!.. a może nawet umyślnie naraziła się na zaziębienie, aby tylko uniknąć jej towarzystwa?...

Mrok już zapadał gdy cała wzburzona i jakby oszłamiona tą wieścią nadzwyczajną, opuściła chatkę leśnika. Błazejową pożegnała serdecznie, paru jeszcze obdarzając rublami, czuła bowiem, że ta wielką i to bardzo wielką wyświadczyła jej przysługę, a kto wie, czy jeszcze nie przyda jej się na co w przyszłości. Zamiast być dumną z posiadanej tajemnicy, czuła się smutną i przygnębioną — i nic dziwnego. Uważając Jadwigę za jedyną dziedziczkę Kalinowej Woli, a przytem spadkobierczynią tych kilku tysięcy, jakie p. Milecka miała na dobrach jednego z sąsiadów zabezpieczone, widziała w niej wcale dobrą partię dla swego jedynaka, którego majątek, życiem nad stan mocno nadwreżony, można by w ten sposób poratować. Młodzi mile na siebie patrzyli, wszystko więc dobrze zdawało się układać i matka powtarzała sobie że skoro nie może go ożenić zaszczytnie i bogaciej, i tego z rąk puszczać nie powinna. Cały projekt był już ułożony, gdy nagle rozeszła się wiadomość, że w Kalinowej Woli druga się pojawiła dziedziczka, jakoby siostra Jadwigi, z którą ona prawami swemi i majątkiem ojca podzielić się będzie musiała. Okropne to na p. Malwinie sprawiło wrażenie, przypuszczała jednak, że zbadawszy rzecz całą na miejscu, potrafiłaby tak wszystkiem pokierować, że Aniela albo bardzo mało, albo i nic nie dostanie, a Jadwiga będzie całą spadkobierczynią a przez to odpowiednią żoną dla Alfreda, i w tym celu z tą się wizytą wybrała. Zaraz na wstępie zauważywszy, że tu się kryje rzecz niezwykła, postanowiła najpierw zbadać tajemnicę, i z tego dopiero

wywnioskować, co by uczynić należało, ciągle przytem była przekonana, że prawa Anieli do nazwiska i majątku są bardzo podejrzaną i byle tylko dojść do prawdy, będzie ją można odrzec ze wszystkiego.

Tymczasem stało się inaczej; Aniela miała tu prawną niezaprzeczoną, wszystkie więc jej zamiary spełzły na niczem, słodkie marzenia o rządach w Kalinowej Woli jak dym uleciały. A jednak trzeba było zaradzić temu nieszczęściu; w dzisiejszych bowiem czasach fortuna szlachecka niezadłużona, była rzadkością, panna skromna i pocziwie wychowana — niezwykłym nabytkiem, nie wszystko miałoby więc przepaść bezpowrotnie? Nie, przecież i na to sposób znaleźć się musi. O małżeństwie z Jadwigą naturalnie mowy być już nie może, ale Aniela pozostaje. Skromne to wprowadzić i prostacze dziewczę, lecz niezwykle piękne (to jej przyznać należy), mogłaby od biedy niezłą być żoną dla Alfreda (bo któż tam w żonę nadzwyczajnych szuka przymiotów?), ale wówczas tylko jeżeli cały dziedziczyć będzie majątek. Teraz więc rozmyślać poczęła, jakby się pozbyć Jadwigi. Nie zastanawiając się nad tem, jak to jest nieszlachetnie, uniewinniona gniewem ku niej za to, że jej prawdy powiedzieć nie chciała, a choć wiedziała dobrze, iż jest córką prostej służki, śmiała marzyć o zostaniu jej synową, zapragnęła pomścić się na niej. Przewrotna ta istota gotowa była w jednej chwili kochać i nienawidzić, chwalić, lub osądzić, jak to mówią, od czci i wiary. Własnego jedynie zadowolenia i własnego we wszystkiem szukała interesu a biada temu, ktoby jej się śmiał sprzeciwić, lub stanąć na drodze.

Jadąc tedy, rozmyślała, że ma przed sobą dwa bardzo ważne zadania: pomścić się na Jadwidze, a pozyskać sobie Anielę, oraz przekonać Salińskiego, że nie może Jadwigi przypuścić do równego działu, bo wła-

snemu dziecku krzywdęby tem wyrządził niepowetowaną. Przecież córka sługi za wielkie dobrodzieństwo uważać powinna, jeżeli małym choćby obdarzają ją posagiem i wydadzą za jakiego urzędniczka, lub oficjalistę.

— Dosyć już tego państwa! dosyć udawania! wszyscy dowiedzieć się muszą czem jest i czem być powinna — powtarzała z zaciętością złośliwa kobieta, dojeżdżając do wiejskich opłotków.

ROZDZIAŁ XVIII.

Niespodziewani goście.

Noc już zapadła cicha, posepna noc zimowa, kiedy p. Malwina ujrzała czerniejące drzewa dworskiego ogrodu westchnęła z cicha, nierada, że się już przejażdżka skończyła, i rozejrzała się dokoła. Niebo ciemne zasępili chmury, tylko puste równiny jaśniały bielą śnieżnego okrycia. Wszędzie przedstawiał się obraz ciszy i martwoty. Gdyby nie migocące w oknach chat światełka i kłęby ciemnego dymu, snujące się nad kominami, możnaby sądzić, że tu życie zupełnie zamarło. Tak jednakże nie było, bo w chatach ruch panował i praca, gdziekolwiek nawet większy gwar i ożywienie, a z okien dworu suciej niż zwykle oświeconych, płynęły jasne, długie smugi światła, co sięgały aż w głąb dziedzińca, kładąc się na sterzące tu i owdzie bezlistne, ciemne krzaki jaśminu.

P. Malwina ciekawie na okna patrzyła.

— Ho! ho! jacyś goście niezwykli być muszą, pomyślała, kiedy okna w bawialnym pokoju oświetlone, ciekawam bardzo, ktoby to mógł być taki?

Przygotowała się na jakieś niezwykle spotkanie, ale ani przypuszczała, jaka ją czeka niespodzianka.

Na odgłos dzwonka, na ganku pojawiła się służąca by przybyłej pomóc wydostać się z sanek.

— Och! proszę pani — mówiła, odrzucając futro nogi jej okrywające — tak się państwo kłopotali i różne czynili przypuszczenia, czy aby się co złego nie stało, że pani nie wraca tak długo.

— Eh! cóżby mi się stać mogło; zapuściłam się tylko trochę zadaleko, a że się przedko ściemnia obecnie, ani się spostrzegłam, jak noc zapadła.

Wsunęła chłopcu w rękę obiecany napiwek, upomniawszy go już poprzednio, aby się nie wygadał, gdzie jeździli — i zwracając się do dziewczyny, spytała:

— Czy jest kto u państwa?

— Są jacyś dwaj młodzi panowie, proszę pani.

— A nie wiesz, co za jedni?

— Nie; jestem tu niedawno i za mej bytności żaden z tych panów nie był jeszcze.

Pani Malwina nic nie odrzekła, ale skierowawszy się do swego pokoju, zdjęła przy pomocy służącej szal i futro, służącą odprawiła, sama zaś stanęła przed lustrem i poprawiając włosy, namyslać się poczęła, czy wyjść do gości, czy zostać u siebie.

Wtem drzwi się otwarły i cicho, zgrabnie, jak sarenka wbiegła do pokoju Aniela. Była niezwykle ożywiona, wesola, na twarzy jej żywe wykwitły rumieńce, idąc o lepsze z dwoma sznurami koralami, co zdobiły jej szyję i pięknie od ciemnej odbijały sukienki.

Na odgłos kroków p. Malwina odwróciła głowę i spostrzegłszy Anielę, uśmiechnęła się do niej życzliwie.

— Jak się masz, kochanko, żałuję bardzo, żem cie z sobą nie zabrała, taką miłą miałam przejażdżkę.

Mówiąc to, kłamała, ale u niej było to we zwyczaju, nie zwracała na to najmniejszej uwagi.

— Możemy to jutro powtórzyć — odrzekła Aniela, trochę czułością ciotki zdziwiona — tatuś konika nam nie pożaluje; tymczasem przysłano mnie tutaj, by cię prosić do salonu.

A kogóż wy tam macie?

— Ach nie mogę powiedzieć, bo mi o tem mówić zabroniono, ale zaraz się ciocia przekona.

— Ho! ho! bardzom tego gościa ciekawa, kiedy widzę moją kochaną Anielcię wesołą i ożywioną.

Roześmiała się na to figlarnie i zamiast odpowiedzi, rzekła tylko:

— Proszę cioci, bardzo proszę, bo wszyscy czekają.

P. Malwina raz jeszcze w lustro spojrzała, poprawiła stroik na głowie i usta miłym okrasivszy uśmiechem, udała się z Anielą do gości.

Otworzyła drzwi i obrzuciwszy spojrzeniem zebra-
ne w pokoju osoby, stanęła w progu jak wryta. Na kanapie siedziała p. Milecka z robótką w ręku, obok Jadwiga z gazetą, a przy niej dwaj młodzi ludzie, ale kto? — oczom własnym wierzyć nie chciała. Jednym był Wacław Turski, znany jej oddawna ulubieniec p. Mileckiej. Nic nie słyszała o jego powrocie z zagranicy, mocno więc ją teraz jego obecność zdziwiła. Więcej się jednak jeszcze zdumiała i zaniepokoiła, ujrawszy pochylonego nad fotelem Jadwigi syna swego Alfreda. Miał on rzeczywiście przyjechać, ale czemuż się pośpieszył, zanim ona potrafiła zbadać całą tę sprawę, ostrzec go i zawiadomić o wszystkim. Było to jej bardzo nie na rękę i mogło pokrzyżować w zupełności jej plany — to też zmartwiła się tem więcej i tylko całą siłą woli zdołała, przynajmniej w pierwszej chwili, ukryć swe niezadowolenie. A on, nie wiedząc, co się święci,

o względy Jadwigi widocznie zabiegał, bo coś jej tak żywo opowiadał, tak był nią zajęty, że nawet wejścia matki nie zauważył. Dopiero gdy nagły gwar wszczął się w salonie, gdy Wacław zerwał się, aby wchodzącą powitać, Alfred podniósł głowę i roześmiewszy się, pośpieszył z wesołym wykrzyknikiem na spotkanie matki

— A co, mamu dobrodziejko? czy nie prawdziwa niespodzianka — spytał całując ją w rękę.

— Bezwątpienia — odpowiedziała chłodno — nie przypuszczałam nigdy, że cię tu zastanę. Przecież miałeś czekać mego wezwania.

Alfred cofnął się, zdumiony tem powitaniem.

— Ach! moja mamu, zatrudna to była sprawa siedzieć spokojnie, kiedy się serce wyrывało. Tak mi było jakoś tęskno w domu i niemiło, że pragnąłem jaknajprędzej za mamą pośpieszyć. Czyż może to kogo dziwić, że pszczoła ciągnie do miodu? — dodał, rzucając znaczące spojrzenie w stronę Jadwigi.

— I miód czasem bywa trucizną — odrzekła p. Malwina z dziwnym naciskiem. Zwróciła się też zaraz do Wacława z zapytaniem, kiedy powrócił do kraju i jakim sposobem obaj tu się z Alfredem zjechali.

— Bardzo prostym — odrzekł młodzieniec, prowadząc ją do kanapy — zaledwem się ujrzał na rodzinnej ziemi, pierwszą moją myślą było odwiedzić ten dom tak drogi mi od dzieciństwa. Ponieważ Alfred w tymże czasie podobnie powziął zamiary, spotkaliśmy się z nim w drodze. Nic to dziwnego, żeśmy byli ciekawi, posłyszeć, co się tu dzieje.

— Dziwne bo tu się doprawdy dzieją rzeczy, pan pewnie nie wie o niczem?

— O i owszem; nawet pewien udział brałem w tem zdarzeniu; z czego rad jestem niezmiernie. Pilno mi też

było zapytać, jak pannie Stefanji, ach! przepraszam, pannie Anieli, tu się podoba i czy mnie choć cokolwiek sobie przypomina.

Mówiąc to, w pół poważnie, w pół figlarnie, spoglądał na Anielę, która pod jego wzrokiem zapłonila się nagle, jak róża. Ale jej twarzyczka rozjaśniona, wyrażnie wskazywała że towarzystwo młodzieńca przykrem dla niej ani nudnem nie było. Nie zapomniła ona ani na chwilę o tem, co dla niej uczynił, w duszy też żywiła dla niego wdzięczność serdeczną. Przybycie jego miłą wielce dla niej było niespodzianką. Zmieszała się narazie i zawstydziła przy pierwszej z nim rozmowie, prędko jednak zwykłą odzyskała swobodę i ciekawie, owszem z nietajonym zachwytem przysłuchiwać się począła opowiadaniom jego o krajach, jakie zwiedził, o zdarzeniach, jakie go w podróży spotkały. A on? Zdumiał się, gdy ją zobaczył. Jakże niepodobną była do owej biednej, bosej dziewczyny, którą od napaści uratował! Jakże w dostatku i swobodzie pięknie rozwinęły się jej wdzięki, podniesione jeszcze gustownym, choć skromnym strojem. Wiele, bardzo wiele zyskała przez te kilka miesięcy, w ruchach, w mowie i w całej postaci tyle było powabu, tyle szlachetnej dziewczęcej prostoty, że się jej dosyć niemógł napatrzeć. Rozmawiał też z nią najwięcej i nią się głównie zajmował; podziwiał postępy, jakie w naukach czyniła, zachęcając do wytrwałości na obranej drodze i był dla niej jakby brat starszy, co po długiem niewidzeniu wiele teraz ma do powiedzenia dla wspólnej radości i uciechy.

Alfredowi to zachowanie towarzysza ułatwiało przystęp do Jadwigi, którą on też się zajął wyłącznie od pierwszej chwili swego przybycia. Na Anielę spoglądał tylko z ukosa z jakimś drwiącym i pogardliwym wyrazem, powitawszy ją paru chłodnemi wyszukanemi

słówkami. Ona, zajęta miłym swym towarzyszem, nie zauważyła tego wcale, p. Milecka tylko przyglądała się wszystkim w milczeniu i wrażenia w myśli notowała.

Przybycie p. Malwiny przerwało dotychczasową zabawę, wszyscy się do niej zwrócili z zapytaniami o zdrowie i powód tak długiej przejażdżki, rozmowa stała się ogólną. Pani Malwina narzekała na ból głowy i teraz wszyscy jej uwierzyli, bo blada była i rzeczywiście wyglądała na cierpiącą. Wcześniej też wszystkim powiedziała „dobranoc“ i oddaliła się do swego pokoju. Odchodząc, tylko z niezwykłą czułością (ku wielkiemu zgorzzeniu Alfreda) uściśkała Anielę, a Jadwigę chłodno pocałowawszy w czoło, zwróciła się do syna z zapytaniem:

— Czy zechcesz dziś jeszcze przyjść do mnie na pogawędkę?

— I owszem, jeżeli mama tego sobie życzy.

— Proszę cię o to — w salonie do kogo innego należysz, a jabym cię rada mieć dla siebie choć na pół godziny.

— Dobrze, dobrze, przyjdę niedługo; a może zaraz mamę odprowadzić?

— O! nie, wolę później cokolwiek, tylko nie zapomnij, że czekam na ciebie.

I oddaliła się do swego pokoju, a młodzi wrócili do przerwanej zabawy i wesołej gawędy, na którą nawet zimowy wieczór za krótkim się okazał. Późno już było, kiedy p. Milecka przypomniała obecnym, że pora na spoczynek. Rozstano się tedy, rzucając sobie wzajem przyjemne słowo: „do jutra“; każdy powrócił do siebie, tylko Alfred pośpieszył spełnić życzenie matki.

Siedziała ona w staroświeckim, wygodnym fotelu, pogrążona w głębokiej zadumie tak, że po dwakroć musiał zapukać zanim do wejścia usłyszał zaproszenie.

— Jestem do usług mamy dobrodziejki — odezwał się zaraz na progu.

— To dobrze — odrzekła poważnie, wskazując mu krzesło.

Rzucił się na nie niedbale i zanim zdążyła go zapytać, rozpoczął rozmowę, prosząc o wyjaśnienie, dlaczego tak go chłodno, tak dziwnie jakoś przyjęła przy pierwszym powitaniu.

— Ach! bo mnie twój przyjazd zmartwił okropnie, jest bardzo nie w porę i kto wie, czy całego interesu nam nie zepsuje?

— A to z jakiego powodu?

— Zaraz się dowiesz; ale najpierw uprzedzam, że tu są rzeczy niesłychane, o jakich ci się nawet nie śniło. — Więc mama zdołała się czegoś pewnego dowiedzieć?

— Tak; wiele mię to kosztowało, ale dopiełam swego, mam w ręku klucz do całej tajemnicy, choć tego nikt się nie domyśla.

— O! jakżem bardzo ciekawy!

— Niestety! smutna to dla nas tajemnica i nie będę się nad nią zbytecznie rozwodzić, ale powiem ci wprost: Aniela jest tu główną spadkobierczynią i o nią nam teraz dobijać się należy.

— A Jadwiga?

— Jadwiga żadnych praw do majątku nie posiada, a tylko z dawnego przywiązania trzymają ją tutaj i na równi z własnym dzieckiem uważają.

— Jakto! więc ona nie jest córką Salińskich?!

— Nie; ona jest córką Tekli, dawnej piastunki, pamiętasz ją przecie?

Porwał się z krzesła i zaczął biegać po pokoju, wreszcie stając przed matką, odezwał się cały wzburzony:

— To być nie może! skąd mama wie o tem? To nie prawda!

— Tak i mnie się zdawało z początku, ale teraz wiem, że tak jest. Usiądź przy mnie, a wszystko ci opowiem szczegółowo.

I powiedziała mu całą historję tak, jak ją od starej ogrodniczki słyszała, i dowiodła, że tu żadnej co do zamiany dziewcząt niema wątpliwości, bo Błażejowa była w całą tę sprawę jak najlepiej wtajemniczona.

Alfred siedział ze spuszczoną głową, w smutnem zamyśleniu. Matka patrzyła na niego ze współczuciem.

— Wiedziałam, że cię to zmartwi, a nawet dotknie boleśnie, ale nie należało przed tobą ukrywać prawdy ani jednej godziny dłużej. Trwożyła mię myśl, że mógłbyś zrobić głupstwo i oświadczyć się Jadwidze...

— Ależ ja to już uczyniłem! Wsunąłem jej nawet na palec brylantowy pierścionek po babci, jako pierwszy mých uczuć zadatek...

— Szalony! jak mogłeś postąpić tak nierozważnie!... Wiedziałeś przecie, że należało przedewszystkiem zbadać stosunki, jakie się tu wytworzyły, a dopiero coś postanowić.

— Ale Jadwiga mi się podoba, powrót zaś Wacława budzi we mnie pewien niepokój, bo wobec łask, jakie ma u ciotki Krystyny, słusznie lękać się można było, że potrafiłby mi pannę zdmuchnąć z przed nosa. Postarałem się go uprzedzić i względy Jadwigi zapewnić sobie na wszelki wypadek.

— I głupstwo wierutne zrobiłeś, wikłając się niepotrzebnie, a Wacław tymczasem może ci właśnie zabrać tę, która teraz jedynie godną jest twoich zabiegów.

— Wcale mi się to nie uśmiecha, mam taką gaskę wiejską brać za żonę, to już wolę nic.

— Nie wiesz co mówisz, nie zastanawiasz się, że

taką partją trudno w dzisiejszych czasach pogardzać. Brak jej wyższego wykształcenia, to prawda, ależ to łatwo się nabywa w młodym wieku, zwłaszcza przy takich, jakie ona ma, zdolnościach. Możecie się zaręczyć tymczasem i ze ślubem poczekać, zanim potrzebnej nie nabędzie ogłady; na to przecie dość czasu.

— Przeciwnie; czasu niema do stracenia, bo wie-rzyciele coraz bardziej nalegają — i teraz przed nimi uciekłem.

— A więc tembardziej ratować się musisz i nie wi-dzę tu innego sposobu, jak pozyskać względy Anieli, a przedewszystkiem ojca i ciotki, bo to najgłówniejsze.

— A Jadwiga?

— Cóż Jadwiga! cóż cię ona może obchodzić? wiesz przecie, że wszelkie względem niej zamiary prze-padły. Idzie o to teraz właśnie, jak jej się pozbyć, jak ją od udziału w majątku usunąć, aby dla tamtej więcej zostało.

Alfred milczał wpatrzony w światło stojącej na stole lampy, zamyślił się głęboko, zdawał się niesłyszec ostatnich matki wyrazów. Po chwili rzekł półgłosem, jakby do siebie:

— Kocham Jadwigę i trudno mi ją porzucić.

Pani Malwina spojrzała na niego z trwoga.

— No, chyba nie myślisz się żenić z chłopówną, z córką służącej?

— A któż wie, albo będzie wiedział o tem? Saliń-ski da jej swoje nazwisko i nikomu nawet na myśl nie przyjdzie badać, z jakiego rodu pochodzi. Zresztą, moja mamó, czasy się bardzo zmieniły i to co dawniej za zbrodnię przeciw honorowi uważano, dziś już nikogo nie razi.

Pani Malwina z dumą obrażonej królowej powstała

z miejsca i załamując ręce, odezwała się głosem zła-manym:

— Takiej że to ja pociechy z ciebie dożyłam? takie-go poszanowania rodu i nazwiska? Ach! tegom się nie spodziewała i nigdybym ci tego nie przebaczyła, gdy-by nie przekonanie, że zbyt gwałtownie dotknęła cię usłyszana wiadomość i nie miałeś czasu nad wszystkim się zastanowić. A więc dobranoc! — jak rozważysz na chłodno rzecz całą, z pewnością zdanie odmienisz. Ja tylko ze swej strony oświadczam, że Marciniakówny ni-gdy, a nigdy nie uznaję za synową.

— Ależ moja mamó!...

— Dosyć tego, nic więcej nie mamy sobie do po-wiedzenia, dobranoc!

Chciała odejść, ale Alfred ją powstrzymywał i ująw-szy jej rękę, przycisnął do ust z takim smutnym wyra-zem w twarzy, że mimowoli żal jakiś i niepokój w duszy poczuła. Zalekła się o swego jedynaka, którego kochała nad życie, zmieknęła w jednej chwili i już się nie bro-niła, gdy ją poprowadził do fotelu. Usiadła tedy, a on wszczął nanowo rozmowę, która wnet przeciągnęła. Ko-guty powtórnie już piał, kiedy Alfred wyszedł od matki i cicho do przygotowanego pokoju podążył. A i tam nie zaraz się położył, ale czas jakiś chodził miarowym kro-kiem, nad czemś rozmyślając widocznie.

— Ach! gdyby to się udało — westchnął wkońcu — byłoby wymiennie. Jadwiga zostałaby moja... bo ma-mie właściwie o majątek tylko chodzi...

I nowem marzeniem zajęty, rzucił się na posłanie. Ale nie tylko od jego powiek sen owej nocy uciekł. Z czworga młodych ludzi zaledwie jedna Aniela cichym snem spokojnego dziecka zaraz zasnęła. Jadwiga wpa-trzona w brylantowy, otrzymany od Alfreda pierścio-

nek, długo i rozkosznie marzyła o spodziewanem szczęściu. Salony, stroje, zabawy nęciły ją swym powabem, którego nie знаła, a o którym w powieściach naczytała się tak wiele; zaś miłość Alfreda słodkiem upojeniem napelniała jej duszę. On ją z tego ukochanego, ale nudnego domu zabierze, wywiezie daleko, wprowadzi w świat, o którym oddawna marzyła! Tak; on ją kocha, już tak wyraźnie o tem mówił, a i ciotka Malwina przecież tak zapewniała, że życzy sobie powitać ją w swym domu, jako synowę. Rozradowana, szczęśliwa, snuła wątek myśli coraz to nowy, coraz jaśniejszy, ani przeczuwając, że ją coś może od Alfreda oddzielać. Nie przypuszczała, że tuż obok, przez ścianę prawie ważyły się jej losy, że jej przyszłość była zachwiana, a szczęście, którego tak pewna była, odsuwa się od niej, aby już nigdy nie powrócić.

Wacław znowu, świeżo wyrwawszy się z murów miejskich, nie mógł się oprzeć urokowi piękności jasnej, cichej nocy zimowej i pomimo późnej pory, ubrany w ciepłe palto, wyszedł na przechadzkę po ogrodzie. Miłośnik wsi i wiejskich obrazów, lubował się każdym drzewkiem, każdym cieniem na śniegu, tembardziej, że przed oczyma, jakby jakieś ułudne widziadło, stała mu uśmiechnięta, różowa twarzyczka Anieli, jej, jak chabry, błękitne oczęta, śliczne sploty włosów, a nadewszystko ten wyraz dobroci i niewinnej prostoty, jakim pociągała ku sobie. Usiłował z początku odwrócić uwagę od tego nęcącego obrazu, ale gdy mu się to nie udało, uśmiechać się zaczął do niego, wreszcie pomyślał:

— Ha! kto to wie — może ja ją dla siebie wyratowałem niegdyś z tej ciężkiej przygody?

Począł się nad tem zastanawiać poważnie i doszedł do przekonania, że Anieli mogłaby mu dać szczęście ciche, serdeczne, prawdziwe, a że i on toż samo ze swej

strony zapewniłby jej. Pocziwy ojciec i ciotka spokojnie powinnyby mu skarb swój polecić, bo przecież go znają od dzieciństwa. A więc spróbuje szczęścia i najpierw cioci Mileckiej zapyta w zaufaniu, czy mu wolno będzie starać się o względy tej rozkosznej dziewczki. Gdy takowe otrzyma, gdy poweźmie pewność, że starsi nie będą nań krzywym, jak to mówią, okiem patrzeć, sięgnie po miłość tej, do której sercem już lgnąć poczytał. Jako dobry chrześcijanin, zwykł każdą sprawę ważniejszą modlitwą uświęcać, i teraz więc podniósł oczy do nieba, a z ust słowa cichej prośby wybiegały:

— Jeżeli we wspólnem pożyciu szczęście znaleźć możemy — połącz nas Panie!

A w odpowiedzi gwiazdy tylko mrugały tajemniczo i wiatr śniegiem, z drzewa strzepniętym, sypnął mu w oczy. Zawrócił tedy do ganku i, idąc, spojrzął w okna domu. Wszędzie ciemność panowała, z jednego tylko okna przez zapuszczone firanki przebijało słabe światło lampy.

— To u p. Miszewskiej światło się pali... czyżby istotnie chora była?

Przystanął na chwilę, ale żadnego nie słysząc szelestu, cicho drzwi od sieni zamknawszy, powrócił do siebie.

ROZDZIAŁ XIX.

Zawiedziona nadzieja.

Dnia następnego p. Malwina nieprędko się pokazała. Kiedy wreszcie około południa weszła do stołowego pokoju, zastała tam tylko Aniele, zajętą jakimś pisanie. Na odgłos kroków podniosła głowę, a widząc wchodzącą, pośpieszyła na jej powitanie.

— Dzień dobry cioci — rzekła, całując ją w rękę.

— Dzień dobry ci, dzień dobry, kochanie, — odpowiedziała p. Malwina z najśłodszym na ustach uśmiechem. A cóżes taka samotna, różyczko moja? gdzie się wszyscy porozchodzili?

Ciocia przy gospodarstwie, Jadwisia u siebie, a panowie podobno wybrali się na polowanie.

— Tak?! I nie widziałas się z nimi?

— Nie.

— Więc oni poszli gonić po lesie za byle jaką zwierzyną, a taką zdobycz odstąpili w domu? Tego im trudno darować. Musimy coś obmyśleć na ukaranie paniczów, nieprawdaż?

Aniela rozśmiała się tylko i fotel p. Malwinie przysunęła.

— Wiesz co, moja kochana, — mówiła ta ostatnia, siadając — pyszna myśl przychodzi mi do głowy. Odasz im wet za wet, jeśli się ze mną na dłuższy spacer wybierzesz. Dzień taki piękny, wartoby zeń skorzystać. Pojedziemy daleko w pole, do lasu... ach! to tak przyjemnie! Zobaczysz, jaka to rozkosz pędzić przez puste łąki, a wokoło tylko śnieg, a cisza taka wielka, uroczysta, a niebo tylko nad głową, bo świat cały za mgłami. Czy ty kochasz zimowe krajobrazy? bo ja to się tem dość nacieszyć nie mogę.

— O! ja bardzo, bardzo lubię pola i lasy, czy to śniegiem, czy zielenią okryte.

— A więc pojedziemy po obiedzie?

— I owszem, jeżeli uzyskam pozwolenie.

— A któżby ci mógł bronić tak niewinnej rozrywki? Bylebyś sama nie szukała wymówek, to ojciec i ciotka napewno pozwolą. Nie bądź taką nieśmiałą i skromną, pamiętaj, że masz tu wszelkie prawa, że obowiązkiem

ojca i ciotki jest pieścić cię teraz i we wszystkim dogadzać.

— Moim obowiązkiem jest spełniać ich wolę, aby w przyszłości stać się ich pociechą — odpowiedziała Aniela, zdziwiona podobnem dowodzeniem.

— Ach! moje drogie dziecię! zawołała z wymuszoną czułością p. Malwina — czyż oni jeszcze mało mają pociechy, patrząc na ciebie? Czy ich i serce weselisz zarówno swą pięknoscia, jak i duchowemi przemiotami. W przyszłość też patrzą oni spokojnie, bo wiedzą, że będziesz bogata i szczęśliwa, a to przeświadczenie jest dla nich największem zadowoleniem, najwyższą radością. Tak, moja Aniellciu, ty sama nie wiesz, ile dobrego czeka cię na świecie. Zyskasz męża bogatego, zostaniesz wielką panią, nie będziesz nic robić, a tylko się bawić i używać, nagradzając sobie owe czasy okropne, kiedyś jak prosta wieśniaczka w pracy i biedzie żyć musiała.

Mówiąc to, wpatrzyła się w nią badawczym wzrokiem, dopatrując wrażenia, jakie na niej wywra jej słowa. Czekala radosnego podziwienia, ciekawych zapytań, wybuchu serdeczności za tak ponętą obietnicę. Tymczasem Aniela przecząco potrząsała głową, z widocznym przestrachem odsunęła się od p. Malwiny i rzekła z przejęciem:

— O! jabym za nic w świecie takiego życia nie chciała. Jakie to musi być nudne straszliwe, kiedy nie ma żadnego zajęcia! Ach! pamiętam, jak mi się przykrzyło gdy rękę sierpem skaleczywszy, przez kilka tygodni nic robić nie mogłam.

— Ach! to zupełnie co innego, tam nieznana ci była jakakolwiek przyjemność, więc i za pracę wzdychałaś, byle czas czemś zapłacić. Ale posiadając służbę, stroje,

powozy, coraz nowych gości, tobyś o zajęciu żadnem ani pomyślała.

— O! nie! bo to grzech przecie nic nie robić.

— Grzech, ale dla tych, co na chleb muszą pracować. A ty przecie będziesz bogatą, ty możesz żyć swobodnie, bez pracy. Wtedy dopiero poczujesz, że dobrze bywa na świecie, — to nie to, co u Wojciechów.

— A jednak mnie dobrze tam było i nie pragnęłam innego szczęścia, dopóki mnie tatuś nie zabrał.

— Jednakże teraz pewnie wrócić byś tam nie chciała?

— No, nie, ale tylko dlatego, że znalazłam tak dobrego tatusia i kochaną ciocię.

— Słyszałam przecie, że masz wrócić do Zacisza.

— A tak, ale wówczas, gdy tatuś szkołę tam zbuduje.

— Eh! nie o szkole tu mowa, bo z tego nic nie będzie, ale pytam o tego narzeczonego, któregoś miała podobno.

Aniela spuściła oczy zapłoniona i nic nie odrzekła.

Pani Malwina oka z niej nie spuszczać, znowu spytała:

— Podobno dobry to był chłopak i kochał cię bardzo?

— Tak — i ja mu również sprzyjałam, ale teraz wszystko się zmieniło: ja muszę się uczyć, muszę żyć dla tatusia.

Pani Malwina rozśmiała się wesoło.

— Paradna jesteś, moja Anielciu; ty żyć musisz nie dla tatusia, ale dla siebie i dla siebie szczęścia szukać. Kto ci się podoba, tego sobie wybierzesz i basta, to od ciebie jedynie zależy.

— Aniela znowu popatrzyła na nią zdziwiona, nie mogła zrozumieć, do czego zmierzała jej mowa i dla-

czego ona tak dziwne wygłasza zasady. Pani Malwina nie dała jej czasu na zastanowienie.

— Czy ty kochasz Zacisze? — spytała.

— O! bardzo, bardzo; wszystko tam dla mnie miłe i piękne.

— No. to może przejedziemy się do Zacisza?

Dziewczę przecząco potrząsnęło głową.

— Eh! niema tam dziaduniów, to i do kogoż byśmy tam jechać miały?

— Ha! może ktośby się znalazł.

— Tatuś nie chce, abym jeździła do Zacisza — szepnęła z westchnieniem.

— Ale pod moją opieką puści cię napewno. Nie mów tylko nic, ja sama, chwilę stosowną upatrzawszy, o to poproszę.

Wejście p. Mileckiej przerwało rozmowę, z której ta ostatnia, gdyby ją słyszeć mogła, nie bardzo byłaby zadowolona.

Po obiedzie p. Malwina przyszedłszy do pokoju Anieli, oświadczyła, że zabiera ją z sobą na przejażdżkę i że już na to otrzymała pozwolenie.

— A Jadwisia pojedzie z nami? — spytała Aniela.

— Nie, Jadwisia nie chce jechać — odrzekła p. Malwina, odwracając spojrzenie w inną stronę, jakby z obawy, aby Aniela czegoś innego w jej oczach nie wyczytała. — Pojedziemy same; dość jeszcze mamy czasu wolnego, panowie nasi zaledwie wieczorem ściągną do domu. O! znam ja tych zapaleńców. Jak się dostaną do lasu, to już gotowi o świecie całym zapomnieć; a tu panny nudzą się, na nich czekając. Otóż właśnie pokażemy, że tak nie jest; ubierz się tylko ciepło, a i my miłej użyjemy rozrywki.

Aniela szybko wybiegła z pokoju z zamiarem namówienia Jadwigi na tę przejażdżkę, bo tak się dziwnie

obawia ciotki Malwiny. Wszedłszy do niej, ujrzała ją leżącą na kanapie z książką w ręku. Zbliżyła się ostrożnie, na palcach i na twarz siostry popatrzyła. Jadwiga spała. Świeża, różowa, z ustami lekko, jakby w uśmiechu roztwartymi, wyglądała tak pięknie, że Aniela z nietajonym zachwytem, a jednocześnie z rodzajem dziwnego onieśmielenia patrzyła na nią długą chwilę i szeptała do siebie:

— Jaka ona śliczna! jaka śliczna! Czy ja kiedy myślałam, że taką mieć będę siostrzyczkę?

Serdecznem uczuciem wiedziona, nachyliła się nad śpiącą lekko, milutko dotknawszy ustami jej czoła, cicho, szybko jak myszka wybiegła z pokoju, przypominając sobie, że Jadwiga skarżyła się przed nią, iż tej nocy bardzo mało spała.

— Niechże sobie odpocznie, sama już jadę, trudno, co robić...

Za chwilę siedziała już na sankach obok pani Malwiny, ciepłymi futrami otulona, i rada i nierada z projektowanej przejażdżki. Przyglądała się im z okna pani Milecka i przez lufcik wychylona upominała:

— A tylko długo bardzo nie bawcie. Pamiętaj, Malwino, nie ociągaj do nocy, bo będę niespokojna.

— Zobaczysz, niedługo powrócimy — doleciała ja odpowiedź — i konie wypadły na drogę.

Pani Krystyna westchnęła.

— Czy ona w tem aby niema jakiego interesu? — pomyślała z troską na czole. — Co jej na tem zależało, że się koniecznie naparła zabrać ze sobą Aniele?

— Panie! — dodała, podnosząc oczy do nieba — przebac mi, że jestem taka podejrzliwa, ale ja jej nie wierzę i dopiero wtedy odetchnę swobodnie, kiedy już ona odjedzie.

A sanie tymczasem mknęły po gładkiej, śnieżnej dro-

dze i tylko głos dzwonek rozlegał się w powietrzu. Gdy przejechali dworską aleję, zabrzmiał głos pani Malwiny:

— Do Zacisza!

Aniela spojrzała na ciotkę zdziwiona.

— Przejedziemy tylko przez wieś, nie wstępując do nikogo — objaśnia p. Malwina. — Zobaczysz dawną siedzibę i dawnych sąsiadów, przypomnisz sobie jak tam wszystko w zimie wygląda, a sądzę, że ci to powinno sprawić przyjemność.

Aniela nic nie odrzekła, szczerze tylko chustką twarz otuliła, a p. Malwina ciągnęła dalej:

— Co prawda, to ja ci się wcale nie dziwię, że kochasz wieśniaczą chatę i wieśniacze pracowite życie tak ci się podoba. Bo też tam nieraz jest miło i błogo, i byle z ludźmi dobrymi, byle z kimś sercu naszemu drogim, to lepiej tam z pewnością być może, niż w wspaniałym nawet pałacu. Tyle tam piękna na każdym kroku, tyle szczerości i prawdy, że nieraz z radością myśli się o szczęśliwym położeniu wieśniaków i pośród trosk i cierpień życia wielkoświatowego, pośród jego blichtru i udawania, z tęsknotą przenosi się do zacisznej wiejskiej siedziby, co się oczom przedstawia jak spokojny raj prawdziwego szczęścia na ziemi.

I siłąc się na wymowę, poczęła w najpiękniejszych kolorach przedstawiać życie gospodyni, jej swobodę, jej uciechy, wpływ dobry, jaki może wywrzeć na otoczenie, i jej zasługi dla społeczeństwa. Długo się nad tem rozwodziła wreszcie pewna, że obraz zrecznie przez nią przed oczami panienki roztoczony, ujął ją i pociągnął do życia wiejskiego, zwróciła rozmowę na przyszłość Anieli, na dawne wspomnienia, w końcu dopytywać zaczęła o tego, któremu za żonę była obiecana. Coraz to dla niego pochlebne słówko rzuciła, coraz to napomknę-

ła, że wiele o nim słyszała dobrego i od Anieli rada była potwierdzenie tego mniemania usłyszeć.

Aniela jednak, czy to pięknością zimowego krajobrazu zachwycona, czy też jakąś inną myślą zajęta, siedziała cicha i zadumana i skąpych bardzo na wszelkie zagadnienia udzielała odpowiedzi. Dziwiło to widocznie p. Malwinę i niecierpliwić poczynąło, nie przestała jednak ani na chwilę dowodzić i przekonywać, a tymczasem i do Zacisza przybyli. Kiedy wjeżdżali w opłotki, pomiędzy piętrzące się góry śniegu, p. Malwina kazała wstrzymać konie i wolno przejeżdżać przez wieś całą, kierując się aż do młyna, czerniejącego pod lasem. Jechali tedy stępą, rozglądając się dokoła. A po obu stronach wyglądały z pod śniegu chaty wieśniacze, niskie, pochylone, sterczały wysokie, ciemne po nad studniami żórawie, czerniały się nagie drzewa; po podwórkach spacerowały kury i kaczki, przez okna tu i owdzie wyglądały ciekawie puciołowate twarze dzieci, albo chustkami otulone głowy kobiet, w zabudowaniach poprzez otwarte wierzeje widać było mężczyzn, młocką, albo rznięciem sieczki zajętych. Głęboką ciszę przerywał od czasu do czasu odgłos cepów w stodole, skrzypnięcie żórawia, albo przeciągły ryk bydłęcia. Wszędzie było pusto, smutno, tak się przynajmniej Anieli wydawało, bo zamiast uciechy i wesela, z oczu jej widniały jakieś uczucia żalu i politowania. Z cichem westchnieniem przejechała obok chaty dawnych opiekunów; puściła tam było, niż gdzieindziej. W oknach nie widać ani jednej doniczki z kwiatami, w stodole żadnego odgłosu, a jednak ścieżka wydeptana i gromada chrustu pod ścianą świadczyły, że tu ktoś mieszka. Mieszkała tu krewniaczka Wojciechów, biedna wdowa z córką, ale w tej chwili nie widać tam było nikogo.

— Może chcesz, Anielciu, to się tu zatrzymamy cokolwiek? — spytała p. Malwina.

— Eh! nie! Jedźmy dalej — odpowiedziała panienka — niema tu po co wstępować.

— Nigdzie nie chcesz być i z nikim się widzieć? — zapytała znowu troskliwa opiekunka. — Może tam przed chatą Janiuków staniemy na chwilę? Konie wytchną, a poczciwy Franek będzie miał możność zobaczyć swą ukochaną. Zróbże mu tę uciechę, bo pewnie nie prędko zdarzy się tak dobra sposobność.

Aniela poruszyła się gwałtownie.

— Nie! nie! — zawołała z widocznym przestraszaniem — ja się z nim widzieć nie mogę!

— Dziwna z ciebie dziewczyna: kochasz, a nie chcesz się zobaczyć; on tam może bardzo za toba stęskniony.

Ale Aniela przekonać się nie dała, niezrozumiałemi dla niej były zamiary ciotki Malwiny, lękać się też jej i niedowierzać poczęła. W głowie jej nagle zrodziła się myśl dziwna, że ciotka szuka tylko powodu, aby ją przed ojcem oskarżyć, aby jej zaszkodzić i w sidła ją kiedyś wprowadzić, bo cóż innego mogła mieć na celu? Choć więc w duszy bardzo pragnęła spotkania z Frankiem, postanowiła bronić się wszelkimi siłami, by do tego spotkania nie dopuścić. Z niezwykłą tedy energią i mocą zawołała na chłopca:

— Jedź! jedź co prędzej, abyśmy przed nocą mogli do domu powrócić.

Pani Malwina przygryzła usta z niezadowolenia i nic się już nie odzywała. Gniewna była widocznie i na Anielę obrażona, że ośmieliła się jej sprzeciwić, niwecząc tym sposobem dobrze obmyślane zamiary, na których spełnieniu tak bardzo jej zależało. Była pewną, że dopnie swego, a tymczasem to słabe dziewczę

oparło się jej niespodziewanie. Chyba bardzo już w dumę urosła, kiedy nie chce gadać z wieśniakami; chyba nieprawdę mówiono, że ona Franka kocha jeszcze, kiedy się tak obojętną okazała i do widzenia się z nim namówić jej nie było można. Widocznie jej to „państwo“ głowę zawróciło, zapomniała o tem, czem była niedawno, i własnymi pogardziła uczuciami. Wobec tego wszystko przepadło.

Takiemi myślami zajęta p. Malwina jechała chmurna i zamyślona, Aniela, również zamyślona, przyglądała się w milczeniu białym równinom, które mrok wieczorny coraz gęstsza mgłą zasnuwał. Przejechały już przez wieś i skręciwszy niedaleko młyna, inną drogą, poza stodolami, wracają do Kalinowej Woli.

Nagle z czerniejącego przed niemi lasu doleciały ich jakieś krzyki, jakieś wołania o pomoc, co głośnie echem odbiły się w pustej przestrzeni. Na ten odgłos obie kobiety drgnęły i w tył się rzuciły przerażone.

— Stój! — zawołały na chłopca — tam coś się stało, może i nam grozi jakie niebezpieczeństwo.

— Eh! cóżby tam się stać mogło strasznego? toć las niewielki i nigdy w nim żadnych napadów nie bywało.

Mówiąc to, chłopak wstrzymał jednak konia i począł uważnie nasłuchiwać. Z dali niewyraźnie tylko dolatywały szmery, nic z nich wyrozumieć nie wło można.

— Pojedziemy chyba, proszę pani? — zapytał chłopak, zwracając się do p. Malwiny — nic już teraz nie słysząc.

— A jednak ktoś krzyczał, komuś się przygoda, czy też nieszczęście jakieś przytrafiło.

— Ha! może kto wpadł w jeden z tych dołów, co to ludzie koło drogi pokopali, piasek wybierając,

— Ach! to bardzo możliwe! — zawołała Aniela, której dobre serce poruszyło się na myśl o czyjemś zmartwieniu — nieraz słyszałam o takich wypadkach.

— W zimie, jak śnieg przysypie, to i zobaczyć trudno, a ludzie nie dbają o zagrodzenie, albo zaznaczenie tych miejsc niebezpiecznych — dodał chłopak.

— Jedźmy więc tam, zobaczymy, czy nie trzeba komu przyjść z pomocą — mówiła Aniela.

— I ty się nie boisz? — zawołała p. Malwina.

— Eh! nie! myślę, że lękać się nie mamy czego.

— Więc jedźmy.

Chłopak cmoknął na konie i ruszyli ku lasowi.

— Baczność tylko — upominała p. Malwina — miej się na pogotowiu, jeśli coś będzie podejrzanego, abyśmy z tego miejsca natychmiast ująć mogli.

— Niech pani będzie spokojna, jeszcze się nie ściemniło zupełnie, zdaleka dojrzymy, co się stało, i gdyby tego było potrzeba, śpiesznie uciec zdołamy.

Mówiąc to chłopak, bacznie się rozglądał dookoła. Ale w pobliżu nikogo nie było, cisza i pustka zalegała zaśnieżone pola, z lasu jednak co chwila dolatywał jęk jakiś, to znowu stękanie i jakieś słowa, które jeszcze zrozumieć było trudno. Konie mknęły szybko, w parę minut dosięgły lasu. Teraz można już było wyraźnie rozróżnić szmery jakieś, jakby szamotanie, wreszcie słowa:

— Ratujcie ludzi! ratujcie!... Niech cię pioruny zatrzasną!... stój!... czekaj!...

Z trwogą wszyscy spojrzeli na siebie, i znowu nastała chwila wahania. Pani Malwina miała już chłopcu dać rozkaz, aby zawracał, gdy ponownie doleciało ich wołanie:

— Ratunku, bo się uduszę! Oj! oj! jak ciężko,

zdechnąć tu przyjdzie, nim kto się pokaże... Czekaj!... stój!...

Nie było już wątpliwości, że kogoś nieszczęście spotkało, a choć dziwnymi wydawały się te wykrzykniki, należało śpieszyć z pomocą.

— Musimy skrócić na prawo, to do tych dołów dojedziemy — mówił chłopak.

— Dobrze, dobrze, tylko uważaj, abyś i nas nie wyrzucił — upominała p. Malwina.

Ledwie cokolwiek skrecono, a już wszyscy dostrzegli, że coś ciemnego rusza się i szarpie poza drzewami. Każdy wzrok wyteżył, Aniela z bijącym sercem stała w sankach, żeby lepiej zobaczyć.

— To koń! — zawołała pierwsza — koń uwikłany w krzakach.

— Koń z sankami — dorzucił chłopak — ludzi jednak nigdzie nie widać.

— Jędre! Jędre! psiawiaro! gdzieżeś wlaź? taki z ciebie przyjaciel!... oj!... oj!... do licha! chodźże prędzej... Śpiesz się bratku, hej! hej!

— Hej! hej! a gdzie ty tam jesteś — zawołał chłopak w odpowiedzi na te słowa.

— Ojoj! ratujcie! — doleciał głos z dołu.

Chłopak szybko z sanek zeskoczył, podbiegł najpierw do szamocącego się konia, którego wiszące nad wielkim dołem sanki ciężarem swym powstrzymywały, odplątał lejce, wyprowadził na miejsce swobodne i uwiązawszy do drzewa, nachylił się nad zagłębieniem.

— Oho! wpadł tu jakiś człowiek i biedaczysko rady sobie nie da, bo ciężkim jeszcze workiem przyciśnięty.

— Pomóżcie mu, mój Adolfie, on tak stęka... śpieszcie się — prosiły obie kobiety.

— Stąd nawet dostać się trudno — mówił chłopak, zachodząc z przeciwnej strony.

— A jakżeś tu się dostał, przyjacielu? — pytał, wskoczywszy do dołu. — No, dźwigaj się prędzej, uniosę worek, to wyleziesz. A wór nielada, pszenicę masz tu, widać, co?

— Idź, głupi, idź do licha; naśmiewać się ze mnie przyszedłeś, a bodaj cię to samo spotkało!...

— Cicho, zamknij gębę! tak mi się odwdzięczasz za moje dobre chęci? Jeśli zaniecham pomocy, to zginać ci tu przyjdzie w nocy na mrozie.

Mówiąc to, począł ściągać wór ze zbożem, którym przytłoczony człowiek ów, ruszyć się nie mógł. Tymczasem obie panie wysiadłszy z sanek, również się nad dołem pochyliły.

— Podaj mu rękę, Adolfie, pomóż wstać, on jakiś nieprzytomny, czy aby nie potłukł się bardzo — kłopotła się Aniela.

— Och! nic mu nie jest, wpadł w śnieg, jak w pierzynę, tylko to widać jakiś pijaczyna.

— Co? co? ty mi dogadywać będziesz, kundlu jeden! Ja ci pokażę, co to na porządnym ludzi wymyślać. Hej! Jędre, chodźno tutaj, rozprawim się z tym paniczykiem. No, wynoś się stąd, bo jak cię zamałuje!...

— Tak mi chcesz płacić za wyratowanie? to bądźże zdrowszy i siedź tu sobie do białego rana.

— Wyprowadź go stamtąd, mój Adolfie, — prosiła p. Malwina — on sam nie wie, co mówi.

— No, chodź, pojedziemy do Mośka.

I ująwszy go za rękę, pomógł mu powstać.

— Prowadź go, prowadź... tedy, tak — doradzała p. Malwina, wybierając miejsce najłatwiejsze do wydostania się z dołu.

Zajęta tym wypadkiem, zupełnie zapomniała o Anie

li, która wsparta o drzewo, w milczeniu się tej całej scenie przyglądała. Adolf jeszcze czas jakiś szamotał się i umawiał z nieznajomym, nim go wreszcie zdołał wyprowadzić.

— No, przecie!... — odetchnęła pani Malwina, zwracając się do Anieli. — A to trudna sprawa z człowiekiem pijanym.

Ale Aniela z głową w tył odrzuconą, z rękami kurczowo zaciśniętymi, stała nieruchoma pod sosną, jakby z zimna, czy zgrozy zdrętwiała. Przy ostatnim dnia odblasku p. Malwina dostrzegła, że była biała jak płótno.

— Dziecko moje! co ci jest? co ci się stało? — zawołała przerażona, chwytając ją w swoje objęcia.

Ona słowa wyrzec nie mogła, usta jej drżały, jak w febrze.

— Tyś zziębła straszliwie! gotowaś mi się rozchorować, wracajmy do domu co prędzej.

Ujęła ją za obie ręce i chciała do sanek odprowadzić, ale Aniela spojrzła na nią błagalnie.

— Nie, ciociu, ja nie mogę odjechać, muszę z nim się rozmówić koniecznie — wyrzekła ledwie dosłyszalnym głosem.

— Z kim? z tym pijakiem? ależ ja do tego dopuścić nie mogę! Słyszałaś, jak obszedł się z Adolfem, jak mu podziękował za pomoc, która go może od śmierci wybrała. I ciebie coś podobnego spotkaćby mogło.

— To trudno; rozmówić się z nim muszę raz jeszcze, zapewne raz ostatni!...

— Więc ty znasz tego człowieka?

Aniela zamiast odpowiedzi, westchnęła tylko i smutnym wzrokiem wpatrzyła się w stojącego opodal mężczyznę, co trzeźwiej już i spokojniej rozmawiał z Adolfem, kłopotząc się, w jaki sposób pszenicę z dołu wydo-

będzie. P. Malwina przyglądając mu się zauważyła, że był to chłopak młody, pięknie zbudowany, nawet przystojny, tylko teraz, wskutek nadmiaru trunków, czerwony, jakby nabrzmiały; z rozczochraną czupryną, ponurym wzrokiem, rozpiętą na piersi kamizelką i sukmaną, nie miłe sprawiał wrażenie. Kto to był, już p. Malwinie tłumaczyć nie było potrzeba, zrozumiała to w okamgnieniu, spojrzawszy na niego i na Anielę.

— To on! — szepnęła, ręce ze smutkiem załamując. Zwróciła się do Anieli:

— Chodź, dziecko drogie, pojmuję twoją boleść i rozczarowanie, ale nie mamy tu co robić; on nie go-dzien tego, abyś z nim rozmawiała.

Aniela jednak zdała się nie słyszeć wezwania, tylko postąpiwszy parę kroków, wyciągnęła ręce do wieśniaka.

— Franku! Franku! — zawołała głośno — tyżes to jest?

Na dźwięk tego głosu chłopak wstrząsnął się cały i powiódł dokoła zdumionemi oczyma.

— Stefka! — szepnął sam do siebie — czy to ona?

Podniósł głowę, spojrzął i cofnął się, jakby nagłem widzeniem olśniony. Przed nim stała Aniela, wpatrzona weń błyszczącymi oczyma. Białym, podróżnym szalem, niby obłokiem mgły otoczona, dziwnie piękna się wydawała i robiła wrażenie jakiejś nieziemskiej istoty, jakiegoś niezwykłego zjawiska. Przeląkł się jej też widocznie i zamiast ucieszyć ze spotkania, zrobił ruch, jakby chciał uciekać.

Zatrzymała go i powtórzyła raz jeszcze:

— Franku! czy to ty jesteś?

A on zamiast odpowiedzieć, spuścił głowę i zawstydził się, jak winowajca na gorącym uczynku przyłapany; po chwili dopiero tłumaczyć się począł:

— Zjechałem za blisko tych dołów i spotkało mnie nieszczęście... koń sanki przewrócił... wpadłem w śnieg.

Popatrzyła na niego z żalem i rzekła:

— Tak, spotkała cię przygoda, jaka niejednemu się zdarzy, na szczęście nadjechaliśmy i mógł cię nasz chłopak poratować, ale nie o to tu chodzi. Powiedz mi, Franku, jakim sposobem doszedłeś do stanu, w jakim cię dzisiaj spotykam? Wszakżeś ty nigdy nie pił, albo pił bardzo mało, a teraz...

Spojrzał na nią gniewnie, ponuro, jakby ze zdziwieniem, skąd ona wie, że był pijanym — i zamiast przyznać się do winy, mruknął tylko niechętnie:

— Co komu do tego? wolno mi robić, co mi się podoba.

— Mylisz się, Franku, źle robić nikomu nie wolno.

— A cóż ja komu złego zrobiłem? Jeżeli wypije kieliszek wódki, to za swoje.

— Ach! ja nie pytam, za czyje pijesz pieniądze, ale dlaczego pijesz, dlaczego się narażasz na utratę tych wszystkich przymiotów, jakieśmy w tobie szanowali, a ludziom dajesz powód do obmowy i szyderstwa? Chyba wiesz, co mówią o tobie w okolicy? o tobie, coś był wzorem trzeźwości i dobrych obyczajów. Ach! Franku, co się z ciebie zrobiło! Jam cię znała szlachetnym, pocziwym i godnym szacunku, nie dawałam też wiary rozsiewanym o tobie wieściom, a teraz, niestety! widzę to na własne oczy i żal mię zbiera serdeczny, czemuś ty tak się odmienił, czemuś ty z dobrej zszedł drogi. Co cię do tego przywiodło, żeś uległ nieszczęsnemu nałogowi?

Mówiąc to, patrzyła na niego błagalnie, pewna, że po dawnemu zwróci się do niej z serdecznym słowem obietnicy i zapewnienia, i że zdoła na niego wywrzeć wpływ pożądaný. Zawiodła się jednak. Nie był to już

ten Franek, którego kochała, a który dla niej gotów był wszystko uczynić. On zamiast pamiętać, czem była niegdyś dla niego, miał na myśli to wszystko, co nakładł mu w głowę Jędek, ów przyjaciel i towarzysz nieodstępny. Zostając pod tem wrażeniem, niezdolny był zrozumieć uczucia, z jakim się do niego zwracała, czuł tylko gorczyz słusznej wymówki i oburzenie wielkie, że śmiała się mieszać w jego sprawy. Zachnął się tedy niecierpliwie i zawołał:

— Co? pijakiem mnie robicie? mnie, porządnego człowieka, macie za łotra? i przyszłście aż tutaj, żeby mi uragać, żeby się ze mnie naśmiewać. A co wam do tego? zostawcie mnie w spokoju. Skoro chcecie wiedzieć prawdę, to wam powiem! Wyście mnie do tego przywiedli, kiedyście mną pogardzili; w kieliszku musiałem szukać pociechy i uspokojenia — i tam je znajduję.

— Mylisz się bardzo, Franku, w kieliszku topisz swój honor, swoje sumienie i majątek, ale spokoju i zadowolenia w nim nie znajdziesz. Niesłusznie powiadasz, że ja tobą pogardziła, bo dopóki byłeś uczciwym człowiekiem...

Rzucił się gwałtownie i nie dał jej dokończyć.

— A dziś czem ja jestem? — wybuchnął — łotrem? pijanicą? dziś może dam sobą pomiatać? o! niedoczekanie wasze, hrabstwo, panowie! wymyślać sobie nie pozwolę. Tyś pani teraz, tyś mną pogardziła, ale mniejsza z tem, znajdę sobie inną... Jędek ma rację, że taka dama na żonę dla chłopca nie uchodzi.

Na te zuchwałe słowa p. Malwina z przestraciem przysunęła się do Anieli i szepcząc oburzona: „Ach! jaki to ordynus! ustap mu, moja droga“, odciągnąć ją od rozmowy usiłowała.

Ale Aniela nie spełniła wezwania, czuła, że tak

odejść od niego nie może, nie powinna, litowała się nad nim serdecznie, przemówiła więc łagodnie, ale z siłą i stanowczością w głosie:

— Żle się wyraziłeś, Franku, ale ja ci to przebaczam, bo widać żal mówi przez twoje usta. Odchodzę od ciebie i zrywam z tobą raz na zawsze, ale teraz dopiero, teraz gdy sam żadasz tego. Jam cię kochała, a tyś mego uczucia, ani pamięci o mnie nie uszanował; jam ci była życzliwa, a tyś mi tyle sprawił boleści. Bądź zdrów! niech ci Bóg przebaczy; nie miej teraz żalu do mnie, ale do siebie samego, że już wszystko między nami skończone. Wiedz o tem, że nie różnica majątku, ale różnica pojęć i zapatrywań na życie rozdziela nas w tej chwili. Do dnia dzisiejszego mogłam jeszcze zostać twoją żoną, ale od dziś wszystko przepadło. Nim jednak odejdę, o jedno błagam cię jeszcze: miej litość nad sobą i nad starym swoim ojcem, nie marnuj tak swego życia i swego szczęścia, bo tego gorzko kiedyś pożałujesz. Porzuć ten nałóg nieszczęsny, powróć do dawnych obyczajów, a ja choć w oddaleniu, kochać cię za to i szanować nie przestanę.

Wypowiedziała to szybko, jednym tchem, jakby się lękała, żeby jej nie przerwano, żeby kto nie przeszkodził wyznać mu to wszystko, co w duszy jej zadzwieczało pod wpływem dawnego wspomnienia i co czuła, że mu powiedzieć powinna w tej snutnej chwili rozłączenia.

Franek stał niemy, ze spuszczoną głową, zrozumiał, że ją obraził, że na jej gniew i pogardę zasłużył, poczuł, że on to w tej chwili zerwał ostatnią nitkę, co ją z nim łączyła, i sam w swoje przyszłe szczęście ciesząc się, wymierzył. Zrobiło mu się jakoś straszno i boleśnie, ale słowa serdeczne i obietnica życzliwości i poszanowania — nie wywarły na nim należytego wra-

żenia. Dawniej słowa podobne jakimżeby go natchnęły uczuciem gorącym! skłoniły z pewnością do prośby o darowanie niewłaściwego postępkę, o zapomnienie tej fatalnej chwili; teraz pod wpływem dowodzeń fałszywego przyjaciela i pod wpływem wódki, co mu jeszcze w głowie szumiała, czuł tylko w sercu gniew i oburzenie, oraz chętkę, jak to mówią, postawienia się, aby pokazać, że już nie dbał o nią. Dalsza też wymiana słów nie przywiodłaby ich do pojednania, bo zarówno wygląd Franciszka, jak i całe jego zachowanie wstręt tylko i zniechęcenie mogły w duszy Anieli obudzić.

Ta jedna chwila, to niefortunne spotkanie posłużyło do rozerwania niewygasłych jeszcze uczuć tych dwojga ludzi. Były to już teraz dwie sprzeczności: dobro i zło, światło i mrok. Ona wyszlachetniała, podniosła się duchowo, pojęła i pokochała to, co jest dobre i piękne; on wpadł w kałużę brzydkiego nałogu, co plamił mu duszę, zaciemniał rozum, spaczył pojęcie o życiu i moralnie go oszpecał, budząc złe porywy i występne pragnienia. Była to noc, przed którą serce dziewczęcia z żalu i trwogi struchlało. Odeszła też od niego ze łzą w oku, z żalem serdecznym, ale z prośbą gorącą, co wyrażało ostatnie jej pragnienie:

— Franku! opamiętaj się! porzuć złe towarzystwo, wróć na dawną drogę, znowu będziesz dobrym człowiekiem, szanowanym gospodarzem.

Wsadzono ją do sanek i prawie nieprzytomną uwieziono z przed jego oczu. A on stał ponuro zapatrzony w to miejsce, na którym ja widział przed chwilą. Stał długo, bardzo długo i dumał, — wreszcie cisnął czapkę o ziemię, chwycił się za głowę obu rękami, a z ust wyrwały mu się słowa:

— Cóżem ja uczynił nieszczęśliwy!
Co się działo w jego duszy, jaka tam wrzała walka

straszliwa, ile sprzecznych uczuć ścierało się z sobą, co myślał i rozumiał — trudno to opisać. Ale wkońcu widać wrodzona poczciwość zwyciężyła, ostatnie słowa Anieli wywarły wpływ zbawienny, bo w tej ciszy leśnej, pod cieniem mroźnej zimowej nocy, przyciśnięty swoją niedolą i opuszczeniem, postępów się swoich zawstydzil i wyciągnawszy ręce w stronę, gdzie mu saniki, uwołające jego kochanie serdeczne, znikły z oczu, zawołał:

— Ja tobie, dawna Stefciu moja, przysięgam, że wódki do ust nie wezmę.

Ach! czemuż tego przy niej nie powiedział, czemu jej tem zapewnieniem nie pocieszył! Tak to zwykle bywa, że żal przychodzi po niewczasie i że ludzie po większej części sami winni swemu nieszczęściu.

Tak przysły ostatnie nadzieje nie tylko samego Franka, o! nie! Pani Malwina, zająścim tem wielce zmar-twiona, przekonana została należycie, że nie mogło już być nawet marzenia o połączeniu Anieli z dawnym jej narzeczonym, co w obecnem położeniu tak było dla nich pożądanem. Uwzględniając miłość Alfreda dla Jadwigi, godziła się przyjąć ją za synową, ale pod tym jedynie warunkiem, że zostanie główną spadkobierczynią Salińskiego i ciotki Krystyny. Mogło to stać się tylko w takim razie, jeśliby Aniela uwzięła się wyjść za Franka i postępując wbrew woli ojca, gniew jego na siebie ściągnęła. Rozdmuchać dawne uczucia, dopomóc do porozumienia się młodych, zaopiekować się Aniela w tej sprawie tak, aby się stać mogło podług jej woli — oto były zamiary, ułożone owego wieczora przez matkę i syna, zamiary, co miały oddać w ich ręce Kalinową Wolę, do której tak bardzo wzdychali oboje. By się zadość stało temu pragnieniu, nie wahali się oddać na łup Aniela i targnąć na szczęście dwojga zacnych ludzi

co u schyłku swego życia w to dziewczę, jakby w gwiazdkę jasną patrzyli, w niej swe najlepsze pokładali nadzieje.

Nie powiodło się jednak; przypadek zrzadził inaczej, choć niby na pozór dogadzał p. Malwinie, bo się młodzi spotkali, zobaczyli, — ale w jakże nieprzewidzianych okolicznościach! z jakim fatalnym skutkiem na przyszłość całą. Nieszczęsne spotkanie zamiast zjednoczyć, rozerwało nazawsze tę dawną przyjaźń i dawne uczucia, wobec czego zamiary Alfreda i p. Malwiny nieweczone zostały najzupełniej.

ROZDZIAŁ XX.

Burza.

Noc już zapadła oddawna, gdy przed gankiem kalinowskiego dworu zadźwięczały dzwonki, oznajmiające powrót pań z przejażdżki. Powrotu tego z niecierpliwością wyglądano, bo niepokój p. Mileckiej o Aniele udzielił się wszystkim obecnym z wyjątkiem jednego Alfreda, który przy boku Jadwigi bawił się doskonale. Na odgłos dzwonek porwali się wszyscy i wybiegli na spotkanie aż do sieni. Pierwszym był Wacław, ale wesoły wykrzyknik, jakim miał powitać powracające panie, zamarł mu na ustach, gdy spostrzegł posępną twarz pani Malwiny i bladą jak chusta Aniele.

— Czy was jaka przygoda spotkała, że tak późno wracacie? — pytała z niepokojem p. Milecka.

Za całą odpowiedź Aniela rzuciła się w jej objęcia i serdecznym, jakby długo powstrzymywanym, wybuchnęła płaczem.

Obecni spojrzeli na siebie zdumieni, a p. Milecka,

tuląc do piersi rozżalone dziewczę, przerażona do najwyższego stopnia, dopytywać zaczęła:

— Co ci jest, dziecko drogie? czy cię jaka przykrość, czy jakie nieszczęście spotkało?

Ale Aniela nie mogła słowa przemówić, tylko cicho płakała w objęciach ciotki, która zwróciła się z wyrzutem do p. Malwiny:

— Pociąg ty ją zabierała? Tak dziwnie lękałam się tej przejażdżki, widocznie było to przeczucie, że stanie się coś złego.

— Eh! nic znowu tak bardzo złego się nie stało. Któż mógł przewidzieć, że przypadek zrządzi wcale niepożądane spotkanie.

— Spotkanie? z kim?

— Z młodym Janukiem z Zacisza, któremu w drodze przytrafiła się przygoda, bo wpadł w jeden z tych dołów, gdzie piasek wybierają.

— I wyszcie przez las obok dołów jechały?

— Nie; ale na wołanie o ratunek, chłopak nasz pospieszył mu z pomocą. Nie można było przecie minąć go obojętnie i nie poratować w nieszczęściu.

— I cóż mu się stało? Nogę, czy rękę złamał, że się tak tem zmartwiła?

— Eh! nie, był tylko pijany i swem zachowaniem tak przykre na niej sprawił wrażenie. Ale może to i lepiej się stało, że zobaczyła go takim, jakim jest w istocie.

Pani Milecka nic nie odpowiedziała, w duszy jednak przyznała słusność ostatnim słowom p. Malwiny, że może to i lepiej, iż go ujrzała w takim stanie, w jakim go podobno coraz częściej widywano. Uściskawszy Anielę, poprowadziła ją do swego pokoju, aby tam z nią swobodniej porozmawiać i o szczegółach tego niefortunnego dowiedzieć się spotkania. Gdy się za niemi

drzwi zamknęły, wszyscy obecni, którzy powyższej rozmowy słuchali w milczeniu, rozchodząc się też poczei Wacław pierwszy się wysunął, p. Saliński poszedł za jego przykładem, p. Malwina całem tem zajęciem do najwyższego stopnia rozdrażniona, nie zdejmując nawet futra, skierowała swe kroki do swego pokoju. W sieni pozostali tylko Alfred i Jadwiga, spoglądając na siebie w niemem podziwieniu.

— Co tam zaszło? — odezwała się pierwsza Jadwiga — Aniela płacze, ciocia Malwina mocno jest widać zmartwiona. I ja czegoś lękać się zaczynam...

Alfred rozśmiał się lekceważąco.

— Eh! niema się czem bardzo przejmować. To tylko mała chmurka na jasnym horyzoncie tutejszego życia. Zniknie ona prędko i śladu po sobie nie zostawi.

— Bodajby tak było; nieraz jednak mała chmurka groźnej burzy jest zapowiedzią.

— Pani się ustawicznie czegoś lęka, a ja powiadam, że to całkiem zbyteczna obawa; przed panią drogą do szczęścia dopiero się otwiera.

— Chciałabym w to wierzyć, ale...

W tej chwili drzwi się otworzyły i dziewczyna pokojowa stanęła w progu.

— Pani Miszewska prosi panienkę do swego pokoju — rzekła pośpiesznie.

Jadwiga porwała się z miejsca.

— Czy ciocia nie zastała przypadkiem? taka była zmieniona.

— Chyba nie, tylko prosiła, żeby panienka tam przyszła.

— Dobrze, idę natychmiast.

I rzuciwszy Alfredowi wymowne spojrzenie, wybiegła z pokoju.

— Czego też ciocia może chcieć odemnie? — py

tała się w duchu, a serce biło jej gwałtownie jakąś nadzieją i trwogą. Biedna! ani się spodziewała, co ją spotka.

A pani Malwina odetchnawszy nieco, poczęła się zastanawiać nad skutkami ostatnich wydarzeń i doszła do przekonania, że chcąc dopiąć celu, całą tę sprawę jak najprędzej skończyć wypadało. Nie mogła bowiem pobytu swego w Kalinowej Woli zbyt długo przeciągać a obecność Wacława, budząc poważne obawy, nie pozwalała jej powziętych zamiarów na czas dalszy odkładać. Jakkolwiek położenie trudnem się stawało, nie wątpiła, że swego dokaże. Nie przypuszczała ani na chwilę, aby Anieli Alfred mógł się nie podobać, była pewna, że jak w jej oczach stanowił uosobienie piękna, elegancji i wszelkich przymiotów, tak i dla panny, do której swe zabiegi zwrócić raczy, będzie zawsze partją nie do pogardzenia. Tylko Jadwiga stała jej na przeszkodzie; postanowiła tedy pozbyć się jej jakimkolwiek sposobem jak najprędzej. Aby wyrobić Anieli należną jej rolę jedynaczki i skierować do niej syna, musiała zepchnąć Jadwigę z zajmowanego dotąd stanowiska. Samolubna ta kobieta, własne tylko widoki mająca na względzie, nie namyślając się długo, zaraz z poleceniem służącą do niej wysłała.

Gdy Jadwiga weszła do pokoju i wyraziła obawę o jej zdrowie, p. Malwina wskazując krzesło obok siebie, chłodno się do niej odezwała:

— Dziękuję, zdrowa jestem zupełnie, pomimo przykrych niespodzianek, jakie mię tutaj spotkały.

— Czyż nie mogłabym wiedzieć, co się stało przy czyną zmartwienia cioci?

— Długoby o tem opowiadać trzeba, wyznam tylko szczerze, że ty swoim zachowaniem najwięcej sprawiłaś mi przykrości.

Jadwiga poruszyła się żywo.

— Jakto? ja względem cioci co zawiniłam? ja, co każdą chwilę pobytu jej u nas chciałabym uprzyjemnić i rozweselić...

P. Malwina nie dała jej dokończyć.

— Nie bawmy się w piękne słówka — rzekła cierpko — nieszczerze ze mną postępujesz i sądzisz, że ja nie wiem o niczem — więcej się od ciebie spodziewałam.

Jadwiga spoglądała na nią coraz bardziej zdumiona.

— Nie wiem doprawdy, co ciocia może mieć na myśli.

— Zaraz się dowiesz i przekonasz, że ja potrafię być szczerą. Przypomnij sobie, jak odmówiłaś mi wszelkich objaśnień, jakich od ciebie żądałam, udałaś nawet chorobą, aby uniknąć ze mną rozmowy. Myślałaś, że nie poznam się na tem, a co ważniejsza, że ukryjesz przedemną tajemnicę swego pochodzenia. Daremnie! są rzeczy, których ukryć niepodobna. Wiem, kim jesteś i napróżno oszukać byś mię chciała. Wybaczam ci jednak przykrość, jaką mi brakiem zaufania sprawiłaś i chcę ci dobrem za złe odpłacić.

— Ależ ciociu... — zaczęła Jadwiga, usiłując ukryć pomieszanie.

— Daj pokój tłumaczeniom, na nic się one nie przydadzą. Nie zaprzecz się chyba, że nie jesteś córką Salińskiego? i nie zaprzecz, żeś nic dotąd o swem pochodzeniu nie wiedziała? Myślałaś zapewne, że nikt o tem wiedzieć nie będzie, że ludzie pozwolą ci spokojnie używać nazwiska i majątku, choć do tych żadnego nie masz prawa. Niestety, bardzoś się omyliła, od dziś wszystkim to już będzie wiadomem i wszyscy tobą pogardzą.

— A co komu do tego, jakie ja tu zajmuję stanowisko i dlaczego? Jestem siostrą Anieli, prawnie uznana i nikt mię tego nie pozbawi. Jeżeli ojciec i ciocia

Krystyna dała mi nazwisko i prawa do majątku, nikt mi tego odebrać nie zdoła.

— Mylisz się, oni ci te prawa zostawili, dopóki nie poznali, nie pokochali prawdziwej swej jedynaczki. Teraz przecież jedynie szlachetność wstrzymała ich od odsłonięcia całej prawdy, od pozbycia się widoku tej, przez którą ich dziecię tyle lat cierpiało poniżenie i niedostatek. Ale czego oni publicznie ogłosić nie mieli odwagi, ludzie to sami ogłaszają. Ja pierwsza prawdę światu objawić będę zmuszona.

Jadwiga blada, jak chusta, oparła się o poręcz krzesła i szklanym wzrokiem patrzyła przed siebie, nie pojmując jeszcze, skąd nagle tak straszna burza na nią uderzyła. Spotkało ją to, czego się najbardziej lękała, a każde słowo ciotki, jak grot zabójczy, spadało na jej serce i wstrząsało do głębi całą jej istotą. Ach! co ona by dała w tej chwili, aby zapobiec szerzeniu się tak nie miłych dla niej wieści. Wyciągnęła też ręce do p. Malwiny i zawołała błagalnie:

— Ciociu! przecież ciocia tego nie uczyni.

Ale ta popatrzyła na nią obojętnie.

— Owszem — odrzekła — uczynię to niezawodnie, bo idzie mi o dobrą sławę tego domu, idzie mi o szczęście Anieli. W okolicy dość się już ludzie nadziwowali, skąd nagle Salińskiemu wzięła się druga córka, o której nigdy przedtem wspomnienia nie było. Różni różnie o tem mówili i najdziwniejsze robili domniemania. Sława więc Anieli wymaga wyświeślenia prawdy i sama przyznasz, że milczeć tu byłoby niegodziwością.

— A moje szczęście, moja sława nikogo już nie obchodzi? — zawołała ręce łamiąc Jadwiga.

— I owszem, moja kochana, wszystko się to da z sobą pogodzić, tylko na czas krótki przynajmniej ludziom z oczu usunąć się musisz. Mowy ludzkie, to jak

burza, co zerwie się, zaszumi, ciśnie piorunami i przeпадnie gdzieś w oddali. Tak i ludzie — zdziwią się, pogadają i uspokoją powoli, a wszystko do dawnego porządku powróci.

Jadwiga załżała się łzami.

— Ach! cóż ja komu zawiniłam, że zniweczyć chcę moje szczęście, wygonić mnie z domu, w którym się wychowałam, oderwać od wszystkiego, do czego sercem przylgnęłam. Chyba ja swoim postępowaniem ujmę temu domowi nie przyniosłam?

— Jestem przekonana, że nie; ludzie jednak coś przebakują, że włóczysz się po nocach, błądasz sama jedna po ogrodzie, a wiedząc, że nie jesteś córką dziedzica, tem surowiej sądzić cię zaczynają.

— To nieprawda! — zawołała gwałtownie Jadwiga — to ktoś niegodziwy bajkę sobie ułożył, tego ludzie o mnie mówić nie mogą.

Przed jej roziskrzonym wzrokiem p. Malwina oczy spuściła, nie dała jednak za wygraną. Szło jej tak bardzo o przekonanie Jadwigi, że ustąpić stąd powinna, iż się wszelkich środków chwycić była gotowa. Ujęła więc jej rękę i rzekła głosem zniżonym:

— Nie unoś się zanadto; z rzeczy najniewinnniejszych ludzie coś zrobić potrafią. Podobno kilka dni temu wychodziłaś do ogrodu późno w nocy i był ktoś, co cię widział! Na drugi dzień miałaś chrypkę...

— Ach! więc to wtedy!...

— A widzisz, nie możesz nieprzyznać, że to nieprawda.

— Prawda, ależ ten, kto o tem powiada, widzieć też chyba musiał, że pociągnięta pięknoscą nocy, wyszłam tylko przed ganek i przeszedłszy się trochę, zająz wróciłam; nikogo nie widziałam i żadnych nie miałam zamiarów.

— Wierzę ci najzupełniej, ale czy wszyscy jednako uwierzą? czy twoi opiekunowie za nic sobie tę wiadomość mieć będą? Przyznasz sama, że trudno ci się będzie wytłumaczyć, i że w obecnym położeniu wiele ci to może zaszkodzić.

Jadwiga zawrzała oburzeniem; pewna swej niewinności, pojęła doskonale, że tak błahego powodu do obmowy może chwycić się tylko ktoś, co ma w tem swój własny interes. Była to dla niej zbyt ciężka, zbyt bolesna chwila, aby nie miało się w duszy zrodzić podejrzenie, że jest ktoś, co pod nią kopać dołki usiłuje, może dlatego, by jej szczęście zniweczyć, by ją z tego domu wypędzić.

Zerwała się z miejsca i rozplomieniona stanęła przed p. Malwiną:

— Ciocia mi musi powiedzieć, kto to taki, kto śmiał targnąć na moją sławę? rzucić cień na dobre imię, jakim się dotąd cieszyłam? Musi to być ktoś bardzo nikczemny!...

Pani Malwina zlekła się, zawahała w pierwszej chwili, ale nagle nowa myśl, jak błyskawica, przebiegła jej przez głowę. Była to myśl występna, niegodziwa. w tej chwili jednak mogła ją wyrwać z kłopotliwego położenia, w jakie się samochcąc wplątała.

— Ha! jeśli przyjdzie do ostateczności... niema innego wyjścia... — pomyślała sobie, głośno zaś wyrzekła:

— Nie mogę ci zadość uczynić żadną miarą, nie żądam tego odemnie — to moje siły przechodzi.

Ale Jadwiga ustąpić nie myślała i rzucając się na kolana przed p. Malwiną, błagalnie do niej ręce wyciągnęła:

— Ciociu! miej litość nad nieszczęśliwą! Powiedz

mi, kto tu jest tym wrogiem, którego strzec się powinnam?

— Nic ci z tego nie przyjdzie; stokroć lepiej, żebyś o tem nie wiedziała.

— Ale ja muszę wiedzieć, muszę koniecznie!... inaczej gotowam sądzić, że to... ciocia...

— Ha! skoro tak powiadasz, to prawdy dłużej nie myślę przed tobą ukrywać, musisz mi tylko przyrzec, że nigdy nikomu o tem nie powiesz.

— Może być tego ciocia najpewniejsza.

— Pamiętaj! biada ci, jeśli nie dotrzymasz obietnicy.

Nachyliła się nad nią i szeptać jej coś do ucha poczęła. Jadwiga porwała się, z oczu jej iskry strzeliły, twarz wyrażała zdumienie i boleść niezmierną. Chwyciła się oburącz za głowę i zawołała z najwyższym rozdrażnieniem:

— Aniela?!... nie! nie! to być nie może.

W tej chwili, siłą doznanych wrażeń wyczerpana zupełnie, zachwiała się i padła zemdlona na podłogę.

Z piersi p. Malwiny dobył się okrzyk przerażenia; skoczyła do niej, usiłując przywołać do przytomności. Jadwiga jednak nie dawała znaku życia, więc rada nie rada musiała zadzwonić i zażądać pomocy. Pomoc nadspodziewanie prędko przybyła, bo w tejże chwili drzwi się otworzyły i w progu stanęła p. Milecka, co właśnie szła zaprosić na wieczerzę. Nim zdołała pierwsze słowo wymówić, wzrok jej padł na leżącą nieruchomo Jadwigę, przypadłszy więc do niej przeleknięta, cucić i ratować poczęła.

— Co jej się stało? — pytała z trwogą — co się tu dziś u nas dzieje?

Spojrzała surowo na p. Malwinę, a ta zmieszana nie wiedziała w pierwszej chwili, co ma odpowiedzieć.

— Jadwiga jest zanadto nerwowa, trzebaby ją leczyć — rzekła wymijająco.

— Ona nigdy nie mdlała, chyba w nadzwyczajnych wypadkach, kiedy coś nią do głębi wstrząsnęło.

Pani Malwina widząc, że napróżno usiłowała by ukryć prawdę, stanęła tedy wyprostowana i rzekła dobitnie:

— Musiałam jej powiedzieć, iż jako córka prosiej sługi, nie może myśleć o zostaniu żoną Alfreda.

— Tyś jej to powiedziała?! A skądże ci wiadomo, że Jadwiga jest córką prostej sługi?

— To już moja rzecz, nie sądzicie, że już nikt o tem nie wie. Nie śpieszyłabym przecież z wyjaśnieniem, gdyby tego nie wymagało obopólne ich szczęście.

Pani Milecka jęknęła boleśnie:

— Biedne, nieszczęśliwe dziecko moje, jakże mi cie żał serdecznie!

Przytuliła jej głowę do piersi, a łzy gorące polały się na bladą śmiertelnie twarz zemdlonej. To ją ocuciło; poruszyła się, powiodła wzrokiem dokoła, a widząc p. Milecką czule nad sobą pochyloną i łzami zalaną, wybuchnęła płaczem serdecznym, tak, że nie łatwo można ją było uspokoić.

Tymczasem na korytarzu ciężkie jakieś i powolne kroki słyszeć się dały. P. Milecka śpiesznie odbiegła od kanapki, na której przed chwilą Jadwigę usadziła.

— Ach, to Wojciechowie! — rzekła, drzwi otwierając.

Rzeczywiście byli to oni; szli wolno, ze spuszczoną głową, pomimo, że w korytarzu nie było ciemno.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odezwali się jednocześnie.

— Na wieki wieków — odpowiedziała p. Milecka, witajcie mi, witajcie, rada jestem, żeście przyszli.

— Wielmożna pani po nas przysłała?

— A tak, tak; chcę, abyście dzisiaj wieczór z Anielą przepędzili, aby ją trochę rozerwać i rozweselić.

— Podobno bardzo płacze biedaczka?

— Już się uspokoiła, wyperswaduje sobie i zapomni niedługo, tylko wy, moi drodzy, starajcie się wpłynąć na nią i wytłumaczyć, że niema znów czego martwić się tak bardzo, że i tak to już było nie dla niej.

Wojciechowa płaczem wybuchnęła.

— A czegoż wy się, matko, tak bardzo martwicie? toć trzeba rozumieć, że już inna ją czeka dola i że ona w niej szczęśliwszą być może.

Mówiąc to, pewną była, że tu idzie o małżeństwo z Frankiem, tymczasem Wojciechowie zupełnie co innego mieli na myśli.

— Oj! nam się widzi, że ona teraz bardzo będzie nieszczęśliwa — mówił Wojciech, gniotąc czapkę w rękę, bo to się łatwo do dobrego przyzwyczaić, a teraz?...

Zawahał się, nie wiedząc, jak się tłumaczyć, po chwili dodał:

— My to ją i radzi zabrać z powrotem, ale nam biedniatka żał okrutnie, bo wiemy, jak przykro jej będzie od takiego szczęścia i dostatku i od takiej miłości odchodzić.

Pani Milecka spojrzała zdumiona.

— O kim wy mówicie? — spytała — ja nic nie rozumiem, o kogo tu chodzi.

— A o kogóż, pani droga, jak nie o tę naszą nie-szczotkę.

— O Anielkę?

— Tak, ponoć ona ma stąd ustąpić?

— Ona?... stąd?... Moi ludzie, co wam się przy-

śniło?! Ona stąd nigdy nie ustąpi, bo tu jej ojcowizna, jej dziedzictwo. Czyż dobrze już o tem nie wiecie?

— Toć wiemy, proszę pani, ale ponoć tam coś jest, że rodzina państwa chce ją stąd usunąć, nie chce się do niej przyznawać.

Pani Milecka za głowę się porwała.

— A wam kto takich bredni naopowiadał? Dziwię się mocno, że wy, ludzie rozsądni, takim bajkom daliście wiarę.

— Eh! byle komu tobyśmy nie uwierzyli, ale jak nam mówi ktoś z państwa, co wszystko wie...

Pani Malwinie gorąco się zrobiło; starała się już przed chwilą wymknąć z pokoju, ale na nieszczęście rozmawiający we drzwiach się skupili. Stała więc jak na rozżarzonych węglach i ponuro patrząc na Wojciechów, dawała im znaki, aby zaprzestali gadania. Ale p. Milecka bliżej do nich podeszła.

— Kto was w taki błąd wprowadził? — spytała.

Wojciech kręcił czapkę w rękę, mocno zakłopotany. Żona pośpieszyła mu z pomocą:

— Powiedz, stary, powiedz, jak prawda. Toć to wielmożna pani Miszewska powiedziała nam, że nasza Stefka niedługo tu cieszyć się będzie, że tu jej państwa niedługo.

— Malwino! — zawołała p. Milecka — tyś była zdolna wymyślić coś podobnego i coś podobnego powiedzieć? ty?...

Twarz p. Malwiny ze wstydu i złości szkarłatem się oblała. Nie widząc dla siebie innego ratunku, postanowiła się zaprzeć wszystkiego. Zaperzona poskoczyła ku drzwiom i podnosząc rękę do góry, zapalczywie wołać zaczęła:

— Cóż to! z plotkami tutaj przychodzicie? ułożyście sami bajkę potworną, a teraz ją na mnie złożyć

chcecie? To kłamstwo, ja tego nie mówiłam! mówić nie mogłam.

Ale Wojciech nie zląkł się jej krzyku, oburzył się tylko, że mu śmiała kłamstwo zarzucać.

— Za przeproszeniem pani, stary Kostrzewa kłamstwem się nigdy nie zhańbił, tego mu nikt nie zarzuci. Pani to u nas mówiła, a teraz się wszystkiego zapiera. — A bo nieprawda! czem mi dowiedziecie, że tak było?

Chciała miną nadrobić, ale i to jej się nie udało. Wojciech popatrzył na nią spokojnie i rzekł:

— Możemy świadka postawić. Praczka Andrzejowa wszystko przez ścianę słyszała i zaraz uragać nam przyszła.

Nastąpiła chwila krytyczna. Pani Milecka spoglądała na kuzynkę wzrokiem zdumionym i groźnym zarazem, twarz p. Malwiny straszny wyraz przybrała. Zdawało się w tej chwili, że radaby rzucić się na Wojciecha, który nie ustępując z drogi, pobijał ją swym wzrokiem spokojnym, a pewnym siebie. Ale ta nie myślała jeszcze zaniechać walki, owszem, postanowiła nikogo już nie oszczędzać.

— To niegodziwość! to oszczerstwo! — wołała głosem podniesionym — ja tego powiedzieć nie mogłam, wiem przecież doskonale, że Jadwiga jest tu przywłaszczycielką, że przez nią to krzywda tak straszna wyrządzona była Anieli, ona stąd ustąpić powinna, ona chłopskie dziecko!...

Cichy jęk doleciał od strony kanapy, Jadwiga zakryła twarz rękami.

Tego już było za dużo. Pani Milecka blada, jak trup, stanęła przed nią i ręce kurczowo zaciskając, zawołała głucho:

— Milcz! Jakiem prawem wdzierasz się w tajem-

nice naszego domu? Jak śmiesz obrzucać błotem pocziwe imię Jadwigi? A więc po toś tu przyjechała, by nam spokój zakłócić, szczęście wydrzeć, serca miłością zespolone oderwać od siebie, bólem i goryczą napęlić?! Co cię natchnęło taką piekielną żądzą szkodzenia tym, co ci nic złego nie uczyniło?

Przed poważną postacą tej szanownej matrony, w tej chwili szlachetnem gniewem uniesionej, p. Malwina cofnęła się z początku, daleka jednak od uznania swej winy, pojmując, że dom ten odtąd już dla niej stracony, że wrazenia jej niecnej roboty nic już nie zatrze w pamięci tych ludzi, postanowiła tembardziej ich upokorzyć, by tem przynajmniej pomścić swój wstyd i swoją porażkę, rozśmiała się więc szyderczo i rzekła:

— Ha! ha! ha! to wyście byli pewni, że ludzie o was nie mówią, że ludzi to nie zdziwiło, żeście prosta, wiejską dziewczynę przyjęli do swego domu i w pańskie przybrali sukienki? O! pomyliliście się mocno; ludzie szukali prawdy i znaleźli ją i wiedzą już dziś może więcej odemnie. Wdzięczni mi być powinniście, że wam oczy otworzyłam, bo myślę, że postaracie się dowieść świata, iż tamta rzeczywiście do waszego rodu należy. Bo to wasze wychuchane paniatko, to już wszyscy wiedzieć będą, że to Marciniakówna, że to podstępem wam narzucone chłopskie dziecko... że...

— Milcz! — zabrzmiał nagle głos groźny, drżący najwyższem oburzeniem — milcz, niegodziwa kobieto! Zniweczyć usiłujesz nasz spokój domowy, ale pamiętaj, że jeden z gromów tej burzy, jaką wzniciłaś może na twoją spaść głowę. Odejdź stąd, byśmy nie zapragnęli odwetu; w cichej naszej siedzibie niema już miejsca dla ciebie.

Słowa te wymówił pan Saliński, który szedł właśnie odwiedzić Anielkę i trafił na tę całą scenę. Z paru

słów ostatnich domyślił się wszystkiego i zawrzał słusznym gniewem, który wyrwał mu z ust powyższe oświadczenie.

— Ha! więc taka mię tutaj przyjemność spotkała! z domu mię swego brutalnie wypędzacie? mnie Miśszewską?! A więc was żegnam, noga tu moja więcej nie postanie, ale żeście ze mną tak się obesзли, pamiętajcie, że wasza tajemnica tajemnicą już być przestała.

— Niestety, aż nadto dobrze wiemy, że nic w sekrecie nie utrzymasz. Ale na szczęście ludzie ci nie uwierzą, bo powszechnie znaną jesteś ze swego obrzydliwego plotkarstwa.

— Tak?! No, zobaczycie, czy mi nie uwierzą, a i stara ogrodniczka żyje jeszcze na dowód, na świadka.

Z piersi Jadwigi wydobył się okrzyk stłumiony, ale p. Malwina już go nie słyszała. Sapiąc, mruczając i szarpając na sobie ubranie w najwyższem rozdrażnieniu, wybiegła na korytarz i jak bomba wpadłszy do pokoju Alfreda, z głośnym, spazmatycznym płaczem na fotel się rzuciła.

— Mamo! co mamie się stało? — zapytał przerażony Alfred, śpiesząc jej na ratunek.

— Wody! wody! zabić mię tu chcą w tym przeklętym domu!... wody!...

Podał jej szklanke wody i mocno zafrasowany czekał wyjaśnienia tak niespodziewanego wybuchu. Ale p. Malwina nie śpieszyła z wyjaśnieniem, tylko uspokoiwszy się nieco, odezwała się głosem złamanym:

— Wyjeżdżamy stąd natychmiast; jak najspieszniej przygotuj się do podróży.

— Teraz wyjeżdżamy? na noc? ależ to niepodobna!

— Trudno, tu ani godziny dłużej zostać też niepodobna.

— Ale niechże mi mama powie, co się stało? czy mamie kto ubliżył?

— A któż, jeżeli nie Saliński i jego godna siostrzyczka, wprost drzwi mi pokazali.

— Mamie?! a to jakim sposobem? za co?

— Łatwo się domyślić; już to do końca świata tak będzie, że prawda w oczy kole. Obrazili się za to, żem im prawdę powiedziała, ale nie mogłam wytrzymać... szło mi przecież o ciebie... chciałam ci utorować drogę do odpowiedniego ożenienia.

— I cóż mama takiego powiedziała?

— Że krzywdzą Aniele, dopuszczając do równych z nią praw dziecko obcej, wiejskiej kobiety.

Alfred zerwał się z nietajonem oburzeniem.

— I mama mogła to powiedzieć? mama mogła działać przeciwko tej, z którą mi już żenić się pozwoliła? ach! to okropne! tego pojąć nie mogę żadną miarą.

— Słuchaj, o wydaniu Anieli za owego wieśniaka mowy już być nie może. Jadwiga więc nie dla ciebie. Mogłeś tylko myśleć o Anieli, a ja ci drogę do niej utorować chciałam. Nieszczęściem inaczej się stało. Te chamy, Wojciechowie, wleźli mi w drogę i całej awantury stali się przyczyną.

— Ach! co mama zrobiła!... co zrobiła!... więc już dla mnie wszystko stracone! A co ja teraz pocznę nieszczęśliwy! Jadwiga i z połową Kalinowej Woli była jeszcze partją nie do pogardzenia, a teraz...

Począł matce gorzkie czynić wyrzuty, a kiedy ona dumnie odpowiedziała, że nigdyby się na jego małżeństwo z Jadwigą nie zgodziła, przyszło nawet do większego między niemi nieporozumienia. Z początku Alfred oświadczył gwałtownie, że jechać ani myśli, wkońcu jednak uległ żądaniu matki, tembardziej, gdy zrozumiał, że po takiej burzy i jego położenie tutaj bardzo przy

krem się stało. Przywołano tedy służącą i przy jej pomocy p. Malwina zabrała się do pakowania rzeczy. Alfred zaś, nie myśląc wyjeżdżać bez pożegnania, udał się do gabinetu p. Salińskiego. Ale tam nie zastał nikogo, spotkana zaś po drodze służąca oświadczyła, że państwo wszyscy w pokoju panny Anieli się zamknęli i z nikim widzieć się nie mają ochoty. Zrozumiał o kogo tu chodziło i nie miał odwagi nalegać, napisał tylko parę słów do Jadwigi, prosząc o chwilkę widzenia, by ją mógł pożegnać, by mógł mieć nadzieję, że nie na zawsze odjeżdża. W odpowiedzi Jadwiga odesłała mu pierścioneł i kartkę z temi słowami:

„Jadwiga Salińska już nie istnieje; chce pan zapomnieć o niej na zawsze. Odsyłam pierścioneł i żegnam pana życzeniem: bądź szczęśliwy!

Pokrzywdzona“.

Przeczytawszy te słowa, Alfred począł szybko biegać po pokoju, widocznie głęboko dotknięty, wreszcie udał się do matki. Tam przez dobre pół godziny słysząc było energiczną wymianę zdań, Alfred coś matce wyrzucał, groził, ona płakała i wykrzykiwała gniewnie. Była to bardzo burzliwa rozmowa, jak i cały wieczór ubiegły, a przed gankiem czekały już duże, wygodne sianie, wyłącznie do dalszej podróży używane. Konie grzebały śnieg niecierpliwie, a woźnica przy pomocy chłopca stajennego, pakował tłumoczek i pudełka przeróżne i wszystko do drogi szykował.

Tak to późnym wieczorem, nie żegnana, ani żalowana przez nikogo, ze wstydem i gniewem w sercu, opuściła p. Malwina dwór kalinowski, do którego niedawno z taką skwapliwością, z taką błogą nadzieją śpieszyła, z triumfem wielkim wyjeżdżać zamyślała. Stało się inaczej, pomimo upragnionego odkrycia tajemnicy,

gorzkiego doznała zawodu, a co najgorsza, że sama wszystkiemu była winna, że samochcąc całą tę burzę sprowadziła i nietylko sobie wstęp do tego domu zamknęła na zawsze, ale z własnym się synem poróżniła. Odjechali oboje gniewni na siebie i świat cały. Alfred zaraz w drodze oświadczył, że wracać do domu nie ma po co, i że wprost udaje się zagranicę, aby uciec przed wierzycielami.

Tak niefortunnie zakończyły się odwiedziny p. Miśzewskiej, które w skutkach nietylko dla niej samej fatalnymi się okazały. Wywarły one stanowczy wpływ na mieszkańców Kalinowej Woli i w przyszłości wielkich zmian stały się przyczyną.

ROZDZIAŁ XXI.

Rozłączenie.

Jak po przejściu nawałnicy głucha cisza zalega wokoło, a każdy ze strachem wychodzi obejrzeć szkody, przez burzę wyrządzone, — tak ponuro i smutnie było w kalinowskim dworze po wyjeździe pani Malwiny. Zarówna pan Saliński, jak i jego siostra, zrozumieli dobrze, że Jadwidze groziło teraz zniesławienie w całej okolicy, i że wieści rozsiane przez złośliwą kobietę, mogły zmienić całkiem jej dotychczasowe stanowisko w świecie. Pani Milecka łamała ręce, myśląc o jej losie, p. Saliński w głowę zachodził, jakby tu złemu zapobiec. Ale to złe już się stało. Tegoż jeszcze wieczoru po całym dworze gruchnęła wiadomość, że Jadwiga była córka Tekli piastunki, która się dopuściła zbrodni wykradzenia i porzucenia na obcym progu pańskiego dziecka, by je własnem niemowlęciem zastąpić.

Pokojówka słyszała to z wszelkimi szczegółami od p. Malwiny, kucharkę doleciały niektóre słowa rozmowy w gościnnym pokoju, chłopak, odwożący gości do kolei, też się dosyć nasłuchiwał, bo p. Malwina wszystką złość rozgoryczonego swego serca przed nim wylała. To wystarczyło, aby dwór cały zawrzał i zdumiał się przy opowiadaniu tak nadzwyczajnej nowiny. Gadki przeróżne wnet krążyć poczęły, podawano je sobie skwapliwie z ust do ust, a ubolewaniom i podziwom końca nie było. Nikomu nawet na myśl nie przyszło, aby oszczędzać sławę Jadwigi, choć ona nikomu nic złego nie uczyniła, owszem każdy za obowiązek niemal uważał sobie puścić dalej tę wiadomość, tak, że do następnego wieczora cała już o tem wiedziała i mówiła okolica. Wieść biegła szybko z dworu do dworu, z chaty do chaty, i ogromne sprawiała wrażenie. Ludzie kiwali głowami i szeroko oczy roztwierali na tak niesłychaną nowinę, a proboszcz miejscowy, serdeczny przyjaciel p. Salińskiego, już następnego wieczoru przyjechał, by go ostrzec, co ludzie mówią, i nad całą tą sprawą się naradzić.

Jadwiga smutna i całemi dniami w swoim pokoju zamknięta, nie słyszała, co o niej mówiono; czuła jednak to wszystko instynktownie, czytała w oczach ludzi dworskich i niezmiernie nad tem bolała. Tak jej przecież bardzo zależało na utrzymaniu tajemnicy, a teraz była najpewniejszą, iż odkryta ona będzie przed całym światem. Od przybranego ojca i ciotki odbierała ciągle słowa pociechy i zapewnienia, że uczyniła wszystko, co będzie w ich mocy, aby szerszeniu się fatalnej pogłoski zapobiec, a obdarzając ją nazwiskiem i równemi z Anielą do majątku prawami, dowieść chcieli ludziom, że ją za córkę uważają. Dziękowała im za to serdecznie, ale w duszy jej tyle gorzkich i bolesnych zrodziło się uczuć, że czas

jedynie mógł je tylko uśmierzyć, a przynajmniej nieco złagodzić. Miewała ona chwile takiej rozpacz, że tylko wiara, przez religijne wychowanie w duszy jej zaszczerpiona, chroniła ją od targnięcia się na własne życie.

Smutnie też płynęły dni w kalinowskim dworze, wszyscy byli stroskani i przygnębieni bardzo. Aniela onego nieszczęśliwego wieczoru, obok doznanych wzruszeń, zaziębiła się widać jeszcze, stojąc czas dłuższy na śniegu, bo dostała silnej gorączki i przez parę dni była obawa, czy się jaka choroba nie wywiąże. P. Milecka nie odstępowała prawie od jej łóżka, podając różne środki na uleczenie jej ciała, a słowa pociechy i uspokojenia na uleczenie smutnego jej serca. Wojciechowie też często w jej pokoju przebywali, zawsze na nią zbawienny wpływ wywierając. Po kilku też dniach była nietylko zdrową zupełnie, ale, o ile się zdawało, i spokojną, a na blade jej liczko dawny powrócił rumieniec. Ta jej choroba, oraz prośba p. Mileckiej, aby nikt jej nie wspominał o wyciągniętej przez p. Malwinę na jaw tajemnicy pochodzenia Jadwigi, stała się przyczyną, że jedna w całym dworze Aniela nic a nic o tem, co zaszło, nie wiedziała.

Jadwiga często przychodziła do niej, rozmawiała chwilę, starała się nawet okazać wesolą. — Aniela jednak prędko zauważyła w niej zmianę i zapytała p. Mileckiej o przyczynę widocznego zmartwienia. Ta wyjawiała jej tylko część prawdy, a mianowicie, że zerwanie z Alfredem wiele Jadwigę cierpień kosztuje i smutku jej jest powodem, prosiła przytem, aby była dla niej dobrą i, o ile może, starała się ją rozweselić. Dobre dziewczę całem sercem zapragnęło pocieszyć stroskaną i jak najsumienniej polecenie ciotki wypełnić, nie udało jej się jednak przekonać Jadwigi o szczerości swego przywiązania. Bo ta, choć wiedziała doskonale, że

temu, co mówiła p. Malwina, nic a nic wierzyć nie było można, ani żadnej przywiązywać wagi, zachowała jednak w swem sercu cień podejrzenia, że może to naprawdę Aniela wypatrzyła i na zle wytlumaczyła jej przechadzkę nocną po ogrodzie. Przypuszczając, iż nie jest jej siostrą, posadzać zaczęła, że spogląda na nią niechętnie i że (choć się z tem ukrywa) żal jej, iż mieniem rodzinnem i wszystkimi prawami dzielić się z nią będzie zmuszona. O! bo w serce ludzkie, jak w suchą słomę, lub siano, dość jedną rzucić iskrę, aby wprędce ogień wybuchnął. Jadwiga oddalała od siebie tę myśl krzywdzącą, pozbyć się jej przecież całkowicie nie mogła i ani się spostrzegła, jak niechęć do Anieli w duszy się jej rozwieliżniła.

— Ustąpię jej, ustąpię — myślała z goryczą — nie będę jej krzywdzić, niech sobie dostatków i szczęścia używa. Ja na siebie zapracować potrafię i lepiej mi może z tem będzie. Jałmużny, łaski — nie chcę, nie przyjmę stanowczo. Zostanę ubogą, nieszczęśliwą, ale przynajmniej ludzie nic mi zarzucić nie będą mogli.

Drżała na myśl o samotnem pójściu w świat, o mozolnej pracy nauczycielskiej, którejby się oddać musiała; żal jej było porzucić dom, w którym lat tyle przeżyła i tyle radości doznała, żal jej było tych, co z taką miłością, z takim ją poświęceniem wychowali i do dziś serdecznem darzyli przywiązaniem. Mimo to zamiar porzucenia Kalinowej Woli coraz bardziej dojrzewał w jej sercu i umyśle i tak dalece ją opanował, że postanowiła na nic już nie zważając, co najprędzej w czyn go wprowadzić.

— Odejdę stąd, niech ludzie o mnie zapomną; tak przecież żyć nie mogę, nie śmiem w oczy spojrzeć nikomu — mówiła do siebie w rozdrażnieniu. — Nie zniosę ani litości z jednej strony, ani szyderstwa i urągania

z drugiej, nie myślę być służką spanoszonej prostytutce... nie! Świat szeroki, jam młoda i wykształcona odpowiednio, pójdę stąd, pokażę, że własnymi siłami dobić się szczęścia potrafię.

Na to ostatnie dowodzenie gorzko się uśmiechnęła, bo ona już w zdobycie szczęścia dla siebie zwątpiła zupełnie, niemniej jednak w życie iść pragnęła z podniesioną głową, nie przyznając się nikomu, ile to ją cierpień kosztuje.

I jednego wieczoru, upatrzwszy chwilę odpowiednią, kiedy Aniela poszła swoich dziadusiów odwiedzić, a p. Saliński z siostrą siedzieli sami, poufną prowadząc rozmowę, Jadwiga weszła i u ich kolan ukłękawszy, poczęła im dziękować za okazywaną jej miłość i świadczone dobrodziejstwa. Zdziwieni tem i zmartwieńi oboje, zapytali, coby znaczyć miało to uroczyste oświadczenie? Wtedy Jadwiga odkryła im swoje zamiary i postanowienie rozstania się z nimi przynajmniej na pewien czas, dopóki się wszystko nie uspokoi, a ludzie mówić o niej i dziwić się nie przestaną.

Słuchając tego oświadczenia, oboje zmartwili się wielce, a p. Saliński przyciskając ją do piersi, odpowiedział serdecznemi słowy, że żadną miarą tego rozłączenia nie dopuści, a że przyznaje jej słusność, iż woli się ludziom złośliwym z oczu usunąć, obmyśli jakiś sposób, aby zadość jej życzeniu uczynić, bez wypuszczenia jednak z pod swojej opieki. Oświadczył następnie, że jeśli już tak konieczne pragnie stąd wyjechać, to wyśle ją na Podole do bliskiej swej krewnej, aby tam czas jakiś zabawiła.

— Tak ci się zawsze uśmiechała myśl odwiedzenia ciotki Ludmiły — dodał w końcu — że myślę, iż ci tam najlepiej być powinno, zaraz też dziś do niej napiszę, a jestem pewien, że z największą przyjmie cię ochotą

— Tak, dawniej pragnęłam — odparła Jadwiga — ale dziś wszystko się zmieniło.

— Cóż znowu! ciotka Ludmiła nie wie o niczem i wiedzieć nie będzie, przyjmie cię z całą serdecznością, a rozrywki i miłego towarzystwa w jej rodzinnem gronku ci nie zabraknie.

Pani Milecka poczęła ją również zachęcać, aby się do woli ojca skłoniła, Jadwiga jednak innego była zdania i prosiła, aby jej pozwolono własnych sił spróbować i wziąć się do pracy obowiązującej, bo tylko ta w obecnem jej usposobieniu może jej przynieść pewien spokój i zapomnienie.

Mimo słusności tych dowodzeń, długo jeszcze oboje zaci ni opiekunowie nie mogli zezwolić na rozstanie z tą, którą pomimo zaszłej zmiany i pomimo miłości dla Anieli, kochać po rodzicielsku nie przestali. W końcu jednak Jadwiga potrafiła ich przekonać i postawiła na swoim. Pan Saliński uległ jej łzom i prośbom i choć ze smutkiem oświadczył:

— Pragnęliśmy całą siłą zatrzymać cię u siebie, ale skoro wyjechać stąd chcesz koniecznie, nie mamy prawa cię krępować. Idź w świat, ale pamiętaj, że tu twój ojciec i twoja przybrana matka, co cię z taką miłością chowała. W każdej chwili dom ten stoi dla ciebie otworem, a połowa wszystkiego, co posiadamy, do ciebie należy. Idź w świat jako Salińska, bo chcę, abyś to nazwisko nosić nie przestała i o uprawnienie go odpowiednie już poczyniłem starania. Dziś jeszcze napiszę do mego przyjaciela w Warszawie, by się dla ciebie o miejsce odpowiednie postarał. Będziesz mu mogła zaufać, że zajmie się tobą, jak rodzoną córką.

Jadwiga wyraziła swą wdzięczność za tak troskliwą o niej pieczę, prosiła jednak, by ów list polecający w ręce jej oddano, bo ona w tym jeszcze tygodniu za-

mierza wyjechać z Kalinowej Woli. Na to stanowcze oświadczenie p. Milecka westchnęła boleśnie:

— Niedobre dziecko, tak ci pilno nas porzucić i osierocić!

— Ach! ciociu droga! — wybuchnęła Jadwiga, całując jej ręce, — chyba zrozumiesz, jak mi jest boleśnie was porzucać, ale muszę, nie brońcie mi więcej, najdrożsi opiekunowie, pobłogosławcie i wyprawcie jak najspieszniej, by mi cierpienia umniejszyć.

Łzami obu kobiet i serdecznymi uściskami skończyła się ta rozmowa, a skutek jej był taki, że tego jeszcze wieczora zaczęto myśleć o przygotowaniach do podróży. Aniela zapłakała serdecznie, dowiedziawszy się o wyjeździe swej „pięknej”, jak ją w duszy nazywała, siostrzyczki. pobiegła do niej, przekładała, prosiła, wszakże napróżno. Wtedy po raz pierwszy uczuła jakiś chłód wiejący od Jadwigi, składała to jednak na jej żal i rozdrażnienie i tem serdeczniej oświadczyła, że tęsknić po niej nie przestanie.

W dwa dni po owej rozmowie, znowu podróżne sianie stały przed gankiem, ale tym razem dwór cały był w poruszeniu. Jedni wiedzeni przywiązaniem, drudzy ciekawością, zgromadzili się licznie na pożegnanie. Niektórzy wynosili walizy i tłumoczki, lub drobne załatwiali polecenia, inni, stojąc nieruchomo, przyglądali się tylko przygotowaniom do podróży. Pan Saliński sam Jadwigę odwieźć postanowił i dopełnił tego, pomimo przekładań z jej strony, aby się na podróż daleką i męczącą nie narażał.

— Sam pojedę — oświadczył stanowczo — zaraz też i inne załatwię w Warszawie interesa.

Trudno się było temu sprzeciwiać i teraz szykowali się oboje milczący i smutnie zamyśleni. Kiedy wreszcie wszystko było gotowe i nadeszła chwila od-

jazdu, p. Milecka i Aniela gorzkimi załazy się łzami. Jadwiga widocznie panowała nad sobą, bo z suchem okiem, tylko z jakimś palącym na twarzy rumieńcem żegnała się z nimi. Pani Milecka na ganku raz jeszcze przycisnęła ją do piersi i kreśląc krzyżyk na jej czole, z serdecznem mówiła uczuciem:

— Niech cię Bóg błogosławi, drogie dziecko, niech wspiera i prowadzi po drodze wybranej, a od wszęgo złego zasłoni. Niech ci znak krzyża świętego będzie tarczą obronną w każdym niebezpieczeństwie i utrapieniu. Bądź szczęśliwą, a wracaj do nas jaknajprędzej, albo my za tobą do Warszawy pojedziemy.

— Wracaj, wracaj do nas — powtórzyła, ściskając ją, Aniela.

Przeprowadziły ją do sani, gdzie już czekał p. Saliński.

— No, córko moja! — rzekł uroczyście, donośnym głosem — raz jeszcze powtarzam, że nie rad jestem nawet na krótko rozłączyć się z tobą. Ale skoro tak chcesz koniecznie, więc jedziemy, ale pamiętaj, że ci długo nie dam bawić poza domem, że wkrótce musisz do swego mienia i do swojej siostrzyczki powrócić. Nie płaczcie więc przy rozłączeniu, bo to nie potrwa długo.

Cichy szmer rozszedł się między zgromadzoną służbą dworską, wszyscy wzrok swój utkili w twarzy Jadwigi, która w milczeniu rękę przybranego ojca do ust przycisnęła a miejsce w sankach zabierając, odezwała się do zgromadzonych:

— Bywajcie zdrowi, dobrzy ludzie, pobłogosławcie mi na drogę. Życie bezczynne męczyć mię zaczynało, chcę więc sił własnych spróbować. Praca podnosi przecież i uszlachetnia człowieka, z pracą zatem bliżej zapoznać się pragnę.

— Słusznie, bardzo słusznie — przywodziło parę głosów.

— Ale nam żal panienki — odezwano się tu i owdzie.

— Ha, trudno — i mnie żal wszystkich, ale jechać muszę. Bywajcie zdrowi!

— Niech panienka jedzie szczęśliwie!

— A niech do nas powraca — doleciał głos z boku.

Usadzono ich, otulono, furman ujął lejce i konie ruszyły.

— Zostańcie z Bogiem — zawołała Jadwiga.

— Niech Bóg prowadzi — chórem odpowiedziano.

— Bądźcie zdrowe — mówił, żegnając się z siostrą i córką p. Saliński — a nie płaczcie po nas. Chcąc wam zapewnić opiekę i rozrywkę w tem osamotnieniu, wezwałem Wacława, żeby tu choć na dni kilka przyjechał. Ucieszył się już ze swoim przyjacielem, niechże z nami czas jakiś pobędzie.

— Do widzenia, cioteczko, do widzenia Anieliu! — wołała Jadwiga jeszcze od bramy, smutnym wzrokiem ogarniając ten dom i ten cały obraz, tak wymownie przemawiający do duszy.

— Nie płacz, dziecko — mówił p. Saliński, widząc łzy w jej oczach — nie płacz, powrócisz tu niedługo, bo ja ci nie dam samej błąkać się poza domem.

Sanki pomknęły szybko i znikły na zakręcie, osłonięte mgłą zimowego poranku, a stojące na ganku kobiety długo jeszcze stały nieporuszone, zażawionemi ścigając je oczyma. Służba i wieśniacy, w koło ganku zgromadzeni, powoli rozchodzić się zaczęli, szeptem opowiadając sobie wzajemne swoje spostrzeżenia i zapatrywania na tę całą sprawę. Znaleźli się już tacy, co

wątpić zaczęli, aby to być mogło obce dziecko, skoro jej tyle serca okazano i pan wyraźnie córką ją tytułował. Inni przeciwnego znów byli zdania, dowodząc, że prawdą to być musi, kiedy stąd uciekła, bo to jest znakiem, że wstydzi się swego urodzenia. Długo jeszcze potem i we wsi i we dworze gawęda o losie Jadwigi krążyć między ludźmi nie ustawała, różne u różnych osób wywołując uczucia.

Tegoż jeszcze dnia nad wieczorem przyjechał Wacław do Kalinowej Woli i wiernie spełniając dane sobie polecenie, zabawił tam przez cały czas nieobecności p. Salińskiego. Starał się on obie panie rozerwać zajmującą, wesołą, ale poważną i do smutnego nastroju ich duszy zastosowaną rozmową. O szarej godzinie zasiadał do fortepianu i grą wprawną, a pełną uczucia uprzyjemniał im wolne chwile. Wieczorem, gdy one zasiadały przy stole z robótkami w rękę, on przynosił książki i czytywał im głośno, nieraz parę godzin bez przerwy. Wtedy tylko odrywał wzrok od książki, kiedy uważał za stosowne zwrócić się do Anieli z jakimś pytaniem, albo objaśnieniem koniecznym. Na nią to głównie cała jego uwaga skierowana była zawsze, odpowiednio do jej pojęć i upodobań dobierał książki, ją pragnął uczyć i zaznajamiać z naszymi najprzedniejszymi pisarzami, na każdym kroku starając się ją przekonać o swej przyjaźni i życzliwości. A czynił to z taką szlachetnością i delikatnością, tak się nie narzucał, a zawsze był gotów na usługi, że poważne, spokojne, ale żywe i głębokie wywarł na Anieli wrażenie i do serca jej wkraść się potrafił.

Nie przypuszczała, nie domyślała się wcale, że on zabiega o jej względy, że on ją w duszy wybierał na towarzyszkę swego życia, — nie — ona widziała w nim tylko dobroczyńcę, co ją z groźnego wyrwał niebezpie-

czeństwa, widziała życzliwego przyjaciela, co starał się ją w smutku rozerwać. Patrzyła na niego z uszanowaniem, niemal z trwogą, podziwiając w nim człowieka dobrego i bardzo rozumnego, co ją tak we wszystkim przewyższał i wobec którego czuła się maluczką, słabą i nieumiejętną. Wdzięczna mu była, że się nie nudził jej towarzystwem, że jej wybacza tak wielką jeszcze nieświadomość i nieuctwo. O niczem też więcej nie marzyła, jak o tem, aby mu sprostać, choć w części nauczyć się tego, co on umie i podnieść się duchowo. Nie wiedziała nic, że to właśnie ta jej prostota, słodycz, powaga, połączona z nieśmiałością, to widoczne pragnienie wiedzy i nauki, obok małego o sobie rozumienia, stały się w jego oczach najpiękniejszą jej ozdobą i takim ją wdziękiem otoczyły, że mu się coraz miłszą, coraz piękniejszą wydawała i ani się spostrzegł, kiedy przylgnął do niej całym sercem.

O żadnych jednak uczuciach i o żadnych zamiarach na przyszłość mowy nie było między niemi. On jechał jeszcze na studia zagranicę, ona miała się uczyć i w tym celu ojciec przywiózł jej z Warszawy nauczycielkę. Z radością, a zarazem i z obawą niejaką powitała Aniela nowoprzybyłą towarzyszkę swą i mistrzynię, ale że to była osoba młoda i sympatyczna, wkrótce przyjazny związał się między niemi stosunek. Wacław serdecznemi słowy zachęcał ją do nauki, na co ona z prawdziwym i szczerem odpowiedziała zapalem:

— Kocham naukę i starać się będę o nią najusilniej — i zaraz dodała:

— Mam przecież wiele dobrego zrobić moim dawnym sąsiadom z Zacisza.

— Więc pani o tem myśleć nie przestaje? — spytał Wacław.

— O! nie! To byłoby niegodziwe tak prędko o swych postanowieniach zapominać.

— A czy o mnie pani też nie zapomni?

Spuściła oczy zarumieniona, odrzekła jednak spokojnie:

— Nigdy, nie zapomnę, bo panu po części obecne moje szczęście zawdzięczam.

— Ach! jak to dobrze! — zawołał pół żartem, pół serio, — pani więc jest moją dłużniczką? czy tak?

— Tak — szepnęła — na całe życie.

Patrzył na nią uśmiechnięty, rozradowany, ale zamiast jej odpowiedzieć, zwrócił się do p. Mileckiej, która im się z przyjemnością przypatrywała:

— Ciocia szanowna niech raczy być świadkiem, że panna Aniela jest moją dłużniczką.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała zapytana — wdzięczność — to najpiękniejsze na ziemi uczucie.

— Może mi wolno będzie kiedy do niego się odwołać? — spytał trwóźnie, ze znaczącym na twarzy uśmiechem.

— Ha, spróbuj — roześmiała się p. Milecka — ja nie wiem, co wam obojgu przyszłość przyniesie.

Chciał coś powiedzieć, ale mu przerwała:

— Teraz uczcie się dzieci, a szczęście upragnione samo do was przyjdzie.

— Bodaiby tak było — westchnął i rękę pani domu ucałował.

Dnia następnego o tejże godzinie w oknie jadalnego pokoju stała Aniela i tęsknym wzrokiem ściagała wyjeżdżające z dziedzińca sanki. Siedział w nich Wacław, olbrzymim futrem otulony. Przed chwilą właśnie pożegnał się ze wszystkimi, a z nią tak jakoś smutnie, tak serdecznie, że dziwny żal ścisnął jej serce i ani się spostrzegła, jak w oczach jej łzy zabłyśły

i bardzo musiała panować nad sobą, aby się na dobre nie rozpłakać.

Spostrzegł to i w jego twarzy objawiło się również wzruszenie.

— Niech pani o mnie przyjazne zachowa wspomnienie — szepnął — a ja tu wrócę, jak będę mógł najprędzej, wrócę na dłużej.

— Niech pana Bóg prowadzi — odpowiedziała cicho.

On ujął drżącą jej rękę i do ust przycisnął; uczynił to po raz pierwszy, to też Aniela zmieszała się tem bardzo i, zawstydzona, cofnęła ku oknu. On raz jeszcze spojrzał, raz się jeszcze uklonił i zniknął za drzwiami. Stała w oknie i przez łyż, co kroplami na piersi jej spływały, patrzyła jak wyjeżdżał, jak wreszcie skrył się przed jej wzrokiem w dali omglonej. Patrzyła i myślała ze smutkiem, czy go jeszcze zobaczy? i kiedy?

Cicha i zadumana wracała do swoich zatrudnień, czując w duszy tęsknotę i ból jakiś niewytłumaczony. Tak jej niemiło, tak jakoś pusto straszliwie wydało się w tym wielkim domu, osamotnionym po wyjeździe Jadwigi i długo jeszcze przed oczyma miała obraz tego smutnego pożegnania, niestety! już trzeciego w tak krótkim czasie. Odtąd dni jej cicho przy nauce, przy pracy mozolnej upływać miały. Zabrała się do niej tem chętniej, iż zajęcie to dawało jej błogą nadzieję, że dopiąwszy celu, nietylko własnym pragnieniom zadość uczyni, ale też Wacława uraduje i do niego się zbliży duchowo.

On od niej również ze smutkiem i tęsknotą w sercu odjeżdżał, a oddalając się stąd, zapytywał siebie, czy kiedyś za powrotem, zastanie ją taką samą: skromną, niewinną, pełną prostoty i dziewiczego powabu? Taką widzieć ją pragnął zawsze, taką wymarzył sobie na to-

warzyszkę życia, taką miał nadzieję i kiedyś powitać. Unosił też w myśli jej obraz miły i pociągający, co miał być dla niego osłoda i zachętą do znoonej pracy, jaka go jeszcze czekała.

Tak, oboje czuli doskonale, że pracując nad podniesieniem swego ducha do wszystkiego, co piękne, dobre i szlachetne, pracowali zarazem nad zdobyciem dla siebie prawdziwego szczęścia w przyszłości, bo to tylko dusz zacnych i serc poczytywych bywa udziałem, a opiera się na mądrości, dobrze i po chrześcijańsku pojętej.

ROZDZIAŁ XXII.

Zadziwiająca wiadomość.

Cicho i jednostajnie płynął czas w Kalinowej Woli; z gnębiącego smutku i tęsknoty zwolna się otrząśnięto, każdy do zwykłych zajęć powrócił, przy których też dni miały niepostrzeżenie, a zima żadnych ważniejszych nie przynosiła wydarzeń. Godziny przedobiednie Aniela spędzała teraz z nauczycielką przy lekcjach; po obiedzie wychodziła z nią na przechadzkę w pole, lub do ogrodu, w miarę pogody skracając ją, lub przedłużając. Wieczorem obie z robotkami w rękę zasiadały obok p. Mileckiej, pracując igłą, czy szydełkiem, gawędziły wesoło, albo też Aniela czytywała głośno książki i gazety. Tak im czas przechodził do 10-ej, o której to godzinie wszyscy się już do snu zabierali. O zmierzchu, szarą godzinką, Aniela codziennie odwiedzała też swoich dziadusiów, znosząc im książki ciekawe i różne przysmaki z obiadu. Dzieliła się z nimi tem, co ją w tym dniu spotkało, lub żywiej zajęło, i ta godzinka, im poświęcona, przechodziła całej trójce jak najmilej

i z tęsknotą była dnia każdego wyglądana. Aniela nie przestała kochać swych dawnych opiekunów i czuć dla nich wdzięczność serdeczną, a rozumna i zacna ciotka bardzo nad tem czuwała, aby to uczucie w sercu dziewczki nie ostygło, bo je za skarb pięknej duszy uważając, wielce ceniła i brała jako zapowiedź błogosławieństwa Bożego w życiu, według obietnicy, dobrym dzieciom, uczynionej.

Do nauk Aniela z niezwykłym garnęła się zapałem i panna Ewelina często mówiła, że nie miała jeszcze tak pilnej uczenicy. To też szybko czyniła w nich postępy, a wrodzone zdolności coraz piękniej budziły się w niej i rozwijały, jaknajlepsze wróżąc nadzieje. Zdrowie tylko cokolwiek na tem ucierpiało. Znikły jej żywe rumieńce, zmizerniała i pobladła, stała się przytem smutniejszą i często zamyśloną. Ojciec i ciotka z niepokojem na to spoglądali, przemyślając, jakby temu zaradzić. Przypisywano to wpływowi przebytych wrażeń, domyślano się, że tęskniła za Jadwigą, a może i jeszcze za kim... — i w tem główną przyczynę tej zmiany upatrywano. Niemniej jednak nie trudno było spostrzec, że i obecny sposób życia wpływał na to w znacznej mierze. Przyzwyczajona do ruchu, swobody, do pracy fizycznej na świeżem powietrzu, kwitła świeżością i zdrowiem; teraz przy życiu siedzącem i wyczerpującej nieraz mozolnej nauce, traciła rumieńce, a nawet i siły. Stało się z nią to, co nieraz na roślinach można zauważyć. Póki na rodzinnym wzrasta zagonie, zieleni się i kwitnie, choć nikt jej nie pielęgnuje; przesadzona do doniczki, pomimo starań troskliwych — usycha i marnieje. Tego się i dla Anieli obawiano, z utęsknieniem więc wszyscy wiosny oczekiwali, która wolno jakoś i jakby niechętnie nadchodziła.

Wreszcie w początkach kwietnia reszta śniegów

stopniała, zbudziła się natura i nowe wszędzie zadigało życie. Rozjaśniła się i twarzyczka Anieli — o! bo ona tak kochała zielone łąki i pola! tak się wśród nich czuła szczęśliwą! Z dziecinna też radością biegła do ogrodu witać wschodzącą trawkę, słuchać sielskich gwar i pieśni ptaszęcych. Jedna myśl tylko uciechę jej zmniejszała — myśl rozstania się z Wojciechami, którzy z nadejściem pory cieplejszej do Zacisza wracać zamierzali.

Dobrze im tu było, wygodnie, niczego nie brakło i do cichej swej izby już się przyzwyczaili, ale poczuwszy wiosnę, tęsknić poczęli do wioski, do własnego zagonia i chaty, gdzie każdemu bywa najmilej. Póki zima świat trzymała w niewoli, radzi tu życie pędzili, teraz myśl powrotu spokoju im nie dawała.

Przykro im tylko było rozłączać się z Aniela, wiedzieli, że ją to smutkiem przejmie i tęsknotą, nie wiedzieli jednak na to sposobu i postanowili ją copredzej o powziętym zamiarze uprzedzić. Jakoż dnia jednego, gdy ich jak zwykle o szarej godzinie odwiedziła, Wojciech odezwał się poważnie:

— Wiosna już w całej pełni, ludzie orzą na dobre, czas i nam się stąd zabierać. Żal nam się z tobą rozłączać, ale innej rady niema, — do Zacisza wracać już pora.

Aniela z nieśmiałą w oczach prośbą na dawnego opiekuna spojrzała:

— A nie moglibyście tutaj pozostać, dziaduniu? Tatuś kazałby wam rolę uprawić i obsiać jak należy, wybyście poszli później trochę, aby tylko dopilnować i z chwastów oczyścić, a właściwie toście na sianokosy i żniwa dopiero potrzebni.

— Oj! nie! dziecino kochana, tak być nie może. Człowiek sam sobie zagon własny uprawiać powinien

i ja, póki starczą siły, nie myślę się od tego wyłamywać. Nie moglibyśmy tak siedzieć beczynnie i tylko patrzeć, jak inni pracują. Mnie toby chyba zabiło.

— Przyznaję wam słuszość, dziaduniu, bo ta nasza wiejska praca dziwnie jest ponętna. Toć i mnie nieraz zbiera tęsknota za dawnem zajęciem i takbym chętnie książkę porzuciła, a wzięła się do krosien i kądzieli, a jak teraz, do kopania i sadzenia. Ale trudno, uczyć się muszę! tego dziatwa z Zacisza oczekuje, to wreszcie obiecałam panu Wacławowi. Muszę dokazać swego,, abym kiedyś miała czem się przed nim pochwalić.

— Kiedy p. Wacław przyjedzie? — spytała Wojciechowa.

— Nie wiem jeszcze. Pisuje często długie listy do cioci i do tatusia, w nich o mnie się zawsze dopytuje i ukłony przesyła, ale podobno na wakacje tu nie przyjedzie, bo ma jakąś inną podróż na widoku.

— A co on tam porabia zagranicą?

— Uczy się, moja babciu.

— Ach, co też to się u tych panów dzieje! moje dziecko kochane! Taki mężczyzna dorosły i taki rozumny, a jeszcze uczyć się potrzebuje!

— I mnie się to z początku dziwnem wydawało, teraz jednak widzę, że prawdziwą naukę zdobyć nie tak łatwo. Niegdyś, kiedym się czytać, pisać, katechizmu i rachunków poduczyła, to już myślałam, że umiem bardzo dużo, a teraz widzę, że mi jeszcze niejedną zimę nad książką przesiedzieć wypadnie.

— Och! moje dziecko, toż ty się zamordujesz!... Takież to szczęście u panów!

— Ej! niech się babcia nie lęka, nic mi się nie stanie, a uczyć się i dowiadywać coraz to nowych rzeczy, bardzo jest przyjemnie. Choć nauka męczy niekiedy,

ale za to jakże się będę czuła szczęśliwą, gdy dopnę celu! Potem już, potem...

Pochyliła głowę w zamyśleniu i słów swoich już w myśli dokończyła.

— A panna Jadwiga przyjedzie na wakacie? — spytała znów Wojciechowa.

— Podobno przyjedzie i naprzód się tem cieszę, bo mi smutno bez niej i niemiło.

— A czy ona ciebie kochała?

Aniela nagle tem pytaniem zaskoczona, spojrzała na Wojciechową i zastanowiła się chwilę.

Zapewne i ona kochać musiała — rzekła z pewnem wahaniem. — Ona była zawsze dobrą dla mnie, chętnie się wszystkim dzieliła; innaby przecież wołała być jedynaczką.

— Ha! pewnieby to i ona wołała, ale tobie tu się pierwsze miejsce należało.

— Dlaczego pierwsze? Przecież ona starsza odemnie.

Wojciechowa dopiero spostrzegła, że o mało się nie wymówiła z tem, co miało dla Anieli na zawsze pozostać tajemnicą, a o co oboje państwo usilnie prosili. Złękła się tedy i zmieszała, ale Wojciech pośpieszył wybawić ją z kłopotu.

— Ot, nie dziwuj się babce, moje dziecko, — toć onaby rada, abyś ty w całym świecie pierwsze miejsce zajmowała. No, i wyszła za mąż za jakiego królewicza.

— Bo i pewnie — przytaknęła Wojciechowa — albo tego nie warta.

Aniela, śmiejąc się, uściskała staruszkę i rzekła:

— O! dziękuję wam za tak wielką miłość, ale czuję nieraz, że i za to, co mam, nigdy i niczem nie odwziedczę się ani Panu Bogu, ani ojcu i cioci kochanej, co tak dobrzy są dla mnie niezmiernie. Z tego powodu bar-

dziej żał mi jeszcze, że niema Jadwigi, — dla obu szczęściaby wystarczyło; a tymczasem ona błąka się po świecie i u obcych szuka kawałka chleba, jakby go u ojca nie miała.

— Widać to już takie wyroki Boskie, że do czego człowiek przeznaczony, to go nie minie; zamiast żyć w dostatku, musi na siebie zarabiać — odezwał się Wojciech poważnie.

Anieli czas było wracać, więc nie przedłużała rozmowy, ale zagadkowemi wydały się jej niektóre słowa Wojciechów, idąc też do dworu, pilnie nad nimi rozmyślać poczęła. I oto spostrzegła, że nie wszystko w tej sprawie jest tak jasne i zrozumiałe, jak się z początku zdawało. Teraz dopiero stanęły jej w myśli różne słowa, co dość się dziwnemi wydawały, a które teraz daremnie zrozumieć usiłowała; sam nawet wyjazd Jadwigi, tak nagły i niespodziewany, przykrością wyrządzoną jej przez p. Malwinę, wytłumaczonym być nie mógł. Była w tem inna przyczyna, ale jaka? Ciekawość, raz obudzona, spokoju jej nie dawała, zaczęła snuć różne domysły i przypuszczenia, wpaść jednak na ślad prawdy było samej niepodobna. Wieleby za to dała, żeby się mogła czegoś dowiedzieć, czuła jednak, że pytać nie powinna, bo musi być powód, dla którego to przed nią ukrywają. Powziętego w duszy podejrzenia nie wyjawiała więc nikomu, często się jednak odąd nad niem zastanawiała, pocieszając się nadzieją, że przyszłość wszystko wyjaśni.

Tymczasem wiosną obudzone życie wiejskie niosło jej codziennie nowe przyjemności i rozrywki. Z dniem każdym w lesie i w ogrodzie przybywało kwiatów, które namiętnie lubiła, z każdej więc przechadzki bez tej wonnej i pięknej zdobyczy nie wracała. Panna Ewelina, niemniej kochając się w kwiatkach, pokazała przy-

tem swej uczenicy, jak po mistrzowsku bukiety układać, codzienne więc ich przechadzki stały się bardzo mile, bo zbieraniem i układaniem kwiatów urozmaicone.

Inną jeszcze, a wielką przyjemność zgotował jej ojciec, bo kazał dla niej osobny urządzić ogródek, przeznaczwszy na ten cel kilkunastołokciowy obszar ziemi tuż obok głównego ogrodu. Obwiedziono go pięknie sztachetami, furtkę na kłódkę zamknięto i oddano jej do rozporządzenia, aby w nim gospodarowała wedle swego upodobania. Co to było radości i uciechy! a potem narad z ciocią, z panną Ewelina i ogrodnikiem! co wreszcie zajęcia, aby go uprawić i zasadzić jak należy! Odtąd ogród ten stał się celem jej starań i skarbem ulubionym, bo dawne wiejskie zajęcia przypominał. Każdego dnia parę godzin przy milej i pożytecznej pracy tam przepędzała, i pod wodzą i wskazówkami starego Jakóba ogrodnictwa się uczyła. Ojciec i ciotka cieszyli się, patrząc na nią, bo znów była wesoła, swobodna, jak ptaszę; słońce wiosenne i praca na świeżem powietrzu uleczyły ją i jakby nowe wlały w nią życie i siły.

Wojciechowicie tymczasem powrócili do Zacisza i osiadłszy w dawnej chacie, do pracy się zwykłej zabrali. W tym roku nie była ona zbyt ciężka, bo p. Saliński przysłał swoich robotników i sprzężaj do uprawy pola potrzebny, zorano wszystko jak najpiękniej i im pozostało tylko do rozporządzenia, gdzie co trzeba zasiać lub posadzić, bo i do tego mało swej pracy przykładając potrzebowali. Żyli więc sobie szczęśliwi i spokojni, jedynie swego dobytku i codziennego obrządku pilnując. W każdą niedzielę z kościoła zajeżdżali do Kalinowej Woli, gdzie na nich smaczny oczekiwał obiad i rozkoszna ta dziewczeczka, co ich u siebie zawsze jako naj-

milszych gości przyjmowała, do swego pokoiku i do swego ogródka na wesołą gawędę prowadziła.

Czasem i Aniela do Zacisza przyjeżdżała, wszyscy ją tam z radością witali, a ona z każdym mile rozmawiała, każdą kobietę uściśnęła, każde dziecko karmelkami lub orzechami obdarzyła i szczęśliwą się czuła między niemi. Panna Ewelina, co zwykle jej w tych wycieczkach towarzyszyła, zwracała z początku jej uwagę, że nie powinna spoufalać tak do siebie wieśniaków, wkrótce jednak dała za wygraną, dowiedziawszy się, że państwo przeciwni temu nie byli, ale owszem radzi spoglądali na serdeczny jej z dawnymi sąsiadami stosunek.

Franka we wsi nie było; wprędce po owem pamiętnem spotkaniu w lesie, poszedł w świat, bo mu już w domu nie smakowało, smutek i tęsknota zanadto go opanowały, aby mógł na miejscu usiedzieć. Poszedł w świat szukać szczęścia, czy zapomnienia, i nie wiadano nawet, gdzie poszedł. Jedni powiadali, że udał się do Prus, inni sądzili, że nie oparł się, aż w Ameryce. Z niecierpliwością sąsiedzi, zarówno jak i strapiona rodzina, wyglądali wieści od niego, listu przecież żadnego nie było. Na Anielę przykre ta wiadomość wywarła wrażenie; wkrótce jednak wyperswadowała sobie, że może jednak to i lepiej się stało zarówno dla duszy, jak i sławy jego. Nie wątpiła, że się spostrzeże i poprawi, że trzeźwe i pocziwe wieść znowu zacznie życie, na obczyźnie zaś długo nie wytrzyma, bo żal mu będzie rodziców, chaty swej i roli. Rozumiejąc prztem, że między niemi wszystko skończone, rada była, że znikł jej z oczu, bo w oddaleniu łatwiej im przyjdzie wzajem o sobie zapomnieć.

Tak stały rzeczy, kiedy jednego lipcowego popołudnia wybrała się z panną Ewelina do lasu na grzyby i ja-

gody. Dzień był słoneczny, ale nie skwarny; falujące zbożem dojrzałym już pola, mnóstwo kwiatów, świergot ptactwa, brzęczenie owadów i wesołych gwarów odgłosy, serca radością przepełniały. Świat był taki piękny, na niebie ani chmurki, wszystko dokoła zdawało się wydzwaniać rozkoszną pieśń szczęścia i swobody. Aniela w jasnej sukience, w wianku z kwiatów polnych na głowie, pogodna i uśmiechnięta, wyglądała niby królewna z bajki. Zbierając po drodze chabry i maki, nucąc piosenki i żartując z panną Ewelina wpadła wesoło do lasu i biegać poczęła od krzaczka do krzaczka, poszukając leśnych skarbów. Towarzyszka jej, poważniejsza i trochę zamyślona, nadażyć za nią nie mogła, i lękając się stracić ją z oczu, coraz to nawoływać musiała. Wkońcu zmęczona, bo i do lasu spory było kawał drogi, a w lesie dotąd ani jednego grzyba znaleźć nie mogła, usiadła na małym wzgórku pod sosną i oświadczyła, że tu na Anielę poczeka.

— Nie oddalaj się tylko daleko, moja droga — prosiła — bo będę niespokojna.

— Dobrze, dobrze — odpowiedziała dziewczeczka — przejdę tylko za tę polankę, tam dawniej grzybów nie brakowało. Jeśli nic nie będzie, to wrócę niebawem, zbieram tylko paproci i cała się w nią ustroję, aby każdy widział, że z lasu wracamy.

I nie czekając odpowiedzi, znikła za krzakami leśnymi, panna Ewelina zaś wyjęła książkę i zatopiła się w czytaniu.

Stanawszy na polance, Aniela rozejrzała się wokoło. Promieniami słońca ozłoczone, zieleniły się wszędzie drzewa i krzaki, w gałęziach coraz to jakieś ptaszę zatrzepotało, a łagodny szum lasu i poważna, uroczysta cisza dziwnie miłe sprawiały wrażenie.

— Jak tu pięknie! — szepnęła do siebie — jakież to śliczny ten świat Boży!

Zamyśliła się głęboko, przypominając sobie, że dawniej nie zwracała uwagi na piękność natury, nie czuła też takiego wesela i zachwyty, jaki ją dzisiaj przejmie, choć na te same drzewa, na to samo niebo patrzyła. Widziała jasno, że dusza jej teraz lepiej wszystko pojmować i oceniać potrafi, że nowe myśli w głowie jej i sercu dojrzewają. Czuła wdzięczność dla Stwórcy i dla tych, co uwolniwszy ją od ciężkiej pracy, od trosk i niedostatku, dali możność i swobodę używania darów Bożych i cieszenia się nimi. Pod tem wrażeniem wzniosła oczy w niebo, a usta jej wyszeptały ciche słowa modlitwy i podzięk.

Zamyślona i do głębi przejęta tą chwilą samotności i ciszy leśnej, o grzybach zupełnie zapomniała. Szała wolno, dumając nad swą przeszłością i nad swem życiem obecnem. Jakaż to niezmierna z rokiem przeszłym różnica! jaka niepojęta, a szczęśliwa odmiana! Przed jej oczyma przesuwwały się kolejno minione, tak niedawne jeszcze obrazy chwil przeżytych i doznanych wypadków, a takie to wszystko dziwne było, choć radosne! O! gdyby jej ktoś przed rokiem powiedział, co się z nią wkrótce stać miało, nigdyby mu nie uwierzyła! a i ktośby to mógł przypuścić? Ha! przecież znalazła się osoba, co jej o przyszłym szczęściu napomknęła! Oto tu, w tym samym lesie, tylko nieco dalej, spotkała ją stara Błażejowa i dziwnymi, zagadkowymi wówczas powitała słowami. Skąd jej to przyszło do głowy? przecież nie jest wróżką, ani czarownicą, aby przyszłość przepowiedzieć potrafiła? A jednak przepowiedziała... Zamyśliła się nad tem i po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że stara Błażejowa coś chyba wiedzieć musiała, bo skądżeby się w podobny sposób mogła odzywać? Jaka

szkoda, że ona teraz wcale do dworu nie przychodzi. Doprawdy od niej cośby się jeszcze dowiedzieć można. Gdyby ją się kiedy spotkać udało, musiałaby odkryć jej prawdę, albo usunąć wątpliwości.

Dwa piękne grzyby zwróciły w tej chwili jej uwagę, schyliła się, by je podnieść, gdy w tem zaszeleściły sąsiednie krzaki i zatrzeszczały leżące na ziemi gałazki. Wyprostowała się i, zalekniona, zwróciła głowę w stronę, skąd szelest dochodził. Ciemna jakaś postać wychyliła się z zarośli, a na jej widok Aniela drgnęła i w bok się rzuciła do ucieczki.

— O! niechże panieneczka nie ucieka, niech się starej ogrodnicze przywitać z sobą pozwoli. Ja tak się cieszę, że panienkę spotkałam nareszcie.

Aniela spojrzała i uśmiechnęła się z zadowoleniem. Czyżby jej życzeniu tak prędko miało stać się zadość? Zatrzymała się więc i już bez obawy rzekła do starej:

— Jak się macie, moja Błażejowo. Przestraszyliście mnie trochę, ale teraz rada jestem, że was tu spotykałam.

Kobieta podeszła i pochylając się pokornie, w rękę ją pocałowała.

— O! jakaż ja rada jestem, że panienkę w dobrem zdrowiu oglądam — mówiła przymilająco. — Serce się raduje, gdy patrzę, że panienka taka śliczna i taka szczęśliwa. Nikt może tak się z tego nie cieszy, jak stara Błażejowa, bo ta i dawniej, gdy jeszcze nikomu na myśl nie przyszła zmiana, jaka wkrótce zająć miała, była zawsze dla panienki życzliwa.

— To prawda — przytaknęła Aniela — wyście dla mnie zawsze dobrzy byli, wyście mi nawet szczęście przepowiedzieli.

— Aha! panienka to pamięta! — zaśmiała się stara i radość twarz jej zgrzybiałą rozjaśniła.

— Pamiętam doskonale i — wiecie co? — przed chwilą właśnie nad tem się zastanawiałam, że wyście chyba najpierwsi coś o tem wiedzieli?

— Eh! gdzie tam! skądżebym wiedzieć miała, tylko nie pierwszy lat dziesiątek kołacze się na ziemi, to już doświadczona jestem i wiem, czego się po kim spodziewać i wielu, wielu nieraz rzeczy domysleć się potrafię.

Aniela potrząsnęła głową z niedowierzaniem, Błażejowa zaś nie dając jej przyjść do słowa, mówiła dalej:

— Co prawda, za tę wróżbę panienska mi dotąd nawet nie podziękowała, a ja miałam nadzieję, że ze szczęścia panienki i dla mnie spadnie jakaś okruszyna.

— Czego wy odemnie chcecie? Nic dla was uczynić nie mogłam, a i podziękować trudnoby mi było, boście się wcale we dworze nie pokazywali.

— Eh! bo tam tyle zamieszania narobiła pani Miśzewska, że strach się było pokazać. Przytem panna Jadwiga mnie nie lubi, wolę więc nie przychodzić.

— Jadwisi niema, dawno już wyjechała — musieliście słyszeć o tem?

— A tak, słyszałam, i cieszę się z tego, bo lepiej się stało.

— Jakto lepiej?! A czyż tak być powinno? czyż nie jednego oica dziećmi jesteśmy? Dlaczegóż jedna ma używać dostatków i swobody, a druga, tułając się po świecie, na kawałek chleba pracować? Ile sił moich i możliwości, starać się będę, aby to jej oddalenie jaknajprędzej się skończyło.

Stara położyła rękę na jej ramieniu i rzekła tajemniczo:

— Niech panienska da pokój, bo tak się co prawda po sprawiedliwości należy. Gwiazda jej zaszła, lepiej ją własnemu zostawić losowi.

Aniela spojrzała zdziwiona, Błażejowa zaś dodała:

— Do widzenia panienczce, czas mi już wracać do domu. Niech panienska zostanie z Bogiem, a o starej ogrodniczce nie zapomina.

Chciała odejść, ale Aniela, lękając się stracić tak dobrą okazję dowiedzenia się czegośkolwiek z tego, co ją dawno niepokoiło, uchwyciła ją za ramię i przytrzymała na miejscu.

— Cóż to, uciekacie odemnie? nic mi już nie powiecie? Wspominaliście o swym niedostatku, a nie pilno wam pomoc sobie moją zapewnić?

Słowa te widocznie sprawiły wrażenie, stara się zatrzymała, a oczy jej zaświeciły, jak u kota, boć ona na zyski nigdy obojętną nie była.

— Na cóż ja paniencie przydać się mogę? — zapytała.

— Powróćcie mi i teraz, jak dawniej wróżyliście — odrzekła Aniela.

— O! dawniej to co innego, wróżyć można było i przewidywać, ale dziś szczęście samo idzie do dziedzički z Kalinowej Woli.

— Tylko jej połowy — poprawiła Aniela.

Stara kobieta roześmiała się, poczem rzekła z wolna i dobitnie:

— Jak teraz panienska jest sama, tak i sama pozostanie.

— Jadwisia wróci niedługo.

— Ej, myślę że nie wróci, może panienska być spokojną.

— Ja właśnie chcę, żeby wróciła, ja tak kocham moją piękną siostrzyczkę.

Na ustach starej złośliwy uśmiech przeleciał.

— Siostry panienska niema i mieć nie będzie — rzekła tonem uroczystym.

Aniela pobladła i z trwogą w twarz jej spojrzała.

— Może wy co wiecie? — spytała — może jej się co złego przytrafiło?

— Ej, nie; coby się miało tam przytrafić?

— A cóż mówicie, że ja siostry nie mam?

— Ot, tak mi się jakoś niechący wyrwało, bo to ludzie różnie o tem gadali. Toż i panienka coś przecie wiedzieć powinna.

— Nie wiem, a radabym się dowiedzieć?

— To niech panienka zapyta pana albo pani.

Aniela przecząco potrząsnęła głową.

Nie śmiem pytać o to, czego mi sami nie chcą powiedzieć — odrzekła.

— Ha! widać dla szczęścia panienki tego potrzeba i mnie się tu mieszać nie wolno — odpowiedziała Błażejowa, zabierając się do odejścia.

Aniela znowu ją przytrzymała.

— Nie możecie odejść, dopóki mi prawdy nie wyjawicie — rzekła ze stanowczością w głosie. — Mam prawo tego od was żądać i jestem w możności nagrodzić was za to, nie kryjcie więc przedemną tajemnicy.

Błażejowa wahała się niby jeszcze, ale czyniła to tylko pozornie, w duszy bowiem przekonana była, że niema potrzeby ukrywać przed nią sprawy, o której już wszyscy wiedzieli. Gniewu p. Salińskiego lękać się nie potrzebowała, bo jej stosunki ze dworem były zerwane, a zyski, jakie stamtąd ciągnęła, ustały, odkąd p. Miszewska tak się prędko ze wszystkim wygadała. Zrozumiano wówczas odrazu, że nikt inny, tylko stara ogrodniczka zdradziła tajemnicę i pan Saliński zapowiedział, żeby mu się na oczy nie pokazywała. To było przyczyną, że od owej chwili nikt jej nie widział w kalinowskim dworze. Bardzo ona tego żałowała i teraz uchwyciła sposobność przysłużenia się Anieli i zapew-

nienia sobie jej względów, bo zrozumiała, że jej to znów korzyść przyniesie. Kiedy więc Aniela raz jeszcze swą prośbę powtórzyła, uśmiechnęła się do niej i rzekła:

— Dobrze więc, gołąbko moja, dowiesz się o wszystkim, ale pamiętaj, abyś nie wspominała nikomu, że to ci stara ogrodniczka mówiła, bo wtedy biada mi będzie.

— Bądźcie spokojni, zachowam wszystko przy sobie.

— Więc dobrze; niech panienka usiądzie tu pod sosną i posłucha.

Aniela spełniła żądanie. I znowu w ten jasny dzień letni, pod zieloną lasu osłoną, z ust Błażejowej popłynęło opowiadanie o dwóch dziewczynkach, o dwóch siostrach mlecznych, które los jakby na przeciwległych szalkach umieścił, bo gdy jedna podniosła się w górę, zdobyła imię i majątek, druga opadła na dół, pozostając w ubóstwie i poniżeniu. Teraz szale się zmieniły: ta druga podniosła się, odzyskała należne jej stanowisko pierwsza za to na dół się zsunęła i doznaje smutnych następstw zbrodni matczynej.

Aniela, ukrywszy twarz w dłonie, zdumiona i przeżrana, słuchała tego opowiadania, które Błażejowa temi słowy zakończyła:

— Tak więc, panienczko, sprawiedliwość Boża nie dopuściła biednej piastunce zejść do grobu z tą straszną tajemnicą. Państwo gdy się dowiedzieli o wszystkim, pośpieszyli zabrać swe dziecię, miejsce mu i prawa należne przywrócić, nie mieli jednak serca oddalić tamtej, bo się do niej przez tyle lat przywiązali. Takby więc pozostały obie panienki w domu, gdyby nie pani Miszewska, która odkrywszy prawdę, przed światem ją ogłosiła, zmuszając tem pannę Jadwigę do ucieczki z żalu i ze wstydu.

— Biedna, biedna Jadwisia, co ona cierpieć musiała, wyrwało się z ust Anieli. — Ale czy to być może? czy to podobna?

Oparła się o drzewo, bo bliska była omdlenia, takie ta nadzwyczajna wiadomość sprawiła na niej wrażenie.

Błażejowa była tem mocno zdziwiona.

— Panienska się nie cieszy, że sama odziedziczy cały majątek? A ja myślałam, że to dla panienski radosna będzie nowina.

Zapytana podniosła oczy, popatrzyła na nią z wyrzutem i jakby ze wstrętem i rzekła:

— Ach! Błażejowo — i wyście mogli przypuścić coś podobnego? wy myślicie, że ja mam serce tak twarde, iż go nie wzruszy niedola drugich?

— A panienska przez nią tyle się nabiedowała.

— Ona temu nie winna, nie! ona mi krzywdy nie wyrządziła... ale i ja jej nie wyrządę — dodała jakoby do siebie.

Wsunęła ogrodnicze w rękę srebrnego rubla, bo więcej przy sobie nie miała i zapewniając, że ją nagroda za wyrządzoną przysługę nie ominie — pożegnała ją skinieniem głowy i skryła się za pobliskimi krzakami.

Błażejowa przez chwilę ścigała ją wzrokiem, poczem machnąwszy ręką, z widocznem nieukontentowaniem zawróciła w swoją stronę.

Aniela ochłoniawszy z pierwszego wrażenia, pośpieszyła odszukać pannę Ewelinę, mocno zaniepokojoną tak długą jej nieobecnością. Przypadłszy do niej, rzuciła się na murawę, silnem wzruszeniem wyczerpana.

— Zmęczyłaś się, kochanko — mówiła panna Ewelina, troskliwie się nad nią nachylając. — Och! takie

masz czoło rozpalone! Połóż mi głowę na kolanach, to odetchniesz trochę, bo czas nam wracać do domu.

Anielka chętnie posłuchała wezwania, rada, że mówić nie potrzebuje. Przymknęła oczy i słuchała uderzeń własnego serca, co zdało się zapytywać, czy to prawda, że Jadwiga nie jest twoją siostrą? Chciała temu zaprzeczyć, a nie mogła, bo czuła, że w istocie tak być musi, gdyż zgadza się to z zaszłymi wypadkami i rzeczywiście je wyjaśnia.

Niedługo trwał odpoczynek, bo panna Ewelina nagliła do powrotu, powstały też obie, i mało się do siebie odzywając, wróciły do domu.

Wieczorem dnia tego Aniela długo, bardzo długo siedziała na ławeczce w ogrodzie, w głębokiej pogrążona zadumie. Zdziwiła się p. Milecka, zastając ją tam samotną i zamyśloną. Podeszedłszy bliżej, z radością i zadowoleniem przyglądała się jej wdzięcznej postaci, osrebrzonej bladym światłem księżyca. Bardziejby się jeszcze ucieszyła, gdyby zająrzeć mogła do jej serca i zobaczyć te piękne myśli i szlachetne uczucia, jakimi w tej chwili było ono przepełnione. Ojciec i ciotka lekali się bardzo, aby odkrycie tajemnicy nie wywołało w niej pragnień przeciwnych chęciom ich i zamiarom, stało się wszakże inaczej. Dobre jej serce nie znało chciwości, ani zawiści, nie pojmoowało zemsty, ani pogardy, cudze za to cierpienie i niedolę żywo i gorąco odczuwało.

— O czem tak myślisz, kochanie? — spytała pani Milecka, całując ją w czoło.

— Myślę, gdzie teraz może być Jadwisia i kiedy do nas powróci? — odpowiedziała Aniela.

— A chciałabyś, żeby powróciła?

— O! bardzo, bardzo, ciociu droga.

— Postaramy się więc o to, ale teraz chodź spać.

— Ach! ciociu, poproś tatusia, żeby ją przywiózł do domu; ja kochać ją będę, jak siostrę najmilszą.

— Dobrze, dobrze — odrzekła pani Milecka, ostatnimi słowami trochę zdziwiona. — Tymczasem chodźmy do domu.

Poszły, ale Anielka nieprędko dnia tego usnęła. a potem jeszcze we śnie widziała w żywych obrazach odtworzoną historię, w tym dniu słyszaną i Jadwigę smutną i rzewnie płaczącą.

— Muszę ją sprowadzić, muszę jej miłość okazać. nie zniosę tego, aby ona przezemnie tulać się miała po świecie — powiedziała sobie po przebudzeniu.

I odtąd dnia każdego z tęsknotą Jadwigę wspominała, coraz to wyrażała pragnienie powitania jej pod dachem rodzinnym i coraz to się o nią dopytując, snła plany na przyszłość.

ROZDZIAŁ XXIII.

List.

Mijały tygodnie i miesiące, a Aniela daremnie prosiła ojca, by Jadwigę skłonił do powrotu, daremnie i sama do każdego się listu dopisując, wyrażała pragnienie ujrzenia jej corychlej w Kalinowej Woli. Pan Saliński odpowiadał stale, że nie może zmuszać Jadwigi do powrotu, skoro ona sobie tego nie życzy; Jadwiga zaś odpisywała, że choć jej tęskno za swymi ukochanymi, wytrwać jednak musi na obranem stanowisku. Tak więc piękne zamiary Anieli w niwecz się obracały i nie pozostało jej nic więcej, jak czekać cierpliwie sposobnej pory do ich urzeczywistnienia. Pora ta nieprędko nadeszła. Minęła już jesień i zima się miała ku schyłkowi, a nie

zaszło nic takiego, coby mogło wróżyć rychłe spełnienie życzeń pocziwej dziewczeczki, co z uporem rozpieszczonego dziecka powtarzała wciąż do siebie: „Jadwiga musi wrócić, musi wrócić, musi tu żyć ze mną“.

Dziwna rzecz! zamiast dla niej zobojętnieć, od czasu poznania prawdy, ona ją bardziej pokochała. Sama zaznawszy ciężkiej pracy i niedostatku, wyobrażała sobie, jak to i jej przykrem być musi, jej, co się wychowała w wygodach i pieśszczocie. Póki sądziła, że Jadwiga jest jej siostra, uważała ten wyjazd jako kaprys, jako chwilową zachciankę, która prędzej czy później powrotemby się zakończyła. Teraz wszystko w innem świetle jej się przedstawiło. Jadwiga uciekła, bo musiała, nie wróci tu, bo już praw dawnych nie posiada. Podzieić się z nią temi prawami, dopomóc do odzyskania dawnego w rodzinie stanowiska, przekonać, że chce być dla niej siostrą kochającą — uważała sobie teraz za święty obowiązek i marzyła tylko o odpowiedniej chwili, by tego mogła dokonać. Przyszła nakoniec ta chwila pożądana, a sposób, jakiego się chwyciła w tym celu, pomyslnym skutkiem miał być uwieczniony.

Przez kilka tygodni daremnie od Jadwigi listu wyglądano. Nie było żadnej wieści, żadnej na czynione pytania odpowiedzi. Wszyscy mocno tem się zaczęli niepokoić, kiedy wreszcie dnia jednego nadszedł list od niej, nie z Warszawy, ale aż z Meranu.

— Ha! zagranicę wyfrunęła, nie dziw więc, że o nas zapomniała — zauważył z westchnieniem p. Saliński.

— A gdzie jest ten Meran, tatusiu? — pytała Aniela.

Chciał odpowiedzieć, ale ona wnet przypominając sobie niedawną lekcję geografii, zawołała z żywością:

— Ach! wiem już wiem, tatusiu. Jest to miasto po-

łożone w południowej stronie Tyrolu, u podnóża Alp, w bardzo pięknej miejscowości.

— A z czego jest znane? — spytał znów ojciec rad, że się czegoś już nauczyła.

— Jest to słynna stacja lecznicza, gdzie wiele osób przyjeżdża po to jedynie, by w jej łagodnym klimacie zdrowie swe pokrzepić.

— Dobrze, dobrze, moje dziecko, ale zobaczymy, co tam porabia Jadwisia.

I zaczął czytać list bardzo długi i bardzo serdeczny, z którego jednak dziwny wiał smutek i przygnębienie. Pisała, że ciężką złożona chorobą, kilka tygodni w szpitalu spędziła i wiele w ostatnich czasach cierpień moralnych i fizycznych przeniosła. Przyszedszy do zdrowia, a nie czując się na siłach do podjęcia nanowo pracy nauczycielskiej, przyjęła miejsce towarzyszkii u jednej damy i z nią obecnie wyjechała do Meranu.

— Biedna, biedna Jadwisia — mówiła ze łzami w oczach Aniela — ileż ona przecierpieć musiała w swem osamotnieniu i chorobie.

— Stanowczo do domu wracać powinna — zdecydował p. Saliński — ale jak ją skłonić do tego?

— Ach! ta Malwina, ile ona nam złego wyrządziła — westchnęła pani Milecka.

Wszyscy dnia tego smutni byli i zmartwieni, wszystkich myśli ustawicznie do Jadwigi się zwracały. P. Milecka zaraz do niej napisała, a p. Saliński posłał 25 rb. na najpilniejsze wydatki. Aniela pogrążona w zadumie, długo przemyśliwała nad tem, jakby przekonać Jadwigę o konieczności powrotu do domu. Długo nic wynaleźć nie mogła, wreszcie klasnęła w ręce uradowana:

— Wiem, już wiem — szepnęła — on jeden dopomóc mi może, ona jego najprędzej posłucha.

Miała na myśli Wacława i przed nim się zwierzyć

postanowiła ze wszystkiem, co jej na sercu leżało. On będzie się mógł z Jadwigą najłatwiej zobaczyć, on ją najprędzej przekonać potrafi. Zabrała się więc niezwłocznie do listu, w nim swoją prośbę i całą swą nadzieję wyrażając. Jako przyjacielowi, któremu mogła zaufać, wyznała, iż wie, że z Jadwigą nie łączą ją żadne węzły pokrewieństwa, ale że mimo to ona ją kocha, pragnie jej powrotu, chętnie też z nią się podzieli szczęściem swem i mieniem. Dlatego prosi go na wszystko, aby jej w tem dopomóc raczył, za co mu wdzięczną na zawsze pozostanie.

Przewycięzwszy nieśmiałość i obawę, że tem ściągnąć może na siebie niezadowolenie ojca i ciotki Krystyny (bo na pisanie poufnego listu do młodego człowieka nigdyby pewnie nie pozwolił), wypowiedziała w słowach pełnych prostoty i powagi zamiary swoje i życzenia, odkrywające w całej pełni jej szlachetną, zaciętą duszę i serce, pełne siostrzanej tęsknoty i miłości dla tej, co właśnie o zaskarbienie sobie tej miłości wcale się nie starała.

List ten przez Wojciecha, udającego się za jakimś interesem do miasteczka, oddała na pocztę i nikt o nim w domu nie wiedział. Sama jednak o tem myśleć nie przestała i odtąd dnia każdego z bijącym sercem wyglądać zaczęła skutku swych starań. Ani na chwilę nie wątpiła, że Wacław uczyni, co tylko będzie w jego mocy, aby zmienić postanowienie Jadwigi i skłonić ją do powrotu. Cieszyła się też nadzieją tego powrotu, a cieszyła tembardziej, że rękę do tego przyłożyła, że jej tem swoją miłość i życzliwość okazała. Bo przecież Wacław nie omieszka jej o tem powiedzieć, prosiła go bowiem, aby ją zapewnił, iż pragnie, aby odtąd żyły i kochały się, jak siostry rodzone. A więc na prośby Wacława Jadwiga wróci, wróci niezawodnie... może

z nim razem? A on pisał w ostatnim liście, że najdalej w maju pożegna nazawsze obce strony, wróci do ojczyzny i weźmie się do pracy na „własnym zagonie”. Gdzie miał być ten zagon własny — nikt nie wiedział, Wacław bowiem posiadał tylko jakąś gotówkę w banku, ale kawałka własnej ziemi nie posiadał i, o ile się zdawało, do gospodarstwa brać się nie myślał. Teraz widocznie zmienił dawne zapatrywania, ale co zamierzał uczynić, przyszłość dopiero pokaże.

Może więc wróca oboje? kto wie, bardzo to możliwe, ale... Ale wtedy on gotów pomyśleć o ożenku i wybór jego z pewnością padnie na Jadwigę. Ona taka piękna, taka rozumna, taka przytem nieszczęśliwa, że w zupełności na to szczęście zasługuje, a może nawet już miłość jego posiada? Znali się przecież tak dawno, tak dobrze, że nie byłoby w tem nic dziwnego... Ach! to przypuszczenie było bardzo prawdopodobne, dla Anieli wszakże dziwnie bolesne. Na tę myśl serce jej żywiej bić poczyniło, smutek ją i niepokój opanowywał. I daremnie chciała w sobie wmówić, że takby było dobrze, że postąpiłby szlachetnie i wspomniałomyślnie, — serce mówiło co innego i dobrowolnie na tę ofiarę własnych pragnień zdobyć się nie mogło. Teraz dopiero poznała, że kocha Wacława, że bez niego życie traci dla niej swoje powaby, że bez niego szczęśliwą jużby być nie umiała. Zasmuciło ją to odkrycie i przyciemniło radość spodziewanego powrotu Jadwigi. Były nawet chwile, w których żałowała swego kroku i usiłowań w celu pozyskania jej na nowo. Jednak były to chwile tylko, prędko myśli podobne odrzucała i mówiła do siebie z rezygnacją:

— Cokolwiek się stanie, pragnę, by jaknajprędzej wróciła.

O! gdyby mogła była wiedzieć o wrażeniu, jakie

list jej sprawił na Wacławie, nie potrzebowałaby się niczego obawiać. Taka bo szczerą, prostą, a szlachetną duszą przeglądała z tego listu, takie dobre, kochające swą przybraną siostrę serce, taka nieśmiała, a silna wiara w jego przyjaźń i pewność, że dla szczęścia całej rodziny uczyni to, o co go prosiła, — że list najmądrzej obmyślony nie mógłby jej w lepszym przedstawić świetle. Wacław znał jej prostotę, nieznajomość względów i przepisów światowych, wziął też list za to, czem był w istocie: za konieczność, zmuszającą do szukania pomocy, gdzie tylko można, gdzie się ją znaleźć spodziewa, bez zapytania, co inni o tem powiedzą. Przeczytał go raz i drugi, a choć nie znalazł w nim nic dla siebie, prócz zapewnienia wdzięczności za wyświadczoną przysługę, rad był zeń jakiś i zadowolony, pomyślał też zaraz, aby wyrażone w nim życzenia spełnić jak najprędzej.

W kilka dni był już w Meranie i wchodził do ładnie umeblowanego saloniku, gdzie uprzedzona o jego przybyciu Jadwiga, z radością, ale i z pewnem powitała go zdziwieniem.

— Pan tutaj? — spytała, podając mu rękę — jakże się to stało i czemu mam przypisać te miłe, ale i niespodziewane odwiedziny?

— Jak się to stało, zaraz o tem opowiem, najpierw jednak radbym wiedzieć, czy mogę z panią jakąś chwilkę swobodnie porozmawiać i o jej powodzenie obecne zapytać?

— I owszem, trafił pan bardzo dobrze. W tej godzinie jestem wolną zupełnie, bo to pora, kiedy moja „pani” zasypia, a ja mogę robić, co mi się podoba. Co do mego powodzenia, to łatwo je odgadnąć. Wygody, a nawet przyjemności mam zapewnione, ale sercu tego zamało i nie mogę czuć się szczęśliwą. O! nie!

Westchnęła i przesuwając rękę po czole, mówiła dalej:

— Wszystko to takie czcze, puste, chłodne, że ostatecznie zadowolnić nie zdoła. Ach! życie przykrzyć mi się już zaczyna i nieraz myślę, żeby rzucić te jego błahostki, wzgardzić jego próżnościami i...

— I co? Dokończ pani, albo raczej za panią dokończę: spełnić pragnienie serc, co mię kochają, co za mną tęsknią tak bardzo.

Spojrzała na niego zdziwiona.

— O kim pan mówi?

— Ach! czyż jeszcze pytać potrzeba? Czy pani nie wie, że tam daleko, w kraju rodzinnym są serca, którym źle bez pani, że tam w ciszy kalinowskiego dworu jest szczęście ciche, ale prawdziwe.

Jadwiga zakryła twarz rękami, a gdy ją odsłoniła, w oczach jej lży błyszczały.

— Wiem, że mnie tam dawniej kochano, ale dziś się położenie zmieniło i wrócić już do nich nie mogę.

— Wrócić jednak pani powinna, bo ja ją zapewniam, że w dawnych serdecznych uczuciach żadna tam zmiana nie zaszła.

— Niema już miejsca dla mnie w Kalinowej Woli. Ja tam być córką nawykłam i na podrzędną rolę zgodzić się nie mogę, bo to dla mnie nazbyt bolesne, a dla niej niepożądane.

— Myli się pani; nikt jej nie broni być po dawnemu córką, a zarazem siostrą tej dobrej, pocziwej dziewczki, co, jak pani powiada, miejsce jej zajęła.

— I niech je nadal zajmuje; wrócić tam nie mogę żadną miarą.

— A dla czego? czy wolno zapytać?

— Bo nie zniosę tego, aby mię miała upokarzać,

albo może z domu wypędzać; prędzej bowiem, czy później dowie się, że nie jestem jej siostrą.

— Ale pani jest przybraną córką pana Salińskiego?

— Wiem o tem i wdzięczną mu za to być nie przestanę; ale w oczach Anieli tem gorzej mogę być widziana.

— A przecież ona panią kocha i wygląda z utęsknieniem jej powrotu.

— Eh! to tylko tak mówi, aby się ojcu i cioci przypodobać, a myśli pewnie inaczej.

— Błędne ma pani wyobrażenie o swej siostrzyczce. Niechże mi pani uwierzy, że jest inaczej; mam na to pewne dowody.

— Pan?

— Tak; zaraz o tem panią przekonam.

Wyjął list z kieszeni i podając go Jadwidze, rzekł:

— Proszę tylko uważnie przeczytać, a z pewnością przyjdzie zmienić zdanie.

— Pismo Anieli — rzekła ze zdziwieniem Jadwiga i czytać zaczęła:

„Niech mi pan za złe nie weźmie, że zwracam się do niego z moją prośbą i niech nigdy nikomu nie wspomni o tem mojem pisanu, ale ja wiem, że pan tylko jeden jest szczerym przyjacielem naszej rodziny, pan też najskuteczniej pomóc nam może...”

— Więc to ona przysłała ten list do pana w sekrecie przed starszymi? — spytała Jadwiga, wzrok na niego podnosząc.

— Tak — i to jest dowód jej samodzielnych usiłowań w celu sprowadzenia pani.

Jadwiga nic nie odrzekła, tylko pilnie dalej czytała. Wacław zaś śledził uważnie, jakie to na niej sprawia wrażenie. Teraz dopiero spostrzegł, że się zmieniła

bardzo, zmizerniała i pobladła, a na twarzy, w miejsce dawnej wesołości, osiadł wyraz spokojnej powagi i cichego smutku. W miarę, jak się zatapiała w czytaniu w oczach jej to świeciły, to gasły jakieś iskry żywego uczucia, czy też wzruszenia, usta jej lekko drżały, a na twarz wybiegły rumieńce. Gdy skończyła, ręka jej wraz z listem opadła na poręcz fotelu, w którym siedziała, głowę odrzuciła w tył i przymknawszy oczy, zdawała się nad czymś głęboko zastanawiać. Wacław czekał cierpliwie, nie spuszczał z niej spojrzenia, a ona po chwili otworzyła oczy i podnosząc je na niego, rzekła z cicha:

— Doprawdy, trudno mi uwierzyć, że ona to pisała, takiej miłości bezinteresownej nigdy bym się w niej nie domyśliła.

— A jednak tu niema żadnej wątpliwości; nikt jej tego nie podsunął, nikt nie nakłonił, jedynie własne, zacne serduszko.

— Bezwątpienia; ale ja, sądząc z tego, co wiem od ciotki Malwiny, inne o niej miałam pojęcie.

— Ach! i pani może jeszcze przywiązywać jakąś wagę do słów ciotki Malwiny? A któż to jej wyrządził tę straszną krzywdę, jeśli nie ona? Któż dążył podstępnie do tego, by panią stamtąd usunąć i wydziedziczyć? Pani na nią narzekać powinna.

Jadwiga milczała przez chwilę, potem podnosząc na niego smutne, załzawione oczy, rzekła z niezwykłą powagą:

— Już nie narzekam na nikogo za doznane bóle i upokorzenia, bo widzę jasno, że ludzie byli tu tylko narzędziem sprawiedliwości Bożej. Prawda musiała wyjść na wierzch. Jej odkrycie wiele mnie kosztowało, ale stało się dla mnie zbawiennem. Z rozpieszczonego, ze-

psutego dziecka, jam przez cierpienie i pracę wyrobiła się na kobietę, świadomą swej drogi i dążącą do wyższego celu. Dotąd mogłam być tylko zabawką w salonie, odtąd mogę stać się użyteczniejszą jednostką w społeczeństwie. Nauczyłam się bowiem pracować, cierpieć i kochać, i wiem, gdzie serce szlachetne i prawe szczęścia dla siebie szukać powinno. Tak, panie Wacławie, jam teraz inna i żal mi bardzo, że niegdyś taką nie była. Mogłam wtedy przynieść pociechę i chlubę moim zacnym opiekunom, a czas zmarnotrawiony gnuśnie, zużytkować na korzyść biednych, żadnych światła wiedzy i nauki.

Wynurzeń tych Wacław słuchał w milczeniu, z nietajoną radością i zachwytem. O ileż mu się w tej chwili wydała wyższą i piękniejszą, niż dawniej, gdy za blaskiem uludnej wielkości i za błyskotkami marnemi gonila! Od lat tylu był jej przyjacielem i jako siostrę nawyki uważać, cieszył się więc niezmiennie z jej duchowego zwycięstwa, z tej siły, z jaką potrafiła znieść ciężką swą dolę i nie zwątpić w bolesnej, strasznej chwili. W odpowiedzi przycisnął do ust jej rękę z wyrazem głębokiego szacunku.

— Teraz pani rzeczywiście godną jest nosić nazwisko Salińskich — rzekł wzruszony. — Nie pozostaje obecnie nic więcej, jak wracać pod dach ukochany, gdzie czekają na panią z taką miłością i tęsknotą zacięni opiekunowie, gdzie bije serce dobrej siostry, co szlachetnością i przymiotami sercu pani dorówna.

— Nie, panie Wacławie, ja tam pozostać nie mogę, bo się lękam powrotu do życia beczynnego.

— A czyż tam pani nie znajdzie odpowiedniego pola do pracy? czy tam pani nie będzie mogła stać się użyteczną?

— Ale co ludzie powiedzą?

— Ach! czyż pani, tyle zwycięstw odniósłszy, nie znajdzie w sobie dość siły do pogardzenia obawą względów ludzkich? Nie wątpię ani na chwilę, że się pani i na to zdobędzie. Zresztą ludzie już się wygadali i uspokoiłi; powrót pani może ją tylko podnieść w ich oczach, a nawet zatrzeć zupełnie złą wieścią sprawione wrażeńie.

— Ma pan rację, obawiać się tego nie powinnam, ale ja inny zamiar powzięłam...

— Czy wolno dowiedzieć się, jaki?

— Chciałam zostać siostrą miłosierdzia i nieść pomoc cierpiącej ludzkości.

— Zamiar bardzo piękny, ale czyż pani i bez tego nie może pracować dla dobra drugich? Oto, jak wiadomo, p. Salmski chce zbudować szkołę w Zaciszu; owszem, powiem wyraźniej: on ją już buduje, bo donosił mi w ostatnim swoim liście, że kupił dom gotowy i przenosi go do Zacisza, gdzie miał już miejsce upatrzone i nabyte. Stawiają go na gwałt, bo to ma być podarek i niespodzianka na dzień imienin Anieli ostatniego maja.

Tak!? A któż tam będzie uczył? Aniela przecież jeszcze wszystkich potrzebnych kwalifikacyj nie posiada, choć słyszę, że znaczne uczyniła postępy.

— Nauczycielką ma być tymczasem panna Ewelina, a jej uczennica ma się przy niej wprawiać i zaznajamiać z tą pracą.

Ujął jej rękę z wyrazem serdecznej przyjaźni i mówił dalej, zapalając się coraz bardziej:

— Panno Jadwigo, tam dla pani miejsce odpowiednie, a proszę nie myśleć, że mówię to w celu zepchnięcia jej na podrzędne w świecie stanowisko. O! nie! Nauczycielstwo dobrze pojęte — to szczytne

i piękne zadanie, to miejsce godne córki obywatelskiej, jaką pani nazawsze w oczach każdego pozostanie. Niech się pani tylko zastanowi, a przekona, że tam może stać się i nauczycielką i siostrą miłosierdzia i tem, czem być powinna: chluba i pociecha czcigodnych swych opiekunów.

Jadwiga słuchała go w milczeniu, a on widząc, że nie odpowiada, dalej ciągnął swe dowodzenia, by ją namówić i przekonać. W ognistych słowach przedstawił jej obraz szczęścia w Zaciszu przy pracy szlachetnej i w Kalinowej Woli w pośród serc jej oddanych. Utrzymywał stanowczo, że czas już, aby zakończyła żni smutku i tęsknoty, kiedy na drodze do szczęścia nie już nie staje na przeszkodzie. Wkońcu, gdy jeszcze wahać się zdawała, podsunął jej znowu list Anieli, dodając:

— To jedno już panią dostatecznie przekonać i do powrotu skłonić powinno.

— Daj mi pan ten list — szepnęła Jadwiga.

— Dobrze, ale tylko na chwilę; będzie on bowiem dla mnie drogą stanowić pamiatkę.

Spojrzała mu w oczy głęboko i jakby się czegoś domyślając, rzekła:

— Bodajbym się do jej szczęścia czemkolwiek przyczynić zdołała.

— Spełni się to życzenie, jeśli pani powróci do Kalinowej Woli. Upprzedzam, że projekt objęcia posady w Zaciszu jest moim wyłącznie i czy panna Aniela ustąpi tam pani swego miejsca — nie wiem. Jeśli nie, to przy dobrych chęciach można coś podobnego stworzyć i w Kalinowej Woli.

— O tem już pogadamy na miejscu — odrzekła ze znaczącym uśmiechem.

I nagle jakby jakiś blask niezmierniej radości padł na jej twarz bladą i zmizerowaną, oblała się żywym ru-

mieńcem i wyciągając obie ręce do Wacława, odezwała się głosem, pełnym serdecznego uczucia:

— Dziękuję panu, o! bardzo dziękuję za tak wielką i nieocenioną przysługę. Stało się zadość skrytym pragnieniom mej duszy... Dość już tych upokorzeń, grymasów, chłodu i wszystkich przykrości, w ciągu tego roku doznanych; dość już tej błyskotliwej, a ciężkiej służby u obcych, — serce mi się do swoich wyrwa...

— Więc wraca pani do Kalinowej Woli?

— Wracam; ale nie mogę wcześniej, jak w końcu maja.

— Wyśmienicie! pojedziemy więc oboje, pojedziemy na imieniny panny Anieli, czy zgoda?

— Zgoda, zacny przyjacielu — odrzekła z radosną łzą w oku.

I swobodnie, wesoło, jak dzieci, którym miła zabawka odnaleźć się udało, zaczęli układać plany i snuć marzenia na przyszłość. Wacław opowiedział jej, jak to p. Saliński potrafił natchnąć go zamiłowaniem do roli, do gleby ojczystej i do siermiężnej braci, wśród której możnaby wiele zdziałać dobrego i świetnie spożytkować nabyte w szkołach i zagranicą wiadomości. Postanowił też wrócić do kraju i osiaść na wsi, bo mu się to bardzo uśmiecha.

Długa jeszcze chwila upłynęła im na poufnej rozmowie, a kiedy się rozstali, oboje czuli się szczęśliwi i zadowoleni, obojgu serca biły dawno nieznanem wzruszeniem i radością, rwąc się, jak ptaki stęsknione, do oczyszczonych wiosek i łąków i do tych serc ukochanych, co tam w dali na nich czekały.

ROZDZIAŁ XXIV.

Spełnione marzenia.

Zbliżył się nareszcie od tyłu osób oczekiwany dzień imienin Anieli, dzień radości i niespodzianek, w którym wielkiem, serdecznym weselem miała rozbrzmieć Wola Kalinowska i Zacisze; znowu przy wspólnej uroczystości miały się skojarzyć dwór i chata, by okazać sobie wzajemną miłość i sympatię. Pan Saliński i jego siostra, jak wszyscy ludzie szlachetni, co w uszczęśliwianiu i oddarzeniu drugich widzą swe własne zadowolenie, oddawna na ten dzień czynili przygotowania, wszystko w tak głębokiej tajemnicy, że w Zaciszu niewiele o tem wiedzano, kto i na co dom nowy stawia za wioska na wzgórzu, a Aniela nawet nie podeirzewała, ani się nie domyślała, co ją spotkać miało. Zauważyła parę razy jakieś ciche narady ciotki z klucznicą i panną Ewelina, jakichś ludzi nieznanomych, co po wypłaty i rozporządzenia do oca przychodzili, to ją jednak na żaden domysł naprowadzić nie mogło. Spodziewała się jakiegoś podarku, jakiejś przyjemności, jak to było roku zeszłego, ale ani marzyć mogła o tem, co dla niej przygotowywano.

W wigilię dnia tego spostrzegła, że w domu ruch jakiś niezwykle panuje, nie mogła się przecież nic dowiedzieć, bo ją zaraz z rana panna Ewelina zabrała do lekcji i to nie do pokoju, jak zwykle, ale do zacisznej, oddalonej altany w ogrodzie, pod pozorem, że z dnia pogodnego korzystać należało i nie dusić się w mieszkaniu. Po lekcji zajęta była w swoim ogródku, po obiedzie wybrały się na przechadzkę i dłużej, niż zwykle, na niej bawiły, — słowem dzień cały w domu praie nie była. Nie widziała więc, jakie się tam czyniły przy-

gotowania, jakie stopy ciasta i mięsiwa dnia tego napieczono, jakie wozy naładowane szły do Zacisza. Nie wiedziała, że przed wieczorem był tu konny postaniec z depeszą, po przeczytaniu której p. Saliński ucieszył się bardzo i zaraz wydał rozporządzenie, aby o 9 godzinie konie na stację kolejową posłano.

Ha! jak niespodzianka, to niespodzianka. Już nie mówiono jej tego, że o 11-ej wieczorem przyjeżdża Jadwiga z p. Wacławem — wszystkie radości chciano jej zostawić na ów dzień wybrany. Zaraz też po wieczery ojciec rzekł do niej:

— No, moja Anielciu, idźże teraz spać, nic nie zwlekając, bo jutro radbym, abyś wcześniej wstała; mamy być na nabożeństwie w kościele, a potem w Zaciszu.

— Ach! w Zaciszu! w Zaciszu! jakże ja tam dawno nie byłam. Nie wiem nawet, co się u nich dzieje.

— Zobaczysz jutro — odrzekł z uśmiechem — do branoc.

Pocałowała go w rękę, uściśkała p. Milecką i posłusznie usunęła się do swego pokoiku.

Ciepła, wonna noc księżycowa ciągnęła ją, by wyjść do ogrodu, nawykła jednak do słuchania starszych, oparła się pokusie i ukłękła do pacierza. Wkrótce spała, śniąc rozkosznie o dniu jutrzejszym, a spała tak mocno, że ani turkotu zajeżdżającego powozu, ani gwaru powitania nie słyszała.

Za to nazajutrz obudziła się bardzo rano. Wstała natychmiast, ubrała się starannie, niż zwykle, w jasną batystową sukienkę, gałązką konwalji włosy przyozdobiła i przejrzaawszy się w zwierciadło, zadowolona z siebie, ukłękła do pacierza. Dziwna jakaś błogość, jakiegoś uczucie rozkoszy i radości zalewało jej duszę, czuła się tak wesołą, szczęśliwą, że z najwyższą wdzięczno-

ścią myśl swą i serce podniósłszy do Boga, długo i gorąco się modliła. Skończywszy, zamierzała wyjść z pokoju, gdy drzwi się otwarły i stanęła w nich ciotka Krystyna. Aniela skoczyła ku niej i wnet się w jej objęciach znalazła. Ciotka zdawała się być bardzo wzruszoną i rozradowaną.

— Moje drogie dziecko — mówiła tklawie — przysłałam ci złożyć życzenia szczęścia na dalsze dni twego życia, a zarazem oznajmić, jaką to niespodziankę na dzień twych imienin dobry ci twój ojciec przygotował, — najpierw jednak muszę ci podziękować za wielką radość i pociechę, jaką nam wszystkim sprawiłaś.

— Ja, ciotuniu?

— Tak, ty, drogie dziecko, chodź, zobacz...

Zwróciły się do wyjścia, gdy wtem zaszeleściło coś na korytarzu i dwoje ramion niewieścich otoczyło Anielkę silnym, gorącym uściskiem. Ta spojrzała i z okrzykiem: „Siostrzyczka moja!“ przytuliła się do niej radośnie. Jak dwa krzaki powoju, gdy razem złączą się i splotą, splotły się z sobą dziewczeczki, płacząc i śmiejąc się razem. W tej chwili czuły obie, że się kochają, że kochać się będą na zawsze i cieszyły nadzieją, że odtąd żyć będą razem.

Była to chwila piękna, widok miły i rozrzewniający, a nie sama tylko ciotka przyglądała się im z przyjemnością, bo wnet dał się słyszeć głos na progu:

— No, dosyć tego, moje dzieci, Anielciu, zapominasz, że i ojciec chce ci powinszować.

Zwróciła się ku niemu i ręce jak do modlitwy składając, zawołała:

— Ach! ojczulku drogi, kochany, jakże ja ci za to szczęście podziękuję!

— To szczęście, którem i nas uweseliłaś, własnym jest twojem dziełem, córuchno moja. Tyś to Jadwisie

do powrotu skłoniła, cieszyć się więc z nią teraz — i obie bądźcie szczęśliwe. Ale chodź już, obejrzyj podarek ciotuni, zanim ojca podarek zobaczysz w Zaciszu.

Przytuliła się do niego, a on poprowadził ją do przyległego pokoju i wskazał rozrzuconą na fotelu bielechną, muślinową sukienkę i zielony na niej wianuszek.

— Patrz, w tę się dzisiaj sukienkę ubierzesz, bo będziesz druchną na weselu.

— Na weselu? dziś? u kogo?

— U dziadusiów w Zaciszu, bo dziś będą obchodzić złote swoje gody, 50 lat pożycia małżeńskiego. Uroczystość ta na św. Wojciech odbyć się miała, ale odłożyliśmy ją na dzisiaj, by ci większą sprawić przyjemność. Musimy też śpieszyć ze śniadaniem, bo czas do kościoła.

Za dużo było radości na tę jedną chwilę, Aniela zalała się łzami, co jak perły potoczyły się po jej rozpromienionej twarzyczce. Nie wiedziała jak dziękować i ojcu i ciocie, jak wyrazić im swą radość i wdzięczność niezmierną. Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, ucałowała ich ręce i chciała biec do Jadwigi, gdy nagle wzrok jej padł na jednego jeszcze świadka, co stojąc na boku, w milczeniu tej całej się scenie przypatrywał. Spostrzegłszy go, oblała się rumieńcem i zawstydzona, choć uśmiechnięta, zawołała tylko:

— Ach! i pan Wacław!

— Tak, panno Anielo, — i ja pośpieszyłem na ten dzień uroczysty, i ja przynoszę pani życzenia, a lepiej jedno tylko życzenie: aby pani zawsze w życiu tak była, jak dzisiaj, szczęśliwą i kochaną.

Ujął jej rękę i patrzył na nią z nietajonym zachwytem. Piękną bo też była w tej chwili. Radość przejmująca jej serce, odbijała się w twarzy, rozpro-

mieniała ją, oblała rumieńcem krasy, zajaśniała nieznany blaskiem w wilgotnych jeszcze oczach. Ona też spoglądała na niego wesoło i serdecznie, a tak była wruszona, że słowa nie mogła przemówić.

Dopiero gdy podał jej wspaniały, z samych białych kwiatów ułożony bukiet, prosząc, by go przyjęła na dodatek do weselnego stroju, odrzekła, spuszczać oczy:

— Dziękuję panu, dziękuję.

Otoczyli ją wszyscy, śmiechem i żartami starając się przerwać zbyt przedłużającą się chwilę uniesienia, a może zakryć i własne wzruszenie. Wesoło i gwarno zasiedli wszyscy do śniadania, a w godzinę potem już drogą wiodącą do kościoła, mknęły wśród tumanów kurzu dwa powozy, wiozące grono państwa z Kalinowej Woli, i szereg bryczek dworskich, oraz wózków wieśniaczych, przepełnionych oficjalistami, służbą i gospodarzami tej wioski, co strojni i weseli podążali gromadnie na niezwykłą i wiele przyjemności obiecującą im uroczystość.

Kościół już zastali przepełniony ludem okolicznym, bo nie tylko z Zacisza, ale i z wiosek pobliskich zbiegło się mnóstwo ciekawych tego wesela, słusznie się przystem domyślano, że skoro je wyprawia dziedzic z Kalinowej Woli, to i nabożeństwo będzie piękne i uczta po niem nie była jaka. Gdy p. Saliński z rodziną ukazał się w progu świątyni, szmer cichy rozległ się dokoła, poruszyli się wszyscy i z uszanowaniem rozstępować zaczęli. A oni, przyklękawszy na środku kościoła, szli dalej, skupieni i poważni, by zasiąść w swej ławce, po lewej stronie ołtarza.

Wszystkie spojrzenia za nimi pobiegły, najbardziej jednak przyglądano się Anieli, co w białej sukience, w zielonym na głowie wianuszk, cicha i skromna, a jakimś niezmiernym szczęściem rozpromieniona, piękną

się jak anioł wydawała. Podeszedłszy bliżej ołtarza, podniosła głowę i wzrokiem powiodła dokoła, a znalazłszy to, czego szukała, zbliżyła się do małej ławeczki, na boku stojącej. Tam klęczeli Wojciechowie, ubrani odświętnie, ale w zwykłym stroju wieśniaczym; wzruszeni i ważnością chwili przejęci, modlili się gorąco. Podeszła do nich z uśmiechem na twarzy i w milczeniu ujęła dziadka za rękę. Starzec spojrzał na nią i łza rozrzwienia zabłysła w jego oku, bo czyż on kiedy mógł marzyć dla siebie o dniu podobnym, o dniu tak radosnym i świętym? czy mógł myśleć, że ta luba dziewczeczka do ołtarza prowadzić go będzie? O! nigdy! to też czuł, że Panu Bogu dość za to podziękować nie zdoła.

Podniósł się i wyszedł z ławki, a za nim się i żona wysunęła. Wacław ujął ją pod rękę i poprowadził przez kościół; za nimi podążył Wojciech z Anielą. Sypnęli teraz całym tłumem gospodarze i gospodynie, a zwłaszcza parobczaki i dziewczęta; każdy chciał być bliżej, aby mógł lepiej zobaczyć. Naraz tłok powstał, szeregi ścieśniać się zaczęły, brać wieśniacza hurmem cisnęła się do ołtarza. Gdy jubilaci stanęli u jego stopni, ludu napłynęło już tak dużo, że ruszyć się nie było można. Wojciech z trwogą rozejrzał się dokoła, widocznie o Anielę zakłopotany. Na szczęście Wacław był blisko, wziął też jego rękę i wkładając w nią rękę Anieli, oczyma wyraził prośbę, aby się nią zaopiekował. Nie trzeba mu było dwa razy tego powtarzać. Grzecznym, ale energicznym ruchem odsunął zbytnio się cisnących i Anielę do ławki przeprowadził.

Po uroczystej Mszy św. staruszkowie otrzymali należne błogosławieństwo i laski z krzyżami na podporę wieku sędziwego. Ks. proboszcz w serdecznych słowach do nich i do wszystkich obecnych przemówił,

a muzyka i śpiew dobranego chóru wieśniaczego dopełniły tej pięknej i nad wyraz rzewnej ceremonii. Przy dźwiękach hymnu dziękczynnego wychodzili wszyscy z kościoła, a w chwilę potem długim, końca nie mającym sznurem dążyli już wszyscy końmi i pieszo w stronę Zaczysza.

Wśród tego szeregu wozów i wózków przeróżnych, jedna bryczka szczególnie się wyróżniała. Okryta wzorzystym kilimem, zaprzężona parą dzielnych siwoszów i przybrana zielonością, wszystkich oczy na siebie zwracała. Na niej to jechali małżonkowie jubilaci, uśmiechnięci i szczęśliwi, jak w dniu pierwszego wesela. Piastowali oboje laski z krzyżami i małemi na nich wianuszkami z zieleni, co były wyobrażeniem cnót ich ichiego, pracowitego żywota. Milczeli oboje; łzami zachodziły im oczy, a serca żywiej uderzały na widok tego wesela, ochoty, radości, strojów świątecznych, oznak szacunku i przyjaźni, jakie ich dziś otaczały.

I przebiegali w myśli ubiegłe swe lata, długie, morderne, jednostajne, co szybko, jak woda, im upływały we wzajemnej zgodzie i miłości. I widzieli jasno, że wśród trosk codziennego życia, wśród ciężkiej doli ubogiego ich stanu przesuwało się, niby nić złota, pasmo najmiłszych wspomnień tego dziecka, przez Opatrzność im zesłanego, które z taką radością przyjęli i z taką wychowywali miłością. Za tę trochę trudu przy piastowaniu, za ten kęs chleba w sieroctwie podany, jakże hojnie są teraz wynagrodzeni! Ale to nie za kęs chleba właściwie, bo tego zwykle ludzie nie odmawiają, lecz za tę miłość ich serdeczną, tak wielką im miłością odpłacano. Rozważając to wszystko w milczeniu, wznosili swe serca ku niebu, z błagalną modlitwą do Pana Zastępów o szczęście i spełnienie życzeń ich ukochanej wychowanki, a teraz dobrodziejki tak życzliwej. Ta prośba ich

i szczerę pragnienie prędko wysłuchane być miały, bo dzień ten dla Anieli stał się ziszczeniem wszystkich pragnień i tajemnych marzeń dziewiczego serca.

Sunęły wozy, pędziły konie, turkot zagłuszał wesołe gwary jadących, ziemia pod naciskiem jęczała, a co żyło, wybiegało na pola, na płoty i drzewa, by się przyjrzeć orszakowi wesela, jakiego tu nigdy nie oglądano.

I naraz w Zaciszu zrobiło się jak na jarmarku: wszystkie podwórza, zaułki, okólniki i opłotki zajęły wozy i konie, a co to tam tego było! Twórca tej zabawy, p. Saliński, jadąc z rodziną na końcu całego szeregu, z przyjemnością prawdziwą temu wielkiemu zjazdowi się przyglądał. Kiedy do wsi wjechali i tłum cały gromkim powitał ich okrzykiem, podniósł w górę kapełusz i zawołał:

— Bracia wieśniacy! teraz na wzgórek — do szkoły!

— Do szkoły? — spytała siedząca naprzeciw Aniela — przecież Zacisze niema szkoły.

Nie miało, ale od dziś mieć ją będzie; naturalnie, jeśli moja mała solenizantka zgodzi się oddać na użytek gromady dom, który tu dla niej na podarunek zbudować kazałem.

Aniela wydała cichy okrzyk i zsunęła się do kolan ojcowskich. On rozrzuwniony, przytulił jej główkę do piersi i rzekł z uśmiechem:

— Wiedziałem, że cię ten podarek najwięcej ucieszy. Ale oto już i szkoła — patrz, ty tutaj będziesz panią; oto własność twoja.

— Tatusiu mój drogi! tyś uprzedził moje pragnienia, tyś zrozumiał... O! jakżem bardzo szczęśliwa... ale...

— Cóż takiego? czego ci jeszcze brakuje?

— Nauki, tatusiu, bo przecież jeszcze nie mogę być nauczycielką.

— Będiesz nią, tymczasem wspólnie z panną Ewelina, a może i z Jadwisią. Mam nadzieję, że to zajęcie nie odciągnie cię od pracy nad własnym wykształceniem, owszem, bardziej jeszcze zachęci.

— O! tak, tak! — szepnęła — pokażę, że potrafię być wdzięczną.

Konie stanęły, wysiadać poczęto, Aniela zdumionym wzrokiem powiodła wokoło. Ach! doprawdy, cóż to ojciec potrafił zrobić z miejsca tak pustego, gdzie pod cieniem paru wierzb dzieci się tylko na zabawę schodziły, gdzie tylko chwasty wyrastały. Stał tu obecnie piękny domek z ganeczkiem, z małym dokoła ogródkiem kwiatowym i warzywnym, z obszernym podwórkim i studnią, z okalającym to wszystko parkanem. Okna były otwarte, dom, ganek i parkan w około przystrojone zielonemi wieńcami i gałązkami brzeziny, nad czem wczoraj całe popołudnie wszystkie ze wsi dziewczęta pracowały. Na szczycie ganku widniały z kwiatów polnych wyrobione litery: A. S. W drzwiach uchylonych stał siwowłósy proboszcz w białej komży, w otoczeniu paru innych osób, on bowiem krótszą drogą wcześniej tu pośpieszył.

Pan Saliński z rodziną, Wojciechowcie i kilkanaście osób wybranych weszli na podwórze, reszta całą falą stanęła za parkanem. Ksiądz proboszcz obszedł i poświęcił dom cały, potem z ganku przemówił do zebranych. Wykazawszy najpierw, jak wielkiem dla wsi dobrodziejstwem jest szkoła, jak radosnym dla wszystkich dziełem jej poświęcenia i otwarcia być powinien, — zwrócił się do p. Salińskiego z gorącą w imieniu obecnych podzięką, a do Anieli z serdecznym wezwaniem, by z praw, jakie w tej szkole mieć będzie, i z tej własności

swojej na pożytek dawnych sąsiadów, na ich podniesienie umysłowe i materialne korzystać chciała, własną się pracą do tego dzieła pięknego przykładając. Przemowę tę pasterz zakończył temi słowy:

— Patrzcie, mieszkańcy Zacisza, oto dziewczę, co wzrosło między wami, znowu do was powraca. Z miłości ku wam i przyjaźni zrodziło się w jej sercu pragnienie niesienia wam pomocy, pomnożenia waszego szczęścia i dobrobytu. A że to się nie może stać inaczej, jak przez dobre wychowanie dzieci, przez oświatę i naukę — przychodzi do was z wezwaniem: „chodźcie, uczcie się, bądźcie rozumni, zamożni i szczęśliwi”. Chodźcie, wy, dzieci, do szkoły, wy starsi do czytelnicy, która tu się z dniem dzisiejszym otwiera, bierzcie i korzystajcie z danego wam dobrodziejstwa. Zwróćcie się więc z zaufaniem i wdzięcznością do dawnej swojej sąsiadki i wychowanki, do jej zacnego ojca i całej rodziny. Oni chcą tego, oni sobie życzą, aby sojusz serdeczny zawsze trwał między nimi a wami, na zawsze też, zarówno w doli, jak niedoli, dwór z chatą wieśniaczą połączył. Czy chcecie tego, bracia moi?

— Chcemy! chcemy! prosimy! — setne odezwały się odgłosy; tłum zakółysał się, zawrzał, jak fala wiatrem poruszona, i nagle wszystkie czapki podniosły się w górę i ze wszystkich piersi odezwał się jeden wielki, długo niemilknący okrzyk:

— Niech żyje dziedzic z Kalinowej Woli! niech żyje Aniela Salińska!

— Niech żyją bracia wieśniacy! niech im Bóg szczęścia i błogosławi! — donośnym głosem odpowiedział p. Saliński.

Aniela ze wszystkich najszczęśliwsza, stojąc na ganku między ojcem i ks. proboszczem, wyciągnęła do ukochanej braci wieśniaczej obie ręce, jakby ich wszyst-

kich uściskiem objąć chciała, żadnego jednak słowa wypowiedzieć nie mogła, lzy tylko ciche płynęły jej po twarzy, przynosząc ulgę sercu, wezbranemu niewysłowionemu wzruszeniem.

W tej chwili tłum się rozsunął, a z jego środka poczęły iść dzieci większe i mniejsze, czyściutko ubrane i porządnie w pary ustawione. Chłopcy z czapkami w rękę, dziewczynki z wianuszkami na główkach szły ochoczo, wesoło, wpatrzone w białą postać, na ganku stojącą. Ustawiwszy się w dwa rzędy, osobno chłopcy, osobno dziewczęta, na dany znak, czystemi, zgodnemi głosikami zaśpiewały:

*Boże Ojczy dobroćliwy,
Przyjmij od nas cześć
Za ten dzień radości żywej,
Za tę błogą wieść.*

*Że i dla nas wiejskiej dziatury,
Wśród tej szkoły ścian
Do nauki przystęp łatwy
Od dziś będzie dan.*

*Więc na cześć Twą, Ojczy Boże,
Szczęściem serca drżą, —
Dobrym państwu też w pokorze
Niesiem wdzięczność swą.*

Ten śpiew dziecinny (dzieło panny Eweliny) miłe na wszystkich sprawił wrażenie i szmer zadowolenia rozszedł się w około. Mieszkańcy Zacisza z dumą i radością patrzyli na swoje pociechy, że się tak pięknie popisały, panna Ewelina niemniej była zadowolona.

— Zejdź do nich, Anieliu, — szepnął córce p. Saliński — wprowadź je do tego pokoju na lewo, tam są

dla nich przygotowane bułki, karmelki i orzechy, oraz książeczki do rozdania.

Aniela skoczyła co żywo spełnić miłe polecenie i za chwili na czele wesołej gromadki znikła za drzwiami pokoiku, skąd przez otwarte okno słyhać było zaraz radosne gwary i śmiechy. A kiedy wreszcie dziatwa wysypała się znów na podwórze we wszystkich oczach błyszczało wielkie ożywienie, a wszystkie ręce pełne były podarunków.

Tymczasem ukryta za domem kapela zagrała marsza triumfalnego, potem hucznego mazura, a dźwięki jej popłynęły daleko po polach i łąkach zielonych i o las się sasiedni odbiły, głosząc światu dzień wielkiej radości, dzień od tak dawna, od tak wielu osób upragniony.

P. Saliński w krótkich, ale serdecznych słowach przemówiwszy do zebranych, wszystkich na ucztę zaprosił, do której już służba dworska i osoby ku temu wybrane potrzebne przygotowania poczyniły. Na obszernej zielonej równinie koło wsi zastawiono stoły, pełne jadła rozmaitego, dzbany miodu i piwa, mleka i innych słodkich i orzeźwiających napojów. Otoczono te stoły niebawem, ale że byli ludzie postawieni do pilnowania porządku, nie było wielkiego ścisku i nikt nie został pominięty.

Państwo, upewniwszy się, że zabawa pójdzie dobrze i że nikt stąd głodny nie odejdzie, z księdzem proboszczem i paru innemi osobami udali się do chaty Woiciechów, gdzie w ogródku pod drzewami czekał na nich stół zastawiony. Na głównem miejscu usadzono jubilatów, pomimo ich próśb i wymawiania, obok siadł proboszcz i p. Milecka, dalej kolejno wszyscy zaproszeni. Aniela, przy pomocy panny Eweliny, sprawowała rolę gospodyni, z wdziękiem i zręcznością usługując przy stole i miłe słowa zbierając.

Kiedy czynność swoją spełniła, a siedzący przy stole, popijając wonną herbatę, gawędzili wesoło, — usunęła się na chwilę, by w dawnym swoim alkierzyku odpocząć cokolwiek i zastanowić się w spokoju nad wrażeniami dnia tego, któremi czuła się oszołomiona i upojona do najwyższego stopnia.

W alkierzyku było czyściutko, zacisznie, biało, jak niegdyś, kiedy tutaj mieszkała, wszystko tak było po dawnemu zachowane jakby z tego wieczystą uczynić chciano pamiątkę. Usiadła na ławce pod oknem, pełnem doniczek i pogrążyła się w cichej zadumie.

Wiele myśli i uczuć przesunęło się w jej sercu i głowie, żywym wzruszeniem odbijając się na twarzy. Podniosła wreszcie oczy na ustrojony kwiatami obraz Matki Boskiej, bo dusza jej, wdzięcznością przejęta, czuła potrzebę modlitwy i dziękczynienia. Dziękowała też Panu Bogu i Panience Najświętszej, że jej przyjaciele w Zaciszu ze skarbów nauki i oświaty korzystać będą mogli i marzyła, jak ona dla nich zacznie pracować, jak zacznie szerzyć światło wiedzy i prawdy Bożej i jak oni za to kochać ją będą i błogosławić.

Z tych rozkosznych marzeń i zadumy zbudziło ją skrzypnięcie drzwi i szelest jakiś u progu. Zwróciła wzrok w tę stronę i szybko z miejsca się podniosła, bo we drzwiach stała Jadwiga. Uśmiechnięta, ożywiona, w różowej sukience, z kwiatkami konwalii w kruczych włosach, jaśniała dawną pięknnością i już nie wydawała się tak bladą i mizerną, jak zrana.

— Ach! przecież cię znalazłam — zawołała, — rzawszy Anielę — takeś się skryła przed nami.

Aniela objęła ją serdecznym uściskiem i tuląc się do niej, szepnęła:

— O! ja dziś jestem nazbyt szczęśliwa, abym nie

chciała w samotności nad szczęściem się mojem zastanowić.

— Jeśli chcesz, moja droga, możesz być jeszcze szczęśliwsza.

— Ja? A cóż mnie już lepszego spotkać może?

Jadwiga popatrzyła na nią z uśmiechem i poważnie, jakby siostra starsza, i mówić zaczęła:

— Właściwie to, czegoś dziś doznała, nie jest szczęściem, a tylko możliwością uszczęśliwiania drugich. Tobie się szczęście więcej osobiste należy, szczęście nie na dziś tylko, ale na całe życie. Takie właśnie szczęście dziś jeszcze możesz otrzymasz. Czy chcesz się o jego warunkach dowiedzieć?

Aniela spoglądała na nią zdziwiona.

— Boję się — odrzekła — abym po nowe dary sięgając, tego, co mam, nie utraciła, lub porzucić nie była zmuszona. Czy to znowu jaka tajemnica. Jadwisiu?

— Zwykła tajemnica serc młodych. Ale ja ci o tem dobrze powiedzieć nie potrafię, pozwól, że mnie w tem wyreczy pan Wacław, który właśnie z tem do ciebie przychodzi.

Aniela oblała się rumieńcem, spuściła oczy, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Nie czekała jej przyzwolenia Jadwiga, ale podchodząc do drzwi, zawołała:

— Panie Wacławie!

W tej chwili wezwany był przy nich; wzrok iskrzył mu się niezwykłym zapalem, twarz promieniała jakąś radością, czy wzruszeniem.

— Panno Aniello — rzekł, ujmując jej rękę — czy mnie pani zechce wysłuchać? czy zechce uwierzyć, że jej ukażę drogę, którą idąc przez życie, można znaleźć szczęście prawdziwe na ziemi?

Milczała, nie pojmując, co by to znaczyć miało, a on poprowadził ją do okna, posadził na ławeczce,

a sam przykląkł przed nią na jedno kolano. Zmieszana tem i zalekniona chciała się zwrócić do Jadwigi, ale ta zniknęła bez śladu.

— Panno Aniello — mówił Wacław, dzień dzisiejszy jest wielkim i szczęśliwym dla pani, dla Zacisza, dla działwy okolicznej, czy nie zechce pani i dla mnie pamiętnym go i szczęśliwym uczynić?

— Ha! gdybym tylko mogła... wie pan przecież, że ja jestem szczerze przyjazna.

— Nie wątpię o tem i w imię tej przyjaźni przychodzę prosić panią, aby chciała stać się dla mnie w życiu towarzyszką i przyjaciółką dożywioną, słońcem mego domu, pomocnicą mej pracy i trosk codziennych osłoda. Jednem słowem, czy pani zgodzi się zostać moją żoną, oddać mi swoje serce i swoją rękę, by razem pójść ze mną po ścieżkach ziemskiego żywota. Wróciłem do kraju, by osiąść tu już na stałe i wziąć się do pracy dla dobra swego i swoich rodaków, ale potrzebuję kogoś, co by ze mną to życie i tę pracę podzielił. W pani ręce składam moją przyszłość, od jej wyroku szczęście moje teraz zależy.

Żywe rumieńce wystąpiły na twarz Anieli, ręka, którą trzymał w swoich dłoniach, lekko zadrżała, podniosła na niego wzrok, pełen radosnego podziwu i rzekła cicho:

— Jadwisia lepszą byłaby dla pana towarzyszką, panu żony ucześniejszej, rozumniejszej potrzeba.

— To co w pani znajduję, wystarcza mi w zupełności, a przy dobrej woli kształcić się dalej można i po zamażpójściu, tem więc niech się pani nie wymawia. Z panną Jadwigą znamy się od dzieciństwa, ale wzajem o sobie nigdyśmy nie myśleli, nigdy tego nie mieli zamiaru. Zresztą ja panią kocham, kocham od pierwszego prawie wejrzenia, kocham tak, że jeśli pani wzajem-

nem mi nie odpowie uczuciem, jeśli mi serca swojego odmówi, nigdy się nie ożenię i będę na zawsze nieszczęśliwy.

— O! ja nie chcę tego, ja się nieraz o pańskie powodzenie modliłam i szczęścia pańskiego pragnę najgoręcej.

— A więc oddaj mi pani swoją rękę, a będę najszczęśliwszym z ludzi.

— Ależ ja bez ojca i cioci rozporządzać sobą nie mogę.

— Ojciec i ciocia już się na nasz związek zgodzili, idzie o twoje przyzwolenie, panno Aniello. Niegdyś zrzadzeniem Bożem uratowałem ci życie, oddaj mi to życie w opiekę, a ja wszelkich starań dołożę, by je uczynić szczęśliwym.

Podawała mu obie ręce w milczeniu, a wyraz jej oczu mówił mu to, czego usta wyrzec jeszcze nie śmiały. Ujął te rączki i do ust przycisnął, a ona nagle, jakby coś sobie przypominając, jakby ze snu słodkiego zbudzona, powstała z ławy i rzekła ze smutnem westchnieniem:

— Ach! jakże ja porzucę ojca, ciocię, Zacisze i tę szkołę moją ukochaną? Ciężko mi się będzie z tem rozstać, o! ciężko mi nawet o tem pomyśleć.

— Chciałbym, żeby mi pani powiedziała, iż dla mnie gotowa wszystko porzucić, ale i tej ofiary nie będzie potrzeba, nie obawiaj się, luba przyjaciółko, nie wywiozę cię daleko, nie oderwę od twoich ukochanych, ale sam tutaj pozostanę.

— Czyż to być może?

— Będzie najniezawodniej, bo zaciągnawszy pożyczkę u cioci Mileckiej, kupię Zacisze od obecnych jego dziedziców.

Cichy okrzyk wydobył się z piersi Anieli, Wacław patrzył na nią rozpromieniony.

— Zacisze dam tobie, moja ukochana, jako podarunek ślubny — rzekł drżącym od wzruszenia głosem. Aniela złożyła ręce jak do modlitwy:

— O! jakżeś pan dobry, jak dobry niezmiernie, — szepnęła ze łzami w oczach. Tego szczęścia już dla mnie za wiele.

— Zastużyłaś na to, gołąbko moja, moje odtąd najmilsze kochanie.

I pozostali jeszcze chwilę razem, by wypowiedzieć sobie wzajemne uczucia i wzajemne na przyszłość nadzieje. Oboje szlachetni, czyści, pogodnie w życie patrzący, podawali sobie dłonie do wspólnej pielgrzymki na świat i do pracy dla dobra drugich. Dowiedziawszy się, że serca ich wzajem dawno żywym do siebie uderzały uczuciem, niewymownie byli szczęśliwi.

Trzymając się za ręce, weszli do ogródka, gdzie na ławce pod starą gruszą siedział p. Saliński z siostrą i ks. proboszczem, a obok na drugiej ławce starzy Wojciechowie i Jadwiga, wszyscy jakby czegoś wyczekujący. Błysk radości zaświecił na wszystkich twarzach na widok wchodzącej pary, a gdy młodzi ukłękli przed ojcem i ciotką, a potem się do stóp ks. proboszcza i starych Wojciechów pochylili, łyzy rozrzewnienia we wszystkich oczach zabłyśły. Ile było serdecznego uniesienia, ile uścisków i błogosławieństw, tego opisać nie podobna. Wówczas dopiero wszyscy się przyznali, że dawno żywione przez nich pragnienie spełnionem zostało i że zamierzonym związkiem są uszczęśliwieni niezmiernie.

— Teraz, moje dzieci, — rzekł wreszcie p. Saliński — chodźmy do naszych wiejskich przyjaciół obwieścić im tę radosną nowinę, niechże się i oni ucieszą, a narzeczonym złożą życzenia.

Jednogłośnie myśl tę pochwalono, powstali wszy

scy i gwarząc wesoło, ruszyli ku łące, skąd odgłosy muzyki i ochoczej zabawy dolatywały. Wojciechowie, jakby im lat z połowę ubyło, szli też za narzeczonymi, nie mogąc się ich widokiem nacieszyć. Milczeli, spoglądając na siebie, wreszcie Wojciech odezwał się półgłosem:

— No, widzisz Marcysiu, takoby to się tego spodziewał; toć ta nasza dawna Stefunia będzie panią w tu-tejszym dworze. Stwórco Wszechmocny, błogosław-że temu panu, iż wszystko tak mądrze obmyślił. Dawnośmy słyszeli, że Zacisze wystawione do sprzedania, ale niktby nie odgadł, kto je kupi.

— Oj! prawda, prawda, mój stary, czy to człek myślał kiedy, jakiej to radości doczeka!... Teraz to i umrzeć nie żał będzie.

— Mnie się tam widzi, że przeciwnie, długoby się jeszcze żyć chciało, aby na to szczęście popatrzeć.

Wojciechowa nie miała czasu na odpowiedź, bo już doszli do miejsca zabawy i na malowniczy jej obraz wszyscy wzrok z przyjemnością zwrócili. Wokoło na trawie wesołe gromadki ożywioną prowadziły rozmowę, a w środku na gładkiej murawie przesuwały się pary tańczące, ochocze i rozradowane, choć im pot spływał po twarzy, a niżone ku zachodowi słońce jaskrawie w oczy zaglądało. Opodał na opróżnionym stole siedzieli muzykanci, z przejęciem spełniając swe zadanie, dalej rzesza się dziatwy uganiała. Tak wszyscy byli zabawą zajęci, że na nadchodzących mało kto zwrócił uwagę, aż ksiądz proboszcz podniósłszy rękę do góry, zawołał donośnie:

— No, uciszcie się teraz, moi kochani, i zatrzymajcie cokolwiek, bo oto przychodzimy z wieścią, która i dla was nie powinna być obojętną.

— Co się stało? co się stało? — zaczęto pytać trwożliwie.

Ucichła muzyka, stanęli tańczący, wszyscy z miejsc się porwali, skupiając dokoła przybyłych. Gdy się uspokoiło powstałe z tego powodu zamieszanie i wszyscy w milczeniu zapowiedzianej wieści czekali, p. Saliński przemówił do nich w te słowa:

— Bracia moi, zebraliście się tutaj najpierw, by uczcić złote gody waszych pocziwych sąsiadów, następnie, by widzieć otwarcie i poświęcenie waszej szkoły, ale Opatrzność Boża zrzadziła, że się na tem nie skończą radości dnia dzisiejszego. Oto przychodzimy do was, aby z wami, jako z przyjaciółmi, radością się naszą podzielić i przedstawić wam tych dwoje młodych ludzi (tu wskazał na Anielę i Wacława), jako przyszłych małżonków i bliskich waszych sąsiadów, bo dziedziców dworskiego Zacisza. Powiedźcież tedy, czy wam się ta wiadomość podoba i o ich szczęście serdecznie westchnijcie do Boga.

Gdy skończył, szmer radosny rozszedł się dokoła i różne wykrzykniki słyszeć się dały:

— Niechże ich Bóg błogosławi!

— Niech sto lat żyją szczęśliwie!

— A toż to niespodzianka! to radość prawdziwa!

— A no, co tam szepczecie po cichu — zawołał, śmiejąc się, proboszcz. — Ot tak chórem, a zgodnie zawołajcie: „Wiwat! niech żyją narzeczeni, niech żyją!”

— Niech żyją! niech żyją! — jak echo huknęli wszyscy, a tak jednozgodnie, tak z całego serca, że odgłos tego krzyku rozległ się daleko, rozszedł się po polach i lesie i odbił się śnać w sercach ciekawie przyglądającej się dziatwy, bo również krzyczeć zaczęła: „Niech żyją!”

Aniela z silnym na twarzy rumieńcem, Wacław z jaśniejącą weselem twarzą, za ten okrzyk im dzięki-

wali, a p. Saliński, zwracając się do jednego ze swych sług zaufanych, powiedział:

— Szymonie, miodu nam tu dajcie — razem zdrowie narzeczonych wypijemy.

— Dobrze, proszę pana — odrzekł Szymon, zbierając się spełnić polecenie.

— Ja tam co innego proponuję — odezwał się proboszcz — poczęstunek na później zostawmy, a teraz za ten dzień radości i błogiej na przyszłość nadziei Panu Bogu podziękować należy. Dziś ostatni dzionek majowy i to miłe nabożeństwo w kościele już się rozpoczęło; my je sobie odprawimy pod krzyżem, pomódlmy się na intencję młodej pary i całej ich zacnej rodziny, zaśpiewajmy Matuchnie Bożej na pożegnanie w maju, a potem zabawimy się jeszcze i z gościnności hojnego gospodarza skorzystamy. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — ze wszech stron podniosły się okrzyki. — Bardzośmy z tej rady kontenci.

— I owszem, idziemy wszyscy za ks. proboszczem — ozwał się pan Saliński.

I zwrócono się w stronę, gdzie na wzgórk, zielonemi wieńcami opleciony krzyż stary spróchniałe podnosił ramiona, krzyż, co już niejednemu błogosławił pokoleniu, niejednej troski i niedoli wsiowej był świadkiem. Sypnęli doń teraz wszyscy gromadnie i ochoczo i wnet cały wzgórek, łączka i drogi rozstajne pokryły się falą ludu, co klęcząc w kornej postawie, modlitwy do nieba zanosił. Wśród szarej barwy kapot i świtek wieśniaczych, czerwieniły się i różowiły, jak kwiaty na łące, kolorowe chustki i gorsety, z ust wszystkich zgodnym chórem słowa litanji i pieśni majowych popływały. A słońce chyliło się ku lasowi, ostatniami promieniami złocąc ten obraz wspaniały, wieczornym chłodem po dniu gorącym spocone czoła orzeźwiając.

Skończono modlitwy, w poważnej zadumie wszyscy się z klęczek podnieśli, tymczasem nowe baryłki miodu wytoczono, nowe kosze jadła przygotowano. Znowu się rozpoczęła zabawa, niemnziej jak przedtem ochocza, przy świetle porozstawianych latarni. Pito razem zdrowie narzeczonych, wznoszono głośnie okrzyki, a echo tej uczty wesołej daleko rozchodziło się po rosie.

Ścigało ono jeszcze długo wracających do siebie dziedziców Kalinowej Woli i ich rodzinę, co wreszcie pożegnali miłe towarzystwo, uwołąc z sobą wspomnienie tego dnia rozkosznego, który miał być potem długie lata pamiętnym w Zaciszu i całej okolicy.

ROZDZIAŁ XXV.

Zakończenie.

Wesoło płynęły teraz dni w kalinowskim dworze. Wszyscy byli zadowoleni, szczęśliwi i niezwykle zajęci, nie mówiąc już o p. Mileckiej, która zaraz po zaręczynach Anieli, kłopotać się o jej wyprawę zaczęła i pierwsze czynić przygotowania. Panienci wszystkie trzy zabrały się do igły i haftu, w czym panna Ewelina przodowała, a i Jadwiga teraz chętniej się wzięła do pracy. P. Saliński z Wacławem różne mieli interesy do załatwienia i coraz to wydalali się z domu, rozpoczynała przytem większa praca w polu, więc gospodarki pilnować należało. Wacław zamieszkał w Zaciszu, zajął się odrestaurowaniem domu i uporządkowaniem ogrodu według swej myśli i życzenia. Nie przeszkadzało mu to bynajmniej do codziennego odwiedzania Kalinowej Woli, gdzie kilka godzin zwykle spędzał najrozkoszniej-

szych, radośnie witany przez narzeczoną, a serdecznie mi względami od wszystkich darzony.

Do szkoły przez czas letnich miesięcy zaglądano tylko w niedzielne popołudnia, zbierając dzieci na katechizm, młodzież i starszych na czytanie i pogadanki. Najmilsze to były dla Anieli chwile; ona tak rada z wielkimi przyjaciółmi swymi przebywała, tak się cieszyła, że i oni czegoś się nauczą, dowiedzą, coś ciekawego usłyszą. Ponieważ chętnie gromadzono się na te zebrania, postanowiono więc takowe urozmaicić i zaczęły się chórne śpiewy, a potem wspólne gry i zabawy, któremi przeplatano czytanie, a które się ogólnie podobały. Tak więc łącząc pożytek z przyjemnością, odciągano ludzi od zabaw przy kieliszku, od próżniaczego wałęsania się i przesiadywania u żydów, a dzieci od psoty i zbytków, często niemoralnych i krzywdzących.

W kilka tygodni po owej uroczystości w Zaciszu. p. Milecka wybrała się z obu panienkami do Warszawy po zakupy, potrzebne do wyprawy. Już od dni kilku biegały po mieście, załatwiając sprawunki i różne interesy, a Aniela pomimo zmęczenia, zachwycona była nieznanym jej dotąd widokiem wielkiego miasta. — Kiedy jednego poranku wcześniej się obudziwszy, postanowiła pójść na Mszę św. do pobliskiego kościoła. Wziawszy płaszczyk i kapelusz, cicho wymknęła się z pokoju, służącej tylko powiedziałwszy, dokąd idzie — i zbiegła szybko ze schodów. Na dole niespodziewana zastała przeszkodę, bo brama była jeszcze zamknięta. Stuknęła w okienko do mieszkania stróża, ale tam nikt się nie odzywał, natomiast z podwórka nadbiegł młody chłopak w niebieskiej bluzie i z miotłą w ręku. Skoczył otworzyć bramę, ale zaledwie kluczem w zamku obrócił, Aniela rzuciwszy nań baczniejsze wejrzenie, wydała okrzyk zdumienia:

— Franek! Franek!

Na dźwięk tego głosu, chłopak drgnął, spojrzał jej w twarz i z widocznym przestachem cofnął się, jakby o ucieczce zamyślał. Aniela chwyciła go za rękę.

— Franku! ty tutaj? co ty tu robisz?

Wyprostował się i mruknął, jakby zawstydzony, czy nie rad, że go poznano:

— A cóż, pracuję na kawałek chleba.

— A wszyscyśmy sądzili, żeś ty zagranicą, albo nawet w Ameryce...

— Byłem ci ja i tam, ale w obcych krajach nie tak dobrze, jak to opowiadają, wróciłem więc do ojczyzny.

— A czemuś nie wrócił do Zacisza? Tam cię twoi rodzice oplakują.

Westchnął smutnie i machnąwszy ręką rzekł tylko:

— Ha! trudno, wrócić do nich nie mogę.

— Takeś zobojeźniał dla rodziny? a mnie nawet nie przywitasz po tak długim niewidzeniu?

Zdjął czapkę, w rękę ją pocałował i rzekł:

— Niech mi panienka odejść pozwoli, bo co sobie ludzie pomyślą, jak zobaczą, że taka strojna pani ze stróżem rozmawia.

— Niech myślą, co chcą, ja jednak nie mogę cię minąć obojętnie, bo choć okoliczności życia nas rozłączyły, nie przestałam ci jednak być przyjazną. Mów, cobym mogła dla ciebie uczynić, w czym ci dopomóc, a spełnię to jaknajchętniej.

Spojrzał na nią zdziwiony i coś jakby wielkie rozczulenie w oczach mu zabłysło. Ach! jakże dawno nikt do niego życzliwie nie odezwał się słowem! upokorzeń mu tylko i pogardy nie szczędzono.

— Jaka ona dobra! — pomyślał i wnet przypominając sobie ostatnie z nią widzenie, rzekł prosząco:

— Niech mi panienka przebaczy moje złe wówczas zachowanie, a będę spokojniejszy.

— Ach! Franku, ja o tem już dawno zapomniałam: nie mam do ciebie gniewu, ani urazy, pragnęłabym tylko posłyszeć, żeś trzeźwym i pocziwym po dawnemu.

— Ha! jeżeli panience na tem zależy, to powiem. iż od owego dnia kieliszka nie wzięłam do ręki i uciekłam stamtąd głównie dlatego, by nadal zgubnej uniknąć pokusy.

— Bogu niech będą dzięki, że ci dał tyle siły i wytrwałości; jakże mi miła jest ta wiadomość! Ale czemu nie wracasz do domu, do swoich? Czy to nie lepiej być niezależnym panem na własnym zagonie, niż w poniżającym położeniu stróża słuchać coraz to kogo innego, wszystkich grymasy znosić, wszystkim nadszkiwać?

— Prawda to, że człowiek na wsi dumniej głowę nosi i szczęśliwszym się czuje, tu jednak grosz częściej wpada do ręki.

— Ale i wydatki są większe, nieprawdaż?

— No oszczędzić to jakoś trudno... ale...

Zawałał się nagle i nie dokończył. Aniela baczniej mu się przyglądając, zauważyła, że zmizerniał i jakby postarzał; stracił wiele z dawnej miny i rzeźkości, a wyglądał jak człowiek, któremu nic się już w życiu nie uśmiecha. Żał się jej go zrobiło, wzięła go znowu za rękę, choć on się starał usunąć, i rzekła z gorącą prośbą w głosie:

— Franku, mój przyjacielu, wracaj do Zacisza. ożeń się i gospodaruj na ziemi twych ojców, a będziesz poważany i szczęśliwy. Pocóż się tu poniewierasz w takim upokorzeniu i zależności, kiedy masz na czem u siebie pracować? Zostaw to miejsce biedakom, co nie mają innego sposobu do życia, a dla których tylko

współczucie mieć należy. Tyś syn dobrego gospodarza, czyż ci już niemiły zagon ojczysty, że wolisz duszne miasta zakątki? czy ci nie tęskno do naszej wiejskiej swobody i do wszystkich, co cię kochają?

On zakrył twarz rękami i szepnął, westchnawszy głęboko:

— Do domu wrócić nie mogę!

— Dlaczego? powiedz mi dlaczego? Możesz być pewnym mojej życzliwości, nie kryj więc przedemną powodów, dla których wzbranasz się wrócić do Zacisza.

Milczał przez chwilę, jakby się namyślał, ale gdy prośbę powtórzyła, rzekł:

— Kiedy tak, to będę już szczerzy i powiem, że zamierzałem się ożenić, bom poznał pocziwą dziewczynę, z którą mógłbym być szczęśliwy.

— A więc się żeń i wracaj do domu.

— Ona uboga sierota i ojciec nie rad byłby z takiej synowej, a tutaj oboje będziemy pracować i życie jakoś tam pójdzie.

Oczy Aniela zabłyśły radością.

— Ach, Franku, jak to dobrze, żeś pomyślał o żonie. Jeśli jednak sadzisz, że ojciec będzie krzywo patrzył na ubogą synową, to się nie martw zbytecznie. My ojca przekonamy, tobie zaś dopomożemy, już ja to biorę na siebie. Dostaniesz kawał gruntu w bezpłatną dzierżawę, wyrobisz się powoli i staniesz zamożnym gospodarzem. Proszę cię więc na wszystko, wracaj do Zacisza koniecznie, a dziś wieczorem przyjdź do nas na górę, to o twej przyszłości pomówimy. Przyjdziesz?

— Przyjdę — odrzekł wzruszony i znowu ją w rękę pocałował.

— Pamiętaj! — szepnęła i wybiegła na ulicę, bo dwie służki, nadchodzące z koszykami w ręku, natarczywie im się przyglądały.

On patrzył za nią; póki mu z oczu nie znikła i już nie widząc w niej ani śladu dawnej Stefki, wyobrażał sobie, że przeszłość snem była tylko, snem, któremu on sam dziś wiary nie dawał. Poczul dla niej szacunek, poczuł wdzięczność za okazaną życzliwość, ale zajął się myślą o swej Andzi kochanej i o swoim do rodzinnej wioski powrocie. Czas i nowopowzięte uczucie z dawnych go pragnień wyleczyły, spokojnie już patrzył w życie, które mu przejść miało w towarzystwie innej kobiety, a obietnica Anieli nadzieją go nową napęłniła. Tęsknić on nie przestał do swej wiejskiej zagrody, tylko jakoś wrócić tam nie miał odwagi. Teraz o tem dzień cały rozmyślał, niecierpliwie wieczoru oczekując.

Ukończywszyienne zajęcie, pośpieszył na górę i nieśmiało do zajmowanego przez p. Milecką mieszkania zapukał. Przyjęto go tam życzliwie, wesoło, namówiono ostatecznie, by wracał do Zacisza i zażądano, by im swoją narzeczoną pokazał. Na drugi dzień spełnił to życzenie, a dziewczyna wszystkim się podobała. Ładna blondynka, z niebieskimi oczami, z wyrazem skromności i łagodności na twarzy, miłe na paniach sprawiała wrażenie. Na zapytanie, jakie ma zajęcie, odpowiedziała, że właśnie nowego miejsca poszukuje, bo dawni jej państwo wyjeżdżają z Warszawy.

— A więc, moja Andziu, — rzekła na to pani Milecka — bardzo dobrze się składa; zabierzemy cię z sobą, a Franek uwolniwszy się ze służby, również tam przyjedzie i wyprawimy wam wesele.

Dziewczyna z wdzięcznością ręce dobrej pani ucałowała, a w tydzień była już w Kalinowej Woli i wzięła się do szycia swej wyprawy, która z hojności pań, a głównie Anieli, miała być bardzo dostatnią.

Aniela zaraz po powrocie do domu pośpieszyła odwiedzić Zacisze. Pilno jej było powitać swą ukocha-

ną dziatwę i ucieszyć ją podarkami z Warszawy, ale jeszcze pilniej zajął się do starych Janiuków, by im zanieść radosną o powrocie syna nowinę. Smutek ich i tęsknota, oraz widok upadającego dla braku rąk do pracy gospodarstwa, ogromną jej przykrość sprawiały. Bolała nad ich cierpieniem, czując, że mimowoli stała się wszystkiego przyczyną, nic tu jednak nie mogąc poradzić, o pociechę tylko dla rodziców, a szczęśliwy powrót dla syna codziennie się modliła. I oto nareszcie modlitwy jej były wysłuchane, a pragnienie gorące spełnione. Franek powracał, ona się do tego przyczyniła, — ona więc osobiście chciała zanieść strapiionym rodzicom tę radosną i pożądaną wiadomość.

Załatwiwszy się jaknajprędzej ze swą hałaśliwą gromadką, podażyła znaną jej dobrze ścieżką poza stodołami do chylącej się od starości, ale obszernej i wygodnej chaty Janiuków.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, odezwiała się zaraz przy wrotach, spostrzegłszy na podwórzu samego gospodarza, zajętego naprawianiem jakiegoś narzędzia gospodarskiego.

— Na wieki wieków, odpowiedział tenże, podnosząc głowę.

Wstał na jej powitanie, ale zdawał się jakiś smutny czy zakłopotany, a' czerstwa twarz jego, siwiejącymi włosami okolona, była dziś bardziej chmurna i ponura.

— Jak się macie, panie Ignacy, przyszedł was odwiedzić, o zdrowie i pomyślność zapytać.

Popatrzył na nią z pod oka, niechętnie, czy podejrliwie i machnął ręką.

— Dziękuję panience za odwiedzinę, rzekł, ale o nasze zdrowie i pomyślność lepiej nie pytać wcale.

— A to dlaczego?

— Bo i pocóż szukać tego, czego tu niema oddawna? — spytał z westchnieniem i zaraz dodał:

— Dawno już nas pomyślność i szczęśliwa dola odbiegły... a wiem, że już nigdy nie wróca.

— Mylicie się, moi drodzy, pociecha upragniona jest właśnie bardzo blisko; z czemś dobrem dziś do was przychodzę. Ale gdzie jest wasza kobieta?

— Biedaczka już od zimy niedomaga, a teraz na dobre się położyła i o śmierci gadać zaczyna.

— Ach! czemuście nam znać nie dali? Doktora do niej trzeba sprowadzić.

Stary machnął ręką pogardliwie.

— At! co jej tam doktor pomoże! Troska ją zjadła i zdrowie powoli podkopała. Wiem ją dobrze, że jej nie lekarstwa, ale pociechy potrzeba.

Aniela klasnęła w ręce wesoło.

— Jeśli tak, to ją wyleczyć spróbuję; mam taką nowinę, co ją z pewnością ucieszy.

Wieśniak popatrzył na nią badawczo, jakby chciał myśli odgadnąć, wreszcie szepnął nieśmiało, z widoczną obawą:

— Może macie jakie wieści o Franku?

— A tak; mam wiadomość od niego samego.

— I co? co? spytał niespokojnie biedny ojciec, a oczy mu dziwnie zaświeciły. Czego mam się spodziewać? Czy żyje on i dobrze się prowadzi?

— Żyje — i do was powraca, rzekła Aniela dobitnie.

Stary upuścił nóż trzymany w rękę i przystąpił bliżej do mówiącej.

— Czy naprawdę panienska wie o nim coś pewnego? czy naprawdę on do nas zateknął?

— Najrzetelniejsza prawda, z własnych to jego ust słyszałam i dlatego śpieszę was o tem uwiadomić.

Staremu twarz się rozjaśniła, a oczy zwilgotniały; stłumił w sobie jednak pierwsze uczucie i ozwał się z żalem:

— Ha! niedobry syn, opuścił starych ojców, wołał iść w świat na biedę i tułaczkę, zamiast na własnym pracować zagonie.

— Nie miejcie mu tego za złe i sercem łaskawem przyjmijcie, prosiła Aniela, on też był biedny, strapiony. Teraz wszystko minęło, wraca do was, by wam krzywdę uczynioną nagrodzić i razem zabrać się do pracy.

— Wymówki mu robić za to nie myślę i przyjmę w dom z radością, niech jeno tylko powróci.

Podszedł szybko do drzwi chaty i wyrzekłszy tylko:

— Niech panienska moją starą odwiedzi — znikł w sieni.

— Słuchaj, matko, zawołał, wchodząc do izby. Franek do nas powraca, Franek ma tu być niezadługo.

Chora kobieta żywo się poruszyła i oparłszy ręką o poduszki, podniosła i na łóżku usiadła.

— Franek, dziecko moje, żyje i ja go przed śmiercią zobaczę! — czyż to prawda? czy to być może?

— Prawda oczywiście, pani Ignacowo, odrzekła Aniela, przystępując do łóżka, — widziałam go teraz w Warszawie, mówił, że wkrótce tu będzie.

— O! niechże panienkę Bóg błogosławi za tę dobrą nowinę; ona mnie pokrzepi, że jego powrotu do czekam, a potem umrę spokojnie.

— Ej! umrzeć wam nie damy, dziś jeszcze doktor tu przybędzie; musicie wyzdrowieć, żeby swemu Frankowi wyprawić wesele.

— Jaktó! on z obcej strony chce sobie wziąć żonę? alboż tu niema dla niego dziewczyny? — odezwał się stary Janiuk.

— A co wam to szkodzi, że sobie upatrzył dziewczynę gdzieindziej? Byłoby dobrą miał żonę, pocziwa i pracowitą, któraby was szanowała jak należy, niczego więcej nie potrzeba. On ją kocha, będzie z nią szczęśliwy, a i wy odetchniecie swobodniej na stare lata.

— Czy ją panienka widziała?

— A jakże — i wy ją poznacie niedługo jeśli na wybór syna przystaniecie.

— Szczęścia jego tylko pragniemy — szepnęła matka. — Ojciec milczał, ale nie myślał się sprzeciwiać.

Aniela przysiadłszy obok chorej, opowiedziała z wszelkimi szczegółami swoje z Frankiem spotkanie, jego życie po wyjściu z domu rodzicielskiego i jego na przyszłość zamiary. Obiecaną synową przedstawiła im tak dobrze, taką szlachetną i piękną, że starzy coprędzej poznać ją zapragnęli, a że posag ze dworu miała obiecany, nie mieli żadnego powodu stawiać przeszkód temu małżeństwu.

Długo dnia tego bawiła tam Aniela, bo jej starzy wypuścić nie chcieli, chwytając skwapliwie każde słowo, każdą o ich synu ukochanym wiadomość, a byli bardzo uszczęśliwieni. Wieczorem przybyły doktor obejrzał chorą i lekarstwa odpowiednie przepisał, a w tydzień Janiukowa zupełnie zdrowa, krzotała się po domu, czyniąc przygotowania na przyjęcie syna i jego narzeczonej, bo Aniela zamilczała o pobycie Andzi w Kalinowej Woli, zostawiając Frankowi zapoznanie jej z rodzicami.

Przybył i on wkrótce, wnosząc radość i uciechę wielką pod dach rodzicielskiego domu. W trzy tygodnie potem odbyło się wesele młodej pary, dla której p. Saliński z Wacławem oddzielnie, a dostatnio urządzili gospodarstwo, na którym łatwo im było nie tylko żyć, ale i do większej dojść zamożności.

Aniela uspokoiwszy się o szczęście przyjaciela swych lat dziecińczych, z tem większą swobodą mogła się własnym oddać marzeniom. Wesele jej z Wacławem odbyło się, jak to naprzód można było przewidzieć, przy licznych zgromadzeniach, nietylko panów okolicznych, co włościan z Zacisza i Kalinowej Woli. Żywy udział brali oni w tej rodzinnej uroczystości i w zamian za okazywane im względy nieśli dobrem państwu zapewnienie swej życzliwości i przyjaźni. I znowu społem przeżyto dzień piękny, promieniejący najwyższem weselem i budzący najmiłsze na przyszłość nadzieje. I nadzieje te nie zawiodły, bo z myślą pocziwą, z uczuciami bratniej życzliwości dla biedniejszych i nie tak od losu udarowanych — rozpoczynali drogę życia; nie przestała się im też ona zdobić kwiatami szczęścia i miłości.

Szkoła w Zaciszu szła bardzo dobrze, umiejętnie prowadzona przez pannę Ewelinę, która nie przestała być towarzyszką i przyjaciółką Anieli. Stale mieszkała we dworze, a do szkoły tylko na lekcje chodziła. To też z mieszkanią, dla nauczycielki przeznaczonego, urządzono salę zebrań, zabaw i czytania, która w każdą niedzielę szczerze bywała zapełniona.

Jadwiga w rok po weselu Anieli oddała swą rękę zamożnemu obywatelowi, który poznał ją i pokochał w domu, gdzie była nauczycielką po wyjeździe z Kalinowej Woli. Przebyte cierpienia uczyniły ją mniej wymagającą, z losu też swego była zupełnie zadowolona.

Pani Malwina ciężko przechodziła koleje i w niedostatku życia przedwcześnie zakończyła. Syn jej, Alfred, straciwszy cały majątek, musiał się wziąć do urzędowania. Nienawykłemu do pracy, ciężko się było do nowych warunków życia przystosować, aby więc poprawić swe położenie, ożenił się z niemłoda, ale zamoż-

na wdowę po dorobkiewiczu i zrezygnowawszy z dawnych nawyków i kosztownych upodobań, a tembardziej z miny wielkopańskiej, począł myśleć jedynie o zebraniu czegoś na stare lata. Przerzucając się z jednej ostateczności w drugą, z marnotrawcy stał się skąpcem. do czego mu dzielnie pomagało zrujnowane i podkopane dawnem używaniem zdrowie. Żona przy nim szczęścia nie zaznała, jemu go również dać nie była w możności.

Owi nikczemni żydzi, co Aniełę zgubić chcieli, nie uszli zasłużonej kary. Wówczas potrafili się oni wymknąć, ale gdy i nadal nie przestali różnych spraw niegodziwych, dostali się w ręce sprawiedliwości i pono ciężko i długo za winy swe pokutować byli zmuszeni.

Błażejowa żyła jeszcze dwa lata i często dwór w Zaciszu odwiedzała, bo nigdy stamtąd nie wyszła z próżnemi rękami. Odgrywała ona zawsze rolę dobrodziejki, jak gdyby naprawdę do szczęścia się Anieli przyczyniła. Gdy jednak ostatnia nadeszła jej godzina, wezwawszy do siebie Aniełę, wyznała jej z płaczem, że ona to była ową zbrodniarką, co ją na obcym progu porzuciła. Dręczące wyrzuty sumienia nie pozwoliły jej tak zejść ze świata, dopiero uzyskawszy przebaczenie, spokojnie oczy zamknęła, ufna, że dla żałujących i pokutujących grzeszników Bóg jest miłosierny.

Wojciechowie bardzo późnego wieku się doczekali, nie znając biedy, ni trosk, żyli w pokoju, ciesząc się szczęściem swej wychowanki i codziennie ją odwiedzając, albo jej przyjmując odwiedziny. Z chatą się nie rozstali, bo do niej duszą i sercem przyrośli, zajęcie odpowiednie do wieku zawsze sobie znaleźli, bo bez pracy nudno im było. Kiedy w lat parę dwór w Zaciszu zaczął rozbrzmiewać głosikami dziecięcemi i dziadusiom uciechy i trosk zarazem przybyło. Wojciechowa musiała dla

nich hodować kwiaty i smaczne rzepki w ogródku, farbować piękne pisanki, bo jakże tu im nie zrobić, tym kochanym pieszczotkom, kiedy czepiając się fartucha. oczęta na nią podnoszą, wołając:

— Babciu! masz rzepki? masz jajka? Tolo i Zosia przyjdą do ciebie.

— Mam, mam — odpowiadała uszczęśliwiona kobieta — moje wy pociechy serdeczne, przyjdźcie tylko a zobaczycie.

Wojciech też w tyle nie zostawał: strugał młynki, kręcił fujarki, plótł koszyczki, uśmiechając się do swych cacek i do swej dziatwy, co tak serdecznie za wszystko dziękowała, taką ich otaczała pieszczotą. A dziatwę tę od maleńka uczono, że każdy stan szanować należy i że prawdziwą ozdobą człowieka jest nie majątek, ani stanowisko w świecie, ale rozum, poczciwość i cnota.

Pan Saliński, pełen sił i zdrowia, doglądał po dawnemu gospodarstwa w Kalinowej Woli, wyposażając tymczasem Jadwigę. Oboje z siostrą cieszyli się szczęściem swych dzieci, a gdy w biegu lat i drobne wnućzeta u ich kolan szczebiotać zaczęły, niczego już więcej nie pragnęli na świecie. Wdzięcznem sercem odczuwając własne szczęście i gorąco za nie Bogu dziękując, starali się do szczęścia drugich przyczyniać. Stale też opieką, pomocą w potrzebie i radą życzliwą wspierali wieśniaków w Kalinowej Woli i Zaciszu i szczerymi miłobądźmi byli dla nich przyjaciółmi. A oni oceniali to, jak należało i przy każdej sposobności starali się nawzajem życzliwość okazać. Kiedy chmura z deszczem nadchodziła, a łan suchej zupełnie koniczyny był do zebrania, ruszali wszyscy z końmi i wozami i koniczynę wszystką zwieźli i sprzątnęli przed burzą. W lesie też i w polu pilnowali, żeby żadnej szkody nie wyrządzać, a o rolnika chętnego i rzetelnie pracującego troszczyć się

oba dwory nie potrzebowały. Pojęli oni tę prawdę, że w takich jedynie warunkach przyjaźń i dobry wzajemny stosunek mógł istnieć i obu stronom pożytek i zadowolenie przynosić. Nie słuchali więc złych podszeptów i sojusz serdeczny z państwem zawsze utrzymywali, korzyściami też z niego stale się cieszyli.

*Niechże cieszą się radośnie,
Niech dostatek u nich rośnie,
Niech się serce z sercem splata, --
W zgodzie żyją — dwór i chata.*



KONIEC.



89461

SPIS ROZDZIAŁÓW.

	Str.
ROZDZIAŁ I.	
Dziwne spotkanie	5
ROZDZIAŁ II.	
W Zaciszu	13
ROZDZIAŁ III.	
W Kalinowej Woli	19
ROZDZIAŁ IV.	
Tajemnica	28
ROZDZIAŁ V.	
Wesele	37
ROZDZIAŁ VI.	
Nieszczęście	53
ROZDZIAŁ VII.	
Ocalenie	63
ROZDZIAŁ VIII.	
W szponach	72
ROZDZIAŁ IX.	
Szlachetny opiekun	100
ROZDZIAŁ X.	
Radość i smutek	117
ROZDZIAŁ XI.	
Połączenie	133
ROZDZIAŁ XII.	
Szlachcic i włościanin	149

ROZDZIAŁ XIII.	
Powitanie i uczta w Zaciszu	159
ROZDZIAŁ XIV.	
Na nowej drodze	175
ROZDZIAŁ XV.	
Niepożądane odwiedziny	201
ROZDZIAŁ XVI.	
Na tropie	220
ROZDZIAŁ XVII.	
W leśniczówce	233
ROZDZIAŁ XVIII.	
Niespodziewani goście	246
ROZDZIAŁ XIX.	
Zawiedziona nadzieja	257
ROZDZIAŁ XX.	
Burza	277
ROZDZIAŁ XXI.	
Rozłączenie	294
ROZDZIAŁ XXII.	
Zadziwiająca wiadomość	307
ROZDZIAŁ XXIII.	
List	324
ROZDZIAŁ XXIV.	
Spełnione marzenia	337
ROZDZIAŁ XXV.	
Zakończenie	357